A. RYMKIEWICZ
KRAJOBRAZY I LUDZIE

J. STRYJKOWSKI
GŁOSY W CIEMNOŚCI

M. JASTRUN
DZIENNIKI I WSPOMNIENIA

J. HARTWIG
WIERSZE

A. SOWIŃSKI
FRYDERYK SCHILLER

F. SCHILLER
DYMITR

J. W. GOMULICKI
KŁOPOTY »OSTREGO PIÓRKA«

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

# TWÓRCZOŚĆ 4

# TWÓRCZOŚĆ

KWIECIEŃ 1955

4

# TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XI KWIECIEŃ 1955 Nr 4

## SPIS TREŚCI

*Aleksander Rymkiewicz*
KRAJOBRAZY I LUDZIE
POLSKA GAŁĄZKA PIERWSZA WIOSNA JARMARK KOŃSKI ZAJĘCZY TROP
WIDOK NA SZCZYTNO
Str. 5

*Wanda Karczewska*
W IMIĘ OCALENIA
Str. 9

*Julian Stryjkowski*
GŁOSY W CIEMNOŚCI
Str. 11

*Mieczysław Jastrun*
DZIENNIKI I WSPOMNIENIA
CISZA GAŁĄZKA JAŚMINU UCIECZKA NAD MORZEM MYŚLI NOCNE
Str. 64

*Julia Hartwig*
PAMIĘĆ NA GRANICY SARE
Str. 75

*Jerzy Harasymowicz*
DZIECIŃSTWO SZACHY KRZYWOUSTY POD GŁOGOWEM Z CZASÓW 1655—1660
Str. 79

*Teodor Goździkiewicz*
PARA GRZYWACZY
Str. 81

*Włodzimierz Majakowski*
REWOLUCJA (przeł. *Leopold Lewin*) POSŁUCHAJCIE (przeł. *Anatol Stern*) PŁYTKA
FILOZOFIA NA GŁĘBOKICH MIEJSCACH (przeł. *Anatol Stern*)
Str. 109

*Adolf Sowiński*
FRYDERYK SCHILLER
Str. 117

*Fryderyk Schiller*
DYMITR
(przeł. *Włodzimierz Lewik*)
Str. 149

*Jan Brzechwa*
O POEZJI DLA DZIECI
Str. 163

*Juliusz W. Gomulicki*
KŁOPOTY »OSTREGO PIÓRKA«
Str. 171

*Archiwum*
*Tomasz Kajetan Węgierski*
SATYRA MOJA
Str. 177

*Jerzy Wyszomirski*
Z POWODU WYDANIA GOETHEGO
Str. 180

*Wśród książek*
O SATYRZE — *Jan Huszcza*
Str. 188

GŁOSY HISTORYCZNE — *Andrzej Biernacki*
Str. 191

OBRAZ NIEŁATWEJ WALKI — *Wojciech Natanson*
Str. 193

*Na widnokręgu*
PROBLEMY KRYTYKI LITERACKIEJ I SPRAWY REDAKCYJNO-WYDAWNICZE W ZWIĄZKU RADZIECKIM — *Józef Spinc*
Str. 196

PAUL CLAUDEL — *Zbigniew Bieńkowski*
Str. 200

CO TO SĄ „COMICSY" CZYLI CZYM SKORUPKA ZA MŁODU NASIĄKNIE... — *Grzegorz Jaszuński*
Str. 203

OPOWIADANIA RZYMSKIE ALBERTA MORAVII — *Marcin Czerwiński*
Str. 209

CIESZYŃSKI KONKURS — *W. N.*
Str. 211

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA OPOWIADANIE O TEMATYCE WIEJSKIEJ
Str. 214

KSIĄŻKI NADESŁANE
Str. 215

---

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54. Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena numeru zł 7.— Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

---

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 1327/c z dnia 8.3.55 r. Nakład 5 105. Druk ukończono w kwietniu 1955 r. B-6-4904

*Aleksander Rymkiewicz*

# KRAJOBRAZY I LUDZIE

## POLSKA GAŁĄZKA

W miasteczku jeszcze pustym po wojnie,
gdzie rzadko kto polską przeczytał książkę,
pieśni warmińska, pieśni prościutka,
tyś zieleniła się, polska gałązko.

Szkoły rozwiązać, księgi popalić
potrafi kodeks żelaznych kanclerzy.
Lecz usta i na pół zniemczone śpiewały
ciebie, piosenko, gałązko świeża.

Na nic gwałtowne żandarmów patrole,
gdy polską mowę okryła zima —
grała bez słów fujarka nad polem,
wycięta z ciebie, gałązko rodzima.

## PIERWSZA WIOSNA

Tu do ciebie, gdyś z Polski czekał nowin,
ojczyzna przyszła polem nieobsianym,
niemiłym oku, obcym skowronkowi,
co próżno kłosy wywoływał zwrotką,
nad pustą ziemią śpiewając od rana.
Lecz ruń nie wschodzi. Czyż pieśń nie dość słodka?

Bezludnie. Milczą przyległe zagrody.
Na zachód sąsiad przed frontem wyruszał,
z polskim nazwiskiem, a niemiecką duszą,
grożąc, że wróci tu w jesienne chłody.
Potem przybyły nieufne rodziny,
o sprzęt i domy kołacząc u gminy.

Gdzież rówieśnicy znani ci od dziecka?
Zżyło się jakoś z ich mową niemiecką.
I byli, zda się, nie za bardzo pruscy,
czasem przestrzegli — są i Niemcy ludzcy.
A ci zza Bugu przechodzą przed domem
częściej z pogróżką, rzadziej z ukłonem.

Ojczyzno gorzka w chmurze gorzkich zdarzeń,
ty nad gazetą polską wymarzona,
śpiewana wierszem w wiejskim kalendarzu,
czekana we wsi nadmorskich jesionów.
Tylko skowronek wciąż ten sam nad polem,
próżno mazurskie pragnąc zboża zbudzić,
trzepotem pieśni zasiał ludzką dolę —
i wschodzi zwolna ruń we wnętrzu ludzi
jeszcze dla oka niewidocznym śladem,
nazbyt zroszona sporów niepogodą,
znów wbita w pole nagłej krzywdy gradem,
ścięta codziennych niedostatków chłodem.
Pług opatrzyłeś znowu przed stodołą,
słysząc to srebro rozśpiewane wkoło.
Gdy cię skrzywdzili urząd, broń, przechodzień,
z ojczyzną ciebie skowronek pogodził.

## JARMARK KOŃSKI

Za wiele domów tu na wieś,
za mało na miasteczko.
I kościół jest, i gminny sklep,
i zamarznięta rzeczka.

Zbrudzony śnieg, zdeptany plac,
a na nim jarmark koński.
— Kobyle w pysk, na nogi bacz,
grzbiet i zad perszeroński.

Na wóz włóż choć dębowe pni,
pogonisz samym krzykiem,
zza Bugu zaś do wszystkich wsi
przywieźliście kucyki.

— Perszeron, owszem, wiele wart,
bo sam zje wagon owsa,
a moja, ot, zje sianka garść
i jest od twojej zdrowsza.

Sprzedali już, kupili już,
zapili wódki miarką.
I znowu skrzyp po drodze płóz.
I słońce wraca z targu.

— Hej, słyszysz w puszczy z dala strzał?
Puszysta dziś ponowa.
Po wojnie miał tu broń, kto chciał,
ech, z psami zakłusować.

Tężeje mróz, grabieje dłoń,
zmrok w lasy niosą wrony.
Sznur z tyłu targa rosły koń,
w jarmarczny dzień kupiony.

## ZAJĘCZY TROP

Kluczy, gdzie Piskiej Puszczy skraj,
na śniegu trop zajęczy,
jak gdyby szedł, jak gdyby biegł
od moich dni młodzieńczych.

Przez drogę już, za płoty wzgórz,
tam obszedł spichrz i klony,
ominął tyle łun i burz,
nim dobiegł trop w te strony.

A ja przeszedłem środkiem win,
o, zimy, moje zimy. —
I ciężko mi się rozstać z nim
jak przy mej wsi rodzimej.

## WIDOK NA SZCZYTNO

Widać, idąc od boru:
deszcz zasiewa jezioro,
któż by myślał, że w chmurze
było tak wiele kropli —
zboża, drzewa już zmokły,
szumią rynny w podwórzu.

Chmura, jak my, podróżna,
wędrowna i ulewa,
teraz dalsze jeziora
rozpyla i zasiewa.

Tu zaś wiatr niebo przetarł,
przy drodze lipy kwitną,
pociemniałe od deszczu
suszy się w słońcu Szczytno.

Przejeżdżają rowerem
chłopcy wilgotną szosą,
a nad nimi wybiera
soki pszczoła w niebiosach.

Wejdźmy w miasto nieduże —
wzrokiem ogarniesz je wkoło.
Wśród mocarstw niby pszczoła,
szumiąca po burzy.

*Aleksander Rymkiewicz*

*Wanda Karczewska*

# W IMIĘ OCALENIA

Śpiewa ptak, dzwoni potok górski,
drży liść, łuska nasienia spada na ziemię,
nie mogę nie myśleć o moich umarłych.

Oni nie przychodzą do mnie we snach,
oni zawsze są ze mną i we mnie,
jak oddech, jak pulsowanie krwi.

Zabito kobietę chińską,
myślę, czy matka moja upadła wpierw
na mrozie na apelu porannym,
czy posłano ją na druty,
a potem spalono.

Niemiecki chór chłopięcy
śpiewa polną różę, białego jelenia,
mój zabity w Oświęcimiu brat
staje przed nimi, mówi:
żyłbym, gdybyście wy wtedy przyszli
z gałązkami klonu na ramionach
i żółtymi listkami na nich.

Chodzę po lesie,
dotykam szpilek jałowca,
jestem śród bliskich, smakuję wino,
dłoń odnajduje uścisk ciepły,
oni przypominają:
myśmy też kochali życie,
kochaliśmy śmiech,
źdźbła trawy wilgotne od rosy porannej.

Ostrzegają mnie:
słuchaj dalekich wybuchów,
słuchaj spadania śmiercionośnego popiołu

na wody oceanu.
Słuchaj,
znowu dzwonią gwoździe o bruk,
hełmy szczękają.

O, niemądry krytyku,
który zarzucasz mi
wieczny powrót do moich umarłych.
To oni wciąż trwają przy mnie,
uzbrajają moją rękę, serce i myśl.
Jestem im wierna
w imię ocalenia żywych.

*Wanda Karczewska*

*Julian Stryjkowski*

# GŁOSY W CIEMNOŚCI

## PIERWSZA MIŁOŚĆ

Postawili go na stole. Przez chwilę pomyślał o białym obrusie i starych swoich bucikach. Naokoło siedzieli goście. Widział brodate twarze w „sztrajmłach". Tylko „długi" Lejzor Steif, gospodarz kamienicy, nie miał brody, a melonik trzymał się na czubku głowy niepojętym sposobem.

Honorowe miejsce zajął rabin z Głogowa. Przybył, mimo że był chory. Opierał się łokciami o poręcze krzesła. Patrzył z ukosa i mrużył jasne oczy. Lisi kołpak nieznacznie podsunął się w górę. Dwoma długimi, żółtymi palcami rozczesywał wąsy i brodę. Lekko kiwał odchyloną w bok głową. Na nosie miał dużą, dobrą brodawkę.

Ojciec, bardziej surowy i nieubłagany niż zazwyczaj, stukał palcem w wieczko drewnianej tabakierki. Opuszczał ciemne powieki, zamykał oczy, potem je nagle otwierał, unosząc przy tym rzadkie, jasne brwi. Przy Schariem, byłym dzierżawcy łaźni gminnej, który się nagle wzbogacił, ojciec wydawał się mały, chudy i biedny.

Środek stołu zajmowali przede wszystkim mieszkańcy z piętra: zegarmistrz Zajweł w ciemnych okularach na krótkim, grubym nosie, czarny „Szułym", skupujący po wsiach skóry padłego bydła, ze swoim synem Kiwe, przezwanym „Łoszak", oraz właściciel narożnego sklepu korzennego i innych wiktuałów, Jojne, o podługowatej, końskiej twarzy.

Na końcu stołu siedzieli: blacharz Sane z jednym pustym oczodołem, Geceł ze sparaliżowaną nogą, mąż Zełde, szmaciarz, oraz czyściutki zawsze krawiec Zysie, garbaty, zwracający wciąż przerażone spojrzenie na swego syna, Mojsze-Łajba. Zysie wprawdzie mieszkał na piętrze, ale powiedział, że wszystko mu jedno, gdzie będzie siedział. Naprawdę to na kraju stołu łatwiej było uważać na Mojsze-Łajba.

Mojme i Lulek stali za krzesłem swego dziadka, rabina z Głogowa.

We drzwiach cisnęły się kobiety, przeważnie żony zaproszonych, w długich koronkowych szalach i kolorowych, suto fałdowanych sukniach. Tylko Pesi, córka rabina z Głogowa, matka Mojme i Lulka (reb Meierła, męża Pesi nie było od paru tygodni w mieście) miała na sobie czarną, taftową suknię i srebrzystego koloru jedwabną chustę na ramionach.

Dotykał zegarków srebrnych, niklowych, przypiętych na piersiach agrafkami

do aksamitnego ubranka. Na samym środku zegarek najmniejszy wisiał na jedwabnej tasiemce. O niego bał się najwięcej. Pożyczyła go gruba Ester, matka maleńkiej Fajgełe.

Tyle zegarków na sobie miał na pewno tylko Józef z Biblii. I nie musiał po to zaczynać Chumesz. I nosił je na pewno zawsze: w sobotę i w dni powszednie. Dziś on jest takim królewiczem jak Józef.

Mełamed, mały reb Mecheł, staje na palcach, bierze go pod brodę i zaczyna śpiewać:

— Kto ty jesteś, mały chłopczyku?

— Mały Żydek.

— A czyj ty jesteś?

— Jestem synem reb Tojwie.

— A jak się nazywasz?

— Nazywam się Aron, Aron ben Tojwie.

— A ile masz lat? I co zaczynasz?

— Mam pięć lat i zaczynam Chumesz.

— A co to jest Chumesz?

— To tyle ksiąg naszego świętego Mojżesza, tyle ksiąg, ile mam lat.

— A po co zaczynasz Chumesz?

— Żeby się nauczyć praw i przykazań naszego świętego Mojżesza.

— A po co ci praw i przykazań naszego świętego Mojżesza?

— Żebym był pobożnym Żydem i szedł drogami Boga Abrahama, Izaaka, Jakuba i wszystkich naszych dobrych Żydów.

— Amen — powiedział głośno mełamed, reb Mecheł, a za nim powtórzyli wszyscy Żydzi, mężczyźni i kobiety.

— Amen, amen, amen.

Potem ściągnięto go z powrotem na dół. Aronek podniósł rękę i niechcący popełnił grzech. Dotknął zwisającego z sufitu świecznika. Świecznik zakołysał się i Żydzi syknęli. Aronek poczerwieniał i wsadził rękę do ust. Teraz goście opuścili oczy i uśmiechnęli się. Reb Mecheł lekko uderzył go po ramieniu.

— Ajajaj, coś ty zrobił? Nie wiesz, że dziś sobota?

Zrobił mu miejsce obok siebie. Chrząknął trzy razy. Otworzył dużą księgę na zatłuszczonej stronicy. Ze skośnej kieszeni rudej bekieszy wyjął czerwoną chustkę i kościaną pałeczkę, na końcu spłaszczoną i ostrą. Chustą wytarł wąsy. Pałeczką pokazał uczniowi pierwsze słowo „Wajikru".

Rozpoczął się egzamin.

Głośno i śpiewnie Aronek czyta:

— „I zawołał Bóg do Mojżesza"

Duże, pękate litery łączą się w słowa tajemnicze, cudze, niezrozumiałe.

— „Wajikru — i zawołał... — Anodoj — Bóg... el — do — ...Mojsze — Mojżesza..."

Żydzi spoważnieli. Ojciec nachmurzył się, odsunął mocnym ruchem tabakierkę, gotów każdej chwili przyłapać malca na błędzie. Długi Lejzor podsunął melonik jeszcze wyżej. Krawiec Zysie strzepuje z obrusa niestniejące kruszynki i niespokojnie mówi coś do swego syna, Mojsze-Łajba. Stojące we drzwiach kobiety kiwają życzliwie głowami i zaglądają matce w oczy. Matka podnosi chustkę do ust.

Aronek słowo po słowie tłumaczy na żydowski. Bóg to była jego siostra...

Chamariem, nie, brat Modche, Mojżesz to on sam. I brat woła go do ciemnego pokoju, żeby mu pokazać strasznego wieloryba Lewijoson, na którym cudem trzyma się cały świat.

Modche siedzi tuż przy ojcu w aksamitnej jarmułce, kręci jeden pejs i raz po raz podnosi oczy na kołyszący się świecznik.

Jeśli nazbiera się dużo grzechów, Lewijson może jednym uderzeniem ogona przewrócić świat razem z wszystkimi ludźmi, razem ze świecznikiem. Głos Aronka dygoce. Ale potem staje się jasny, wznosi się, opada, treluje, wyciąga się jak cienka, srebrna nitka tałesu, przechodzi w modlitewne zawodzenie, przycisza się miękko na słowie Adonoj.

Teraz czuje drżenie radości. Kościana pałeczka mełameda szybko i gładko sunie od wyrazu do wyrazu, od wiersza do wiersza. Zbite, czarne litery rozjaśniają się, rozrzedzają jedna po drugiej. Rogate ajin leży sobie spokojnie, podobne do świecznika, szin już nie trudno odróżnić od sin i roi się wprost od dobrze znanych, łatwych alef, haj, rajsz. Nazbierała się tych znaków duża, długa kolumna, otoczona z boku i z dołu drobniutkim maczkiem niedostępnego jeszcze pisma Raszi. Coraz bliżej końca. Trzeba tylko raz odwrócić zatłuszczoną stronicę, gdzie będzie znak „drugi" — początek drugiego rozdziału. I Aronek byłby szczęśliwy, gdyby nie popełniony w sobotę grzech.

Egzamin zakończył się. Reb Mecheł wziął ze stołu czerwoną chustę. Znów trzy razy chrząknął, głośno wytarł gruby nos, a potem wąsy. Wystawił koniuszek języka i uszczypnął swego ucznia w policzek.

— Dużo sił — powiedział. — Rośnij Bogu i rodzicom na pociechę.

Zaczął się gwar i krzątanina. Kobiety rzuciły się ku matce. Matka wycierała zaczerwienione oczy. Z czarnej komody wyjęła butelkę z wódką, dwie srebrne tace z piernikiem i babką. Gruba Ester przecisnęła się i odpychając wszystkie inne krzyczała: „Żydówki, puśćcie mnie, puśćcie, Żydówki!..." Wyrwała matce z rąk butelkę i zabrała się do częstowania gości. Każdemu coś powiedziała i sama się przy tym śmiała najgłośniej. Trzęsła się od nóg do podbródka.

Ester uwijała się zręcznie i szybko. Matka nie mogła za nią nadążyć. Ledwo wsunęła jednemu w rękę kawałek piernika lub babki, Ester już wołała za nią:

— Nu, Elke, szybciej, szybciej. Dawajcie — zakąskę Żydowi. Nie widzicie, jak nasz zegarmistrz, żeby nam długo żył, reb Zajweł, się krztusi od wódki. Nie żałujcie, Elke, nie żałujcie. Może chcecie piernik schować na wesele córki?

Matka gubiła się w rachubach i nie wiedziała, komu już dała piernik i babkę, a komu tylko piernik. Ręce wyciągały się po jedno i drugie. Dzieci można było spytać, ale nie starszych.

Mojsze-Łajba, synka krawca Zysie, uderzyła po łapach. Obejrzała się, czy nie zauważyła tego Chane-Rojze. Na szczęście jej nie było, więc krzyknęła:

— Zabieraj się stąd, już dwa razy dostałeś!

Kobiety stroniły od mężczyzn. Stanęły z boku i skromnie czekały, aż ich poczęstują.

Żydzi wychylali kieliszki z wódką, cmokali, wycierali chustkami wąsy i wołali: „Na zdrowie", żegnali się i odchodzili.

Kobiety przekrzykiwały się w życzeniach. Życzyły rodzicom wiele szczęścia, zdrowia, dobrych zarobków, żeby się „starzeli pospołu", w dostatku, Aronkowi dużo rozumu, żeby wyrósł na żydowskiego uczonego, a potem znów

rodzicom, żeby ich dzieci były dla nich źródłem samych pociech, żeby ich jedyna córka, Chamariem, jak najprędzej (czas najwyższy) stanęła pod ślubnym baldachimem z odpowiednim człowiekiem „od Boga przeznaczonym".

Matka wzruszona, roztargniona, odpowiadała „amen", a na wspomnienie córki powtórzyła dwa razy „amen", „amen" i podniosła do Boga oczy.

*

Do Aronka podeszli obaj wnukowie rabina z Głogowa, Mojme i Lulek. Podszedł też Mojsze-Łajb. Kiwe „Łoszak" odszedł. Z ojcem, czarnym Szułymem, wrócił do domu.

Naprzód Mojme, a potem Lulek podali Aronkowi rękę i powiedzieli: „Dużo sił i zdrowia". Przez chwilę nic do siebie nie mówili. Następnie zaczęli oglądać wiszące na piersiach Aronka zegarki. Brali je ostrożnie do ręki, przykładali do nich uszy, próbowali otwierać koperty paznokciem, a gdy się tak nie udawało — zębami. Mojsze-Łajbowi Aronek nie pozwolił ich dotknąć.

— Jak ja zacząłem Chumesz — odezwał się starszy wnuk rabina Mojme — miałem same złote zegarki.

— A ja zacząłem Chumesz jeszcze na Pesach. A teraz mam dopiero też pięć lat, jak ty — Lulek dotknął palcem piersi Aronka. — Reb Mecheł mówił, że już mogę zacząć Raszi.

— Wielka sztuka Raszi — skrzywił się Mojsze-Łajb. — Jakbym chciał, to bym się też uczył Raszi.

— A ty się uczysz Chumesz do „drugiego" i każdy mówi, że ty masz zakutą głowę — rozgniewał się Lulek.

— Tak, tak. Niech będzie do „drugiego". A ja nie chcę więcej.

— Tak, tak, nie chcę — przedrzeźniał Lulek.

— Ja pójdę dziś do łęgów i natnę prętów. Aronek, widziałeś mój scyzoryk? — spytał Mojsze-Łajb.

Aronek chciał krzyknąć: „w sobotę", ale ujrzał maleńką Fajgełe. Ujrzał ją też Mojsze-Łajb.

— Fajgełe — zawołał Aronek i podszedł do niej. Podszedł też Mojsze-Łajb.

— Chcesz? Pokażę ci zegarki. Widzisz, ile mam zegarków. — Aronek wypiął piersi. Mojsze-Łajb chciał ją wziąć za rączkę.

Dziewczynka wydęła usteczka. Schowała w tył ręce. Nachmurzyła się i tupnęła nóżką.

— Idź, ja ciebie nie lubię — powiedziała do Mojsze-Łajba.

— A ja nie potrzebuję, żebyś mnie lubiła. Ja mam nowe buciki. — Mojsze-Łajb pociągnął ją za warkocz i uciekł.

Fajgełe potrząsnęła gniewnie głową. Warkocze sterczące nad uszami bardziej jeszcze wygięły się w górę.

— Ty nie byłaś z mamą? — spytał Aronek.

— To mojej mamy — powiedziała dziewczynka. — Podbródkiem pokazała złoty zegarek, wiszący na czarnej tasiemce.

— Fajgełe, pójdziemy po obiedzie do szpitalnego ogrodu?

Fajgełe potrząsnęła głową.

— Ja chcę kawałek słodkiej babki.

Nagle rozległ się krzyk. Przyleciała gruba Ester.

— Ty złodzieju — krzyczała i chwyciła Mojsze-Łajba za rękę. — Widzieliście? Moi kochani! Szczęście, żem zobaczyła. Ukradłby wszystkie!

Aronek przykrył piersi rękoma. Złoty zegarek osunął się na podłogę. Aronek nie zauważył, jak i kiedy Mojsze-Łajb scyzorykiem przeciął jedwabną tasiemkę.

Mojsze-Łajb poczerwieniał. Szamotał się z grubą Ester. Szarpnął się i wyrwał rękę. Miał w oczach łzy wściekłości.

— Gruba dupa. Ty samąś złodziejka — krzyknął. Wystawił jej język i uciekł. Ester rzuciła się za nim i groziła mu pulchnym palcem.

— Czekaj, ty wyrzutku, ja ci pokażę tak gadać.

Wszczął się hałas. Zleciały się kobiety i otoczyły Aronka. Przybiegła matka. Złapała się za głowę.

— Grom we mnie uderzył. Żebyś mi więcej z nim nie chodził. Słyszysz? Ile razy mówiłam ci to? On może przynieść największe nieszczęście!

Kobiety w panicznym przestrachu ściągały z Aronka swoje zegarki.

Chuda Chaje pierwsza zdjęła niklowy zegarek swego męża, czarnego Szułyma, skupującego skóry padłego bydła.

Trąciła Aronka i syknęła przez wyszczerbione zęby:

— Ostatni raz wam coś pożyczyłam.

Zegarmistrzowa Pejrł pokręciła głową:

— Aj, taki wstyd! W sobotę Żydowi nawet nosić scyzoryka nie wolno, a ten chłopiec, co on zrobił — Pejrł była bardzo zmartwiona. Znów pokręciła głową i powoli zawinęła zegarek w niebieską chustkę.

— Uciekł bezbożnik! Boże, nie karz mnie za te słowa. — Dwojra, żona blacharza Sanego, z pustym oczodołem, pokazała białko oka. — Gdyby, nie daj Boże, to był mój syn, mój Sane, nie daj Boże, zabiłby go na pewno.

— Tak, małe dzieci — małe troski, duże dzieci — duże troski — westchnęła Zełde-szmaciarka, żona Gecła-kaleki. — Myślicie, że ja z moją Bajłe mam mało kłopotu? Zdawałoby się, jakie można mieć kłopoty? Przecież to już dziewczyna, a nie dziecko. A mój Geceł bije ją. Żaden ojciec tak nie bije nawet chłopca. — Tega, jakby opuchnięta Zełde patrzała matce w oczy i czekała na słowo pocieszenia.

Matka dostała brzydkich wypieków.

— Jeślibyś ty miał być takim jak on, to lepiej, żebym tego nie doczekała, żebym nie dożyła. Ani ja, ani żadna żydowska matka.

Aronek słuchał, co kobiety mówiły, co mówiła matka, i patrzał na Fajgełe. Fajgełe stała zdziwiona, nie rozumiejąc, co zaszło. Chciała przedtem pobiec za matką. Chwyciła ją za spódnicę. Ale Ester odepchnęła dziewczynkę od siebie, żeby jej nie przeszkadzała w pogoni za Mojsze-Łajbem. Aronkowi wydawało się, że ujrzał łzy w dużych, czarnych oczach dziewczynki. — Żal jej zegarków — pomyślał. Zrobiło mu się smutno. Nawet aksamitne ubranie wcale nie było takie ładne. Zegarków nie ma. Zabrali szybko. W pośpiechu. Czym zawinił? Dlaczego kobiety są takie złe? Dlaczego krzyczą? Czym zawinił? Co zrobił złego? Może to kara za świecznik?

— Fajgełe, Fajgełe! — Aronek zamilkł. Po chwili powiedział: — Fajgełe, jak ja zacznę Raszi, ja zacznę Raszi bardzo szybko, będę miał same złote zegarki. Jak Mojme. I kupię za centa poduszki... Na, weź. — Aronek przypomniał sobie nagle. Sięgnął do kieszeni i wyjął cukierek w czerwone i kremowe pasy.

— Weź — prosił chłopak.

Fajgełe ociągała się.

— Weź.

Dziewczynka wzięła łakotkę, odgryzła kawałek i skurczyła nosek. Poduszka nie była nadziewana.

Goście się już rozeszli. Matka zbierała ze stołu kieliszki, nie mogąc się ich doliczyć. Wciąż myliła się w rachubie. Na koniec włożyła je do fartucha i razem z obiema srebrnymi tacami odniosła zegarmistrzowej Pejrł.

*

Aronek wziął dziewczynkę za rękę, Minęli pustą kuchnię i wyszli do sieni.

Na progu domu stał Mojsze-Łajb.

Kiedy ich zobaczył, zgrzytnął zębami. Szarpnął Fajgełe za warkoczyk.

— Narzeczeni... narzeczeni — śmiał się złym głosem.

Aronek wziął Fajgełe pod rękę.

— Ona z tobą nie będzie chodzić. Nigdy z tobą nie będzie chodzić. Ani bawić się. I ja też nie będę się bawić. Nikt z tobą nie będzie się bawić — powtarzał Aronek, szybko i gorąco.

— No, zobaczymy! Patrzcie, jacy narzeczeni!

— Zobaczymy — powiedział Aronek. — Chodźmy szybko — rzekł do Fajgełe. — Chodźmy szybko.

— Chodźmy szybko — powtórzyła Fajgełe i zeskoczyła z progu na chodnik.

Na placu Bóżniczym leżała sobotnia cisza. Chodnik, prowadzący przez całą długość placu od potoku, od mostku nad potokiem, aż do szeregu klonów przy wielkiej bóżnicy, był biały od lipcowego słońca. Dzieci chodziły tam i z powrotem. Parę kroków w stronę mostku i parę kroków w stronę wielkiej bóżnicy. Wciąż tuż przed nosem Mojsze-Łajba, stojącego na progu.

Mojsze-Łajb oparł się o futrynę bramy i wodził za nimi czerwonymi oczyma.

Aronek, ilekroć mijał go, nachylał się nad Fajgełe i udawał, że coś jej szepce do ucha.

Na placu było pusto. Żydzi wrócili już ze wszystkich bóżnic, bóżniczek i prywatnych domów modlitwy. Już przekąsili przystawkę z jajka i cebuli. Czekali na „czulent". Kobiety wyciągały z pieca zakopcone, żelazne garnki, wstawione jeszcze w piątek przed zachodem słońca. Wszyscy siedzieli w domu.

Tylko dzieci bawiły się w ogrodzie szpitalnym za potokiem. Stamtąd dolatywały przytłumione odgłosy. Aronek chciał tam podejść, ale zawrócił. Chciał jeszcze raz spojrzeć Mojsze-Łajbowi prosto w oczy.

Mojsze-Łajb jadł jabłko. Odkrawywał scyzorykiem po kawałku. Nadziewał je na koniec ostrza i wsadzał do ust. Rozżuwał powoli. Nie spieszył się. Od czasu do czasu wypluwał zieloną łupinę. Teraz plunął Aronkowi prosto w twarz.

Mojsze-Łajb roześmiał się, a Aronek krzyknął:

— Ty, ty, ty.... złodziej!

Aronek nie dostrzegł ruchu scyzoryka w powietrzu. Odczuł ból i wielką słodycz padania.

Ocknął się na rękach matki. Usłyszał słowo „krew". Matka zaniosła go do żydowskiego szpitala. Głaskała go po twarzy.

Rana pod łopatką była bardzo lekka. Wystarczyło zakleić ją zwykłym plastrem.

W drodze powrotnej towarzyszyła chłopcu cała ulica. Zaglądano mu w oczy. Zwracano się do niego, nie do matki. Zadawano mu pytania: „jak to było". Nie szczędzono „temu zbójowi" przekleństw. Po co coś takiego w ogóle się rodzi? Żeby coś takiego nie doczekało wyjść z brzucha matki. To wróg całego świętego żydostwa. Dawniej takiego by ukamienowano.

Aronek czuł się szczęśliwy. Był wdzięczny Mojsze-Łajbowi za wszystko, co zaszło.

Położyli go na kanapie, w pokoju. Kazali mu nie ruszać się, żeby plaster się nie rozkleił.

Pod oknami stała „cała ulica" i zaglądała do środka. Wciąż opowiadano sobie, jak Mojsze-Łajb przebił Aronka nożem.

Charojza, matka Mojsze-Łajba, przyleciała ze słoikiem konfitur. Może czego trzeba? Może posłać po lekarza? Żeby nie było grzechu, wszystko załatwi przez żonę stróża, Prejmyczową. Aronkowi wsunęła do ręki kawałek fludenu z orzechami. Pogłaskała go. Rozpłakała się. Och, gdyby Bóg ją pobłogosławił, jak Elke — matkę Aronka. Arałe to nie dziecko, to perła. Żeby tylko zdrów był. Co ona cierpi przez swego jedynaka! A teraz gdzieś znikł. Na strychu się schował. Obiadu nie jadł. Dziecko prawie nic przez cały dzień nie miało w ustach.

Charojza rozpłakała się na głos. Potem wytarła końcem chustki nos. Kłapała sztuczną szczęką. Oczyma błagała o przebaczenie.

Matka splotła ręce na piersiach. Milczała. Ale kiedy wreszcie Charojza wyszła, wylała całą swoją złość.

— Ona myśli, że tylko jej dziecko — to dziecko. Ona ma czas biegać za swoim syneczkiem z garnuszkiem śmietany. Bo jej mąż, choć garbaty, zarabia jak człowiek. „Weź, gdzie chcesz, a mnie dawaj". I krawiec Zysie spod ziemi wyszukuje i jej daje. Najlepsze kury na rynku ona kupuje, Zysie zarabia, więc dlaczego nie? Ale mamy przecież dobrego Boga. To On nie zapomina o nikim i daje jej Mojsze-Łajba.

Matka splunęła, uderzyła się w usta i powiedziała: „Żebym tylko nie zgrzeszyła słowami".

Aronek wstał tego samego wieczoru. Trzymał świece „hawdule", kiedy ojciec żegnał sobotę.

Ojciec mu powiedział, żeby różnokolorową, plecioną świecę trzymał jak najwyżej, to Bóg mu da jak najwyższą narzeczoną. W szarych oczach ojca, zawsze złych, błysnęły wesołe iskierki. Matka machnęła doń ręką.

— Już daj dziecku spokój. Już miał dzisiaj „ładną" narzeczoną, nie daj Boże. Dziękować Bogu, że to się tak skończyło. Na strachu.

*

Po paru dniach Mojsze-Łajb skręcił sobie nogę. Wdrapywał się na wóz chłopski, jadący ulicą. Noga dostała się między szprychy. Ludzie przynieśli go do domu zakrwawionego, półżywego. Mojsze-Łajb leżał trzy miesiące z nogą w gipsie.

Cała ulica mówiła, że to kara za Aronka. Wszystkim było żal tylko biednej Charojzy.

W tej samej sieni, naprzeciw mieszkania rodziców Aronka, zajmowała pokój z kuchnią staruszka Bine-Tojbe. Była to daleka krewna wychrzczonej nauczycielki Kassarabowej. Kiedy Kassarabowa była jeszcze Żydówką, przychodziła do staruszki, która od lat leżała sparaliżowana. A potem Bine-Tojbe byłaby zdana na łaskę obcych ludzi, gdyby nie znalazła się inna daleka krewna, fryzjerka, żona „koralnika" Rachmiła, handlującego paciorkami i prawdziwymi koralami. Ajdel od czasu do czasu odwiedzała chorą. Trwało to długie lata, pięć czy nawet dziesięć, i żonie „koralnika" zdawało się, że staruszka chyba nigdy nie umrze. W przeddzień Rosz-Haszune Ajdel znalazła Bine-Tojbe martwą.

Matka wylała wodę przez próg, a ojciec, Modche i Aronek przeszli, póki trupa nie wyniesiono z domu, do Schariego, byłego dzierżawcy łaźni gminnej, mieszkającego naprzeciw, po przeciwległej stronie placu Bóżniczego. Ojciec był z rodu kapłanów (dlatego był taki zły) i nie wolno mu było przebywać w miejscu, gdzie leżą zwłoki zmarłego, zanieczyszczające tchnieniem śmierci cały dom oraz wszystkie przylegające budynki.

Ojciec niechętnie przyjął zaproszenie Schariego, ale nie wypadało odmówić człowiekowi, który pierwszy zatroszczył się o miejsce pobytu kapłana na czas pogrzebu. Zresztą syn Schariego, Froimł, uczył się gemury u Tojwiego, ojca Aronka. Aronek też nie lubił Schariego, który szczypał go i targał za pejsy. „Oj, wyrośnie z niego wróg Izraela" — mówił Scharie, kiedy Aronek odwracał się i krzywił.

Scharie, odkąd się wzbogacił, mieszkał w trzech pokojach. Jego żona, Raca, siostra grubej Ester i szmaciarki Zełde, była maleńka i chuda. Biegała wciąż po kuchni. Stamtąd rozlegał się jej głos:

— Mame, po co siedzisz w kuchni? Aj, daj mi spokój! Idź połóż się. Kto ciebie o to prosi? Widzisz, mleko tak czy tak się już przypaliło. Jeszcze chwila i wykipiałoby. A gdzie Szajndel? Już pewno znowu pobiegła do domu. A tu obok mleka gotuje się rosół. Powiem Zełde, żeby sobie zabrała swoją Szajndel do domu. Czemu, zanim wyszła, nie odstawiła mleka?

Trąciwszy kijem uchylone drzwi weszła Ronciełe, teściowa Schariego. Zgarbiona, człapała w papuciach. Czarna suknia wlokła się za nią po podłodze. Była w czarnym czepku. W uszach miała długie, błyszczące kolce.

— Scharie? Ha? Scharie? — pytała — Gdzie jesteś? Kto tu jest? To ty, Froimł? — Starucha podniosła kij w kierunku stojącego przy oknie Aronka. — Znów wszyscy wyszli! I wszystko otwarte! Okradną, okradną! Taki będzie koniec. Mój koniec, ich koniec. Okradną, nie daj Boże. Gdzie Szajndel? Ha? Znowu poleciałaś do mamy?

Ronciełe stuknęła kijem o nogę stołu, o fotel stojący pod ścianą, pchnęła drzwi i weszła do drugiego pokoju.

Aronek przylgnął twarzą do okna i patrzył na pogrzeb.

Ajdel, żona „koralnika" Rachmiła, krzyczała, a dwie kobiety trzymały ją pod ręce, żeby nie drapała się z rozpaczy po twarzy.

Szames wielkiej bóżnicy, Jideł-Łajb, potrząsał puszką. Wrzucano do niej miedziane centy. Kobiety w chustkach na głowie otoczyły czarny, oszklony wóz z dużymi hebrajskimi literami. Starały się być najbliżej wynoszących

trumnę. Dwaj czarni Żydzi ujęli dyszel i ciągnęli wóz z przodu, czterej popychali z tyłu. I orszak ruszył.

*

Można już było wrócić do domu. Rozlana woda rozmyła glinę w sieni. Mieszkanie nieboszczki stało otworem. Na podłodze pozostały ślady obmywania zwłok. Na przypiecku paliła się wieczna lampka śmierci z głęboko wkręconym knotem. Gospodarz, długi Lejzor, miotał się po izbie i zrzucał graty staruszki w kąt pod oknem. Z piętra zeszła Gołda, żona Lejzora, w otoczeniu pięciorga dzieci, bosych, półnagich, w samych tylko koszulkach. Szperały wśród łachów staruszki. Szukały zabawek.

— Szmarocers — krzyknął na nie długi Lejzor — wynoście mi się stąd! — A potem zwrócił się do żony. — Tyle miesięcy bez czynszu i co mi zostawiła! — wskazał obiema rękoma puste łóżko.

Z wściekłości wyrwał z rąk swego najstarszego syna, Milka, kauczukowy wachlarz, znaleziony wśród rzeczy nieboszczki, i wyrzucił go przez okno na podwórze.

Po dwóch miesiącach do mieszkania Bine-Tojbe wprowadziła się wdowa Giteł z dwiema dorosłymi córkami. Starsza nazywała się Fańcia, młodsza Szlomcia.

*

Minęły pełne strachu i płaczu „straszne dni" — święta Rosz-Haszune i Jom Kipor. Minęły święta Sykes. Na podwórkach, balkonach i gankach mokły puste już kuczki, zbite z desek i drzwi, wziętych z mieszkań, przykryte słomą i gałęziami świerku. Ozdoby i upiększenia tych ośmiodniowych chatek gniły na deszczu. Wieńce brunatnych kasztanów, nanizanych na sznur, obrywały się i opadały na mokrą ziemię. Skrzydła i ogony ptaszków z kolorowego, błyszczącego papieru i wydmuchanych jajek rozlazły się na deszczu i śniegu. Potem kuczki rozebrano. Deski złożono w stos na podwórzu. Drzwi wracały do mieszkań na zawiasy. To już był ostateczny koniec lata. Nastały smutne dni i wczesne wieczory. Z chederu chłopcy wracali, kiedy było już ciemno. Drogę oświetlali sobie świeczkami, wetkniętymi w duże rzepy, z których wycięto miąższ. W cienkich ściankach robiono kwadraciki, jakby malutkie okienka. Żeby w ciemności nikt na nich nie wpadł, wołali:

„Hop, hop, jest już noc!
Wracamy z chederu, gdy jest już noc!"

W chederze, wielkim, jednopiętrowym domu, zimno było i wilgotno. Chłopcy nanosili na butach błoto. Na korytarzach, schodach i w izbach było grząsko. Oddychano powietrzem zatęchłym, przesyconym karbolem. Karbolem zalewano wychodki.

Izba chederu była wysoka i przestronna. Oczy Aronka błądziły po pustych ścianach. Wilgoć rysowała postacie, twarze, głowy zwierząt. Nie słyszał śpiewnego głosu mełameda Mechła, powtarzającego w kółko:

— A więc, dzieci, jeszcze raz: „Eile toldes Nojech“, Eile — takie, toldes — pochodzenie, Nojech — Noego. A więc jeszcze raz to samo powiedzcie wszyscy razem: „Eile toldes...“

Aronek zagubił się w rysunkach na mokrej ścianie. Ściana płaczu. W bóżnicy rabina z Głogowa jest zielony obraz. Na obrazie jest Jerozolima. Ruiny świątyni Salomona. Jedna tylko ściana. Mur porosły kępami mchu. Pod ścianą stoją Żydzi i płaczą.

Noe zbudował arkę. Pływała po wodzie jak balia po potoku. Na ścianie widać zwierzęta z rogami, widać twarz brodatą, twarz ojca. I kańczug mełameda.

— Gdzie „trzymamy“? Anu, Arałe, ładny chłopczyku! — Mała, pulchna rączka reb Mechła podniosła kańczug. Rozczapierzone rzemyki zawisły nad głową chłopca.

— Dlaczego nie mówisz nam, gdzie „trzymamy“? Dlaczego milczysz?

Kańczug spada na ramię Aronka. Uderzenie nie było bolesne, ale Aronek skrzywił się i wciągnął głowę w ramiona.

— Nie wiesz? Gdzie ty się patrzysz? W niebo? W sufit? Patrzysz, jak ptaki latają? A w sobotę na egzaminie , kto się będzie jąkał? Ja?

Kańczug spadł na drugie ramię.

— Arałe, dziecko moje — śpiewał mełamed — co należy zrobić chłopcu, który w chederze nie uważa i chce wyrość na goja?

— Mame — jęknął Aronek i zasłonił twarz rękoma.

— Co należy zrobić chłopcu, który nie chce się uczyć świętej tory? Powiedzcie dzieci — śpiewał reb Mecheł.

Aronek wybuchnął płaczem.

— „Postawić z pakunkiem“ — zawołało parę cienkich głosów.

— Słyszysz, Arałe, słyszysz? Postawimy cię z koszulą na głowie i każdy będzie mógł plunąć na ciebie nagiego. Nu, więc powiedz, teraz będziesz dobrym chłopcem, będziesz uważał?

— Będę — szepnął Aronek.

— A więc powtórzcie wszyscy razem, chłopcy: „Eile toldes Nojech“.

Aronek śpiewał razem z innymi. Na wielką stronicę Chumesz spadały krople łez. Za mgłą litery rozpełzały się. Do gołąbka z listkiem w dziobie był jeszcze cały długi potop. A zwierzęta dopiero na drugiej stronicy zaczynały wchodzić do arki parami. Jak wygląda lew? Ile razy jest większy od konia? Może większy niż cheder? Jakże mógł wejść do arki? Ale Noe „bał się“ Boga i dlatego z wdzięczności Bóg mu pomógł. Aronek też się bardzo Boga boi. Boi się wracać w nocy z chederu do domu. Po drodze stoi wielka, ciemna bóżnica. Do bóżnicy schodzą się o północy wszystkie trupy z cmentarza. Wdziewają tałesy i modlą się. A gdy kogo z przechodniów wezwą po imieniu, to taki umiera na drugi dzień. I nikt nawet nie wie dlaczego. Aronek nigdy nie wie, kiedy zaczyna się północ. Może właśnie wtedy, kiedy przechodzi obok bóżnicy.

Wpada do domu z wypiekami. Matka jeszcze nie wróciła z budki. Więc nie ma na razie północy. Ojciec kiwa się nad księgą. Kciuk trzyma w ustach, jarmułka osunęła się i odsłoniła potężne, żółte czoło. Modche siedzi obok, czyta głośno i kręci lewy pejs.

Prócz brata i ojca uczą się gemury Froimł, syn Schariego, byłego dzierżawcy łaźni gminnej, Szmił i Azyk, synowie wujka z Monasterc.

Froimł był najstarszy. Gryzł paznokcie i szczypał włoski na brodzie. Miał stożkowatą głowę, duży nos i grube, zawsze rozchylone usta. Gdy ojciec Aronka krzyczał na niego, żeby nad gemurą nie siedział jak nad talerzem z łazankami, otrząsał się, wciągał dolną, wilgotną wargę i wtykał nos w książkę.

Szmił i Azyk odjeżdżali na sobotę na wieś, do domu, a do piątku byli na utrzymaniu cioci Elke, matki Aronka.

W czwartek — dzień targu — kiedy zjeżdżali się okoliczni chłopi, wuj Szyje z Manasterc przywoził na furze, zaprzęgniętej w wypasione konie (wuj Szyje bardzo lubił kupować konie, sprzedawać i znowu kupować), trochę kartofli, kapusty, marchwi. Czasem masło lub nawet parę młodych kurczaków. Obaj kuzyni spali w kuchni na szlabanie, pod oknem wychodzącym na mroczne podwórze. Szlaban był za ciasny i przed spaniem obaj kuzyni Aronka bili się, już w koszulach, o miejsce. Robili to cicho, tyle tylko, że syczeli na siebie jak koty.

— Tylko jak, nie przymierzając, u gojów, zacięte to jest jak Mazury — mówiła matka.

W dzień chodzili do szkoły, a wieczorem, po lekcji ze studentem Seligiem (jego ojciec mleczarz również mieszkał w Monastercach) uczyli się u ojca gemury.

Od naftowej lampy szło gorąco i żółte światło. Na szkiełko ojciec wkładał arkusz papieru z dziurą w środku, żeby było jaśniej. Brzegi dziury, w której tkwiło szkiełko, stawały się potem brązowe. Papier smalił się i czuć było suchy swąd.

*

Na Aronka nikt nie zwrócił uwagi. Wyjął z szafy kawałek chleba, wyszukał największą marchew i poszedł do sąsiadki.

U wdowy Giteł było ciepło i czysto. Z sufitu zwisała duża lampa z niebieskim abażurem. Od płomienia abażur robił się różowy.

— Filuje, filuje — krzyczała Giteł — Szlomcia, wkręć knot, na miłość boską. Jeszcze, nie daj Boże, szkiełko pęknie.

Szlomcia siedziała przy maszynie i szyła. Czerwony materiał w żółte kwiatki miękko spływał po wypolerowanej desce.

— Aronek, to ty? — zawołała — Wejdź, wejdź, czego stoisz przy drzwiach?

Przed lustrem stała Fańcia. Przymierzała bluzkę z czerwonego materiału w żółte kwiatki. Kręciła się w lewo i w prawo. Chciała widzieć, jak bluzka leży na plecach.

— A, już znowu przyszedłeś, pejsaty chłopczyku? Chi, chi — zaśmiała się Fańcia. — Już znowu jesteś! Już ciebie dawno nie było!

— Co ty jesz? Bój się Boga! — zawołała wdowa Giteł. — Biedne dziecko, suchy chleb je. Fe, rzuć to świństwo — Giteł zabrała Aronkowi marchew. — Biedne dziecko. Matka do późna siedzi tam w budce. Nie ma komu dziecku co podać. Dać ci trochę mleka?

Aronek milczał.

— Daj mu, daj. Mleko stoi na kuchni — powiedziała Szlomcia. — Chcesz trochę ciepłego mleka? Nie wstydź się, Arałe.

Giteł podała mu szklankę mleka. Aronek wypił mleko i poweselał.

— Powiedz, Arałe, ładna bluzka? Chi, chi — Fańcia podniosła ręce i zrobiła taneczny obrót. Przykucnęła, podniosła Aronka do góry i pocałowała w usta. — Mama, spójrz, jaki on ładny. Jakie ma długie rzęsy. Tylko te pejsy. Boże, co oni robią z dziećmi. Powiedz, jak będziesz duży, będziesz mnie kochać? Prawda? Nu, powiedz „tak" i pocałuj mnie.

Aronek powiedział „tak", ale odwrócił twarz. Fańcia cmoknęła go w policzek.

— Czego męczysz dziecko, zostaw go — rzekła Szlomcia, nie odrywając oczu od roboty.

Nad kanapą i nad lustrem wisiały wachlarze widokówek i fotografii. Obie siostry, odświętnie ubrane, stały obok stolika o cienkich, krzywych nóżkach. W głębi były drzewa i jakiś biały dom o dużych, ciemnych oknach. Na innym zdjęciu Fańcia była do połowy. W ustach trzymała różę. Byli jeszcze panowie bez pejsów, z obnażonymi głowami. Mieli duże czupryny. Jeden miał duże wąsy. Aronkowi najbardziej podobał się pan w szerokim kapeluszu, spod którego wiły się włosy. Na szyi nosił czarną kokardę.

— To Perec. Wiesz, kto to jest Perec? Chi, chi, to mój narzeczony — tłumaczyła mu Fańcia.

— Co ty zawracasz dziecku głowę głupstwami — oburzyła się Szlomcia — nie słuchaj, co ona plecie. To pisarz. Pisał książki. Jak podrośniesz, będziesz mógł go czytać.

W kuchni, za zasłoną z różowego perkalu, przy małej lampce i świecy wdowa Giteł oprawiała kurę. Giteł trzymała oskubanego ptaka nad palącym się papierem. Nad ogniem ostatki pierza syczały, skręcały się, zwęglały, wydzielając przyjemny zapach swędu. Potem Giteł zatapiała nóż w brzuchu kury, rozcinała go i wyjmowała pięknym, niebieskim odcieniem połyskujący żołądek, kiszki, wątrobę. Giteł otwierała żołądek, usuwała zeń kamyczki, uważnie badała kiszki, czy nie ma na nich wrzodów, czy nie tkwi w nich gwóźdź lub igła, czy kura, niech Bóg broni, nie jest trefna. Giteł nie zauważyła, jak weszła Elke.

— On już znowu jest tutaj. Nieszczęście z tym chłopcem. Ani chwili nie może usiedzieć w domu. Aronek, idź, już czas spać. Czemu nie wyrzucacie go, Giteł? Wszędzie go pełno. — Matka podeszła do stołu. — Jaka ładna kura. Żółta jak marchew. Sam smalec. Ile kosztuje?

Giteł nie chciała powiedzieć, ile kosztuje. Ach, wstydzi się nawet przyznać. Zapłaciła za nią jak za starą świnię. Wdowa Giteł splunęła. Goje po prostu piją żydowską krew.

— Oj, Giteł - serce, nie pytajcie się lepiej, co ja dzisiaj miałam z gojami. — I powiedziała, jak cała złodziejska wieś (Koniuchów, to sami złodzieje, a Żydów utopiliby w łyżce wody) wlazła do budki, niby żeby kupować. Jednej daj barchan, jednej płótno, jedna chce cajg na spodnie. Narzucili na ladę zwoje materiału i każda zaczyna ciągnąć w swoją stronę. Matce robi się ciemno przed oczyma, zaczyna krzyczeć, bo widzi, jak jedna złodziejka chowa resztki perkalu za pazuchę. A tu matka jest sama. Krzyczy „gwałtu!" Łapie gojkę za spencer. Wyciąga resztki zza pazuchy. Jeden Bóg wie, jak obeszło się bez nieszczęścia. I już cały dzień, cały targ miała zepsuty. Cały tydzień człowiek czeka na ten czwartek. Ażeby oni całe życie nie mieli lepszego targu, jak ona dzisiaj.

Giteł włożyła poćwiartowaną kurę do żelaznego sagana z wodą.

— Tak — powiedziała Giteł — niech się moczy. — Szlomcia, spójrz no na zegar.

— Pół do dziesiątej — odezwała się zza zasłony Szlomcia.

— Za godzinę przypomnij mi, że mam ją posolić, słyszysz, Szlomciu?

— Już pół do dziesiątej, a ja nie zapaliłam pod kuchnią — zerwała się matka i wzięła Aronka za rękę — już chodźmy. Już dosyć po chałupach siedzieć. Masz swój dom, siedź u siebie w domu.

W sieni Aronek spytał:

— Mame, jak długo będę miał pejsy?

— Co? Ty zwariowałeś? Grom we mnie uderzył! Boże, skąd do mojego dziecka takie myśli?! Gdzieś ty widział Żyda bez pejsów? Twój tato ma pejsy? Żebym mu tego tylko nie powiedziała, bo wytłukłby ci takie myśli z głowy... Żebym tego więcej nie słyszała!

*

Piątek jest najkrótszym dniem. Do chederu chodzi się tylko przed południem. A gdy się wraca jest już sobota. Podłogi są wymyte i wyłożone workami. Na kuchni dymi mnóstwo garnków. Pachnie duszoną w sosie mięsnym cebulą. Cebulą pachnie też ryba.

W piątek je się obiad dwukrotnie: w południe i wieczorem. Przy stole nakrytym lnianym obrusem. W mosiężnych świecznikach tkwią białe, nie zapalone jeszcze świece. Matka w piątek nie idzie do budki. Rozpala piec pod czulent. Smaży na oliwie placki z surowych tartych kartofli, które kisną w blaszanej misce i pokrywają się brunatną warstwą. Wodę odlewa się do talerza. Osiada na jej dnie mączka. Matka krochmali nią ojcu koszulę na sobotę, a sobie chustkę. Ojciec czyści obuwie smarem. Umaczaną w wodzie szczotką zdejmuje z aksamitnej jarmułki pierze z całego tygodnia. To samo robi Modche. Matka idzie do fryzjerki Ajdel, żony „koralnika" Rachmiła. Perukę kasztanowego koloru z białym przedziałem z boku, nakarbowaną, kładzie na łóżko. Spod białej chustki widać ostrzyżoną, rudą głowę. Perukę matka włoży dopiero jutro. Będzie ją czuć przez cały tydzień naftą.

Prawdziwa sobota zaczyna się od pierwszej gwiazdy. Matka, umyta i czysta, zapala świece, pięć świec. Tyle, ile jest dusz w rodzinie. Ojciec i matka, najstarsza córka i dwaj synowie. Matka zakrywa twarz rękoma. Żydowskie słowa na początku Aronek rozumie, ale od czasu do czasu wplątuje się słowo hebrajskie, słowa języka świętego. A gdy mówi: „Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba" i wylicza swoje dzieci: „Chamariem, córkę Tojwiego, Modche, syna Tojwiego, i Arona, syna Tojwiego" i prosi Boga o ich życie i zdrowie, wstrząsa nią głęboki płacz: na chwilę przerywa modlitwę, zachłystuje się łzami, a potem kończy już spokojnie błogosławienie świec sobotnich. Odrywa ręce od twarzy. Bezrzęse oczy są czerwone. Fartuszkiem wyciera powieki i siąka nos. Stawia na stole solniczkę. Pod lnianą płachetkę, przykrywającą dwa plecione kołacze, kładzie nóż i jedyny, wygięty widelec.

Ojciec modli się w bóżniczce rabina z Głogowa. Kiedyś modlił się u rabina z Mościsk, ale pokłócił się z nim. Uważa go za nieuka. Poza tym, a to jest najważniejsze, zarzucał mu stronniczność w sądach rabinackich.

Po modlitwie w domowych bóżniczkach Żydzi nie rozchodzą się od razu do

domu. Tworzą kółka i kółeczka, w których zawsze można się czegoś ciekawego dowiedzieć. Jeden opowiada, a reszta słucha. Są to rzeczy mądre i zabawne. Najbardziej śmieją się, kiedy zabiera głos sam rabin. Tylko rabin zachowuje powagę. Patrzy na Żydów z ukosa i dobrotliwie mruży swe jasne oczy.

Ojciec zawsze opowiadał te dykteryjki w domu i dodawał:

— Tak czy tak, nikt z was tego nie rozumie. A ty przynajmniej rozumiesz? — zwracał się do Modche ze złością. — Ja w twoim wieku rozumiałem nie tylko żarty z przekręconych słów Raszi, ale i z przestawionych wierszy gemury.

— U ciebie nikt nic nie rozumie tylko ty jeden. Ty i Pesi, córka rabina — przerywała mu matka.

*

Inaczej wygląda nazajutrz, w sobotę przed wieczorem, kiedy z każdą chwilą zbliżał się dzień powszedni. Wtedy rabin nie żartuje. W ciemnej bóżniczce światło zapala się jak najpóźniej. Niech sobota będzie jak najdłuższa wśród Żydów. Przy stole, którego nie widać ni początku, ni końca siedzą czarni Żydzi. Twarzy nie można dostrzec. Rozlega się spokojny, cichy głos rabina. O czym mówi? Aronek nie wiedział, ale przykucnąwszy pod białym, kaflowym piecem, w kącie, razem z wnukami rabina, Mojme i Lulkiem, słucha. Czasem jakiś Żyd westchnie, inny poprosi o wyjaśnienie... Mesjasz, Mesjasz... na białym koniu. Wjeżdża do miasteczka. I wtedy nie będzie już chederu, nie będzie już grzechów. Fańcia nie będzie się śmiać z jego pejsów. Wszyscy zasiądą do wielkiej uczty. Na stole leży wieloryb Lewijoson. Żydzi krają po kawałeczku i zjadają, a wołu Szor-Habor, pasącego się na najwyższych górach, zarżnie szojchet, reb Pinie. Najtłuściejsze kawałki biorą sobie kapłani-kojhanim, jego ojciec, a Lewici i Izraelici, słudzy kapłanów, roznoszą Jajin-Hamszimer — tysiącletnie wino. I matka nie chodzi już do budki. Chleb rośnie na drzewach, za darmo, Żydzi nawet w dni powszednie wkładają jedwabne biekiesze i śpiewają zmires, jedząc rodzynki i migdały. Sobota nigdy się nie kończy.

Ale sobota kończy się. Zaczyna się od gazowej lampy, zapalonej na ulicy. Przez zamarznięte okno wpada smuga zielonego światła. Teraz podnosi się ręka rabina, rozdająca kawałki kugel z kaszy. Żydzi chwytają w dłonie ostatki. Ci, którym się nic nie dostało, wyrywają sobie talerz i zbierają okruszynki. Choćby jedno ziarenko kaszy. Ażeby nowy tydzień był tygodniem dobrych zarobków, zdrowia i spokoju.

Pesi, córka rabina, wnosi srebrny lichtarz z zapaloną świecą.

— Szczęśliwego tygodnia wam, Żydzi — powiada.

— Szczęśliwego tygodnia — odpowiadają.

Od światła staje się dzień powszedni, z nadejściem mroku znika sobota.

*

Od samego rana biły cerkiewne dzwony. Cerkiew jest tak blisko bóżnicy. A niedziela tak blisko soboty. Aronek, przechodząc obok cerkwi, odwrócił głowę i odmówił hebrajską formułkę. Ale formułka nie broniła go przed ciekawością i strachem. W mrocznej głębi jarzyły się świece. Rozlegał się śpiew i granie. W bóżnicy tak ładnie nie śpiewają i nie grają. W bóżnicy płaczą. Cerkiew nie

mogła wszystkich pomieścić. Na schodach stali mężczyźni z obnażonymi głowami, kobiety w kapeluszach, chłopki w czerwonych, wełnianych chustkach. Pod wielkim, czarnym krzyżem klęczeli w śniegu żebracy, kalecy z obrazkami w ręku, i bezustannie mamrotali.

Nagle ujrzał Aronek Mojsze-Łajba.

Dlaczego Mojsze-Łajb nie jest w chederze?

Mojsze-Łajb wcisnął głowę między dwa żelazne pręty sztachet i wpatrywał się w otwartą bramę cerkwi.

— Chodź szybko do chederu, Mojsze-Łajb. Nie stój tutaj. Szybko chodź. Pójdziemy razem, to grzech tutaj stać!

— Arałe, to ty? Idź sobie. Ja tu będę stał i czekał, aż wyjdzie ksiądz.

— Jak ja powiem twojej mamie, to cię zabije!

— Ty gówno, idź, leć i opowiadaj, ja się nie boję. A chcesz, to wejdę do środka.

— Anu, wejdź.

Mojsze-Łajb przecisnął się przez sztachety, wszedł na dziedziniec cerkwi. Szedł powoli, co chwila przystawał, oglądał się wokoło i szedł dalej. Powoli, powoli zbliżał się do czarnego krzyża.

— Ty, Żydek, dokąd się pchasz? A, pójdziesz ty stąd — rozległ się gruby głos.

Mojsze-Łajb stanął. Nie ruszał się z miejsca. Podbiegło doń z krzykiem dwóch chłopaków.

— Ty, Żydek, wynoś się!

— Zdejm czapkę!

— Zdejmcie mu tam czapkę — wołali śmiejąc się starsi.

Zerwana czapka zatoczyła łuk i znalazła się na chodniku, za ogrodzeniem cerkwi.

Mojsze-Łajb stał i nie ruszał się z miejsca. Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie głosu. Nagle spojrzał na krzyż i szybko przykrył głowę rękoma. Zaczął biec w kierunku furtki, Aronek podał mu czapkę. Mojsze-Łajb, blady, milczał przez całą drogę do chederu.

Wreszcie krzyknął:

— To przez te pejsy! Obetnę sobie pejsy.

Jeszcze tego samego popołudnia Mojsze-Łajb wrócił z obiadu do chederu z obciętymi pejsami.

Reb Mecheł postawił go z „pakunkiem". Zawołał dwóch belfrów z pierwszego piętra, gdzie uczyły się starsze dzieci. Położyli go na stół. ściągnęli mu portki. Jeden belfer trzymał go za ręce, jeden za nogi, a mełamed bił kańczugiem z całych sił po gołym tyłku. Mojsze-Łajb wrzeszczał, gryzł po rękach, wierzgał, szamotał się. Mełamed doliczył do trzydziestu sześciu, do świętej liczby i powiedział:

— Teraz powąchaj kańczug i pocałuj go. Ściągnij koszulę i zakryj sobie twarz i stań pod ścianą „z pakunkiem".

Zima była ostra i uporczywa. Aronek odmroził sobie nogi, kiedy parę godzin przyglądał się ślizgawce.

Dookoła koszar były mokradła, które zimą zamarzały. O zmierzchu zapalały się na drutach kolorowe lampki i pary w białych swetrach tańczyły na lodzie. Grała muzyka. To było tak piękne!

Matka mówiła, że to nie dla Żydów, że to dobre dla gojowskich dzieci o końskim zdrowiu. Tylko gojowskie dzieci mogą wytrzymać zimno.

W sobotę, po chłodnym obiedzie z zapiekanych kartofli, mięsa i rozgotowanych suszonych jabłek, panowała w domu nudna cisza. Rodzice kładli się do łóżek. Ojciec szybko zasypiał, a matka czytała monotonnym głosem „Cenerenę", żydowską księgę dla pobożnych kobiet. Modche siedział nad gemurą.

Nie było jeszcze późno, a zdawało się, że już zmierzcha. Z ciężkich chmur sypał suchy śnieżek. Na placu panowała cisza. Czasem tylko rozlegał się czyjś głos, który wsiąkał w śnieg jak w watę. Szaro, chłodno. Aronek czekał na mełameda Mechła. Kiedyż on przyjdzie?

Wreszcie przyszedł. Z czerwonym od mrozu grubym nosem. Strzepnął śnieg z sztrajmła. Pocierał zgrabiałe ręce.

Aronek zbudził ojca. I tak, leżąc w łóżku, ojciec słuchał sobotniego egzaminu. To była wieczność. Wyniki całotygodniowej nauki wprawiały ojca we wściekłość. Mełamed szturchał ucznia kciukiem w bok.

— Nu, ładny chłopczyku, jak się nazywał ojciec córek Clofchesa?

— Clofches — odpowiadał obrażony Aronek i spoglądał ukradkiem w ciemniejące okno. Zaraz zapalą się na ślizgawce kolorowe lampki.

— Prawdziwy Salomon — drwił wciąż mełamed.

Natychmiast po egzaminie poleciał w kierunku koszar.

Stanął za budką, gdzie zakładano i zdejmowano łyżwy. Ślizgawka połyskiwała. Łyżwy błyszczały jak rytualny nóż szojcheta reb Pinie.

Na lodzie robiły się linie, zygzaki, koła.

Dostrzegł na ślizgawce Fańcię. Pan bez czapki podnosił wysoko to jedną, to drugą nogę. Obejmował Fańcię wpół, zataczał szybko koła, odrywał się na chwilę, rozpościerał ręce, zginał się prawie do ziemi i leciał na jednej nodze; zawracał i znów chwytał Fańcię wpół. Fańcia śmiała się, ale nie tak głośno jak w domu, i rozglądała się wokoło.

Aronek drżał z zimna. Tupał nogami, ale do domu nie chciał wracać. Poczeka jeszcze trochę, jeszcze trochę i wróci z Fańcią do domu.

Kiedy Fańcia go ujrzała, kiwnęła doń ręką, położyła palec na ustach i pokręciła głową na znak, że „nie". Żeby w domu nic nie opowiadał.

Pan zaprowadził ją do budki. To był syn ruskiego księdza. Zdjął jej łyżwy z bucików. Wziął Fańcię pod ramię i powiódł aleją, łączącą koszary z ulicę Bolechowską. Teraz Fańcia udawała, że Aronka nie dostrzega.

*

Matce Aronek nie przyznał się, gdzie odmroził nogi.

Matka krzyczała, że w nią grom uderzył, że jeszcze tego brakowało. Może mało ma nieszczęść? Teraz Aronek zostanie kaleką na całe życie. Zimą nie będzie mógł wdziać bucików, a latem nogi będą go swędziły.

Elke miała łzy w oczach. Z rozpaczy gryzła sobie palce.

— Ty, ty, ty mnie doprowadzisz do żebraczego kija. Doktorzy, apteki, lekarstwa. Wystarczy, żeby doktor raz zaszedł do domu, to już potem kijem go nie odpędzisz. Skąd na to wszystko wezmę? Twój ojciec mi na to da, co? Ażeby moje wrogowie mieli tyle, ile ja mam od niego. Na pietruszkę, i tego nie.

Wdowa Giteł przyszła uspokoić matkę. Pomacała czerwone, obrzękłe nogi chłopca. — Nic strasznego. — Niech tylko wsadzi nogi do gorącej wody — poradziła. — Należy kupić buciki o parę numerów większe albo jeszcze lepiej papucie, żeby przez całą zimę nie wychodził z domu.

Przyszła też chuda Chaje, żona czarnego Szułyma, skupującego po wsiach skóry padłego bydła. Zawsze coś ssała. Teraz miała w ustach karmelek.

— Dzieci, dzieci — westchnęła i pokazała czarne pniaki zębów. — Jedne dzieci przynoszą szczęście, a jedne nieszczęście, nie daj Boże. Jak to powiadają: gdyby biedny Żyd miał dobre dzieci, nie byłby biedny. — Chaje wsunęła do kieszeni fartucha rękę, nie wyciągając jej odłamała kawałek karmelka i tak, żeby nikt nie zauważył, włożyła do ust. — Taki chłopczyk jak ty — dzięki Bogu, masz ile lat? sześć? siedem? — powinien matce pomóc, a nie jak ty. Tylko zmartwienia przynosisz. Grubej Ester męża siostry syn też sobie odmroził palec u lewej ręki. I nie daj Boże, lekarze chcieli krajać. Cały palec obciąć. Ale jakoś obeszło się bez krajania. To był cud. Ale za to zimą palec wygląda jak martwy. Nie pytajcie się, moi drodzy, ile kosztowało. Lekarze po prostu mieszkali u nich w domu.

Przymrużonymi oczyma matka patrzała na chudą Chaje, na jej cienkie, szare jak jej twarz, usta.

A ona mówiła:

— Jak to powiadają, jak komu jest za dobrze, idzie na lód tańczyć. Między nami powiedziawszy: gruba Ester. Czego jej brakowało? Ptasiego mleka. W mleku i winie się kąpali. Ale skończyły się tłuste lata. Bendyt musiał po prostu „przy księżycu" uciekać do Ameryki. Drobnostka. — Zbankrutuję — myślał sobie — i spłynie jak woda. — Czemu zbankrutował? Pytam was. Bo mu było za dobrze i wszystkiego za mało. Jeszcze, jeszcze. Kiszka bez dna. A teraz Ester chodzi i niby to świeci wszystkim w oczy swoim szczęściem. Dostała, powiada, od męża kartę okrętową. Poczekaj, myślę sobie, niejeden zielony robak z ciebie wylezie, zanim zobaczysz Amerykę. Czy ona tego roku jeszcze będzie jadła macę razem ze swoim mężem, to się jeszcze da widzieć. Jeszcze nie wiadomo. I nie wiadomo, czy w ogóle uda się jej jechać do Ameryki. Karta okrętowa to jeszcze nie znaczy, że musi dojechać. A nawet jeśli dojedzie, to Bendyt córkę Fajgełe zabierze sobie, a ją pośle z powrotem do domu. Kto nie wie, co to jest „Ameryczka-złodziej"?

Chuda Chaje znów ukradkiem wsunęła do ust kawałek karmelka.

— Dzieci, jak powiadają, to wielkie szczęście. Żydowskie szczęście. — Chaje uderzyła się suchą, złą ręką w usta. — Żeby mnie Bóg nie skarał za moje słowa. Szmaciarka jest szmaciarką. Ale Zełde może sobie już dziś uszyć worek i posypać popiołem głowę. Co ta Bajłe wyprawia! Żeby żydowska córka gziła się po kątach z chłopcami. I tak młodo, tak wcześnie. Raz wchodzę do nich. Drzwi otwarte. Ciemno. — Wszystko można wynieść. Żeby nawet mysz nie pisnęła — myślę sobie, a tu nagle wyskakuje chłopiec. Nu, zgadnijcie, kto to był? Froimek.

Froimek Schariego. Gdybym na własne oczy nie widziała, nie uwierzyłabym. Syn Schariego, takiego ładnego Żyda. Nu.

Z pokoju ojciec wezwał matkę. Wołał ją raz jeden i drugi, wreszcie ukazał się sam. Stanął we drzwiach. Był w jarmułce, bez bekieszy. Spod kamizelki zwisały wełniane pęczki cyces.

— Może już będzie dość na dzisiaj? Już trzeci raz powtarzam z Modche jeden i ten sam ustęp.

Wreszcie chuda Chaje wyszła.

— Ech, to jest Żydówka — wdowa Giteł machnęła ręką. — Nie darmo mówią, że kobiecie Bóg dał dziewięć miarek mowy. Ale ta zabrała wszystkie dziesięć. A co jej złego zrobiła gruba Ester, może wiecie?

*

Aronkowi włożono stare buciki ojca. Przez całą zimę nie chodził do chederu. Uczył się u ojca. Było to jeszcze gorsze niż cheder.

— Zapchana głowa kłakami czy czym? — złościł się ojciec. Nie chce, czy też nie umie? — Zwracał się do matki: — On postanowił zostać gojem i zobaczysz, że postawi na swoim.

Chłopak miał teraz dużo wolnego czasu. A w mieszkaniu było zimno. Nie chciało się wyłazić spod pierzyny. Matka musiała go wyganiać. Narzekała, że jest leniwy jak kot i że powinien się był urodzić u ojca bogacza, a nie mełameda.

— Muszę odejść. Potem cały dzień łóżko będzie nie zasłane.

Modche z ojcem wstawali bardzo wcześnie. Ubierali się przy lampie. Modche dygotał z zimna. Elke skąpiła opału. Wkładała pod kuchnię parę polanek bukowego drzewa. Na blacie stawiała obiad, który potem trzeba było odgrzewać. Była to zupa kartoflana z mączną zacierką. Kartoflankę jadło się też z chlebem na śniadanie.

W otwarte drzwiczki kuchni wsuwała osmalony sagan z czarną kawą. Napój ten zawsze czuć było dymem. Dym wydobywał się z wystającego polanka i gryzł w oczy.

Modche miał już trzynaście lat. Kładł tefilin i za swoje grzechy odpowiadał przed Bogiem sam. Miał wobec Niego te same obowiązki, co ojciec. Spełniał je od samego rana. Psalmy Dawida odmawiał szeptem. Póki nie pomodlił się, nie brał nic do ust prócz kawy lekko zabielanej mlekiem, przywiezionym z Monasterc. Wracał razem z ojcem po modlitwie porannej z bóżniczki głogowskiego rabina. Nosił za nim jedwabny worek z wyszytą złotą tarczą Dawida. W worku chowano tałes i tefilin. Swoje małe tefilin Modche kładł do aksamitnej sakiewki.

Matka nie czekała ich powrotu. Przed odejściem do budki zgarniała do żelaznego garnka trochę żarzących się węgli, posypywała je popiołem i zabierała ze sobą. „Piecyk“ ten stawiała w budce między nogami i grzała się. W silne mrozy przylatywała skostniała do domu. Wygrzebywała parę ocalałych węgli i „cuciła“ swój garnek.

Modche zatapiał się w gemurze i zapominał o wszystkim. Nie pamiętał ani o głodzie, ani o chłodzie. Mruczał pod nosem i powtarzał wciąż to samo, bez końca.

Aronek znał na pamięć i „umar raw Pupe“ — powiedział raw Pupe, i „sznajim ochzib betałys“ — dwaj Żydzi złapali tałes i kłócą się. Jeden krzyczy, że to jego tałes, a drugi krzyczy, że to jego tałes. Najczęściej powtarzało się: „tajku“... „tajku“... na to pytanie nie ma odpowiedzi. Na wszystkie „tajku“ odpowie Mesjasz, jak tylko Żydzi zasłużą na to, żeby przyszedł.

Było to tak nieciekawe. Aronek wolał bawić się. Wejść do kuchni, aby nikt nie widział, siąść okrakiem na krześle lub poręczy szlabana jak na koniu, uderzać się po bokach patykiem i jechać przez zielone łęgi, rzadko zarośnięte olchami, nad brzegiem rzeki pokrytym wysokimi wiklinami. Gdy świeci słońce. Bierze ze sobą Fajgełe, przepływają rzekę i są w Ameryce. I grubą Ester też bierze ze sobą. W Ameryce powie, że już przestał chodzić do chederu, że Fańcia była w sobotę z synem ruskiego księdza na ślizgawce. Potem obetnie sobie pejsy, jak Mojsze-Łajb, i poprosi siostrę Chamariem, żeby zapisała go do polskiej szkoły.

Modche nie chodzi do szkoły. Ale umie czytać po polsku. Gdy kuzynowie z Monasterc, Azyk i Szmił, wracają ze szkoły, prosi ich, żeby go uczyli. Ale oni się śmieją. Azyk i Szmił nie noszą bekieszy, a pejsy zakładają za uszy tak, że ich nie widać.

Azyk i Szmił uczą się poza tym u studenta Seliga. Selig także jest z Monasterc. Jego ojciec, mleczarz Jankiel, co parę dni przywozi kuzynom butelkę mleka, chleb i masło. Mleko jest żółte i pływają po nim kropelki masła. Tak ubiło się po drodze.

Selig ma na granatowym kołnierzu trzy złote paski, nosi długie, czarne spodnie i wysoką, twardą jak garnek czapkę ze złotą blaszką. Ojciec wita go, podaje mu zawsze rękę i każe siadać. Modche pyta go, czy to prawda, że w gimnazjum Żydzi siedzą z obnażonymi głowami, że na ścianie wisi krzyż.

Selig czerwieni się, kręci głową i nie odpowiada. Ojciec chrząka i mówi:

— To nie twoja rzecz.

Azyk i Szmił trącają się łokciami.

— Wy tam czytacie *Die Räuber* Schillera? — pyta ojciec i bierze szczyptę tabaki. — A jak skończysz gimnazjum, zostaniesz pewno doktorem? Moja Chamariem skończyła w Stanisławowie seminarium i zawsze miała z góry na dół „chwalebne“. Jeszcze w szkole dostawała od swojej nauczycielki Kassarabowej, żony starosty Kassarabego, czerwoną książeczkę z napisem: „W nagrodę za pilność“. Ojciec westchnął. — Tak, z dziewczyną zawsze łatwiej. Choć dotychczas nie mogą mi tego zapomnieć.

Ile miał przykrości! Na wołowej skórze nie można by spisać. Doszło do tego, że pewnej soboty — modlił się jeszcze u rabina z Mościsk — kiedy zaczął jak zwykle odczytywać torę przed wszystkimi na głos, zrobił się taki hałas, że własnych słów nie słyszał. Żydzi bili w pulpity, tupali nogami, jak nie przymierzając w Pirym na Hamana. A kto w mieście zna wszystkie akcenty, trele, najdrobniejsze nutki tak jak on? A czyj głos może się równać z jego głosem? Cóż mu więc zostało innego, jak przenieść się do rabina z Głogowa! Nieuki. Najgorsze to nieuctwo. Ci wszyscy Żydzi modlą się, krzyczą do Boga, a mało kto z nich rozumie, co mówi. Po prostu paplą bezmyślnie to, co stoi w modlitewniku. Zdarzył się taki wypadek: introligator poprzewracał kartki i w piątek wieczór Żyd u pulpitu, przewodzący modłom, zamiast ustępu: „pójdź, oblubieńcze, na spotkanie oblubienicy — soboty“ wpadł na ustęp za dusze zmarłych.

Ile było wtedy krzyku! A niechby który z nich odróżnił czysty święty język od aramejskiego komentarza Onkulosa! O, tego nawet rabin z Mościsk nie potrafi! Na to trzeba znać gramatykę, tak, gramatykę. Albo kto z nich rozumie znaczenie księgi Ijowa? Każde słowo można obwiesić tomami objaśnień. To przecież filozofia.

— To przecież filozofia — powtórzył reb Tojwie i spojrzał znacząco na Seliga. — Czy znasz Rambama? Szkoda. Mojsze ben Majmon. *Mojre Newichin* to największa filozofia świata. I wiesz, co Majmon uważa za podstawę wszystkiego na świecie? Wiedzę! Wiedza, filozofia. Bez niej człowiek byłby zwierzęciem. Wiedza prowadzi człowieka do Boga. Wiedza to więcej niż bogactwo. Niech bogacz Borak albo Goldmann cały swój majątek oddadzą za wiedzę, to jej nie kupią. Tego kupić nie można. Naukę trzeba kochać, wtedy się ma jakiś smak w życiu. Tak — westchnął. — Twój ojciec prosty człowiek. Kto tam we wsi może mu powiedzieć coś złego? Co mu się podoba, to robi. A ja, mełamed gemury... Bóg wie, jaki by wrzask podnieśli. Ja mam z Bogiem inny rachunek i twój ojciec inny.

Reb Tojwie znów wziął w dwa palce szczyptę tabaki, wciągnął naprzód jednym nazdrzem a potem drugim. Brunatny proszek osypał się na wąsy i brodę. Zamyślił się. Na wklęsłych skroniach tętna nabiegły krwią. Potem podniósł głowę, jakby z siebie strząsnął ciężar, i powiedział ze smutnym uśmiechem:

— I na mnie Bóg się nie zawiedzie. Jedyne szczęście, że On rozumie trochę więcej niż jego „święta trzoda".

*

— Już tam dosyć dziś zajmowałeś się głupstwami — gniewał się ojciec. — Chodź-no tutaj. Weź Chumesz i siadaj.

Tak zaczynała się męka Aronka.

Codziennie kuć jedno i to samo. Tłumaczyć słowo po słowie. Cały tydzień jedno i to samo.

U reb Mechła można było patrzeć na ścianę i sufit. Patrzeć, jak ptaki latają, i mruczeć pod nosem, udając, że się śpiewa razem ze wszystkimi.

Ale ojciec krzyczał:

— O czym ty myślisz? Ty gojowska głowo! Wasylko Prejmycz! Będziesz jak on nosić Żydom wodę.

Twarz ojca stawała się czerwona. Na czoło występowały grube jak sznury żyły. Stał nad nim duży i straszny. Każdej chwili może nań runąć, taka nienawistna masa.

Aronek zaciskał zęby. Uderzał stopami o listwę stołu. Nienawidził ojca. Chciał, żeby zachorował i umarł. Zaciął się. Teraz nikt z niego nie wyciśnie ani słowa.

Ojciec położył na stole patyk, którym Aronek bawił się w kuchni.

— Będziesz się uczył czy nie? Czytaj! Ty mnie nie złość! Mówię ci po dobremu, ty mnie nie złość.

Aronka przebiegł zimny dreszcz. Ojciec go dziś zabije. Niech bije, niech bije. Dobrze. Nawet bardzo się cieszy, że go zabije. Niech potem żałuje ten okropny ojciec. A matka będzie go przeklinać i krzyczeć: „Ty morderca! Dlaczego zabiłeś Aronka?"

Aronek milczał i nie spuszczał z patyka oczu.
— Nu, pytam, pytam po raz ostatni: będziesz czytał?
Aronek milczał.
— Jeszcze raz się pytam.
Aronek nie wytrzymał.
— Nie chcę — krzyknął. — Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę!
— Co znaczy „nie chcę"? Zaraz ci pokażę „nie chcę".
Aronek zasłonił twarz ramieniem. Ojciec przez chwilę się zastanawiał, potem uderzył.
— Będziesz się uczył?! Będziesz!? Pytam się? Ty! ty!...
Uderzył go po raz drugi. Mocniej.
Aronek pisnął i zaczął tupać nogami.
— Jeszcze raz się pytam, czy będziesz czytał, czy nie?
Ale teraz ojciec nie czekał na odpowiedź. Razy padały z coraz większą siłą. Aronek całym ciałem przywarł do stołu. Rękoma zakrył głowę i po każdym uderzeniu krzyczał:
— Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę!
Czuł na rękach gorące krople łez. Nie czuł bólu. Czego ojciec chce? Żeby móc wyrwać z rąk ojca patyk i złamać go na kolanie! I potem jeszcze, jeszcze, na drobne kawałki. Tym samym patykiem uderzał się po bokach. Kiedy na krześle jeździł po łęgach. Bawił się z Fajgełe. Fajgełe płacze i stara się ukryć go małymi rączkami. Aronek szlochał. Zanosił się. Chwyciła go czkawka. Podniósł głowę i patrząc przerażonymi oczyma na ojca mamrotał:
— Nie ch...cę.... nie chcęęę....
Reb Tojwie odłożył patyk. Opadł ciężko na krzesło. Spozierał ukradkiem na dziecko. Chłopak tarł brudnymi rękoma czerwone od łez oczy.
— A czego ty chcesz? — spytał ojciec. — Wyróść na goja? Aj, aj, Arałe, co z ciebie wyrośnie? Przeczytaj choćby do tego miejsca — ojciec pokazał paznokciem trzy „fej", gdzie zaczynał się nowy ustęp. — Przeczytaj do „drugiego".
Przerywanym czkawką głosem Aronek zaczął czytać.
Był zły faraon, który nękał Żydów. I Żydzi musieli miesić glinę razem ze słomą. To była niewola. Bardzo byli nieszczęśliwi. Nie chcieli pracować. A nad nimi stali strażnicy i bili ich patykami. Dlaczego ich bili? Nienawidził faraona i jego strażników. Dlaczego Żydzi nie bili strażników? Dlaczego dawali się bić? Jak będzie duży, pojedzie daleko. Weźmie ze sobą Fajgełe. Tam będzie się bawił.
Kiedy skończył, ojciec powiedział:
— Taki duży chłopak. Co z niego wyrośnie?
Aronek wymknął się z domu. Szedł po schodach na piętro. Tu stała Szlomcia z Ariem, synem zegarmistrza Zajnwła. Aronek przeszedł przez ganek wysypany świeżym śniegiem. Czuł się szczęśliwy.
— Już cię znowu tate wytłukł? — spytała go gruba Ester. — On kiedyś zrobi z ciebie kalekę. Zamknij szybko drzwi. Zima dziś, a nie lipcowe upały. Wytrzyj nos. Jesteś cały zasmarkany od płaczu.
Fajgełe siedziała w kącie między szafą a składanym łóżkiem. Rozwijała i zawijała szmacianą lalkę. Szeptała jej czułe słowa.

*

Zima była uporczywa. Przez okno wychodzące na plac Bóżniczy widać nieskazitelną biel śniegu. Śnieg zasypał domy po okna, przykrył kopułą wiecznie zepsutą pompę, stojącą na cementowej podbudowie, i utworzył na samym środku miękki pagórek. Śnieg sypał i sypał. Kiedy się to skończy?

Ale wreszcie matka przyniosła dużą gęś. A więc przecież będzie Wielkanoc. Przecież będzie wiosna.

Matka tuczyła ją ziarnami zaparzonej kukurydzy. Rozwierała jej czerwony dziób i wsypywała pokarm przemocą. Wpychała go w gardziel, a potem przebierała palcami po przełyku. Robiła to przy zamkniętych drzwiach. Po co ludzie mają to widzieć? To, co jest dopuszczalne dla Charojzy, wdowy Giteł czy grubej Ester, nie jest dopuszczalne dla niej, dla Elke, żony reb Tojwie, mełameda gemury. Ale smalec jest drogi. A tłuszczu trzeba na całych osiem dni Pesach.

Są to najdroższe święta. Przygotowania zaczynają się jeszcze w połowie lata. Kiedy nie zapomniało się smaku macy jednych świąt Wielkanocy, należy już myśleć o drugich. Gąsiory z dużymi wiśniami, przywiezionymi z Węgier, i czarnymi jagodami zasypuje się suto cukrem. Beczki z pokrajanymi burakami, zalanymi wodą, stawia się na szafę późną jesienią. Gorączka jednak wybucha dopiero po świętach Pirym. Zaczyna się gromadzenie macy w plecionych koszach lub powłoczkach od poduszek. Żydzi pieką mace. Jest krzyk, bieganina, strach. Nie daj Boże nie zdążyć!

W całym domu jest tylko jeden duży piec na piętrze. W kuchni zegarmistrzowej Pejrł. — Ta Żydówka nie ma żółci — mówi o niej wdowa Giteł. Mieć w domu wieczny jarmark i piekło — nie każdy by się zgodził. Skoro świt, już kołatano do jej drzwi. Pejrł w czerwonej, barchanowej halce i narzuconej na koszulę chustce, zaspana, przygarbiona, chuda, otwierała zasuwę, wpuszczała stróża, Wasyla Prejmycza, z konewkami wody i parę Żydówek, wykłócających się, na kogo dziś kolej.

— Już cały tydzień czekam — irytowała się blacharzowa Dwojra, mrugając czarnymi oczkami. — Taka Charojza drugi raz już piecze. — Czy jej mąż jest lepszy od jej Sanego? On też jest tylko rzemieślnik. Krawiec to taki sam pan jak blacharz.

Matka nie miała spokoju ni w dzień, ni w nocy. Chodziła jak w gorączce. Kłóciła się z ojcem. Mąki jeszcze nie ma. Sosnowych desek na wypiek jeszcze nie ma. Dlaczego ją Bóg ukarał takim mężem? Co go obchodzi, że zbliżają się święta. Kartofli trzeba, jaj trzeba, tłuszczu trzeba. Żeby przynajmniej zatroszczył się o mace. Gdzie to napisane, że słaba kobieta, jedna, ma ciągnąć wóz? Dzieci, dom, handel! Ma się na części rozerwać? Nieszczęście nie mąż! Nawet ta szmaciarka Zełde, siostra grubej Ester, ma lepsze życie niż ona. Mąż kaleka, a jednak pomaga żonie wynosić worki z kłakami na rynek. Z tego, że ojciec siedzi cały dzień i gada z Bogiem, nic do garnka nie wpadnie. Odkąd go zna, nie miała z nim ani jednego dnia dobrego. Do czego się on właściwie nadaje? Do czego się brał, wszystko leciało mu z rąk. Ołowiany ptak. Śpiewał w bóżnicy — wygryźli go. Trzymał pierworodnych na uroczystości wykupu (trzydzieści srebrnych koron — to piętnaście reńskich) — znaleźli innego kapłana. Brano go na świadka przy dawaniu rozwodu u rabina — to on próbował godzić

pokłócone małżeństwa. Jaki rabin może się na to spokojnie patrzeć? Niechby jej kto psuł interes, zabierał zarobek?! To ona by milczała? A potem... potem zaczęło się przepisywanie na pergaminie, zwitki tefilin — zawsze musiał znaleźć jakąś krzywą literę, ba, linijkę. Wszędzie się musiał z kimś pokłócić — policjant Pana Boga! Kto go o to prosi? A teraz co? Siedzi z paru uczniami. Wielki mełamed gemury! Ci uczniowie! Ten byczek Froim! Kiedy już nikt nie mógł mu wbić nic w tę ołowianą głowę — to reb Scharie oddał go na naukę jemu, reb Tojwiemu. Chłop ma czternaście lat, a rozumu mniej niż Aronek. Jemu tak do gemury, jak jej do tańca. Wielki mełamed! A ona musi bić głową o mur. Ale jak długo to może potrwać? Czy on nie widzi, że ona ledwo zipie? Żelazo się złamie. I w studni, choćby jednym palcem czerpać, to też woda się skończy!

Ojciec pochylał niżej głowę nad gemurą i milczał. Potem wpadał w gniew.

— Kobieto, czego ty chcesz? Czy ja zarabiam więcej pieniędzy i tobie nie daję? Nie handluj, nie gotuj, nie kupuj i nie gadaj. Ja sobie przecież zostawiam zaledwie na tę szczyptę tabaki!

— Spójrzno na innych naokoło. Ludzie mają coś z życia. Charojza jest starsza ode mnie. A spójrzno na nią i na mnie. Ja przecież wyglądam jak jej matka. Pokierowałeś ty moim życiem i nie tylko moim.

— Co ty widzisz u innych? Tobie się zdaje, że innym jest lepiej? Wszyscy mają swoje troski. Wszyscy żyją jakby na tymczasem. Niech oni mnie zazdroszczą. Jednej trudnej stronicy gemury nikt z nich za żadne pieniądze nie kupi.

— To jest właśnie twoje nieszczęście. Dlatego wszyscy ciebie tak bardzo lubią. Każdego uważasz za nieuka. Tylko ty jeden mędrzec. A ja z twojej uczoności mam tyle, ile warta jest szczypta tabaki.

— Nu, dosyć. Dlaczego Bóg daje kobiecie słaby rozum i złe serce?

— Dosyć? dosyć? Tobie już dosyć. Pewno. Ja bym z tobą nie zaczynała nawet gadać. Przecież znam ciebie. Ale tu nie idzie o mnie. Czy przynajmniej pomyślałeś o dzieciach? Moje życie i tak już jest pogrzebane. Ale mnie chodzi o dzieci. Z Chamariem już pociechy nie będzie. I to też jest twoja wina. Gdzie była wtedy twoja pobożność? Wszyscy mówią, jak on może uczyć cudze dzieci, jeśli swoją własną córkę wykierował na gojowską nauczycielkę. Mówiłam, krzyczałam, po co potrzebna mi jest uczona córka? Czego by mi brakowało, gdybym miała prostą, żydowską córkę. Wyszłaby za mąż za porządnego kupca i byłoby jej dobrze. Ludzie i sam Pan Bóg by mi zazdrościł. Dziś ona jest nauczycielka. Żeby nie wypowiedzieć w złą godzinę, ma przewrócone w głowie. Ten się jej nie podoba, tamten się jej nie podoba. A lata nie stoją. Doczeka się, nie daj Boże, siwego warkocza. A czy ona choć pomyśli, jaki to będzie dla rodziców wstyd? Co tam rodzice! Siedzi w tym Rożniatowie i płuca sobie wydziera z gojowskimi bękartami. Jej koleżanki już mają dzieci. Klara Goldmann ma mniej pobożnego ojca niż twoja jedynaczka, a wyszła za mąż za człowieka z brodą i pejsami. Dlaczego? Bo szanuje ojca. A jak Baltuch przychodził niby w sprawie pieniędzy za towar, to on przychodził nie dla pieniędzy. Gdyby on nie przyszedł do mnie, to on dobrze wiedział, że ja przyniosłabym mu je do domu. Ale Chamariem go raz tak wyśmiała, że myślałam, że zapadnę się pod ziemię. No i co? Baltuch nie znalazł drugiej? Ożenił się, jeszcze dostał posag i dziś jest największym łokciowym hurtownikiem. Co by mnie brakowało, gdy-

bym ja miała takiego zięcia? Jeszcze teraz ciągle dopytuje się: — Jak wasza Chamariem? Już wyszła za mąż? — Elke przez chwilę milczała. — A z Modche — Matka spojrzała złymi oczami na ojca — to ja już nie dam zrobić kaleki na całe życie. Trzynaście lat, czternasty — dosyć. Nie potrzebuję rabinów. W mojej rodzinie nie było rabinów i jakoś wyżyliśmy bez tego.

— Co ty chcesz z nim zrobić? — zaniepokoił się ojciec. — I co ciebie nagle ugryzła jakaś pchła w prosty poniedziałek?

— Ja go oddam na... naukę. Trzeba go nauczyć jakiegoś fachu.

— Fachu? Co, fachu? Syn Tojwiego będzie rzemieślnikiem? Po mojej śmierci!

— Żydowskiego fachu. Delikatnego. Nie szewc ani bednarz. Czego brakuje takiemu Zajnwłowi? Oby wszystkim Żydom tak się powodziło, bez jego szkody, jak jemu, Zajnwłowi. Robota delikatna, czysta. Zarabia na życie i nie przepracowuje się. Albo Waldmann — też zegarmistrz. Ma własny sklep w rynku. I też dzięki Bogu Żyd z brodą, z pejsami.

— Chłopak ma dobrą głowę. I nie gadaj głupstw! Ja go nie dam do zegarmistrza. I dosyć. Nie chcę o tym mówić! Ja też mam tu coś do powiedzenia. Nie posyłałem go do polskiej szkoły nie po to, żeby z niego miał wyróść rzemieślnik. I ja nie chcę więcej o tym słyszeć. Koniec!

Starał się mówić spokojnie. Ale po twarzy przebiegały mu drgawki. Był to znak, że za chwilę wybuchnie. Matka rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy i nienawiści. Pokiwała z politowaniem głową, ale nic nie powiedziała.

*

Matka zrezygnowała. Trudno, pójdzie do sklepu i kupi mace. Wyniesie to drożej, ale weźmie parę kilogramów mniej i tak się jakoś wyrówna. Będzie się jadło więcej kartoflanych placków. Naturalnie dotyczy to wszystkich prócz Chamariem. Przez te osiem dni świąt nie powinna odczuć, że jest uciążliwym gościem. I kiedy się już pogodziła z tą myślą, pewnego wieczoru, tuż, tuż przed wigilią świąt przyszła Pejrł z wymówkami. Jak Elke nie wstyd. Rok rocznie Elke piecze u niej mace, a teraz, kiedy jej syn, Modche, ma pójść do jej męża do terminu...

Matka zagryzła wargi, żeby Pejrł przestała mówić. Modche siedział w pokoju i mógł wszystko usłyszeć. I Tojwie też.

— Do terminu... do terminu... — skrzywiła się. — Dlaczego do terminu? Co wasz mąż jest, wybaczcie mi porównanie, szewc, bednarz? A co do wypieku mac — wytarła sobie szybko palcami usta — to jutro nie mogę. Jutro czwartek. Dzięki Bogu ociepliło się i będzie pogoda. Targ zapowiada się niezły. A piątek to piątek. Też nie. A sobota, rozumie się to sobota. Nu, to już w niedzielę, z Bożą pomocą...

W niedzielę od samego rana matka miała na twarzy brzydkie wypieki i czerwone plamy na szyi. Trzeba zdobyć choć paru pomocników. Zaczęły się targi ze stróżem, można liczyć na wszystkie trzy córki szmaciarki Zełde. Ale nie przyszło to łatwo. Najstarsza, piętnastoletnia Bajłe, była leniwa i trzeba ją było prosić, Bóg wie co obiecać. — Pewno — złościła się matka — lepiej gzić się po kątach z chłopcami. — Młodsza, wątła i blada Gołda, godziła się na wszystko, ale z niej było tyle pociechy, co z chanukowej świeczki. Kiwała nieśmiało głową i wstydziła się za swoją siostrę. Najmłodsza Szajndel musiała się zwolnić

u swojej cioci, żony Schariego, gdzie pracowała niby jako służąca, niby jako krewna.

Psachie, piekarczyk, ze wszystkiego pokpiwał i żartował:

— Dukata więcej, dukata mniej — do rabina nie pójdziemy. Jakoś się pogodzimy. Raz w roku jest Pesach, a wy spieracie się o każdego centa. Fe, Elke, nieładnie.

Ale matka robiła swoje. Była niewzruszona. Skąpstwo skąpstwem, ale ona wie, co robi.

W dużej kuchni Pejrł szorowała długi, sosnowy stół, szkłem zeskrobywała ślady po wałkowanym cieście. Przy worku matka własnoręcznie odmierzała garncem mąkę i podawała piekarczykowi Psachiemu. Piekarczyk miesił ciasto w blaszanej dzieży. Potem rzucał kule surowego ciasta na stół, a trzy córki Zełde zawzięcie je wałkowały. Nawet leniwa Bajłe miała wypieki z pracy. — Jak pracować to pracować — pokrzykiwał Psachie i szturchał Bajłe w obnażony łokieć. Bajłe poprawiała na sobie bluzkę. Popielate, kędzierzawe włosy jeszcze bardziej nasuwała na czoło i uśmiechała się mrużąc oczy.

Oczy matki latały na wszystkie strony. Żeby nikt nie gryzł wypieczonej już macy. Żeby nie dawano ciastu kisnąć. Żeby beczkę z wodą pokrywano szczelnie białym prześcieradłem. Żeby w piecu nie było zbyt dużego płomienia. Żeby mace nie przysmalały się i nie kruszyły przy wrzucaniu do plecionego kosza.

Aronkowi najbardziej podobały się radełka, zębate kółeczka z mechanizmu zegarowego, na drewnianej rączce. Kółka szybko jeździły po placku i pozostawiały równy ścieg. Lubiła to robić Szlomcia, młodsza córka wdowy Giteł. Od czasu do czasu przylatywała i pomagała ludziom w pracy. Wtedy z pokoju, gdzie był warsztat zegarmistrzowski, wychodził syn zegarmistrza Arie, wyciągał z pieca żarzący się węgiel i zapalał papierosa. Arie krztusił się przy tym i kaszlał.

Szlomcia miała ładny głos i chętnie śpiewała, wtórowały jej trzy córki Zełde.

Kiedy Szlomcia zanuciła żydowską piosenkę o „Chawałe, którą zabił Loewenstein ze swoją komandą", Psachie, piekarczyk, podniósł do góry wałek i krzyknął:

— Tak, tak. Ja wtedy byłem w Drohobyczu. Ja też krzyczałem: „Precz z fabrykantami! Niech przestaną pić naszą krew!" — I podchwycił w środku:

...Biedna szła jak co dzień
Chawałe, o niczym nie wiedząc..

Aronek nie rozumie, dlaczego Loewenstein z komandą zabił biedną Chawałe. Nie wiedział, co to jest Drohobycz. Ale melodia była tak piękna. Inna niż modlitwy w bóżnicy. Piękniejsza. Piękniejsza nawet niż śpiew w cerkwi.

*

Kosz wypełnił się rumianymi, pachnącymi macami. Psachie-piekarczyk owinął go grubym sznurem i podniósł na plecy.

— Co? Psachie, poczekaj. Grom we mnie uderzył — zawołała matka. — Sam zaniesiesz? Nie, nie! Arałe! Pobiegnij no i zawołaj Modche. Niech mu pomoże!

— Elke, nie bójcie się. Jaka się troskliwa stała — mrugnął w stronę dziewcząt. — Nie bójcie się. Nic wam nie ukradnę po drodze. Precz z fabrykantami — zawołał, kierując się ku wyjściu.

Matka przemocą postawiła kosz na ziemi. Niepostrzeżenie szczypnęła ze złością Aronka, żeby nie stał jak golem z gliny. Żeby szybko poszedł do domu po Modche.

Modche siedział w pokoju sam. Kiedy ujrzał Aronka, chciał coś ukryć. To była książka. Książka upadła na ziemię. Otwarła się na pierwszej stronicy. Aronek zdążył jeszcze zobaczyć pana w szerokim kapeluszu, spod którego wiły się włosy. Na szyi miał dużą kokardę.

— To Perec? — spytał Aronek.

— Skąd wiesz? Skąd ty wiesz? Nie mów o tym nikomu. Słyszysz? Ani ojcu, ani matce.

Książkę Modche otrzymał od Szlomci.

## STRYJ KAROL

Od siostry przyszedł list. Napisany po niemiecku. Na święta, niestety, nie przyjedzie. Przeprasza, że pisze o tym w ostatniej chwili. Bardzo żałuje, że nie spędzi świąt w domu, zwłaszcza że już dawno nie widziała rodziców ani braci. Pamięta, że w ostatni dzień Wielkanocy przypadają urodziny Arusia. Ściska go i życzy mu, żeby szybko wyrósł. Rodzicom życzy koszernych świąt, a Markusowi (tj. Modche) postępów w Talmudzie. Tak, Aronek kończy sześć lat i czas pomyśleć o polskiej szkole.

„Mit herzlichem Gruss, Maria" — skończył ojciec głośno. — „Maria" irytował się — ile razy mówiłem jej, że po niemiecku trzeba pisać „Marie", a nie „Maria".

W myślach Aronek nazywał ją też Maria. Brzmiało to inaczej niż Chamariem. Nikt naokoło tak jej nie nazywał. Tylko stryj z Worochty.

Matka westchnęła: Tyle pieniędzy wyrzuconych po prostu w błoto. Gdyby wiedziała przedtem, nie biłaby się z całym światem o jeszcze jeden funt smalcu, o jeszcze jeden kilogram macy. A dlaczego nie mogła przyjechać? To już jej było za trudno napisać. Rodzicom nie opłaca się. Rodzice nie muszą wiedzieć dlaczego. Rodzice muszą namęczyć się, póki się takie dziecko wychowa. Muszą dać jeść, posyłać do szkoły. A potem karteczka: „mit herzlichem Gruss..." i kwita.

Za to przyjechał na święta stryj Karol. Stryj Karol z Worochty. Z dworca przyjechał fiakrem. Naokoło zrobiło się zbiegowisko. Fańcia pchnęła okiennicę. Przez jej ramię wyglądała Szlomcia, Mojsze-Łajb próbował podnieść walizkę. Chuda Chaje mrużyła małe oczka, jakby ją raziło słońce. Stała na progu ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Cmoknęła językiem w dziurawym zębie i spytała wdowy Giteł:

— A to kto?

Przed zejściem na ziemię stryj chwilę stał na stopniu fiakra. Rozejrzał się dookoła. Wyjął z ust dopiero co zapalonego papierosa i rzucił go za siebie. Uśmiechnął się i mruknął dorożkarzowi, żeby za nim poniósł walizkę.

To był czarujący stryj.

Kiedy ojciec mówił doń „Chaim", podnosił ciemne brwi, zupełnie inne niż brwi ojca, i poprawiał: „Karl. Tak jak Karl Moor z Schillera." — Stryj pokazywał przy tym olśniewające w uśmiechu zęby.

Matka drapała sobie policzki palcami, nieledwie do krwi. Po kątach mruczała, że już przyjechał zwariowany Niemiec. Akurat wtedy, kiedy w domu wszystko jest przewrócone do góry nogami. Na podłodze walała się słoma z wyniesionych na podwórze sienników. Łóżka rozebrano na części tak drobne, że wydawało się niepodobieństwem złożyć je z powrotem. Strach było patrzeć, co się z nimi stało. Ciężkie wezgłowia matka oparła o ścianę (kto ma siły, żeby je wynosić), a deski, listwy i poprzeczki leżały w sieni. Oblane wrzątkiem, wysmarowane naftą, skrobane nożem. Na środku pokoju został stół, a na nim krzesełka przewrócone do góry nogami. W kuchni sprzęty odsunięto od ścian, świeżo pobielonych do sufitu. Sufit pozostał ciemny. Na drugi rok, jeśli Bóg da dożyć, wynajmie się malarzy. Wymalują kuchnię i pokój. Sama już nie ma sił. Szlaban oczyściła dużym, gęsim piórem, umaczanym w nafcie.

Stryj poruszał się lekko między rozstawionymi sprzętami w kuchni. Był ogolony. Miał czarny wąsik nad czerwonymi ustami. Brody nie miał wcale. Nosił jasnoszary, półdługi surdut i zielony kapelusz z tyrolską szczoteczką z tyłu. Na jego widok ojciec kurczył się, jakby się go bał.

— Po świętach jadę do Wiednia. Mam dosyć waszej Galicji. Praca w tartaku wśród chamstwa już mi zbrzydła.

Mówił głośno, przeciągał ostatnie słowa i patrzył po kolei na wszystkich. Do matki podchodził lekkim krokiem, brał ją za łokieć, nachylał się i patrzał prosto w oczy. Jednym palcem podnosił jej podbródek i mówił kiwając głową:

— Aj, Elke. Postarzałaś się. No, czego tak się nadąsałaś? Boisz się, że zwaliłem ci się na kark. Nie bój się. — Stryj wyciągnął pękatą portmonetkę z metalowym zamkiem. Wyjął błękitny papierek i rzucił na stół. Obrócił się na pięcie, rozłożył ręce i zawołał, jakby w kuchni było dużo ludzi:

— Macie, moi kochani, na święta. Na świecie nie ma nic za darmo.

Nachylił się do matki i bardzo głośno się roześmiał.

Matka krzywiła się, czerwieniła. Nie weźmie pieniędzy za żadne skarby. Błękitny papierek leżał na stole. Gdy stryj się odwrócił, papierek znikł w ręku matki.

Zaczęło się wypytywanie. Matka pytała o zdrowie jego żony i dziecka. Czy Wiluś juk ząbkuje? I po co stryj jedzie aż do Wiednia?

Stryj rozłożył ręce. Boże, zapomniał o tym napisać. Więc oni jeszcze nic nie wiedzą. Nie, nie wierzy, żeby Jojne, który ma na rogu sklep z wiktuałami, im nic nie powiedział. Jojne, to brat jego teścia. Teść nie omieszkał, na pewno już z odpowiednim komentarzem, o tym napisać swojemu bratu. Otóż z żoną, dzięki Bogu, już nie żyje. Pocztą pośle jej rozwód. Z Wiednia. Dlaczego — nie może powiedzieć. Z czasem się dowiedzą. Mógłby im pokazać pewien list, z Wiednia. Niech mu się tylko uda, może być, usłyszy o nim cały świat.

Ojciec podniósł surowy wzrok, a matka załamała ręce.

— Jak ci nie wstyd? Taki wstyd, zostawić żonę! Z dzieckiem. Zawsze mówiłam, że on ma wiatr w głowie. Tojwie, u nas w rodzinie, z moich braci, nikt tego nie zrobił. Tak może zrobić tylko człowiek, który nie ma żydowskiego serca. Biedna Mindełe!

— Minna jest starsza ode mnie. O całych pięć lat. — Karl podniósł palec do góry: — O całych pięć lat! Zresztą tam, dokąd jadę, nie mogę jej zabrać. Minna wyjechała z Worochty do swego ojca, do Perehińska. Mój były teść jest mądry. Przyjechał do mnie do Worochty. „Żadnego rozwodu" — krzyczał. Nie, myślę sobie, nie chcesz, poślę pocztą. Groził rabinem; dobrze, powiadam mu, chodźmy do rabina. Tysiąca koron posagu po dziś dzień nie dostałem. Zobaczymy, komu rabin przyzna słuszność. Zresztą nie chcę, jak to powiedziane w torze czy gemurze, już nie pamiętam — uśmiechnął się do ojca — nie chcę ani twego miodu, ani twego żądła. Nie chcę twoich pieniędzy i zabierz sobie swoją córkę. Zresztą nie mam zamiaru zgnić w tej dziurze. Ja chcę żyć. — Stryj wyciągnął przed siebie prawą rękę, spojrzał na wszystkie cztery ściany, bielone tylko do sufitu, chwilę zastanowił się i powiedział:

— Kiedy patrzę na was, pęka mi serce. I ja miałbym tak samo wyglądać? O, nigdy! — Stryj zerwał z głowy kapelusz i rzucił go na krzesło. Karol miał długie, czarne włosy. W kuchni prócz nafty i wapna zapachniało czymś przyjemnym.

Weszła Fańcia. Dziś była już trzy razy. Stryj ukłonił się jej i spytał, czemu tak szybko ucieka, ilekroć go zobaczy. Czy on jest taki straszny? Prosił, aby usiadła. Fańcia chciała się tylko dowiedzieć, jak należy postąpić ze spaleniem ostatków chleba-chumec. Czy należy koniecznie spalić chumec dziś wieczór, czy czas jutro rano, do dwunastej, kiedy jeszcze wolno jeść chleb.

Ojciec skrzywił się, że wszystko przekręciła. Jakie ona tam wymyśliła nowe prawo!

Stryj uśmiechnął się:

— Żeby młoda osoba, taka postępowa jak ona, zajmowała się takimi rzeczami. To przecież ostatki dzikich zwyczajów. Boże, ile jeszcze ciemnoty w tym narodzie. Choć trzeba przyznać, że kiedyś te zwyczaje miały swoje uzasadnienie. W gorącym klimacie, na przykład, świnie...

Ojciec uderzył pięścią w stół.

— Milcz — krzyknął.

— Tojwie, czego się irytujesz? Przecież nic złego nie powiedziałem. Przeciwnie. Chciałem tę młodą damę przekonać, że Żydzi nie powinni jeść świń. Ach, ten fanatyzm! Można by pomyśleć, żeś był zawsze taki święty. Pamiętam, jak ojciec bił ciebie za czytanie niemieckich książek. I jeszcze tego Majmonidesa *Mojre Newichin*. No i do mnie też się coś przylepiło. No dobrze, będę milczał. Niech Bóg broni, jeszcze ta pani pomyśli, że jestem zupełny ateista.

— Kiedy ty nabierzesz wreszcie trochę rozumu? Trzydzieści lat! Pomyśl, trzydzieści lat!

— Primo, dwadzieścia osiem, a nie trzydzieści. Secundo, co można mi zarzucić? Od najmłodszych lat pracuję. Nikogo nie okradłem. Nikogo nie zabiłem. Nie piję, w karty nie grywam. Więc co? Chcesz, żebym był tak zatabaczony jak ty? O, nie, najdroższy! Życie jest, jak powiedział Heine, krótkie jak dziecinna koszulka — panno, ach tak... Fańciu, przepraszam za porównanie. Można z niego, z tego życia, zrobić żydowski łapserdaczek z cyces albo niemiecką kamizelkę. Już wolę niemiecką kamizelkę.

— Po coś ty właściwie przyjechał? Żeby się ze mną kłócić? — Ojcu zaczęły nabrzmiewać żyły. Każdej chwili mógł nastąpić wybuch.

— Nie zawstydzaj mnie przynajmniej wobec panny Fańci. — Stryj odwrócił

się do Fańci. — Tak oni wyglądają. Pani widzi? Oni są na piękno kobiece nieczuli.

Wmieszała się matka:

— Fańciu, idź i powiedz, że się nie pali dziś wieczór chumec, ale jutro rano. A co do gęsiego pióra, to można palić bez niego. Jeśli się nie ma, to nie ma, ja też nie mam — skłamała. — Gęś zaniosę jutro do rzeźnika... Nie mam czasu. Muszę poszukać Wasylka Prejmycza. Trzeba mu sprzedać chumec.

Matka wyszła i wypchnęła Fańcię.

Po chwili wyszedł również stryj Karol. Zapowiedział, że wróci dopiero wieczorem.

*

Przy sprzedawaniu chumec matka dostała wypieków, a ojciec starał się wytłumaczyć Prejmyczowi, o co idzie. Przypominał mu, jak to było w ubiegłym roku. Co roku powtarzało się to samo. Prejmycz nigdy nie pamiętał. Matka mówiła, że on tylko udaje takiego głupiego, żeby wyciągnąć z niej więcej pieniędzy.

Prejmycz słuchał cierpliwie. Nic sobie nie przypominał. Może załatwiono to z jego „kobietą".

W końcu uśmiechał się, jakby go ktoś łaskotał w podbródek, i powtarzał. — A mnie to nie jest potrzebne. Ja nic nie chcę kupić.

— To się tylko tak nazywa — przekonywał go ojciec. Niech zabierze tę fasolkę i tę mąkę do domu, do siebie, a po świętach przyniesie wszystko z powrotem. — To po co mam kupić i potem oddawać z powrotem? I jeszcze za to płacić? — Bo nam nie wolno tego trzymać u siebie podczas świąt. Rozumiecie? Za to my wam zapłacimy, a nie wy.

— To schowajcie fasolę i mąkę do komory — radził stróż. — Mnie to jest niepotrzebne. — Prejmycz patrzył podejrzliwie na ojca, na matkę i tłumok, leżący na stole.

Ojciec zaczynał od początku:

— Wy nie rozumiecie. Jeśli u Żyda zostaje na święta Pejsach coś do jedzenia z tego, co nie zostało przeznaczone na święta, jak chleb, mąka, fasola, to tego nie wolno trzymać u siebie w domu. Ani w domu, ani w komorze. Ani nie wolno dać na przechowanie i potem odbierać. Można tylko sprzedać, a potem odkupić. Bo Żydom przez siedem dni nie wolno jeść chleba, tylko mace. Bo jak Żydzi wyszli z Egiptu, nie mieli czasu piec chleba i zabrali ze sobą surowe ciasto i upiekło się po drodze, na słońcu. Bez drożdży, bez soli, bez jaj. Jeśli nasi ojcowie musieli jeść takie placki, bo nie mieli nic innego, to my z wdzięczności Bogu za to, że wyprowadził nas z Egiptu, z domu niewoli, jemy też placki „bez drożdży, bez soli, bez jaj".

— I po co ja mam kupić waszą fasolę i mąkę?

— Tojwie! Nie zawracaj mu głowy! — przerwała ze złością matka, kiedy ojciec znów zaczynał objaśniać od początku. — Już mu zawróciłeś głowę całą „Hagudą". A może chcesz go teraz nauczyć, jak się odprawia „sejder", naucz go porządku wielkanocnej uczty. Mełamed to mełamed do samej śmierci...

— Słuchaj — zwróciła się do stróża — co ci to szkodzi, Wasylku, że u ciebie postoi przez święta? Pieniędzy ty nam przecież tak czy tak nie dajesz. A my

ci za to jeszcze coś damy. Po świętach. To jest taki zwyczaj. To nie jest żaden handel.

— Zabijcie mnie. Nic nie rozumiem, jakie są u was zwyczaje.

— Powiedzcie jakąś cenę, za którą niby to kupujecie u nas ten chumec, a my wam po świętach damy dwa razy tyle. Jak wy powiecie: pół reńskiego, to otrzymacie całego — powiedział ojciec spokojnie.

Matka krzyknęła:

— Masz tego mędrca! To wszystko razem nie jest warte reńskiego. A ty mu chcesz dać reńskiego. Za co? On się przy tym przepracuje? Żebyś ty przynajmniej wiedział, jak człowiekowi wyłażą na wierzch oczy, póki dostaje do ręki tego reńskiego, to byś go tak łatwo nie wypuszczał.

Prejmycz opuścił głowę. Poprawił czapkę. I kiedy matka wypominała ojcu niedołęstwo, głupotę, beznadziejność wspólnego z nim współżycia — Prejmycz wziął ze stołu tłumok i skierował się ku drzwiom. Naciskając klamkę odwrócił się:

— Obejdzie się bez reńskiego. Dacie mi trochę macy. — Machnął ręką i wyszedł.

*

Stryj wrócił przed wieczorem. W domu panował jeszcze ten sam nieporządek.

Blacha w kuchni czerwieniła się od rozżarzonych węgli. Matka wyciągała z ognia popękane od gorąca kamienie, wrzucała je do żelaznych garnków, zalewała wodą. Z garnków wydobywała się z sykiem para. Jak w piątek w łaźni.

Ojciec chodził po kątach i zbierał okruszynki chleba. Aronek bał się, że ojciec coś przeoczy i chumec zostanie gdzieś niedostrzeżony przez całe święta. Od tego można umrzeć. Zaglądał po dziesięć razy do każdej szparki, szczeliny, dłubał paznokciem w deskach szafy, w szufladzie stołu, komody. Zaglądał pod parapet okna. Każdy znaleziony okruch chumec ojciec zgarniał gęsim piórem i zbierał do dużej, drewnianej łyżki. Potem owiązał ją razem z gęsim piórem w białą szmatkę. Jutro rano spali ją na podwórzu. I wtedy nie wolno już jeść chleba. Tylko smażone placki pół na pół z surowych tartych i gotowanych kartofli. Mace rozda się dopiero wieczorem na uczcie świątecznej — seder. Ojciec wdzieje biały kitel, usiądzie na miękkiej pościeli. Na stole w jedwabnej torbie ze złotym wyszyciem leżą mace. Obok talerzyk z korzeniem surowego chrzanu, kolorowe kieliszki i wielka butla z winem rodzynkowym. Świąteczne talerze z fiołkami, błyszczące łyżki, widelce. W brązowej miseczce — najsmaczniejszy sekret świąt: orzechy włoskie, posiekane z jabłkiem i polane winem. Ojciec rozda to z dwoma kawałkami macy. Wtedy najmłodsze dziecko zada ojcu „cztery pytania". Aronek zna je na pamięć.

„Czym różni się ta noc od wszystkich innych nocy roku?"

I jeszcze trzy inne. Aronek zna już odpowiedź. Więc po co mimo to musi je zadawać? Te pytania?

*

Stryj Karol siedział w ciemniejącym pokoju. Przysunął krzesełko i wsparł głowę na ręku. Drugą rękę przewiesił przez poręcz krzesła. W dłoni trzymał kapelusz. Długie nogi założył jedna na drugą.

Ojciec poszedł do Schariego. Umarła jego teściowa Ronciełe i modlono się u niego w domu. Matka wyjmowała świąteczne naczynia z niebieskiej blaszanej beczułki.

Aronek cicho wszedł do pokoju. Serce biło mu mocno. Kochał stryja.

Kiedy Karol wyszedł z domu, zmartwił się, że może nie wróci, i nienawidził ojca za to, że na niego krzyczał. Mojsze-Łajb mu dzisiaj zazdrościł. Gdy się dowiedział, że ten „pstrokaty Niemiec" to stryj Aronka, nie chciał wierzyć.

— Jak ja będę taki duży, jak on, kupię sobie kapelusz z taką szczotką z tyłu. Twój stryj podoba mi się.

Mojsze-Łajb chciał natychmiast pójść do Aronka, aby przyjrzeć się gościowi z bliska, ale gdy dowiedział się, że odszedł, bo pokłócił się z ojcem i matką z powodu Fańci i że wróci dopiero wieczorem, przyrzekł, że też przyjdzie wieczorem.

— I przy mnie powiesz mu „stryju". To ci uwierzę.

Karol zauważył Aronka. Kiwnął doń ręką, w której trzymał kapelusz. Wziął chłopca na kolana. Z kuchni wpadała smuga światła. Matka zapaliła już lampę.

Stryj wpatrywał się w chłopca.

— Taki podobny jesteś do siostry — powiedział cicho. — Powiedz, Maria jutro przyjedzie? Z Rożniatowa?

— Maria nie przyjedzie — odpowiedział równie cicho Aronek.

— Nie przyjedzie? Na święta nie przyjedzie? Jak to? To niemożliwe! Dlaczego nie przyjedzie?

— Dlatego... dlatego... — jąkał się Aronek. Nie mógł znaleźć potrzebnych słów. Usiłował odtworzyć treść listu.

Stryj Karol westchnął.

— Taaak...

Przez okno wpadało szare światło ulicy. Naprzeciw, w domu Schariego paliła się w oknie lampka śmierci po zmarłej Ronciełe, matce Racy, żony Schariego, Zełde i grubej Estery. Widać było kręcących się po pokoju Żydów.

Na mostku, prowadzącym przez potok do żydowskiego szpitala, czernił się nagi jeszcze kasztan. A trochę dalej duże, stare jesiony. Plac Bóżniczy opustoszał. Ludzie szli tylko chodnikiem i zaglądali do niskich okien. Ze stromych dachów ześlizgiwał się ciemnoróżowy zmierzch.

— Tu tak samo nudno jak w Worochcie — odezwał się stryj. — No, i po co tu przyjechałem? Rzeczywiście chyba po to, żeby się kłócić z bratem.

— A może siostra jeszcze przyjedzie. — Aronek spojrzał na stryja dużymi, proszącymi oczyma.

— Ech, jesteś sprytny. — Karol lekko pociągnął go za ucho. — Ile właściwie masz lat?

— Sześć. Sześć kończę w święta.

— A do szkoły już chodzisz?

— Nie.

— Żeby twój ojciec tylko nie zwariował i nie zakazał ci chodzić do szkoły, tak jak zrobił z Modche. Czy Modche uczy się po polsku przynajmniej w domu?

— Nie. Modche uczy się u taty. A ja nie chodzę do chederu. Też uczę się u taty.

— A po niemiecku ojciec uczy Modche?

— Nie wiem. Modche uczy się gemury. On będzie rabinem.

— Dziwny człowiek ten Tojwie. — Stryj patrzył przed siebie. — Dziwny człowiek — powtórzył. — Ojciec, błogosławionej pamięci, bił go. Odbierał mu niemieckie książki i palił. Tojwie ukrywał się na strychu. Odmrażał sobie palce i czytał. I mnie też dawał do czytania potajemnie. Ja odszedłem od tej żydowskiej ciemnoty, a on został.

— Modche też czytał książkę i mówił, żebym nikomu nie powiedział — szepnął Aronek.

Stryj roześmiał się.

— A czym ty chcesz być? Też rabinem.

— Nie wiem, rabinem... nie. Mama chce, żeby Modche uczył się u Zajnwła na zegarmistrza. Ale tato bardzo się rozzłościł.

— Zegarmistrz? Też pomysł! Żadna przyszłość. Nie zazdroszczę.

— A ja bym chciał uczyć się w szkole. Po polsku. Tak jak moja siostra.

— Nie. To też jest diabła warte. To nie jest żadna przyjemność. Marię zabiorę ze sobą do Wiednia.

— Stryju — Aronek przypomniał sobie Mojsze-Łajba. Żałował, że go teraz nie ma. — Stryju, a czym będzie Mojsze-Łajb?

Stryj nie wiedział, niestety, kto to jest Mojsze-Łajb. Nie wiedział nawet, że to syn Charojzy i krawca Żysie.

„On będzie księdzem", pomyślał ze smutkiem Aronek. Ale bał się głośno powiedzieć.

Zapanowało milczenie. Na ulicy już pociemniało. Do pokoju wpadało światło latarni gazowej. Teraz konary kasztanu połyskiwały od wilgoci i wydawały się jeszcze bardziej nagie.

Stryj wyjął srebrne pudełko, wyciągnął papierosa i zapalił. Na chwilę ukazał się stół z przewróconymi krzesłami, pusty pokój, mokra od zmywania podłoga.

Stryj zakrztusił się i zakaszlał. Rzucił dopiero co zapalonego papierosa i przydepnął nogą.

— Dym psuje głos. Mnie nie wolno palić. Czy twój ojciec jeszcze śpiewa w bóżnicy? Miał kiedyś piękny głos. To u nas rodzinne.

W tej chwili wszedł ojciec.

— Chaim, gdzie jesteś? Szukam ciebie. U Schariego, teściowa mu umarła, Żydzi szukają dziesiątego do modlitwy. Nie mogą zacząć. Czekają na ciebie. Chodź, będziesz dziesiąty.

Stryj prosił, ażeby mu dano spokój. Już się modlił. Machał kapeluszem, jakby się opędzał od much. Niech sobie poszukają innego dziesiątego.

Ale poszedł. Nie mógł wziąć na siebie grzechu, żeby przez niego za nieboszczkę nie odmówiono pośmiertnej modlitwy.

*

Okazało się, że stryj już był niepotrzebny. Jako dziesiątego znaleziono Seliga-studenta. Syna mleczarza z Monasterc.

Seliga ojciec zaprosił do domu. Karol poczęstował go papierosem, ale student odmówił.

— To rozumiem — zawołał głośno Karol, wskazując ręką trzy złote paski na granatowym kołnierzyku Seliga. — Która to gimnazjalna? Siódma? To znaczy za rok matura. To rozumiem. A potem? Studia? Koniecznie studiować w Wiedniu. Koniecznie jechać do stolicy. Na pewno medycyna? Lekarz to jest jak artysta. Cały świat stoi przed nim otworem. Dokąd przyjedziesz, czujesz się jak w domu. Paryż, New-York. Trzeba się tylko wyrwać. Tu człowiek wegetuje. We-ge-tu-je. Umiera za życia. Też dotychczas wegetowałem. Ale to się musi skończyć. W Worochcie poznałem pewną damę. To była wielka dama. Żona dyrektora wiedeńskiej opery. Mieszkała w willi obok tartaku. To była wielka dama. Raz słyszała, jak ja śpiewałem. Po prostu stanąłem przy otwartym oknie, kiedy przechodziła kładką przez Prut, niedaleko mego domu. Dama stanęła na środku kładki i musiała się trzymać poręczy. Nie pamiętam nawet, co śpiewałem. Ach, tak — stryj położył rękę na sercu i cicho zaintonował:

Ich heisse Mahmet
und bin aus Jemen
und mein Stamm sind jene Azra,
welche sterben, wenn sie lieben.

Trzeba było widzieć ten zachwyt, jaki wyrażały jej oczy. Na drugi dzień otrzymałem od niej wizytówkę: „Pragnę Pana poznać". — Taki głos to złoto — powiedziała mi. — Z takim głosem można iść przez życie wśród róż i miłości.

Stryj zamyślił się.

— Tak. Tak mi powiedziała.

Znów się zamyślił i sięgnął do kieszeni:

— Oto jej fotografia.

Była podobna do Fańci. Ale ładniej ubrana. W lewej ręce maleńka parasolka, cała z białej koronki. Palcem prawej ręki dotykała policzka. Olbrzymi kapelusz zdobiły kwiaty, ptasie skrzydła i odrzucona w tył woalka. Duże oczy i cienki nos.

Selig wziął fotografię w dwa palce.

— Jaka ona piękna — szepnął i zarumienił się. — Nie wygląda na Żydówkę.

*

Stryj i Selig musieli cofnąć się pod kuchnię. Matka i Modche zaczęli wnosić z sieni rozłożone na części łóżka, szafy, komodę. Ojciec odsunął stół pod okno. Wykręcił knot w lampie i znów zatopił się w gemurze. Stół mokry przykrywały cienkie, sosnowe deski. Deseczki były jedynym miejscem, gdzie można było stawiać chleb i nieświąteczne naczynia.

— Czy jest Żydówką — zawahał się i zdziwił zarazem stryj. — A mnie to co obchodzi? Nikomu nigdy tego nie brałem za złe, że kochał się w chrześcijance, Polce, Niemce czy nawet Rusince. Weź pan na przykład żonę ruskiego adwokata, Kassaraby. Jego wprawdzie nie znam. Ale czy bierze ktoś mu za złe, że ożenił się z Żydówką? Wątpię. A nawet jeśli tak, to czy mu ktoś śmie wytknąć głośno? Ale u Żydów... ho, ho, ho. Co by to było krzyku. Dzięki Bogu, że już nie mogą nikogo kamienować. Inaczej... Zresztą, co mnie obchodzi, czy ona jest

Żydówką. Czy mam zamiar z nią się ożenić? A czy pan, młody człowieku, ożeniłby się z chrześcijanką?

— Nie.

— To znaczy, młody panie, że nie wiesz, co to miłość. Albo tkwisz po uszy w zabobonach. Jak oni. Zabobony... Zabobony. To jest strach przed czymś, czego nie ma. Należy tylko poznać nicość pierwszego zabobonu. Trzeba przełamać pierwszy strach. A propos. Tak było z Żydem, któremu było tak źle, że już gorzej być nie mogło. Nie chciał więcej żyć. Wierzył, jak wszyscy jemu podobni, że wystarczy w Pesach zjeść kawałek chleba, żeby umrzeć. No i potem położył się do łóżka. Wyciąga ręce i nogi. I czeka na śmierć. Nazajutrz rano przebudził się zdrów jak ryba. „Taak — powiada — taki to sekret?" I od tego czasu nie tylko, że jada chumec w Pesach, ale przestał wierzyć we wszystko inne.

— Można poznać sekret i wierzyć — powiedział ze smutkiem Selig.

— Można nawet nie wierzyć i co dzień modlić się trzy razy, jak Pan Bóg przykazał — drwił stryj. — Tak, panie studencie, trudno być Żydem. Zwłaszcza jeśli się wie, kto to był Darwin i Kopernik. Pan mnie rozumie? Darwin i Kopernik. Ot, taki prosty Żyd, jak mój brat — Karol ściszył głos — reb Tojwie, jeszcze jako tako może wytrzymać. Jemu życie między łaźnią i bóżnicą wydaje się normalne. Takim więcej nie trzeba. Ale gdy się zasmakowało jabłka wiedzy... Jak powiada Nietzsche?... Panu zazdroszczę... Pan, żeby tak powiedzieć, przez pół, do połowy wyrwał się z tego koła; pan może po prostu na wszystko plunąć.

Selig zarumienił się. Na jego bladej twarzy wystąpiły wszystkie piegi.

— Jeślibym plunął, to trafiłbym przede wszystkim we własnych rodziców. Mój ojciec jest prostym mleczarzem, biednym Żydem. Moja matka jest prostą Żydówką. A ja jestem prostym Żydem. Ja się uczę w gimnazjum. Pomogła mi w tym nasza wiejska nauczycielka. Pomógł mi w tym nasz dziedzic Brunicki. Ale nie po to przyjąłem tę pomoc, żebym się odwrócił od własnego narodu. Ja nie chcę przestać być Żydem. Będę pomagać swoim rodzicom, a jeśli potrafię, swemu narodowi. Nienawidzę. Nienawidzę tych, którzy wypierają się swoich najbliższych. Ile ten naród wycierpiał! Żaden naród na świecie tego by nie wytrzymał. Pomyśleć: dwa tysiące lat bezustannych cierpień, prześladowań, inkwizycji, bohaterskiego oporu. Inne narody zginęły. I choć dziś Żydzi już nie są zdolni do bohaterstwa, mówię ze wstydem, wierzę, że nie zginie. Utrzymały go właśnie te zabobony, które pan wyśmiewa. Utrzymała go wiara ojców, praojców. — Selig zapalił się. Pocierał dłonią twarde, rude włosy. Wyblakłe niebieskie oczy przyćmiły się granatowym połyskiem. Szept stał się ochrypły i gwałtowny. — To nieprawda — potrząsnął głową — że możemy się stać innymi. Że wystarczy zgolić brodę i włożyć krótki surdut. Moi koledzy w szkole nie wyrządzili mi żadnej krzywdy. Ale czy uważają mnie za równego sobie? Zresztą, czy ja zgodziłbym się na to? Czy nie jestem inny od nich? Czy między nami nie ma przepaści, dzielącej nas na dwa obce sobie światy? I ja nie chcę, żeby mnie łaskawie sadzano z nimi przy jednym stole. Ja się chcę czuć Żydem przy własnym stole. Żydzi powinni mieć własny stół.

— I własnego króla, i własne państwo? Własnych policjantów?

— Tak, tak. Niech się pan nie śmieje. I własną ziemię. Własną ojczyznę. Tu — to nie jest moja ojczyzna. Nikt mi w to nie uwierzy, jeśli tak nawet będę mówił. Jakież to szczęście mieć ojczyznę! Kiedy pomyślę, że Żydzi byli narodem

jak wszystkie inne, że byli rolnikami, że uprawiali sady i winnice, pierś moją rozpiera duma. Że mieli własne pałace, świątynie...

— Młody człowieku, czy wierzysz, że te czasy mogą wrócić? Pan nigdy nie będzie szczęśliwy. Pan jesteś raniony w samo serce. Bo jak można pogodzić jedno z drugim? Chyba pan nie wierzy, że nadejdzie Mesjasz, przycwałuje na białym koniu? Czy w ogóle jesteś pan religijny?

— Nie. Nie jestem religijny. Ale co dzień kładę tefilin. To jest ofiara dla rodziców i to jest więź z narodem. Robię to dla rodziców. Gdybym się nie pomodlił, wstydziłbym się spojrzeć im w oczy. Czy będę szczęśliwy? Człowiek żyje dla rodziców, dla narodu. Gdyby nie to, nie miałbym w ogóle celu w życiu. Nie chciałbym żyć. Nasze życie jest pasmem upokorzeń...

— Pan jesteś taki młody, ma pan przed sobą przyszłość. A jest pan taki zgorzkniały. Nie wiem, jak sobie pan właściwie przedstawia życie. Jedno panu powiem: rodzice to kula u nogi. Kiedy ja miałem siedemnaście lat, uważałem rodziców za swe największe nieszczęście. Boże! Dlaczego byli biedni! Dlaczego byli Żydami! To zamyka człowiekowi drogę do życia. Nie, pan jesteś zbyt młody, żeby rozumieć, ile warte jest życie. W pańskim wieku wymawia się życie i śmierć jednym tchem. Bez zrozumienia, bez lęku. Do dwudziestu lat jest znacznie lżej popełnić samobójstwo niż potem.

— Tak, to prawda. — Selig potarł chudą, drżącą ręką spocone czoło. Zmrużył wyblakłe oczy i cienkie, bezkrwiste usta opuściły się kącikami w dół.

Stryj zapalił papierosa, ale natychmiast zadeptał go nogą.

Zapanowało milczenie.

Otworzyły się drzwi kuchni i wszedł Mojsze-Łajb. Podszedł do stryja i podał mu zapisaną karteczkę.

Stryj powąchał liścik. Uśmiechnął się:

— Perfumowany. Kto ty jesteś, chłopczyku, i kto ci to dał?

— Fańcia. Powiedziała, że czeka na odpowiedź.

— Ach, Fańcia? Czego ona jeszcze ode mnie chce? — Stryj podniósł wysoko ciemne brwi. — Dobrze, odpowiem jej jutro. Powiesz.

— Młody człowieku — stryj zwrócił się do Seliga — jedną dam ci radę. Unikaj kobiet. Jeśli uśmiechniesz się do kobiety, to myśli, żeś gotów z miłości dla niej umrzeć. A jeśli weźmiesz ją niewinnie za rękę, to przytrzyma cię drugą i już więcej nie puści. Strzeż się kobiet. To rada starszego i doświadczonego człowieka. Jeden raz przeszedłem się z nią po alei, dziś po południu. I już pisze, że pragnie mnie mieć zawsze przy sobie. Tak, na tym najpiękniejszym ze światów nie ma nic za darmo. Niech czeka jutro na odpowiedź. Mnie już tutaj nie będzie. Odjeżdżam dziś o północy. Pociąg do Rożniatowa odjeżdża o dwunastej z minutami. W ogóle mój przyjazd tutaj był chybiony...

— Do Rożniatowa? — spytał Selig.

*

I rzeczywiście czarujący stryj wyjechał tej samej nocy. Rodzicom powiedział, że wraca do Worochty.

Po świętach Modche zaczął terminować u zegarmistrza Zajnwła. Już pierwszego dnia wrócił bardzo smutny. Jak mu tam jest? Dobrze. Czy podoba mu się praca? Tak. I z zaciśniętych ust nic więcej wydrzeć nie mogli ani matka, ani ojciec.

Po tygodniu nie przyszedł po pracy do domu. Matka przytaszczyła od Baltucha zwoje materiału na jutrzejszy targ i pierwszym jej pytaniem było: „Gdzie Modche? Już wieczór, a Modche jeszcze nie zakończył pracy?“ Poleciała do Zajnwła na piętro. W warsztacie dawno go już nie było. W bóżnicy rabina z Głogowa ojciec go dziś w ogóle nie widział. Gdzie mógł się podziać?

— Zniszczyłaś mi dziecko. Twoja wina. Rzemieślnik. Chciałaś mieć rzemieślnika, teraz masz rzemieślnika. Za parę centów sprzedałabyś siebie, dzieci i męża.

Ojciec uderzył pięścią w otwartą księgę. Otwierał i zamykał drewnianą tabakierkę! Tabaka wysypała się na stronicę talmudu. Ojciec głucho wzdychał.

Matka na razie milczała. Weszła do pokoju. Wybrała bieliznę z czarnej komody. Wróciła do kuchni. Siadła przy stole. Tarła czerwone oczy. Podkręciła knot. Odłożyła robotę i znów weszła do pokoju. Przyniosła małe, drewniane pudełko. Nasmarowała powieki i podkowy pod oczyma. Cynkową maścią. Znów zabrała się do łatania. Białymi powiekami przypominała śpiącą kurę.

— Dokąd mógłby pójść? — mówiła matka sama do siebie. — Do nikogo nigdy nie chodził. Pójść go szukać? Ale gdzie? Do nikogo nigdy nie chodził. Znał tylko dom i jedną drogę — z domu do bóżnicy. Nic go więcej nie obchodziło. Żadnych towarzyszy nie miał. Wiedziałam, że jak go nie ma w domu, to jest u rabina z Głogowa. Może zasiedział się u wnuka rabina, Mojme?

— Byłem tam też — powiedział ojciec, nie podnosząc oczu znad księgi.

— Może u Schariego? U Froima? Polecę tam zobaczyć!

— Ech — ojciec machnął ręką. — Co by on tam robił? Ten słup?

Matka wstała od stołu. Wyjęła spod szlabana koszyk z kartoflami. Obierała je, rozkrawała na cztery części i wrzucała do sagana. Cienka łupina opadała do drewnianej skrzynki. Po obierki przychodziła służąca Kassarabowej i płaciła pięć centów za cały worek.

Matka podpaliła pod kuchnią i gotowała jutrzejsze jedzenie: kartoflankę z mączną zacierką — na śniadanie i na obiad.

*

Modche wrócił późno. Miał wypieki na policzkach i gorejące oczy.

— Grom we mnie uderzył! — przywitała go matka. — Gdzie byłeś?

Ojciec, blady, milczał. Długo patrzał na Modche.

Modche próbował uśmiechnąć się.

— Nigdzie nie byłem.

— Co znaczy „nigdzie“? Po co zapłaciłam Zajnwłowi piętnaście reńskich?

— Byłem u Zajnwła.

— Nie kłam. Szukałam ciebie tam. Gdzie byłeś?

— Nigdzie nie byłem.

Ojciec wstał.

— Podejdź. Nie pamiętam, żebym ciebie, żebym ciebie... kiedyś uderzył. A ty wiesz, że ja bić potrafię, kiedy trzeba. Powiedz mnie, gdzie byłeś?

— Czego chcecie ode mnie? Nigdzie nie byłem.

Ojciec uderzył go. Modche zachwiał się. Zakrył twarz. Krzyknął. Poczuł na palcach krew. Spojrzał na dłoń. Była czerwona i lepka.

— Grom we mnie uderzył! Żyła pękła! — Matka zaczęła latać po kuchni, szukając czegoś. — Ty jesteś ojciec? Morderca! Coś zrobił? Zabiłeś dziecko! Żyła mu pękła!

Znalazła wreszcie ręcznik, który wisiał na krześle. Zmoczyła go w kwarcie z wodą.

Krew buchała z nosa i nie dawała się zahamować.

— Biada mi! Biada matce! Tak, żyła pękła! Gwałtu, lećcie szybko po doktora. Morderco, ratuj dziecko! — Załamywała ręce.

— Nie krzycz, nie bój się. Nic mi nie jest! Zaraz przejdzie. Za chwilę przejdzie. — Modche krztusił się.

— Tak, przejdzie, przejdzie — złościła się matka. — Żeby mnie już raz życie przeszło. Po co ja się tak męczę? Połóż się na wznak, na szlabanie. Boże mój! Ile krwi! Ja mam życie! Och, życie! Litościwi Żydzi! Ratujcie mi dziecko! — prosiła niewidocznych Żydów.

Przy wyżęciu z ręcznika spływały jasno-czerwone strugi. Modche odcharkiwał i wypluwał zakrzepłe gruzły krwi, podobne do kawałków wątroby.

Matce zsiniały usta.

— Biada mi, leć natychmiast po doktora. Idź! Najbliżej mieszka Kiczałes. I on jest Żyd. Boże, ile krwi! Cała kwarta krwi. Za rok nie odzyska tyle. No, idź już. Czego czekasz? Jak powie, że chce tylko przyjechać, to trudno, weź fiakier. Fiakry stoją na rynku, na rogu, obok budki z wodą sodową. A Kiczałes, wiesz, gdzie mieszka?

— Wiem, wiem. — Ojciec poprawił jarmułkę. Wdział kapelusz, wziął laskę. Przy drzwiach obejrzał się, czy czego jeszcze nie zapomniał. Dotknął mezyzy palcami i podniósł je do ust. Nacisnął klamkę. Ale nie zdążył wyjść.

W sieni rozległ się głos, pytający „kto to, kto to tu stoi?“ I po chwili wszedł Scharie. Zwracając się do ojca z uśmiechem rzekł: — A ja przyszedłem do was. Tam w sieni — Scharie wskazał ruchem głowy drzwi — tam w sieni, pod waszymi drzwiami stała córka waszej sąsiadki, ta, co szyje na maszynie, Szlomcia, i syn zegarmistrza Zajnwła — Arie. Oni podsłuchiwali. Natknąłem się na nich w ciemności. A wyście się wybrali w drogę? Jak napisano: „Laska w rękę i w drogę“. Przyszedłem do was z interesem — wyciągnął rękę — dobry wieczór wam, reb Tojwie.

Matka odwróciła się i fartuszkiem wytarła białą maść z powiek. Kiedy Scharie siedział już przy stole, weszła Szlomcia. Przyniosła watę, Modche włożył ją do nosa. Od tego wydawało się, że Modche nagle spuchł. Ale krew została zatamowana.

*

— Ajajaj, to ty, Modche? Nigdy bym nie powiedział. — Kiedy Scharie mówił, wystawiał brzuch lekko okrągły i głaskał jasną, rozczesaną brodę. — Ajajaj, co wy mówicie? Wierzyć mi się nie chce. Gdzieżeś ty był naprawdę? Mnie przecież możesz powiedzieć. Niech Bóg broni, żebym ja miał bić tak

mego Froimka. Reb Tojwie, właśnie w sprawie mojego Froimka chciałem z wami pomówić. Który sezon on się u was już uczy? Jakoś nie widać żadnych postępów. Wy uczycie się razem? — zwrócił się do Modche. — I jeszcze, zdaje się, dwaj chłopcy, ci ze wsi, w krótkich surducikach, Azyk i Szmił z Monasterc? Zdaje się, że wasz brat ma jeszcze córkę? Już na wydaniu? Mówią, że to dość bogaty Żyd? Co? Czemu ich nie widać? Nie wyjechali jeszcze po świętach? No, a do gojowskiej, nie przymierzając, szkoły też nie przyjechali? Tam się nie patrzą — Żyd, nie Żyd, sobota, nie sobota, a do szkoły przychodź, w święto pisz. Ucz się powolutku, przyzwyczaj się i z maleńkiego goja wyrośniesz na wielkiego goja. Już mój Froim nie będzie siedział z obnażoną głową. Choć on może nie ma takiego rabinackiego mózgu jak wasz Modche, ale ja, Scharie, chcę, żeby mój jedynak był uczonym Żydem. Mnie na to stać. A wy, reb Tojwie, nie macie tak dużo uczniów... Wcale nie tak dużo... Ja swego jedynaka oddawać do zegarmistrza nie muszę. Mój syn, póki jego ojciec nie zamknął jeszcze oczu, będzie się uczył. Czy będzie rabin, czy szojchet, czy dajen — wszystko mi jedno. Choć prawdę mówiąc, nie wszystko jedno. Jak to powiadają: trzeba mówić o małym, a myśleć o dużym. Trzeba czasem zgodzić się na gorsze, a nuż wyjdzie na lepsze. A dla dobrego wszak granic nie ma. I tak niech będzie dajen, a Bóg da, będzie rabinem... Ale nie to chciałem powiedzieć.

Scharie rozsiadł się szeroko na krześle. Położył czerwone, jasnymi włosami porosłe ręce na stole. Ojciec siedział naprzeciw niego. Marszczył rzadkie brwi. Słuchał uważnie. Kiwał głową. Rzucał ukradkiem podejrzliwe spojrzenia.

— Ale nie to chciałem powiedzieć. Kiedy Żydzi modlili się u mnie w domu po śmierci mojej teściowej, Ronciełe, błogosławiona jej pamięć, pomyślałem sobie, dlaczego taki Żyd jak ty, szanowany dzięki Bogu, zarabiający na życie tyle, ile potrzebuje, a jak trzeba, to pomaga jeszcze innym... reb Szułymowi, gdy mu potrzeba było, pożyczyłem trochę pieniędzy. Czemu nie? Jego żona, Chaje, kiedy dzierżawiłem łaźnie, wyręczała mnie przy wydawaniu biletów, rozumie się, że nie darmo. Czemu nie? Niech przy mnie drudzy Żydzi zarabiają. A Jojnemu nie groziło bankructwo? Gdybym mu nie pożyczył? Wprawdzie nie dużo, dwieście reńskich. Żyj i dawaj drugim żyć!... Więc cóż chciałem powiedzieć? Tak... Więc myślałem sobie, dlaczego taki Żyd jak ja nie ma mieć własnej bóżniczki? Dzięki Bogu mogę sobie pozwolić. Co? O zysk mi idzie? Chyba wiecie, reb Tojwie, jaki tu zysk można mieć, ale nie, myślę sobie, człowiek nie żyje wiecznie i bogactwa na tamten świat nie zabierze ze sobą. Zabiera ze sobą dobre uczynki. A kiedy należy o tym pamiętać, jeśli nie za życia? Po śmierci jest za późno. No i nikomu żadnej krzywdy nie wyrządzę. Przeciwnie, niejeden z tego przy mnie skorzysta... Już kupiłem torę. Moja teściowa Ronciełe, dusza jej w raju, zostawiła coś niecoś po sobie w spadku. Takie pieniądze, powiadam do mojej żony Racy, trzeba uczciwie wykorzystać. I kupiłem torę. Myślę, że tora od rabina z Mościsk jest bez błędu. Ale chciałem, żebyście wy, reb Tojwie, dokładniej ją przejrzeli. A jak wy powiecie, że wszystko w porządku, to już będę spokojny. Nie mogę przecież, niech Bóg broni, wziąć na siebie śmiertelnego grzechu, żeby u mnie w bóżniczce Żydzi modlili się przed torą, żebym tego nie powiedział w złą godzinę, tfu, tfu, z błędem. Ma się rozumieć nie za darmo. W Rozdole — powiadają — zdarzył się taki nieszczęśliwy wypadek z błędem. W święto tory, w nocy, na pochodzie w rynku, tora

wypadła rabinowi z ręki, cały Rozdół, nawet ośmioletnie dzieci, wszyscy pościli przez czternaście dni. No i myślicie, że coś pomogło? Wybuchła epidemia. Żydzi marli jak muchy. I dopiero, kiedy urządzono wesele na cmentarzu, nieco się uciszyło... Tak, ale nie to chciałem powiedzieć.

Scharie westchnął, zdjął rękę ze stołu i łokciami oparł się o poręcze krzesła.

— Jak to napisano w naszych świętych księgach: „Nie patrz na dzban, ale na to, co jest w nim". Po co się będziemy oszukiwać. I nie weźcie mi tego za złe, że wam to powiem. Jestem człowiekiem, który lubi prawdę w oczy powiedzieć. Wy, reb Tojwie, najlepiej to rozumiecie. I dlatego wam powiem. Taki Żyd, jak wy, reb Tojwie, uczony w Piśmie Świętym, jak ma córkę, która doszedłszy, chwała Bogu, do odpowiedniego wieku, nie została poślubiona mężowi, jak przykazał zakon Mojżesza i Izraela, i ponadto wyszła poza opłotki żydowskiego domu, taki Żyd, powiadają, nie może stanąć przed arką i przewodzić Żydom w modłach. Nie mówiąc już o tym, że naraża życie Żydów, którym błogosławi jako kapłan. Wiecie, że jeśli jeden choćby Żyd ma zarzuty przeciwko kapłanowi, to jemu nie wolno podnieść rąk, ażeby spłynęła na nie świętość boża podczas błogosławienia ludowi. Małym chłopcem byłem, u nas w Rozdole żył jeszcze cadyk rozdolski, kiedy na Nowy Rok, w straszny dzień, modlący się ściągnęli z jednego kapłana tałes i wyrzucili grzesznika z bóżnicy, wiecie za co? Za to, że nie on sam, ale syn jego, rozumie się też kapłan, wyjechał z Rozdołu, osiedlił się w jakiejś wsi, zdaje się w Koniuchowie i ożenił się z rozwódką. Rabinowi w pobliskim miasteczku nie powiedział, że jest z rodu kapłanów. Ożenił się z rozwódką... Tak... ale nie to chciałem powiedzieć... Ja nie patrzę na dzban, nie na to, co wszyscy widzą. Ja patrzę na to, co w nim jest, na to, co nie wszyscy ujrzeć potrafią, na waszą, reb Tojwie, uczoność i bojaźń bożą. Tego nie widział nawet rabin z Mościsk, który was odtrącił od arki, od czytania tory wobec zebranych w sobotę Żydów. A ja nie tylko na sobotę, nie tylko na zwykłe święta, ale nawet na straszne dni — na Nowy Rok i Jom Kipur — biorę was, reb Tojwie, na przewodnika do modlitw w mojej bóżniczce. I powiem wam prawdę, że takiego Żyda jak wy nie znajdę drugiego w mieście. Wszystko razem. I modły, i uczoność, i piękny głos, i czytanie tory, i to, co najważniejsze — kapłan. Wśród wszystkich Żydów modlących się w mojej bóżniczce nie ma ani jednego kapłana.

Scharie przerwał. Wyprostował się w krześle. Opuścił grube, różowe powieki i spytał:

— Co wy na to, reb Tojwie?

Ojciec odsunął tabakierkę i po chwili wahania odpowiedział:

— Rozumie się... rozumie się... Własna bóżniczka, to wielka rzecz. Ale jakeście to powiedzieli?... „Nie patrzę na dzban, ale na to, co jest w nim". A ja wam odpowiadam: nie masz wina w rozbitym dzbanie. Nie ma uczoności i bojaźni bożej w człowieku poszczerbionym skazą... A jeśli tak, dlaczego przyszliście z tym do mnie, reb Scharie?

— A czy ja wam mego Froimka nie oddałem na naukę? A przecież dobrze wiedziałem, że wszyscy odebrali swych synów od was. Czemu jednak ja tak nie zrobiłem? Po pierwsze myślałem sobie: to, że wasza córka oddala się od świętego żydostwa, nie jest waszą winą. Poza tym, wiadomo — córka to nie syn. Córkę można nawet posyłać do gojowskiej szkoły, a potem wydać za pobożnego Żyda i obciąć jej warkocz na ślubie. Po drugie, kto w naszym mieście potrafi

tak jak wy, reb Tojwie, wyjaśnić najzawilsze miejsce gemury. Albo weźcie waszego brata z Worochty. Kto by powiedział, że brat Tojwiego może nosić się krótko, po niemiecku. I czy można o to winić waszego ojca, dusza jego w raju? Czy z jednego łona, z jednej matki nie wyszli Jakub i Ezaw?

— Tak, to prawda — westchnął ojciec. Zamyślił się i opuścił głowę.

Scharie podniósł się lekko w krześle. Poprzez stół dotknął ramienia ojca i rzekł śpiewnym głosem, jakby się modlił:

— Oj, Żydzie, Żydzie. Zarobek wciska ci się sam w ręce, a ty go odpychasz.

— Któż by nie chciał zarobić? Tu nie o zarobek idzie... Ale...

Scharie czekał. Ojciec milczał. Scharie ściągając rudawe, jakby strzyżone brwi, zaśpiewał potrójnym, łamanym trylem, kciukiem prawej ręki wywijając w powietrzu jak śrubą:

— „Ale...“ Żyd musi zawsze pokręcić grubym palcem. Jakby zawsze i wszędzie wszystko było zawiłym wersetem. „Ale... ale“.

— Reb Scharie, kiedy Żydzi zwijali na pustyni namioty, żeby ruszyć w drogę, w daleką drogę, na czterdziestoletnią tułaczkę, przypominali sobie garnki z mięsem, cebulą i czosnkiem, jakie mieli w niewoli u faraona. Zapominali wtedy o ciężkiej niewoli i narzekali jedynie na tułaczkę. Jeden Bóg wie, jak mnie ciężko było odejść z bóżnicy rabina z Mościsk. Ale wtedy musiałem. Nie było mi żal garnków z mięsem. Tam tego nie miałem. Zapomniałem o sporach z rabinem z Mościsk — nieuctwo, to gorsze niż niewola, nieuctwo to oddalenie się od Boga, to niewiedza, co dobre, a co złe, bo jaka by była różnica między nami, Żydami, a innymi, gdybyśmy nie wiedzieli, co jest dobre, a co jest niedobre, co jest miłe Bogu, a co niemiłe, co jest sprawiedliwe, a co grzeszne? Tak. Ciężko mi było odchodzić od rabina z Mościsk. Nie dlatego, że mnie stała się krzywda. Ale dlatego, że tam nic innego stać się nie może, prócz krzywdy. A teraz miałbym odejść od rabina z Głogowa? Od rabina z Głogowa?! Wiecie, co to znaczy?!

— Co znaczy? Nic nie znaczy. Rabin z Głogowa to święty Żyd. Błogosławione łono, które wydało go na świat. I ja też wiem, jaka jest słodycz modlitwy u rabina z Głogowa. Po dziś dzień żałuję, że kiedyś byłem chasydem rabina z Mościsk. Ale co macie z tego? Czy biedny reb Scharie nie potrafi wynagrodzić wam tej straty? Wiem, że mówiąc o moim domu modlitwy i bóżnicy rabina z Głogowa trzeba powiedzieć „nie przymierzając“. Ale czy nawet w lesie lub nie daj Boże w pustym polu, gdy Żyd przymknie oczy i westchnie do Boga, nie spływa na modlącego się łaska boża? To jedno. A po drugie, czy wy, reb Tojwie, coś do tego interesu dołożycie? Przeciwnie, przeciwnie, reb Tojwie.

— Ech, to jest całkiem inna sprawa — zniecierpliwił się ojciec. — A jacy Żydzi będą się u was modlić, reb Scharie?

— Jak to jacy? Żydowscy Żydzi. Już o to niech was głowa nie boli. Zamożni Żydzi. Wasz gospodarz, reb Lejzor Steif, podoba się wam? Szułym, ten, co skupuje skóry po wsi. Prawda, on nie jest wielki bogacz. Gdyby nie ja... ale po co mam wam o tym opowiadać? Zegarmistrz Zajnweł, nu, co wam będę dużo wyliczał... Znowu to samo, o czym mówiliśmy przedtem. O dzbanie i winie... Reb Zajnweł jest Żyd jak Pan Bóg przykazał, a jego syn... — Scharie zniżył głos. — Mówią o nim, że widziano go razem z tymi hołyszami na Bolechowskiej u tego stolarza, co niedawno sprowadził się do naszego miasta, u Scheinera. To, że ja kupiłem torę do swego domu, to nie przypa-

dek. Nad naszym miastem zbierają się jakieś złe chmury. Nie ma rodziny, żydowskiej rodziny, gdzieby się nie wciskał grzech. Powietrze jest zatrute, reb Tojwie. Ja czuję, że idzie ku nam nieszczęście. Bóg w Egipcie, kiedy od domu do domu szła zaraza, kazał Żydom krwią baranka mazać drzwi, ażeby śmierć omijała żydowskie progi. Dziś Bóg nie daje nam żadnych znaków. Sami musimy je sobie znaleźć. Może tora odstraszy nieszczęście od naszego domu, od mojego jedynego syna. Czy wy wiecie, co oni tam robią, ci chłopcy i dziewczęta, u stolarza Scheinera? Mówią, że palą w sobotę papierosy. Czy na takie miasto nie może spaść każdego dnia przekleństwo? Tak, ta dziewczyna, co tu przyniosła watę, też tam przychodzi. A o jej siostrze opowiadają jeszcze gorsze rzeczy. I tak prawie w każdym żydowskim domu dzieją się niedobre rzeczy. Tak, reb Tojwie, czasy, czasy. Zaraza spadła na nasze miasto. Trzeba się otoczyć świętym płotem, żeby nie wtargnęła, niech nas Bóg ma w opiece, do naszych domów. Dlatego nie tylko wprowadziłem do siebie torę, ale chcę, reb Tojwie, mieć bóżniczkę i was mieć jako kapłana. — Scharie zamilkł. Zapiął guzik bekieszy, jakby się już zabierał do odejścia. Nagle uderzył ręką w stół. — Tak, ale jeszcze jedno... Tak, więc, reb Tojwie, tamten interes możemy uważać za ubity? Tak. Jeszcze jedno chciałem powiedzieć. Jest to nie takie ważne. Ale skoro już człowieka naszła chwila gadania, to niech wygada się. Jak wiecie pewno, reb Tojwie, siostra mojej żony Racy, Ester, czeka na kartę okrętową od swego męża i dziś, jutro pojedzie do Ameryki. Ona wprawdzie mówi wszystkim, że już otrzymała kartę okrętową, ale to jest zwykłe kobiece kłamstwo. Ot, takie sobie kłamstwo, żeby wrogowie pękali z zawiści. No, ale z nią nie mam już kłopotu, dzięki Bogu. Drugą siostrę mojej żony Racy, Zełde, Bóg błogosławił trzema córkami i mężem kaleką, To jest kłopot. Jakem Żyd, chciałbym jej pomóc. Serce mi się kraje, gdy widzę, jak ona się męczy. Ale co ja jeden potrafię zrobić? Najmłodszą córkę, Szajndł, ma dwanaście lat, wziąłem do siebie. Niby, żeby pomogła mojej żonie w kuchni. Nie potrzebuję wam mówić, że mnie nie chodzi o to, żeby pomagała w kuchni. I co jeszcze mogę zrobić? Ale wiecie, że nędza ma wielkie oczy. Wszystkiego jej za mało. Bóg mnie ukarał, żebym nie zgrzeszył zbędnym słowem, spadkiem. Spadek. To się tylko mówi: spadek. Żeby kupić tę torę, musiałem dodać z własnych pieniędzy. No, ale Zełde, nie tyle Zełde, ile właśnie Ester, ma wielkie oczy i ciągnie mnie na sąd do rabina. Więc ja jej mówię: po co? Żeby całe miasto obnosiło nas na języku? Pójdziemy lepiej do jakiegoś uczonego Żyda, ot na przykład jak wy, reb Tojwie. I jak on powie, tak będzie. Więc jak Zełde czy Ester tutaj u was będzie, oświećcie te głupie kobiety, po co i na co kupiona została tora. Tych parę reńskich, to już nie po prostu pieniądze, ale święte pieniądze, świętość i obrona przed nieszczęściem, które wisi nad nami wszystkimi. I nad nimi też.

— A Zełde i Ester zgodziły się na to — spytał ojciec — żebym ja...

— Tak, mają zaufanie do was, do waszej sprawiedliwości.

— A wy, reb Scharie, też macie zaufanie? Do mojej sprawiedliwości? — Ojciec zmrużył siwe oczy.

Scharie nie odpowiedział. Rozległ się straszliwy krzyk. Zza ściany dochodził dziewczęcy pisk, zaczynający się od razu od najwyższej nuty i przechodzący w ochrypłe wycie. Wciąż powtarzające się przeciągłe „aj, aaaj, aaaaj". Jak krzyk człowieka napadniętego w ciemnym zaułku.

Scharie nadsłuchiwał:

— Kogo tak biją? — spytał. — Tak bez serca?

— Mąż Zełde, Geceł, bije Bajłe — powiedziała matka.

Scharie zbladł. — Tak — szepnął. — Ta dziewczyna zasłużyła sobie nie tylko na bicie, ale na ukamienowanie. — Jeszcze coś chciał powiedzieć. Ale uspokoił się. Wstał, odwrócił się i rzekł:

— Widzisz, Modche? Słyszysz, jak należy bić? Twój ojciec miał nad tobą litość. Powinieneś tę rękę całować.

Kiedy Scharie wychodził, w sieni odskoczyły od drzwi dwie postacie. W smudze światła można było poznać, że to był Arie, syn zegarmistrza, i Szlomcia, córka wdowy Giteł.

*

Nazajutrz późnym wieczorem przyszła do ojca nie tylko Zełde i gruba Ester, ale i Fajgełe.

Aronek stanął we drzwiach, prowadzących do ciemnego pokoju. Fajgełe była sama. Nachmurzyła się i niechętnie patrzyła na wszystkich. Aronek dawał jej znaki, żeby podeszła, ale dziewczynka wzruszała ramionami. Wreszcie wziął ją za rękę i zaprowadził do pokoju. Przysunął krzesło do okna. Usiadł. Oparł się jedną ręką o parapet. Nogi założył jedną na drugą — jak stryj Karol.

— Chodź, wezmę cię na kolana. Ty jeszcze mała jesteś! Mnie stryj Karol też trzymał na kolanach — szepnął Aronek.

Fajgełe pisnęła i odepchnęła go piąstką.

— Fajgełe, ja już mam pełnych sześć lat, w święta były moje urodziny. Już mam siódmy rok. Stryj Karol przyjechał na moje urodziny. Ale musiał odjechać do Rożniatowa. On się chce ożenić z moją siostrą. A potem ja pojadę z nimi. Jeszcze dalej niż do Ameryki.

Fajgełe przysunęła sobie krzesło do okna. Uklękła i skłoniła głowę na parapet; żeby jej było miękko, podłożyła sobie rękę.

Z kuchni dochodził donośny głos grubej Ester i ochrypły Zełde.

— Elke, co wy nie powiecie na to? Przecież jeszcze żyją ludzie, dzięki Bogu, co mogą zaświadczyć, pamiętają. — Elke, perłowy kokosznik wy na pewno dobrze pamiętacie, a diamentowe butony?

— Reb Tojwie, wy jego nie słuchajcie, wy nie wierzcie Schariemu — przekonywał ochrypły głos Zełde.

— Fajgełe — szepnął Aronek.

Dziewczynka machnęła ręką, jakby odpędzała się od much.

— Fajgełe — u nas jeszcze zostało pół butelki wiśniaku i pełno macy. A u was?

— Wiśniak? — spytała dziewczynka, nie podnosząc głowy z parapetu — gdzie wiśniak?

— Fajgełe, opowiem ci jedną straszną tajemnicę. Chcesz? Ale nikomu, nikomu tego nie powiesz? Słyszysz? Fajgełe, słyszysz?

— A lalce też nie? — Głos Fajgełe stał się miękki i senny.

— Głupiaś. Lalka jest nieżywa.

— Sam jesteś nieżywy.

— Wiesz? W Święta mogłem się stać ślepym, ale nie stałem się. To był grzech. Ale teraz zawsze będę patrzeć. Stryj Karol powiedział, że pierwszy

raz zawsze wolno. A potem się już nie umiera. Nawet można chleb jeść w Pesach. Ale nie mów tego nikomu. Słyszysz?

— Za te pieniądze ze spadku mógłby kupić całą furę z torami — mówiła gruba Ester.

— Niech on to opowiada swojej Racy, że jeszcze dołożył ze swoich pieniędzy. Za samo srebro, co nasza matka zostawiła, czego by nie można kupić — pomagała jej Zełde.

— Słyszysz, Fajgełe, ty widziałaś, jak kapłani w święta błogosławią. Ja też jestem kojhen. Modche też już błogosławi. A jak ja będę miał trzynaście lat, też będę błogosławił. Spójrz, ja umiem tak trzymać ręce.

Aronek rozczapierzył dłoń, trzymając po dwa palce razem. Ale mały palec wciąż odskakiwał od serdecznego.

— Widzisz, a tu między palcami siada Bóg i dlatego nie wolno się patrzeć. Można oślepnąć. Jak się patrzeć raz, to ślepnie jedno oko, drugi raz, to drugie oko. A ja nie oślepłem.

— Reb Tojwie, to ja mówiłam mu, żeby do was pójść. On nie chciał. On chciał pójść z nami do rabina z Mościsk — krzyczała gruba Ester.

— Wy jemu nie wierzcie, reb Tojwie — prosiła Zełde.

— Słyszysz, Fajgełe? Wszyscy Żydzi zakrywają twarze tałesami i chowają dzieci pod bekiesze. A ja stałem sam i patrzałem. Tato i Modche i inni kojhen stali koło arki i trzymali ręce do góry. Ot, tak, widzisz? I wcale się nie bałem. Nie wierzysz? Trochę się bałem pierwszy raz, ale potem już nie. Fajgełe? Słyszysz?

Aronek nasłuchiwał. Dziewczynka milczała. Dotknął palcem jej policzka. Fajgełe spała.

W kuchni zaczęła krzyczeć matka.

— Tojwie, zostaw już to puste gadanie z kobietami. Perły, srebro, kolce... co mnie to wszystko obchodzi. Dużo mnie z tego przyjdzie. Jeszcze cudze kłopoty brać na swoją głowę. Mało mam własnych. Niech oni sobie sami zawracają głowę. Scharie, szmarie, interes!

— Elke — powiedziała proszącym głosem Zełde — jesteśmy przecież Żydami. — Zełde zaczęła kaszleć, jakby od tego mogła ustąpić chrypka. — Ja na ten spadek czekałam jak na Mesjasza. Trzy dziewczyny siedzą w domu i rosną. Bajłe wyrosła już z tych szmatek, jakie miała. Zła dziewczyna. Utrapienie. I nic nie pomaga. Żadne bicie. Ale przecież — córka. Bose to i nagie, wszystkie trzy. W sobotę patrzą przez okno, jak inne żydowskie córki chodzą sobie na spacer. Fe, Elke, po was bym się tego nie spodziewała. A co znaczy być Żydem, jak nie pomagać jeden drugiemu?

— Czy moj Tojwie jest rabin, żeby mieszał się do cudzych sporów! Idźcie do rabina. On z tego żyje. To jego handel. Co? Żal wam tych paru reńskich? — złościła się matka.

— Kto tu coś gada o pieniądzach? Tu w ogóle nie ma mowy o pieniądzach. — Gruba Ester pogłaskała matkę po ramieniu.

— Ja też nie mówię o pieniądzach — uspokoiła się matka — ale po co on ma robić sobie wroga za darmo. On i tak ma ich dosyć!

— A kto ich nie ma? — Ester machnęła ręką. — Jak jeszcze mój Bendyt był w domu i zarabiał, każdy przychodził do niego. Temu pożyczył reńskiego, temu dwa na sobotę, na Święta. Wtedy byłam „droga Esterciu". A jak spadło

na mnie nieszczęście i Bendyt przywiózł z Węgier wagon zgniłych śliwek i przepadły wszystkie pieniądze — to mnie już nikt teraz nie zna. Jak się rodzi bogacz, to się aniołowie cieszą, a jak się rodzi, nie daj Boże, biedak, to płaczą. Biedak przyrównany jest w naszych świętych księgach do trupa. Prawda, reb Tojwie?

— Oj, niestety, prawda — westchnęła matka.

— Dziś mam wrogów. Taka chuda Chaja. Jej czarny Szułym nie jednego reńskiego pożyczył u Bendyta na swoje skóry. Żeby on mnie oddał tylko to, co został winien, miałabym dość, póki nie wyjechałabym do Ameryki. Dzisiaj ona, jak mnie spotka na ganku, to nawet dzień dobry nie powie. I niech się moim wrogom to stanie, czego ona mnie życzy. Bóg jeden na niebie widzi, jak mnie teraz bez Bendyta ciężko. I on tam też miodu nie liże. Pisze, że od żelazka, od prasowania spodni chodzi jak zaczadzony. Przed świętami Pesach dostałam od niego list. — Jeszcze trochę, pisze Bendyt, poczekaj, moja żono, zbiorę trochę dolarów i wykupię kartę okrętową i poślę ci.

— Jak to? — zdziwiła się matka — nie dostaliście jeszcze karty okrętowej? A wszyscy mówią, że już dostaliście?

— Hm. Droga Elke — powiedziała Ester — jak wam to wytłumaczyć. Ludziom mówię, że już dostałam, ale wam mogę się przyznać, że nie. Po co ludzie mają wiedzieć? Niech myślą, że już mam kartę okrętową — w kieszeni. Być opuszczoną kobietą z dzieckiem — to wierzcie mi, nie słodkie życie.

Ester nagle rozpłakała się.

Aronek rozbudził Fajgełe.

— Fajgełe, Fajgełe, twoja mama płacze!

Dziewczynka nie zrozumiała, o co idzie. Zaczęła głośno piszczeć. Nie mogła zleźć z krzesła. Od długiego klęczenia bolały ją kolana.

— Waj, waj — krzyknęła Ester. — Moje dziecko, zapomniałam o nim. — Ester weszła do ciemnego pokoju.

— Gdzie jesteś, Fajgełe?

Aronek pomagał dziewczynce zejść z krzesła.

— Fajgełe, ptaszku mój, gołąbku — powtarzała Ester, pociągając nosem. — Zapomniałam o tobie.

Ester wzięła ją na ręce, okrywała pocałunkami i zaniosła do kuchni.

— Nu, Zełde, już późno — powiedziała do siostry. — A wy, reb Tojwie, nie bierzcie za złe prostym kobietom, że zawracają wam głowę. Nie myślcie, że jest nam tak przyjemnie kłócić się o spadek po matce. Ale Bóg jeden wie, jak nam ciężko. Wstyd wstydem, ale prawować się będziemy przed rabinem. Ja swej części spadku mu nie podaruję. Za pejsy go pociągnę do rabina!

— Nawet do sądu — dodała Zełde.

## SĄD

Jeszcze przed świętami przyszedł jakiś pan w kapeluszu, z papierami pod pachą. Ciągle wyjmował z kieszeni kamizelki okulary, wiszące na czarnej tasiemce, nasadzał na nos i coś zapisywał.

— Proszę przyjść, wielmożny panie, kiedy będzie żona, ja nic nie wiem — starał się go ojciec przekonać, ale bez skutku.

Rozejrzał się po kuchni i mruknął:

— Tu nic nie ma. Ten szlaban i stół to przedpotopowe graty. — Wskazał tylko na półkę z książkami, przybitą do ściany, ale gdy się dowiedział, że to żydowskie, machnął ręką.

W pokoju spodobała mu się „jako tako" duża dębowa szafa z kolumienkami, końskimi głowami o kręconych grzywach, lustro w brązowej oprawie, stojące wzdłuż ściany dębowe łóżka również z kolumienkami i końskimi głowami.

Pan w kapeluszu podniósł kapę i śliniąc ołówek powiedział:

— Pierzyny też zapiszemy.

Przez chwilę stał z podniesioną głową i trzymając koniec ołówka na ustach spytał:

— Ten świecznik — to u was pewnie święte?

Po świętach znowu przyszedł. Był piękny dzień. Aronek siedział na wiecznie popsutej pompie i przypatrywał się grze chłopców. Mojsze-Łajb i Kiwe, przezwany „Łoszakiem", syn czarnego Szułyma, skupującego skóry, rzucali po kolei nożykiem. Ostrze wrzynało się w miękką, wiosenną ziemię. Mojsze-Łajb przegrał i Aronek miał zająć jego miejsce. Ale usłyszał głos ojca. Ojciec stał w otwartym oknie, machał doń ręką i wołał go do domu.

W domu poznał pana w kapeluszu i z papierami pod pachą. Nic nie pisał. Był w towarzystwie gospodarza domu, długiego Lejzora Steifa, i stróża Prejmycza. Stróż przygniatał kolanami olbrzymią pierzynę, wyłażącą z prześcieradła na wszystkie strony. Potem wziął tłumok na głowę i wyszedł.

Ojciec biegał za nim, za Lejzorem Steifem. Ręce mu dygotały. Jarmułka zsunęła się i odsłoniła łysinę. Czarna broda i cyces, wyłażące spod kamizelki, rozwiewały się w biegu. W oczach miał strach.

— Reb Lejzor — wołał za gospodarzem, pomagającym stróżowi wynosić rzeczy — słuchajcie, co wam powie Żyd, którzy musze na ścianie krzywdy nie zrobił. Czy to słyszana rzecz, żeby jeden Żyd drugiego pchał w przepaść? Czy widziane, żeby jeden Żyd wchodził w jasny dzień na drugiego Żyda i zabierał mu nędzny dorobek?

— A gdzie widziane, żeby jeden Żyd mieszkał u drugiego i za całe pół roku nie zapłacił złamanego centa? — odpowiedział gospodarz.

— Reb Lejzor, zatrzymajcie, jeśli macie Boga w sercu, ten rabunek gojowskimi czyniony rękami! Poczekajcie! Nikt nie chce waszej krzywdy! Poczekajcie! Moja Elke zapłaci wam co do centa. Arałe — ojciec chwycił chłopca za ramię tak silnie, że go zabolało. — Arałe, leć na górę do Zajnwła. Niech Modche poleci do budki po matkę.

Matka nie zastała już ani pana w kapeluszu, ani gospodarza, ani stróża. Kiedy ujrzała puste łóżko i jasną plamę na miejscu lustra w brązowej ramie, złapała się za głowę, a potem napadła na ojca.

— Do czego wołałeś mnie? Do chłodnego trupa?

— Myślałem, że jeszcze zdążysz przyjść z pieniędzmi — powiedział ojciec.

— Co? Pieniądze?! Po jakim świecie ty chodzisz? Nieszczęście ty moje! Po co coś takiego chodzi po świecie? Pieniądze? Skąd ci wezmę?

Matka siadła na kanapie. Przez rozprutą ceratę przezierała zardzewiała sprężyna. Matka załamywała dłonie i palce wydawały cichy trzask. Milczała. Podbródek jej drgał. Z zaczerwienionych oczu lały się łzy.

— Tojwie... Tojwie... idź... idź do Lejzora i proś go, może poczeka jeszcze trochę.

Matka ciemną ręką powiodła po mokrym policzku.

— Nie, nie idź. Sama pójdę. Co robić? Sprzedam kolczyki. Ach, Boże mój, czego ja się doczekałam. Albo dam je Steifowi w zastaw. Potem może mi się uda zapłacić. Może mi się uda wydostać pieniądze. Ale gdzie? W budce cicho, nikt nawet nie pyta, po co tam siedzę. Pusto jak na cmentarzu.

Matka wstała, wyjęła z kieszeni spódnicy kolczyk. Podeszła do dębowej komody, nad którą została po brązowym lustrze jaśniejsza plama. Otworzyła najniższą szufladę. Pogrzebała wśród bielizny i wydobyła małe, skórzane pudełeczko.

Nagle sobie przypomniała:

— A Scharie? Może pójdziesz do Schariego? Może da ci zadatek? Ile ci da, weź. Może uda się choćby na razie zapchać pysk Lejzorowi? Czego milczysz? Oniemiałeś? Bóg ci mowę odebrał?!

— Nie pójdę do niego.

— Wiedziałam. Dlaczego nie pójdziesz?

— Wczoraj Froimek był u mnie już ostatni raz. Dziś już nie przyszedł. To znaczy, że Scharie go ode mnie zabrał.

— Po tym wszystkim, że naobiecał ci złote góry. Tak, jak się bije człowieka, to już ze wszystkich stron. Azyk i Szmił z Monasterc też tak szybko nie przyjadą. Teraz praca w polu. Kto nie zna Rojzy? Zaprzęga ich pewno do pługa. Dla niej morgi są ważniejsze niż szkoła, niż cheder. Ale dlaczego Scharie zabrał swego syna? Boże! Boże!

*

Mojme przyszedł z poleceniem od swego dziadka, rabina z Głogowa. Rabin wzywał ojca. Ojciec zamknął mieszkanie na kłódkę i zabrał ze sobą Aronka.

Rabin z Głogowa mieszkał w rynku, w dużej, jednopiętrowej kamienicy. Na szerokim podwórzu stały ciężarowe wozy z beczkami piwa. Wjeżdżały z hukiem od strony rynku przez szeroką bramę i wyjeżdżały na wąską ulicę, prowadzącą obok cerkwi do łęgów nad rzeką. Był to pasaż Goldmanna. Rabin zajmował na piętrze wraz z dwoma zięciami cztery pokoje. Jeden pokój należał do bezdzietnej Surałe, żony handlarza węglem, drugi do Pesi, matki Mojme i Lulka. W największym pokoju z dużym, białym piecem kaflowym stała arka z torami. Tu mieściła się bóżniczka. Tu dawano rozwody, tu odbywały się sądy rabinackie.

Rabin w żółtej, atłasowej bekieszy siedział w fotelu przy długim stole.

— Błogosławiony bądź, przybyszu — przywitał ojca.

Lekko podniósł się z fotela i wyciągnął końce długich, cienkich, żółtych palców.

W kącie izby, pod szafą z księgami stały Ester i Zełde.

Ojciec usiadł po lewej stronie stołu, powiesił laskę na poręczy krzesła. Wyjął ze skośnej kieszeni tabakierkę i położył przed sobą.

— „Sądźcie więc między mną a winnicą moją" — uśmiechnął się.

— Tak. „Sądźcie między mną a winnicą moją" — powtórzył rabin.

— Jak ja widzę, „winnicy" jeszcze nie ma. Kobiety już czekają. A Schariego nie ma. Bo domyślam się, że jego właśnie wzywają na sąd.

— Tak, reb Tojwie. Ale „nie sądź bliźniego, póki nie staniesz na jego miejscu". I dlatego nie wiem, kto tu jest „winnicą": on czy kobiety.

Ojciec rozłożył ręce i cofnął w tył głowę.

— Bo wyraźnie powiedziane jest tamże — ciągnął rabin —

„Winnicę miał Milenki
W zakątku przepięknym.
I oczyścił ją z gruzu, i żwir usunął,
I płot w niej postawił..."

Bóg wybrał naród żydowski i dał mu żyzną ziemię. Czego więc było mu trzeba?

„Cóż więc trzeba było uczynić mojej winnicy,
A ja nie uczyniłem?
Czemu więc myślałem zebrać winograd,
A grona kwaśne są?"

Rabin westchnął i mówił dalej:

— Tak, reb Tojwie, winnica grzeszna była. Grona urodziła kwaśne! I jeśli się mówi: „Sądźcie między mną a winnicą", to już się wie, na kogo spadnie wyrok. Wysłuchajmy obu stron. A wtedy powiemy, kto jest winnicą. Reb Tojwie, proszę was, wybaczcie mi i nie bierzcie mi za złe tych słów.

Rabin zmrużył oczy i mówił:

— Tak. Po reb Schariego posłałem szamesa. Ale szames wrócił i powiada: „Rebe, reb Scharie mnie nie chciał wysłuchać. «Nie odpowiada to godności mojego męża» — powiedziała mi Żydówka Raca, żona reb Schariego, niech jej Bóg da długie lata — «nie odpowiada to godności reb Schariego usłuchać prostego szamesa i dlatego przekazuje, że przyjść nie może z powodu nagłych dolegliwości żołądkowych.»" Tak mi powiedział mój szames Herszele. Cóż mogłem zrobić, ja, biedny Żyd, sługa Boga? Posłałem więc po raz drugi do domu Schariego. Tym razem on już na pewno przyjdzie. Poszedł po niego szojched reb Pinie. Szojchet reb Pinie i wy, reb Tojwie, będziecie mi pomagać. Pomagać mojemu słabemu ludzkiemu umysłowi sądzić i prosić Boga. Niech oświeci nasze słabe ludzkie umysły i natchnie je, żeby wyrok był sprawiedliwy.

Przez duże okno wpadało słońce. Purpurowa kotara arki rzucała blask na pokój: świeciły się na niej złote ręce kapłańskie, rozczapierzone do błogosławieństwa, a dookoła nich biegł krąg świętych zdań, również złotych, ze skrótem imienia Boga, którego wymawiać nie wolno.

— A to jest wasz najmłodszy — uśmiechnął się rabin i wskazał na Aronka. — Chodźno tu bliżej, chłopczyku.

Duże, niebieskie oczy rabina patrzyły zawsze z ukosa. Wciąż dygotały, jakby pociągane niewidoczną nitką. Uspokajały się, gdy rabin nasadzał na nos okulary. Na nosie miał dużą, dobrą brodawkę.

Rabin pogłaskał Aronka.

— Czego ty się uczysz? — spytał

— Chumesz do „trzeciego" — odpowiedział chłopiec.

— Tak? To już jesteś cały człowiek. To tobie już można dać narzeczoną. — Rabin uderzył ręką w poręcz fotela. Uszczypnął chłopca w policzek.

Kobiety cicho zaśmiały się i spojrzały rozjaśnionymi oczyma na rabina.

*

Wreszcie przyszli. Przodem wszedł Scharie. Kciuki obu rąk wsadził za jedwabny sznur. Był w pięknej czarnej bekieszy z atłasu. Za nim biegł drobnym krokiem chudziutki szojchet, reb Pinie. Czerwoną chustką ocierał pot z czoła. Lewą ręką, wyciągniętą przed siebie, wywijał w powietrzu. Starał się coś powiedzieć Schariemu na ucho. Za nimi zamknął szklane drzwi szames Herszełe.

Kiedy kobiety ujrzały wchodzących, poruszyły się. Poprawiły włosy u peruk, wystające spod zawiązanych chustek. Uczyniły krok w kierunku stołu, ale zatrzymały się.

— Podejdźcie, Żydówki — odezwał się rabin — i podajcie przed sąd waszą skargę na reb Schariego, ben...

— Ben Dow — podpowiedział Scharie.

Rozpoczął się sąd. Szames Herszełe położył jedną dłoń na drugą i kiwał się jak przy modlitwie.

— Rebe — zaczęła gruba Ester, wycierając chustką drżące wargi. — Niech mi rebe wybaczy, że będę może mówić tak, jak stać na to głupią kobietę — przepraszam za to słowo.

Rabin podniósł głowę, spojrzał z ukosa na kobiety i rzekł:

— Czego stoicie, Żydówki? Siadajcie. — Rabin wskazał ręką na krzesła. Scharie już siedział, gładził jasną bródkę a okrągłe policzki kurczyły się i podnosiły ku lepkim oczom.

Kobiety wyczyściły ręką krążek krzesła i uniósłszy lekko szerokie, fałdowane suknie ostrożnie usiadły.

— A więc gdzie skończyłam? — gruba Ester znów wytarła usta. — Tak, że lepiej byłoby, gdyby zamiast mnie był tu teraz mój Bendyt. Męski rozum, to nie kobiety. Ale jak widać, Bogu się lepiej podoba tak, żeby on był w Ameryce, a ja, jego żona, żebym męczyła się tutaj sama z małym dzieckiem.

Zełde patrzyła siostrze na usta i kiwała głową.

— No, ale jak się to mówi — ciągnęła dalej gruba Ester — niech to wyjdzie na dobre. Los to taka rzecz, z którą człowiek przychodzi na świat. I w jaką godzinę się urodziłeś, w taką umrzesz. Co by komu szkodziło, gdyby matka nasza, błogosławiona niech będzie jej pamięć, przemieszkała u mnie do ostatnich dni swego życia. Czy jej było u mnie źle? Nie. Przecież mamy dobrego Boga, żebym tylko nie zgrzeszyła, i matka mieszkała u mnie tak długo, jak długo był w domu Bendyt, był mąż, było komu zarabiać na życie. „Bendyt wyjechał do Ameryki — powiada do mnie matka — i nie chcę ci być ciężarem.“ Nie, to nie, mówię. Ot, takie sobie gadanie, myślę sobie. Nagle pociemniało mi w oczach, niech was, rebe, i wszystkich Żydów, Bóg od tego broni, więc, jak powiedziałam, pociemniało mi w oczach. Bo jakże inaczej, kiedy widzisz, jak matka składa do chustki (gruba Ester zaczęła wyliczać na palcach): kokosznik z perłami, diamentowe butony, kolce, srebrne lichtarze — gdzie ja tam mogę wszystko wyliczyć — kielichy pesachowe. — Co robisz, mame? — pytam. Przenoszę się do Racy — powiada. — I zanim człowiek zdołał się obejrzeć, już jest reb Scharie, mąż mojej siostry, mój szwagier, niech mu Bóg da dużo zdrowia, i zabiera cały tłumok i nie mówi mi ani tak, ani nie, ani z przeproszeniem...

— Jeśli to wszystko, co ta kobieta mówi — przerwał Scharie — jest tylko

przygotowaniem do kłamstwa, to jakże wyglądać będzie samo kłamstwo? Żadnego węzła nie widziałem, żadnego węzła nie wziąłem.

— Może to był węzeł nie z kosztownościami? — zapytał rabin. — Może to był zwykły tłumok z odzieżą? A ponieważ ta Żydówka mówi o kosztownościach...

— Nie, rebe — krzyknęła Ester — to nie była odzież. — Ester podniosła się z krzesła i zwróciła się twarzą do Schariego:

— Ja nie kłamię. Na zdrowie mego dziecka mogę przysiąc!

— Cicho — powiedział rabin i kiwnął gniewnie ręką w stronę Ester. — Cicho, Żydówko!

Ester usiadła. Gruby koniec nosa i górna warga, pokryta ciemnym meszkiem, drgały. Jeden kosmyk peruki spadł na jej smagły policzek. Szeroka pierś szybko podnosiła się i opadała.

— Czy po zmarłej Ronciełe, waszej teściowej, dusza jej w raju, nic nie zostało? — zwrócił się rabin do Schariego.

— Coś tam zostało, rebe.

— Czy rzeczy były wartościowe? — pytał dalej rabin.

— Co za pytanie? Samo srebro, ile było warte?! — krzyknęła Zełde.

Gruba Ester schwyciła ją za rękę.

— Sza, kogo ty chcesz uczyć rozumu? Rabina! Żeby on długo żył!

Scharie wyprostował się w krześle i zaczął cichym, miękkim głosem:

— Rebe. Matka mojej żony Racy, a moja teściowa, Ronciełe — błogosławiona niech będzie jej pamięć — przeniosła się do mnie rok temu. Przyszła do nas sama. Nikt jej do tego nie namawiał. Zresztą po co? Ja nawet przyznaję się, i niech dusza jej wybaczy mi to, powiedziałem Racy, żonie mojej; „Zastanów się, czy ci to nie będzie ciężarem". Teściowa, dusza jej w raju — przyszła do nas. Pytam się więc, czy stara, słaba kobieta mogła wziąć na plecy taki węzeł, który po tym wszystkim, co wyliczyły te kobiety, musiał ważyć porządnych parę kilogramów? I trzeba by wynająć jakiegoś tragarza. Może kobiety pamiętają, że ktoś zaniósł ten węzeł? Może należałoby jako świadka wezwać tego tragarza? Ale Ester chce mi wmówić, i wam, że to ja byłem tym tragarzem. Już powiedziałem: żadnego węzła nie widziałem, żadnego węzła nie brałem. Tak, ale nie to chciałem powiedzieć. Rok cały mieszkała moje teściowa, dusza jej w raju, u mnie i żony mojej, Racy. Czy nie było czasu, ażeby przekonać się, ile było srebra, ile kosztowności? Dlaczego ani razu za życia mojej teściowej, błogosławiona niech będzie jej pamięć, nikt mnie o to nie zapytał? Gdzie były Ester i Zełde przez cały rok? Czy nie mogły przyjść pomówić o spadku? Czy myślały, że matka ich ma dopiero dwadzieścia lat? Zawsze miejmy nadzieję, że nasi bliscy dożyją Mesjasza, że unikną śmierci, ale to jest tylko nadzieja, o to modlimy się do Boga, ale Bóg nie wszystkich wysłuchuje. Mesjasz — Mesjaszem, a o interesach człowiek powinien pamiętać. Tylko o co chodzi? Nie było o czym pamiętać. Czy rebe myśli, że Żydówki te siedziałyby cały rok spokojnie, nikomu nie mówiły, jeśliby czuły, że matka ich może zostawić majątek? Więc o co chodzi? Dlaczego więc dziś, kiedy teściowa moja, dusza jej w raju, nie może tu przyjść i powiedzieć: „Dajcie spokój, córki moje, dla tych paru łaszków nie róbcie takiego krzyku." A teraz wam powiem, Żydzi drodzy, co kobiety te myślą. Scharie jest bogaty, a my biedne. Może się uda coś wyciągnąć. Ile się uda, to będzie nasze i Boga.

Rabin siedział ze zwieszoną głową. Oczy zmrużył, wpół opuszczone, gęsto zmarszczone powieki drżały. Rzadkie brwi z dwoma, trzema długimi włosami u nasady nosa podnosiły się w górę i opadały. Rabin powoli dźwignął powieki i zaczął śpiewnym, modlitewnym głosem:

— Reb Scharie, jesteście Żydem szanowanym w naszym mieście. I każde wasze słowo, wypowiedziane tutaj, będzie powtarzane potem przez całe miasto. Chciałbym i proszę o to Boga, żeby przyjaciele wasi, krewni i rodzina wasza powtarzała je z chęcią i bez wstydu. A niechętni wam ludzie, żeby nie mieli czego powtarzać.

— Wszystko, co powiedziałem, to czysta prawda.

Scharie skłonił się w stronę rabina. Położył pulchne, różowe ręce na blacie stołu.

— Rebe, rebe! — gruba Ester zerwała się z miejsca i wymachując w stronę Schariego rękoma krzyczała coraz głośniej — Rebe, drogi rebeniu, nie, nie wierzcie mu. On kłamie. On zawsze kłamie. On ma usta pełne miodu, ale serce gorzkie jak żółć. Słodkimi słówkami on naszą matkę wyciągnął z mojego domu...

— Rebeniu, rebeniu — pomagała jej Zełde.

— Sza, Żydówki. Uspokójcie się — rabin uderzył ręką w stół.

— Sza, kobiety! — zawołał szojchet reb Pinie.

— Sza, kobiety. Żydówki, uspokójcie się — krzyknął cienkim głosem szames Herszele. — Rebe każe milczeć.

Rabin westchnął. Podniósł chudą, drżącą rękę i przez chwilę trzymał ją w powietrzu. Potem opuścił ją ciężko na stół. Drugą ręką zakrył oczy.

— Reb Tojwie — odezwał się po chwili milczenia — jak powiedzieliście: „Sądźcie między mną a winnicą moją". Dlaczego prorok Jeszajah przyrównał naród nasz żydowski do winnicy? Bóg wybrał ulubioną winnicę — i obdarzył ją łaską. Ale winnica odwróciła się od Boga i płód jej okazał się niegodny łask Jego. „Dlaczego myślałem zebrać winograd, a grona kwaśne są". Czemuż prorok Jeszajah przyrównał naród żydowski do winnicy? Głęboka w tym tkwi mądrość. Głęboki w tym tkwi sekret. Bo jeśli winny krzew skrzywi swój pień i odwróci się od słońca, to można go zawrócić z błędnej drogi. I nawet jeśli obrodził, nie daj Boże, kwaśnymi gronami, to może drugi plon dać słodki. Ale trzeba go wyprostować.

Rabin westchnął, jakby się bardzo zmęczył. Potem mówił dalej:

— Ale jak wyprostować człowieka? Nie wiem, jeśli dobrym słowem nawrócić do prawdy nie mógł nawet Bóg i musiał karami dręczyć Żydów, to co ja, biedny człowiek, uczynić potrafię. Reb Tojwie, wypowiem teraz straszne słowo: przysięga... Jeśli Żyd, przepisujący torę, musi przed każdym imieniem Boga zanurzyć się siedem razy w rytualnej wodzie, w jakiejże wodzie musi zanurzyć się Żyd, kiedy imię Jego ma wyrzec w przysiędze? Jakaż czystość jest potrzebna ustom śmiertelnika, żeby imię Przedwiecznego nie zostało, Boże broń, skażone? Co wy, reb Tojwie, myślicie o groźbie przysięgi?

— Rebe — przerwał Scharie. Spokojna i gładka twarz jego skurczyła się. Na czoło wystąpiły dwie duże krople potu. — Rebe, nie chciałem ja od razu tego powiedzieć. Nie chciałem ja zawstydzać Żyda. Rozumiecie, rebe, kogo myślę? Reb Tojwie został przez was tak bardzo wyróżniony. Posadziliście go po swojej lewej ręce. Niech język mój przyschnie do podniebienia, jeśli z ust

mych padnie krzywe słowo przeciwko szojchetowi, reb Pinie. Wy słyszycie, reb Pinie?

Pinie zatrzepotał cienkimi powiekami, parę razy podskoczył na krześle, ale wciąż opadał z powrotem. Bojaźliwie spojrzał na rabina, na Schariego, na kobiety i ojca. Chwycił dwoma chudymi palcami rzadką, trójkątną bródkę i westchnął:

— Ajajaj, reb Scharie, pogodzilibyście się z kobietami.

— Ale — mówił dalej Scharie, nie patrząc na reb Pinie — gdym zobaczył po waszej, rebe, lewej ręce reb Tojwie, domyśliłem się. — Czy ten człowiek będzie ciebie sądził? — pomyślałem. Rebe, twoja dobrotliwość jest nam znana. Ale czy dobroć może stanąć na miejscu bojaźni Bożej? Mówiliście o imieniu świętym w torze, że pisarz musi się siedem razy zanurzyć w wodzie, zanim wypisze je na pergaminie. Gdy w świętej księdze znaleziono choć jeden błąd, przestaje ona być święta, gdy w Żydzie jest jedna skaza, to przestaje być Żydem, godnym zajmować miejsce obok fotela rabina. I nie chcę już mówić o tym, że reb Tojwie jest kapłanem. A skaza na sumieniu kapłana to więcej niż u prostego Żyda wielki grzech. Taki kapłan nie może podnieść ręki do błogosławienia Żydowi w święto. Ale w mojej bóżniczce on nie błogosławił Żydom i to już mnie nie obchodzi. Ale czy to jest tylko skaza? Grzechy ojców liczyć się będą po trzecie i po czwarte pokolenie... A któż odpowiada za grzechy dzieci? Czy wszystkie nieszczęścia nie spadają na głowy ojców za złe czyny dzieci? Pokażcie mi w mieście jeszcze jednego Żyda, bogobojnego, mełameda gemury, którego córka skończyłaby gojowską szkołę, wyjechała z domu i z dala od oczu rodziców, bez męża, prowadziła Bóg wie jakie życie...

—Ale, reb Scharie, jak wiem — rzekł rabin — wasz syn uczy się u reb Tojwie. Jakże to więc tak?

— Nie. On się już nie uczy — Scharie ciężko westchnął. — Długo biłem się z myślami, póki nie odebrałem go. Rebe mnie rozumie. Żydowskie serce, litość. Wiedziałem przecież, jak rebe Tojwie jest ciężko o kawałek chleba.

Ojciec zbladł. Potem poczerwieniał. Żyły na skroniach nabiegły krwią. Jak ślepy szukał ręką tabakierki na stole.

Ester załamała ręce:

— Jak tobie nie wstyd, Scharie? Coś ty własnymi słowami mówił? Kiedy przyszliśmy do ciebie po śmierci naszej matki. Pamiętam każde słowo, tak jak dziś mamy środę na całym świecie, jak mówiłam, że cię wezwę przed rabinacki sąd. A tyś powiedział: „Wybierzemy lepiej jakiego uczonego Żyda, pobożnego, sprawiedliwego". Ja powiedziałam: „Niech będzie Tojwie". A tyś pokręcił głową, ale powiedział: „Nu, dobrze, niech będzie, to pobożny Żyd.

— Oj, ty nikczemniku! — krzyknęła Zełde. — Po co iść do rabina — mówiłeś — załatwimy między sobą, jak krewni — mówiłeś. A teraz, kiedy reb Tojwie nie chce w twoich sztuczkach ci pomóc, to ty go mieszasz z błotem. Tobie się lepiej podoba sąd u rabina z Mościsk — powiedz. Przecież ty chciałeś pójść do rabina z Mościsk.

Rabin chrząknął:

— Nu, nu, kobieto! To nie twoja rzecz. To mnie nie obchodzi. Reb Scharie — rabin zwrócił się do Schariego — powiedzcie, czy Ronciełe, dusza jej w raju, zostawiła swoją wolę? Może ustnie, jeśli nie na piśmie?

— Nie — odparł Scharie.

— Czyście wzięli te kosztowności, o których mówią Żydówki, Ester i Żełde, a jeśli tak, coście z nimi zrobili?

— Kosztowności żadnych nie brałem ani nie widziałem.

Rabin położył obie chude, woskowe ręce na stole. Dłonie leżały jak martwe. Podniósł wysoko głowę, oparł ją o krawędź fotela. Srebrna broda sterczała, a pod nią widać było biały kołnierzyk koszuli, zapiętej na duży guzik z perłowej masy. Spytał:

— Czy gotowi jesteście przysiąc, reb Scharie, przysiąc?

Zapanowała cisza.

Wreszcie odezwał się Scharie.

— Rebe, wysłuchajcie mnie, co wam powiem. Przecież każdy w mieście wie, że kupiłem u rabina z Mościsk torę i nie chcę wcale powiedzieć, że teściowa moja, dusza jej w raju, nic po sobie nie zostawiła. Sam przecież powiedziałem, że coś zostawiła. Ale żeby kupić tę torę, musiałem dołożyć z własnych pieniędzy. Mówię, że zostawiła coś. Ale te kobiety chcą ode mnie otrzymać część bogactwa, którego nie było.

— A ile chcielibyście dać tym kobietom? — spytał rabin. — Ile się im według waszego szacunku należy?

— Ach tak, to już jest zupełnie inna beczka. O tym można pomówić. — Scharie starł z czoła obie krople potu.

Tu ojciec uderzył ręką w stół.

— Nie — rzekł i szare oczy ojca stały się od gniewu jeszcze jaśniejsze. — Rebe, to nie jest słuszne. To nie jest sprawiedliwe. Rebe, najprzód trzeba dojść, czy Ronciełe miała te kosztowności, co się z nimi stało, a potem dopiero można przystąpić do rozdziału.

Chuda, blada twarz rabina znieruchomiała. Rabin skłonił na bok głowę i powiedział:

— Reb Tojwie, cenię wasz rozum i palący was ogień sprawiedliwości. Ale nie jest to ogień, który tylko oczyszcza, ogień ten niszczy. Tylko Bóg może płonąć bez szkody. Tylko boski ogień nie strawił Płonącego Krzaku. Ale my, biedni ludzie... Czy wiecie, co to znaczy? Coście powiedzieli? Po jakiej drodze to was prowadzi? — Rabin zamilkł.

— Ester — rabin wyciągnął przed siebie drżącą rękę. — Ester, czy ktoś był u was, kiedy Scharie przyszedł, jak powiedzieliście, po błogosławionej pamięci matkę waszą? Nie? A więc nikt nie może być świadkiem. Ani jednej, ani drugiej strony. Więc reb Tojwie, co to znaczy? Że musi, broń Boże, dojść do przysięgi. Ale ja do żadnej przysięgi nie dopuszczę. Jak długo będę waszym rabinem. Nie dopuszczę u siebie, w obliczu tej oto arki, do przysięgi. Żeby mi nawet Bóg serce napełnił pewnością i przekonaniem. Nigdy! A wy, reb Tojwie, chcecie sądzić tylko według tego, co czuje serce. To też nie. Też nie!

Scharie głęboko westchnął. Uderzył ręką w pierś:

— Jakem Żyd i jak mi Bóg miły i niech mi Bóg będzie świadkiem, że mówię prawdę. Ale to, że ja sam czuję się bez winy, to tylko połowa prawdy. To, co myślą o tobie inni ludzie, jest ważniejsze. Boję się, że wy, rebe, macie jakieś wątpliwości. Nie mówię już o reb Tojwie. Dlatego, żeby się oczyścić w waszych oczach i w oczach wszystkich dobrych Żydów, byłem już gotów za swoją prawdę położyć dwa palce na torę...

— Biada mojej duszy — krzyknął rabin — Milcz! Nie wzywaj ustami swymi

szatana! Milcz! Żeby ci język nie skołowaciał! — Rabin przycisnął ręce do uszu. Łokciami oparł się o stół. Kołysał starą głową i szeptał: — Milcz, milcz, biada mojej grzesznej duszy. Kiedy Bóg chciał dotknąć biednych Żydów, pozwolił im zbudować złotego cielca. Kiedy szyba jest czysta, to widać przez nią innych ludzi, ale kiedy człowiek powlecze ją z jednej strony srebrem, to widzi tylko siebie. Pieniądze zaślepiają oczy bielmem. Złoto jest największym złem naszej duszy. Złoto to jest szatan. Boże, daj mnie siły. Słaby jestem, sługa Twój.

Rabin wstał. Był wysoki i chudy. Podszedł do arki, dotknął kotary dwoma palcami i podniósł ją do ust.

— Zawiniliśmy, zdradziliśmy Ciebie, kłamstwa pełne są usta nasze — modlił się ochrypłym głosem i bił się w piersi.

Wszyscy wstali. Scharie podszedł do arki i ucałował kotarę.

Rabin odwrócił głowę. Wpółprzymkniętymi oczyma spoglądał na modlącego się głośno Schariego. Twarz rabina drgała. Rabin nasłuchiwał. Nagle potrząsnął gniewnie głową:

— Nu, nu — jęknął cicho.

Scharie umilkł.

Rabin kiwnął nań ręką, żeby odszedł.

Scharie tyłem cofał się ku drzwiom.

— Dokąd odchodzisz, Scharie? — spytał rabin, nie odrywając się od arki i nie podnosząc powiek — A może tak lepiej. Idź, zmęczyłem się dzisiaj. Herszełe, Herszełe, gdzie jesteś?

Szames podbiegł do rabina, chwycił go pod ramię:

— Tu jestem, rebe, rebeniu...

— Weź kalendarz i zobacz-no, kiedy przypada dzień po Szewijes, i zapisz, że ja, rabin Ariel, ben Gedalie z Głogowa, wzywam na sąd reb Scharie, ben Dow, i Ester, bas Josef, i Zełde, bas Josef. Zapisz jeszcze: Race, bas Josef. A ja sam we własnej osobie pójdę do rabina Cwi, ben Awrum, z Mościsk i będę go prosił, żeby zechciał potrudzić się na sąd do mnie albo ja potrudzę się do niego — jeśli on tak zechce, i prosić go będę, żeby mnie, biednemu śmiertelnikowi, obdarowanemu przez Boga nędznym ludzkim ciałem i słabym rozumem, pomógł w wydaniu sprawiedliwego wyroku...

Herszełe kiwał głową, powtarzał: „Dobrze, dobrze, rebeniu“ i krok za krokiem, powoli prowadził go w kierunku fotela.

Rabin ciężko siadł. Zrobił znak ręką, żeby wszyscy odeszli.

— Ginie mój naród. Ginie Twój wybrany naród, Boże. Krzywe rosną w nim pnie. Krzywe pnie — szeptał, gdy zamykały się za wychodzącymi szklane drzwi.

*(Dalszy ciąg nastąpi)*

*Julian Stryjkowski*

*Mieczysław Jastrun*

# DZIENNIKI I WSPOMNIENIA

## CISZA

Są różne cisze. Jest cisza wieczorna i cisza poranna, jest cisza nocna i cisza popołudniowa. Jest milczenie martwej natury i milczenie ludzkie. Jest cisza gór i cisza rzeczy i przedmiotów zaczajona w nich i wychodząca na jaw wtedy, gdy godzinami całymi czekasz na przyjście ukochanej osoby, za którą tęsknisz. Są straszne akordy białych cisz, o których pisał poeta, są cisze przed decyzją i cisze obłoków w spokojne dni letnie. Ale jest jeszcze inna cisza, o której nie pisano dotąd, cisza miasta przed wejściem wroga. Tę ciszę przeżyłem nie raz i nie dwa podczas ostatniej wojny, ale nigdy z taką siłą, jak w mieście L.

Z mojego okna na trzecim piętrze patrzyłem na wyludnione ulice. W tej pustce i w tej ciszy było coś nad wyraz przerażającego. Żaden nalot, żadne bombardowanie nie miało w sobie takiej grozy, jak ta na pozór obojętna cisza miasta, które zamknęło się w domach w oczekiwaniu na coś, co się stać musi i czego oblicze jest wieloznaczne, lecz na pewno ukryte, jak twarz boga Azteków. Miałem przed oczami w przezroczystym powietrzu lata, które w tym roku było piękne, odległe stąd małe wzgórze parkowe, do którego tuliły się wille, świecące teraz bielą w pełnym słońcu popołudnia. Oczy moje, które nabrały w czasie tej wojny ostrości, wpatrywały się od długiej chwili w ową otwartą od mojej strony podmiejską ulicę, opierającą się o zbocze wzgórza parkowego. Nic się tam nie działo, ani jeden człowiek nie przeszedł. Może po godzinie wpatrywania się w tę wprowadzającą do miasta ulicę (któż zresztą zmierzy czas takiego oczekiwania) ujrzałem przesuwającą się, wolno i niemal uroczyście, baterię, która nie była baterią wroga. Okryta choiną pod strażą postępujących przy niej żołnierzy posuwała się w kierunku przeciwnym temu, skąd nadciągał nieprzyjaciel. Przejechała wolno jak na paradzie i zniknęła za domami.

Po godzinie czy po dwóch ujrzałem ją znowu. Posuwała się wolno, uroczyście, pod strażą postępujących przy niej żołnierzy, w stronę przeciwną.

Odbywał się ten przejazd w zupełnej ciszy pod rażącymi promieniami letniego słońca. Ani jeden liść nie zadrżał na kasztanie, rosnącym w pobliżu okna, skąd patrzałem, żaden ruch bliżej lub dalej nie zakłócił po odjeździe baterii nieruchomości kamieni. Zwiększał ją jeszcze cień od muru, wysuszonego na kość żółtego budynku jakiegoś liceum pedagogicznego, po lewej mojej ręce,

budynku, który zamykał mi horyzont i zasłonił dalsze ewolucje błądzącej baterii.

Po długim, trudnym do obliczenia czasie, znów pojawiła się i wolno, uroczyście jak na paradzie, teraz wyraźnie żałobnej, wraz ze swoją zdyscyplinowaną asystą posuwała się w swoim pierwszym kierunku. Wiedziałem, że jest stracona. I ja byłem również, jak owa bateria, osaczony i na łup wroga wydany. Pożegnałem ją sercem współczującym.

W godzinę później, jakby sto zegarków nieuchronnego losu wybiło w obu moich uszach jedną i tę samą sekundę, terkot pędzących motocykli z przyrośniętymi do nich stworami w hełmach wtargnął w ciszę, poderwał ją spod kół, w pęd szalony porwał nieruchomość ulicy, zakołysał domami. Poczułem w swoim sercu śmiertelnie zmęczonym złowieszczą ulgę, jak stojący przed plutonem egzekucyjnym, w chwili gdy ten podnosi broń do wystrzału.

## GAŁĄZKA JAŚMINU

Niewiele z tamtego czasu pamiętam i gdybym miał pisać pamiętnik, byłbym w kłopocie, do jakiego okresu odnieść ten czy inny szczegół, nie umiałbym odbudować w porządku chronologicznym wydarzeń dzieciństwa, ale jeśli cieszę się z pierwszego śniegu albo z pierwszej gwiazdy na niebie wieczornym, wiem, że radość tę zawdzięczam tamtym pierwszym doznaniom.

Nie wiem, ile lat wtenczas miałem, to pewne, że umiałem już czytać, kiedy przeżyłem po raz pierwszy śmierć, odczułem jej tajemniczość i grozę, jak nigdy potem, choć była to groza najzupełniej bezosobowa. Przeczytałem w jakiś dzień zimowy opowiadanie, które mną wstrząsnęło. Autora nie zapamiętałem; cóż mnie wtenczas obchodzić mogło, kto napisał opowieść, dla mnie żywą i równie rzeczywistą, jak to, co mnie otaczało. Nie pytałem przecież nikogo, kto jest autorem rzeczy i przedmiotów, stwórcą osób, z którymi żyłem w obszernym mieszkaniu w małym miasteczku, w domu, przez którego schody drewniane i ciemne raz jeszcze, pisząc to wspomnienie, przejść muszę.

Opowiadanie miało tytuł *Gałązka jaśminu*, a może inny, ale w każdym razie gałązka jaśminu odegrała w nim główną rolę.

Treść jego była taka: umierający przyobiecał komuś — może narzeczonej — to wtenczas nie było dla mnie ważne: komu — dać znak z tamtego świata, przynieść gałązkę jaśminu. Umarł — i oto po jakimś czasie płacząca narzeczona znajduje w zimowy ranek na parapecie wysokiego okna — świeżą gałązkę jaśminu.

Nie wiem, ile zmieniłem w treści tego opowiadania, przypominając je po tylu latach, nie wiem, czy opowiadanie to było dziełem sztuki pisarskiej, czy jakąć ramotą, która wpadła mi w ręce, nie wiem nawet, czy przeczytałem je w starych rocznikach *„Tygodnika Ilustrowanego"*, skąd czerpałem wówczas wiedzę o świecie, lecz jeszcze dzisiaj, gdy słowa te piszę, przejmuje mnie dreszcz wielkiego wzruszenia.

Żyłem pod groźnym czarem tej nowelki długie tygodnie, długie, jak tylko w dzieciństwie może być długi, rozlany po brzegi dni czas, zaludniony marami

wyobraźni, konkretnością materii, jawnym trójwymiarem przedmiotów, które wszystkie są wtedy przedmiotami zabawy. Zima była mroźna i śnieżna. W pewne dni gwałtowne zadymki uderzały w okna naszego piętra, w inne słońce próbowało się przedrzeć przez żaluzje mrozu na szybach. Wstawione w ścianę pokoju — roziskrzenie zachwycało oczy dziecka.

Myślałem z trwogą — zwłaszcza nocą, gdy budziłem się nagle — o bliskim pół-wiejskim cmentarzu. Znałem go dobrze. Trzeba było przejść małą uliczkę wśród ogrodów, za żółtą trafiką, gdzie kupowałem dla ojca cygara w obwódce błyszczącej, z orłem cesarsko-królewskim, trzeba było otworzyć furtkę drewnianą, by stanąć wśród grobów, na których leżały wieńce zeschnięte i szarfy. Nad jednym pochylał się anioł kamienny. Nie leżał tam nikt z moich bliskich. Wszyscy żyli jeszcze i napełniali młodymi głosami mieszkanie, którego już nie ma. Lecz teraz leżał tam ów nieznajomy, który przyniósł nieznajomej mi z twarzy i imienia dziewczynie — gałązkę jaśminu. Gdy rano sprzątająca mieszkanie dziewczyna otwierała okna, drżałem na myśl, że może na parapecie okna znajdę te kwiaty, które znałem dobrze, kwiaty, które miały słodki zapach. Nie przyszedł jednak nikt. Nie było tajemniczych śladów na śniegu, śladów prowadzących na cmentarz, jak w owym opowiadaniu. W pokojach panowała dobrze zadomowiona cisza, wśród mebli stojących od dawna, dla mnie od niepamiętnych czasów, na swoich miejscach, w ciężkim ich cieniu, w nieruchomości pofałdowanej portiery na drzwiach, prowadzących do gabinetu lekarskiego mojego ojca. Tam, wieczorami, gdy mróz skrzył się na szybach, naftowa lampa rzucała blask niespokojny na obraz Rembrandta *Lekcja anatomii*. Czułem się nieswojo sam na sam z tą dużą reprodukcją. A jednak nie mogłem oderwać od niej oczu. Przypatrywałem się jej tyle razy i tak intensywnie, że znałem na pamięć każdą z tych skupionych, brodatych twarzy, wychylających się z kolistych krez, i znałem twarz doktora Tulp, tę wspaniałą głowę w szerokim czarnym kapeluszu, te pełne życia ręce, demonstrujące i wyjaśniające. Grozą przejmował mnie i zarazem ciągnął moje oczy żółtawy i siny trup, rozciągnięty pośrodku. Wiedziałem już coś niecoś o tym, co się działo na obrazie. Ojciec mój od czasu do czasu robił sekcje w kostnicy wzmiankowanego tu przeze mnie cmentarza, należało to do obowiązków lekarza okręgowego. Po każdej takiej sekcji wracał do domu przesiąknięty słodkim, strasznym zapachem trupa. Zapach ten zawsze jakiś czas potem unosił się w domu i przyprawiał mnie o mdłości. Natomiast ojciec nic sobie z tego nie robił, jadł smacznie i śmiał się swoją rumianą, z brązowymi wąsami twarzą. Takie były moje pierwsze spotkania ze śmiercią i tak na zawsze związał mi się obraz Rembrandta z sekcjami ojca i zapach lekarstw w jego gabinecie, woń jodoformu, jodyny, karbolu — z wiosenną wonią jaśminu.

*

A więc nigdy już nie wychylę się z okna, by nasłuchiwać trwożnie czyichś kroków na śniegu o pierwszym zmierzchu zimowym? Nigdy nie będę zaciskał powiek z obawy, że gdy je otworzę, zobaczę porzuconą na parapecie okna gałązkę jaśminu?

Tylu zmarłych, bliskich i dalekich, odprowadziłem na miejsca wiecznego spoczynku, tylu towarzyszyłem myślą w drodze. Żaden z nich nie dał mi znaku. I cała ta dziecinna historia nie miałaby sensu, gdyby nie następujące zdarzenie.

W czasie jednej z moich podróży po kraju zaszedłszy na opuszczony i zdewastowany cmentarz w miasteczku, w którym spędziłem dzieciństwo, ujrzałem w jego na wpół zdeptanej i zarośniętej chwastami alei młodą, ładną dziewczynę, która, uśmiechnięta (widocznie do własnych myśli), szła z opuszczonymi ku ziemi oczami. Nie podniosła ich nawet w chwili, gdy mnie mijała i nie raczyła mnie obdarzyć przelotnym choćby spojrzeniem. W ręku niosła kwitnącą gałązkę jaśminu.

Kiedy zniknęła, przesłonięta rosnącymi tu gęsto wierzbami i brzozami, gdy ucichł ostatni szelest jej kroków w zapuszczonej alei, uprzytomniłem sobie, że w tym przejściu dziewczyny cmentarnej, jak ją w myślach nazwałem, nie ma nic szczególnego. Był czerwiec i wszędzie, pospolite w tej okolicy, kwitły krzaki jaśminu, przy walących się płotach wierzbowych i nie pielęgnowanych ogrodach, przy nie odwiedzanych przez nikogo ścieżkach, prowadzących do ruin starego zamku, przy szarym murze otaczającym na wpół zburzoną kostnicę i w ogródku młodej dziewczyny czekającej na przyjazd narzeczonego z miasta.

## UCIECZKA

W pamięci mojej pozostała zaledwie nieco przez czas przyćmiona ta miejscowość alpejska, w której mieszkałem przed siedmiu laty, mając stale przed oczami ten sam w różnych oświetleniach widok: uliczka pnąca się w górę, pokryta przetartym śniegiem, po którym zjeżdżały dzieci na saneczkach, z głazów zbudowany kościółek ewangelicki, przed którym rosła samotna pinia. Domy w uliczce były tak ciche, jakby nikt nie mieszkał w ich nieprzejrzystych wnętrzach, sklepy nie zmieniały wystaw, zresztą dość ubogich, jakby liczono się z tym, że mieszkańcy miasteczka, mając u stóp wyposażone we wszystko miasto, tam będą zaopatrywać się w główne towary.

Z jedynego tu zakładu fryzjerskiego wychodziły od czasu do czasu, zwłaszcza w godzinach rannych, wspaniale uczesane kobiety, z wysokimi fryzurami, podobne do posążków dam kreteńskich, i upudrowane i ukarminowane płynęły w swoich puszystych futrach, senne, nieprzeniknione. W restauracji hotelowej piękna, jasnowłosa Angielka pojawiała się codziennie o tej samej godzinie w towarzystwie młodzieńca bez wyrazu i milcząc spożywała śniadanie. Kelnerzy przesuwali się jak duchy, czujni na każde skinienie. Wieczorami zapadała nad miasteczkiem niemal uroczysta cisza, albowiem, udzielała się jej potęga gór, które o tej porze wydawały się jeszcze wyższe. Światła w domach gasły wcześnie, tylko sklep zegarmistrza naprzeciw świecił do późna. Oświetlone jasno tarcze zegarów, pokazujące tę samą godzinę, powiększały jeszcze wrażenie zastoju i senności.

W ciągu kilku tygodni nic tu nie zaszło godnego uwagi i chyba tylko jedynym zdarzeniem była nie przewidziana przez nikogo ucieczka konia ze stajni należącej do gospodarstwa wiejskiego u stóp wzniesienia, gdzie zbudowane było to górskie miasteczko. Koń ów, wspaniały siwosz z długą grzywą, jakby koń z baśni dziecinnej, rwał z nieposkromioną siłą i z desperackim pragnieniem wolności pod górę, wprowadzając w niepokój całą tę szwajcarską, nie przygotowaną

do niespodzianek, mieścinę. Już tylko słychać było w górze jego tryumfujący tętent, a jeszcze ciągle biegli w tamtym kierunku wzburzeni tym wybrykiem młodzi ludzie i dzieci wołały cienkimi głosikami: *„Cheval! cheval!“* Nadszedł wieczór, a wciąż jeszcze rozmawiano wokół o tej ucieczce konia i przygotowywała się nawet specjalna wyprawa, złożona z dzielnych ochotników, którzy mieli schwytać krnąbrnego rumaka. Zdarzenie to wpłynęło również na mnie, przypomniało mi wszystkie przeżyte przygody z końmi w pewnym zaczarowanym roku mojego dzieciństwa, gdy mieszkałem z rodzicami we dworze, opuszczonym przez właściciela, który na łasce ekonoma pozostawił stadninę. Poznałem wtedy obyczaje tych pięknych zwierząt i wiem, że parobcy, z którymi żyłem w wielkiej przyjaźni (pozwalali mi jeździć na łagodnych klaczach), radzili sobie w takich wypadkach sprawnie i szybko. Nie wiem, czy mnie to niewczesne wspomnienie wytrąciło z równowagi, czy sam, śmieszny w istocie fakt, dość że nie czekając na kolację wyszedłem z domu. Świecił już księżyc. Lekko, jakbym przebywał w świecie o innych, lżejszych prawach grawitacji, szedłem w dobrze mi znanym kierunku moich codziennych przechadzek. Był to kierunek również ucieczki konia. Światło księżycowe oświetlało szare platany, w tym blasku podobne do jakichś gałęzistych zwierząt, nie znanych mi z żadnego zwierzyńca.

Doszedłem do znajomej galerii kamiennej, zbudowanej tu jedynie po to, aby przyjezdni Anglicy mogli z najlepszego, bo najczulszego na krajobraz, miejsca oglądać urodę Alp wraz z ich odbiciem w Lemanie. Nieraz widywałem tu również amerykańskich turystów, trzaskających ze swoich aparatów fotograficznych, jakby chcieli zastrzelić i zabrać ze sobą niby łup łowiecki ten fantastyczny krajobraz.

Byłem teraz tu sam i czułem się dobrze w tym miejscu, skąd roztaczał się przyćmiony w tej chwili widok na góry Meilleries, na śnieżne pasmo Dents du Midi i na jezioro, aż po migocące w dali światła Lozanny. Widok był rzeczywiście zachwycający, aż nierealny w swojej surowej piękności. Działał jak muzyka organowa, chcąc nie chcąc trzeba było poddać mu się, nie myśleć, lecz tylko patrzeć, a raczej słuchać tego wyciosanego w skałach milczenia.

— Jaki piękny wieczór! — usłyszałem tuż obok i wzdrygnąłem się na ten głos, poznałem bowiem, że należał do przedstawionego mi niedawno dziennikarza z Zurychu, człowieka bardzo gadatliwego. Chciałem być w tej chwili sam, a tu masz! musiałem z łaski losu spotkać pana K.

— Jaki piękny wieczór! — powtórzył dziennikarz — wyobrażam sobie, że pan, gość nasz, odczuwa ze zdwojoną mocą (mówił językiem niemieckim, jakby nieco już przestarzałym) urok tej miejscowości, którą podziwiamy wszyscy, ale tak już jesteśmy przywyczajeni do piękna Szwajcarii, my, jej stali mieszkańcy, co mówię? jej synowie, że podziw nasz nie ma już w sobie tej świeżości, którą daje tylko pierwsze spojrzenie. Czy pan nie zauważył, że podróże odradzają w nas coś z tego wielkiego przywileju dzieciństwa, który pozwala zachwycać się samą materią stworzenia, pięknością kształtu dla kształtu, bez intelektualnej i moralnej oceny zjawiska, co w późniejszych latach osłabia nasz najbardziej integralny instynkt życia?

Pan jest w tym szczęśliwym położeniu — mówił dalej nie dopuszczając mnie do głosu — że ogląda pan Alpy pierwszy raz w życiu, co prawda już przeszedłszy smugę cienia, lecz poeci zachowują według powszechnego mniemania

wrażliwość na powaby życia dłużej niż inni ludzie. Niech pan spojrzy, o tam! Księżyc zdaje się schodzić ze śnieżnych szczytów, za chwilę odbije się w jeziorze. Poczekajmy na tę chwilę.

W tej chwili właśnie księżyc oświecił twarz mojego rozmówcy. Była to twarz gładka, absolutnie oczyszczona z wszelkiej interwencji od wewnątrz, twarz człowieka zadowolonego z siebie. Patrzał na mnie błyskającymi w księżycu, pięknie oprawionymi szkłami okularów, które mu przydawały mało zasłużonej powagi i godności, gdy tymczasem chaplinowski wąsik ciągnął ją we wprost przeciwną stronę, która wszakże w słowach jego nie znajdowała wyrazu, starał się bowiem — było to widoczne aż nadto — o zrobienie wrażenia, że jest człowiekiem myślącym i solidnym pod każdym względem.

Byłem wściekły i z trudem tylko układałem twarz do grzecznego uśmiechu. Nie mogąc złości swojej wylać na niego, próbowałem ją wylać na ten czarodziejski krajobraz.

— Czy pan wie, co powiedział o tych widokach nasz poeta, wielki mistrz krajobrazu? — „Dalekie blichtry, co oczy trudzą jak *camera obscura.*"

— Wasz poeta — powiedział pan K. — znużył się codziennie oglądanym widokiem. To zrozumiałe. Zdziwi się pan zapewne usłyszawszy ode mnie, że największą i bodaj jedyną epidemiczną chorobą Szwajcarii jest nuda. Wśród tych widoków, wśród wszystkich udogodnień cywilizacyjnych, wśród względnego dobrobytu nie wydaliśmy nic naprawdę godnego uwagi w zakresie literatury i sztuki. Piękno stale obecne i szczęśliwość płynąca z usunięcia przeszkód nie są dobrymi muzami. Nie chciałbym pana dotknąć, ale śmiem to spostrzeżenie uogólnić: nie widzę przyszłości dla sztuk pięknych w kraju przyszłości, w utopii przyszłości, w rzeczypospolitej platońskiej, jeśli uda się ją urzeczywistnić.

— No, to mamy czas się martwić — powiedziałem, nieprzejednany.

— Nie, myli się pan, śmiem zauważyć. To jest poważne i bliskie niebezpieczeństwo, nawet jeśli powszechna szczęśliwość nie zostanie nigdy urzeczywistniona. W mojej ojczyźnie już się słuszność tych obaw sprawdza. No, tak, wy jeszcze ciągle budujecie, burzycie i budujecie.

— Ależ nie my burzymy! — krzyknąłem prawie, czując, jak kipi we mnie gniew.

Pokiwał współczująco głową.

— To wszystko jedno. Przyznam się panu (tu zniżył głos), że z zazdrością myślę o tym, ile wycierpieliście w tamtych strasznych latach. Piękno rodzi się z cierpień.

Nie wytrzymałem dłużej i spokojnie, ale nie szczędząc trującej ironii, mówiłem, nie dając mu przyjść do słowa:

— To tak jak w wierszu Musseta do Polski — męczcie się, gińcie, bo nam trzeba ostrych przypraw. Nie, proszę pana, nie nastraszy mnie pan perspektywami przyszłej utopii, mimo że to, co tu widzę, jest bardziej przygnębiające nawet od pańskich słów. Robiono mi tu niedawno w pewnym towarzystwie wyrzuty, że wydaję kilka centymów na jazdę tramwajem, gdy można przecież przejść pieszo pewną niewielką odległość, stawiano mi za przykład jakiegoś starego profesora, który nie jeździ tramwajem ani tym bardziej taksówką, aby zaoszczędzić, mimo że ma świetną gażę. A co z tych oszczędności później powstaje, widziałem, zwiedziłem bowiem kilka bardzo pięknych cmentarzy

z kosztownymi nagrobkami, które można podziwiać na równi z tymi ośnieżonymi grobami ziemi, które noszą nazwę Alp i które bronią was przed inwazją nie jako nieprzezwyciężona przeszkoda, bo taką przeszkodą mogły być w czasach Wilhelma Tella, lecz jako świadomie wybrane miejsce spotkań dyplomatycznych i spekulacji finansowych Manfreda, Fausta i Mefista. Widziałem tu u stóp, w zamku Chillon, wydrapany na słupie podpis Byrona. Któryż z szatanów nie zwiedził Szwajcarii — mówiłem wpadając w gadatliwość mojego rozmówcy. — Żyjcie, bogaćcie się i zazdroście nam cierpień prawdziwych, wy, którzy znacie urojone.

— O, właśnie, wielką prawdę pan powiedział. Jesteśmy chorzy z urojenia, bezpłodni z nadmiaru. Ale proszę spojrzeć: księżyc świeci w Lemanie.

Spojrzałem we wskazanym kierunku, on tymczasem zbliżył do mnie twarz przyjazną i mówił:

— Piękno rodzi się z cierpień, ale także z urojenia, jak ten księżyc urojony przez wodę jeziora. Czy pan wie o tym, że są nie tylko chorzy z urojenia, ale nawet samobójcy z urojenia? To prawda, że samobójstwo ma swoje przyczyny w urojeniu, ale w urojeniu tragicznym, ten zaś rodzaj samobójstw, który u nas najczęściej się trafia, samobójstw z dobrobytu, którv wywołuje nudę i przesyt, to jest szczególna odmiana urojenia, zasługująca na dokładne, kliniczne zbadanie. O ile wiem, najsławniejsi psychiatrzy nie zajęli się dotąd z dostateczną uwagą tym smutnym fenomenem, który przybiera z każdym rokiem na sile. Znałem człowieka, bardzo zamożnego, który ocalał jedynie dzięki wojnie, gdyż świadomość, że inni cierpią jeszcze bardziej od nas, bywa czasem lekarstwem na nasze urojone cierpienia. Zdaję sobie sprawę z niemoralności takiego uczucia, ale człowiek jest dziwnym tworem i w ogóle życie jest dziwną zabawą, wymyśloną przez Boga, co już zauważył Eklezjasta. Jestem w trakcie pisania dysertacji na temat właśnie samobójstw w naszym kraju, ich przyczyn i środków zaradczych, które moim zdaniem należałoby stosować, poczyniłem do tej pracy liczne studia, także z dziedzin mało mi bliskich, lecz bez których praca moja zawisnęłaby w powietrzu; ekonomia, psychologia, psychopatologia, socjologia, nauka o dziedziczności i wiele innych dyscyplin uwzględnić muszę, rozumie więc pan, że takiej książki nie podobna napisać w ciągu roku lub dwóch, ale że wymaga ona przede wszystkim cierpliwości w zbieraniu materiału, no i pomysłowości w rozwinięciu. Nie chciałbym pana nużyć odczytywaniem gotowych już rozdziałów, chyba gdyby pan zainteresował się specjalnie tym zagadnieniem, dlatego poprzestanę na streszczeniu niektórych moich badań i wniosków, jeśli pan pozwoli, choćby zaraz.

Nie dosłuchałem do końca. Stało się coś nieoczekiwanego, co wprawiło zapewne w osłupienie mojego poczciwego rozmówcę. Nagle, bez słowa zerwałem się i odszedłem szybkimi krokami. Zawołał na mnie. Myślał pewno, że zwariowałem, a ja tymczasem biegłem na oślep przez siebie. I oto biegnąc tak dobre dziesięć minut ujrzałem to, co mnie otrzeźwiło natychmiast. W kierunku miasteczka stąpał powoli, prowadzony za uzdę z obu stron przez silnych parobków, pokorny już, zmachany widocznie nierozumnym pędem, zupełnie srebrny w blasku księżyca koń.

## NAD MORZEM

O tej godzinie porannej plaża jest jeszcze pusta. Piasek wieczorem dnia poprzedniego gładko zbronowany nie ma na sobie śladów stóp ludzkich. Podczas wczorajszej niepogody morze przetaczało bałwany barwy granitu, dzisiaj od rana jest świecące, tęczujące, radosne. I wcale mu to nie przeszkadza, że brzeg jest odrutowany i tylko na małej przestrzeni dostępny dla letników. Oni także wydają się tego nawet już nie dostrzegać, albowiem wielka jest siła przyzwyczajenia.

A ja? Siedzę tu na wysokim brzegu, za mną kilka rudych sosen, ubóstwo nadmorskiego krajobrazu, pode mną otchłań oswojona, żywioł w basenie.

Więc skądże tu, nagle przypomniane, słowa Lukrecjusza?

„O, matko Eneadów, o, rozkoszy bogów i ludzi... Przed tobą, przed tobą, bogini, uciekają wichry... do ciebie śmieją się płaszczyzny wód morskich... dzikie zwierzęta w gibkich podskokach pędzą przez bujne pastwiska..."

A oto dalej prastary ocean Lautréamonta, pełen halucynacyj, wycia bestyj pożerających się wzajem, niby wielki ryk romantycznego szatana, przewalający się w nieustannym kotłowaniu fal, w przypływach i odpływach.

Nic z tym nie ma wspólnego ten brzeg odrutowany, bronujący na noc swoją białą plażę, by na niej widoczny został ewentualny ślad pięciopalcej stopy ludzkiej. W średniowieczu szukanoby tu odcisku stopy szatana. Ale wybrzeże to różni się od średniowiecznego brakiem jakichkolwiek okrętów, przypływających z daleka. Sieć masztów i żagli nie zasnuwa swoją tkaniną nieba, miejsca żeglugi powietrznych okrętów, otoczonego, podobnie jak i morze, szczelnymi granicami. I właśnie teraz, gdy budzi się we mnie nierozumna tęsknota za oceanem, plaża zaczyna się zapełniać tłumem letników. Nagie, niezgrabne, za tłuste albo za chude postacie kobiet i mężczyzn roją się i krzątają na plaży. Ustawiają ku słońcu dobroczynnemu kosze z wikliny, brudne i przegniłe, wchodzą do wody, próbując najpierw stopą, czy nie za bardzo zimna, inni, młodsi lub śmielsi, używają już rozkoszy kąpieli w morzu północnym, w morzu niegościnnym. Ale większość woli nie puszczać się na zimne flukty, póki nie wygrzeje nadmiernie białych ciał w żółtym słońcu. Te cierpliwe ciała będą tu leżały do południa, będą wystawiały się na promienie słoneczne, w zrozumieniu, że stworzą w sobie rezerwy ciepła i zdrowia na długą miejską jesień i zimę. Tu brzuch starego mężczyzny wylewa się z kąpielówek, tam tyłek kobiecy w szortach prezentuje się pobłażliwemu oku Heliosa. Inne ciała nie przedstawiają tak jaskrawego celu dla strzał trywialnego satyryka, są to przeciętne ciała i podobnie jak przeciętne wiersze średnich poetów, nie budzą ani obrzydzenia, ani upodobania. Zdarzają się również piękne, i te wyjątki w gramatyce plaży potwierdzają jedynie regułę przeciętności.

Musisz sam się rozebrać i zmieszać z tą paradą ciał, aby po dłuższej chwili poczuć z nimi braterstwo w niedoli. Tak, w niedoli, bo w istocie cała ta plaża wystawia na pokaz okazy czy przykłady tylko, i to wcale nienajgorsze, smutnej ludzkiej doli. Jeszcze chwila, a obejmiesz ten tłum, solennie wygrzewający się, okiem pełnym współczucia. Budzą w tobie litość, nie tę, która ma wielką władzę oczyszczania serc ludzkich. I oto nagle uświadamiasz sobie, że ten tłum nagich

ludzi, którzy przyjechali tu po zdrowie i radość, biegł przed kilkunastu laty pod razami peitschów i stalowych spojrzeń esesmanów, pędzony wściekłym, podobnym do zgrzytania żelaza krzykiem: *rrauss!*... że ten sam tłum widnieje już bezimiennie w planach i obliczeniach generałów i dyplomatów jako nic nieznacząca pozycja wśród 100 milionów przewidywanych na starym kontynencie Europy ofiar strategii atomowej i bomby H. To te ciała blade, i te, które się już zaróżowiły, i te, czerwone jak rak, z których zacznie schodzić skóra (trzeba będzie smarować je kwaśnym mlekiem) wypełniają abstrakcyjną przestrzeń genialnego i obłędnego wzoru $w=mc^2$.

Jeśli w pierwszej chwili, objąwszy wzrokiem plażę i rozległą, mieniącą się barwami porannej godziny, ruchomą, pogiętą płaszczyznę morza, odczuwałeś najście ludzi na tę dziedzinę jako nietakt w stosunku do romantycznej przyrody, teraz nie tylko oswajasz się z obecnością letników, ale już nawet obecność ich uważasz za jedyną rację powietrzno-morskiego krajobrazu, którego pustka byłaby na dłuższą metę nie do zniesienia. Tylko dzieci, najmniejsze zupełnie nagie, bo nie mają czego ukrywać, od razu nie wydawały ci się tutaj intruzami, lecz naturalnymi dziećmi nieba i morza. Śmiechem wesołym zapełniają wolną przestrzeń, budują w piasku kanały, usypują babki, by je zaraz znieść z powierzchni uderzeniem boskiej stopki, biegną za cieniem białej mewy, aż dziw, że nie wzlecą w powietrze. Nie chce się wierzyć, że podobne im na wpół niebiańskie twory wzlatywały nie tak dawno temu z dymem ohydnych pieców krematoryjnych lub gorzały w pożarze materii w wątłych budynkach szkolnych i w niewinnych ogródkach Hiroszimy.

Nie kłam, okrutny drapieżco ludzki, ponury samcze ze zwisającym fallusem, wiem, że marzysz od dawna o rzuceniu mórz na lądy, o wysadzeniu materii świata od środka, o przemienieniu w pustynie żyznej doliny życia. Wiem, że chcesz zatruć promieniami radioaktywnymi plankton morski, którym żywią się ryby, aby i one wydzielały ze siebie mordercze światło. Dopiero potęga wynalazków pokazała, jak bezgraniczna jest twoja zbrodnia, jak występne są twoje marzenia. Podzieliłeś morza i ziemie na strefy jutrzejszych pustyń atomowych, ćwiczysz w podziemiach armie jaskiniowe, ty, okrutniejszy od oceanu mątw i ludojadów i jak to morze odrutowany stworzonymi przez siebie granicami!

## MYŚLI NOCNE

Odbywamy bez przerwy podróż na tej planecie, pędzącej z niesłychaną szybkością wraz z całym systemem słonecznym w niewiadome przestrzenie wszechświata. Trwamy w pozornym bezruchu, a kiedy jedziemy pociągiem lub samolotem, dodajemy ruch nasz do wiecznego ruchu planety. Ruch, w którym przejawia się najbanalniej sama istota istnienia, jego twórcza energia, jest właściwie tylko objawem czasu, którego ustawiczne wybuchy podobne są do wybuchów poruszających z szybkością dźwięku samolot odrzutowy.

Przemierzałem przestrzenie tej planety różnymi środkami lokomocji, od wozu ciągnionego przez karego i kasztanka w latach dzieciństwa, poprzez pociągi

różnej klasy i szybkości, nocne i dzienne, samochody i autobusy — aż po samolot, który wiózł mnie przed kilku laty z Moskwy do Nowosybirska i w którym unosząc się widziałem u nóg spłaszczone szczyty Uralu. Każda z podróży — czy to gdy z okien wagonu widziałem Alpy Tyrolskie, czy gdy lekkie auto wiozło mnie poprzez Bałkany ku Morzu Czarnemu — otwierała także w sercu moim nowe krajobrazy, przemieniała mnie wewnętrznie.

Dzisiejsza noc, mimo że spędzam ją w domu, ma jednak wszystkie cechy nocy podróżnej. Przede wszystkim, podobnie, jak w wagonie sypialnym, spać nie mogę i czuję zmęczenie, ciężar u powiek, które na próżno się zamykają. Za oknem, a raczej za szklanymi drzwiami balkonowymi wielki księżyc płynie czy też wydaje się, że płynie, na skutek przepływu chmur (tak jak słupy i drzewa, widziane z okna wagonu, zdają się uciekać w przeciwnym kierunku), by unaocznić mi także w tej chwili względność wszelkiego ruchu.

Gałązka dzikiego, zwiędłego wina chwieje się za szybą, aby przypomnieć mi, że to jesień, a właściwie zima, tak mokra, że jest dalszym ciągiem jesieni i nie zasługuje na tę śnieżną i roziskrzoną od mrozu nazwę.

Leżę otulony we wspomnienia, nie natarczywe, nie przykre, przeciwnie, jest mi, jakbym kołysał na piersi wiosenny ogród. Czas, który zazwyczaj tak pędzi, że już mi się tygodnie i miesiące zlewają w jedną całość, że od lata do Bożego Narodzenia nie dalej niż przejść kładką przez strumień w okolicy mojego dzieciństwa, że już widzę pierwsze listki na drzewach, choć to dopiero grudzień, teraz posuwa się powoli, tak powoli, że można by przysiąc, iż stoi w miejscu i tylko udaje posuwanie się naprzód. Stwierdzam to raz po raz ze zdziwieniem, gdy usiłuję odczytać godzinę i minuty z małego zegarka ręcznego, który leży obok na stoliku.

Nie jest mi źle, mimo że czuję niewyspanie, ale powitałbym z przyjemnością brzask, o którym się jeszcze nie śni chmurnemu niebu, co teraz sączy skąpą smugę światła księżycowego.

Jestem sam na sam z tobą, czasie, ty najgęstsza i najbardziej ulotna cząstko mojego istnienia. Nie jesteś kimś obcym, bo jesteś przecież mną i zarazem panujesz nade mną. Tylko podstępnym wybiegiem mogę cię przyśpieszyć lub zwolnić twój pęd w przyszłość, ale zazwyczaj to się nie udaje, jak właśnie w tej chwili. Wyrażałem cię i portretowałem różnymi sposobami od lat moich wczesnych aż po noc dzisiejszą. Jakże byłem przewrotny w tych latach, gdy usiłowałem moimi nikłymi środkami wyrazić twoją wspaniałą płynność. Szamotałem się między istnieniem a nicością. Później wmawiano mi, że chciałem udowodnić za wszelką cenę, że nic nie istnieje. Jakiż absurd! Chciałem odnowić zmysły, wydrzeć je bezwładowi, wyostrzyć je tak, aby odzyskały pierwotną — jak mniemałem — zdolność poznawszą. Czy miałem jakie szanse w tej niebezpiecznej grze, w tym igraniu z nicością? Lęk i groza — oto, co dawałem z siebie. Nie wiedziałem nic o tym, że już wiek przede mną wypowiadał ten lęk i tę grozę pewien duński filozof, jeden z wyklętych. Czyniłem to w latach, gdy ani jeden mój włos jeszcze nie posiwiał, ani jedna róża moja nie zwiędła. Jak żal teraz strwonionej młodości!

Później wrzucony zostałem nagle, bez uprzedniego przygotowania (i jakże mogło być inaczej?) w kocioł piekielny. Dla historii nie istnieje nasz indywidualny czas albo istnieje jedynie jako paliwo, konieczne do podtrzymania wysokiej temperatury jej pieców. Miałem z nią dawne porachunki, nie przy-

puszczałem jednak, że może być aż tak wiedźmowata. Jakie jeszcze przygotowuje nam niespodzianki? Spoczywające w składach bomby atomowe i wodorowe nie należą już właściwie do jej arsenałów, jest to bowiem broń Apokalipsy nie mieszcząca się w pojęciach normalnego człowieka. Jeśli prawdą jest, że ten glob, jak człowiek, ma miejsca newralgiczne, w które uderzony może wyskoczyć ze swej orbity i zbliżyć się lub oddalić od słońca, czyli spalić się w żarze lub ulec zamrożeniu, to kto powstrzyma ręce szaleńców przed nieobliczalnym czynem? Wszystkie fantazje piewców najokrutniejszych utopii spełniają się w odkryciach i wynalazkach trzeźwych, wypranych z wyobraźni uczonych, pod zimnym jak lód szkłem ich laboratoriów. Jakże dziecinne były moje nazwania nicości, jak daremne wysiłki, by schwytać w słowa uciekającą, wiecznie radosną przemianę tego, co nazywamy śmiercią, w to, co nazywamy życiem!

Niech pisarze zawieszą na kołkach swoje rojenia fantastyczne, które jutro zbledną w cudownym i śmiertelnym blasku urzeczywistnienia. Niech biją do końca na alarm, w dzwon trwogi! Jeśli nie mają dość odwagi i siły moralnej, niech milczą! Jeśli nie mają dość gniewu i miłości, niech milczą!

Kiedy tak rozmyślałem, wpłynęło pierwsze, pomieszane jeszcze z blaskiem księżyca światło świtu zimowego przez szyby i po chwili blady przedświt zjawił się w moim pokoju i siadł w krześle obok tapczanu. Miał kształt ludzki, był normalnie ubrany w alpagową marynarkę, miał na oczach okulary w rogowej oprawie i siwiznę na skroniach.

Zaczął mówić bardzo grzecznie, przepraszając mnie za nagłą ingerencję, jednak — tłumaczył się — sam go do tego zmusiłem swoimi niespokojnymi myślami.

— Przede wszystkim — mówił — nie ma pan najmniejszego zmysłu rzeczywistości. Z rzeczywistością trzeba pertraktować, a pan ją obraża. Jako wieczny podróżnik, korespondent godziny między nocą i dniem, tej godziny, która podsunęła panu nieparlamentarne myśli w stosunku do natury rzeczy, chcę stwierdzić, że do pańskiego referatu nocnego wkradł się rażący błąd logiczny. Obraża pan życie, którego cząstką jest pańska osoba. To nonsens. Chciałbym panu pomóc. Należy najpierw sprawić sobie książkę buchalteryjną, w jednej rubryce wpisywać dochody, w drugiej rozchody. Nie będę tu panu szczegółowo wykładał tego, co znane jest pierwszemu lepszemu uczniowi szkoły handlowej czy biuraliście. Muszę się spieszyć. To tylko powiem, że przydałby się panu zastrzyk trzeźwości. Niestety nie jestem lekarzem. Mogę panu jedynie przepisać lekturę — stąd — dotąd. Przepraszam, bardzo miło się tu u pana siedzi, ale czas mi już w drogę, widzi pan — rozjaśnia się, roz...

Nie domówił i rozwiał się w promieniach porannych, a ja poczułem teraz dopiero dreszcz po tej nieprzespanej nocy.

*Mieczysław Jastrun*

*Julia Hartwig*

# PAMIĘĆ

Zbudził się ze snu zalany łzami,
Przeraził się.
To jeszcze reszta dziecinnej trwogi
Wylewała się z dorosłego człowieka.
Lament kropli padających z rynny
Łaskotał mu obnażone serce,
Jak muzyka rósł i był coraz bogatszy.
Człowiek przymknął oczy i całe życie nie wołane
Przybiegło do niego wierne i takie jak było,
Błądzące, pełne narzekań i poprzestające na małem
I wołało do niego: Patrz, ja jedno cię nie opuszczę.
Zaklinał je, by odeszło z jego pamięci,
Wypędzał, ale na próżno,
Ono wciąż przy nim stało
I z wyrzutem domagało się nagrody i uwieńczenia.
Cisnęły się tłumem dokładne imiona ludzi spotykanych w urzędzie,
Daty urodzin, nazwy sprzętów, ceny ubrań i szaf
I spis rzeczy nie załatwionych wczoraj w mieście.
Zamknął więc oczy
I umęczony przygotowywał się już na rzeczy ostateczne
Myśląc, że oto przyszła i na niego chwila rozliczeń,
Której każdy unika najdłużej jak może
I wtedy
Wspomniał

Park cichy w słońcu i blaski fontanny
Drzewa jesienne w kitach wiewiórczych,
W pomarańczowych tęczach
To wszystko kiedyś w zdumieniu zastane
I ponad siły piękne.
Strumień, w strumieniu odbicie twarzy,
Która ucieka i stoi,
Bieg wody łagodny, co łamie palce
Tak, że nie boli.

I wspomniał miłość swoją i wojnę,
Wiek męski niewierny młodości
I pożałował wszystkich tych dni,
Kiedy nic nie zobaczył, nic nie usłyszał i nie zrozumiał.
I zapragnął książki i fletu, i minionych uniesień przyjaźni,
I przywoływał je, błagał, by wróciły.
A kiedy nic nie przybywało na pomoc
Począł cichym głosem nucić piosenkę o wierzbie,
Piosenkę z dzieciństwa
I wtedy ukoił się na krótko deszcz i burza
I niepogoda, i dziecinne łzy
I pod westchnieniem tej pieśni orkiestra
Milcząca dotąd głucho
Nastroiła smyczki
I wiersz uleciał poecie swobodnie
Na wysokie, podniebne piętro.

## NA GRANICY

Długo się wahał, nim na szczyt tej góry
Wspiął się wraz z nami.
Dziś już nie pamiętam,
Jak nazywała się ta góra zwykła
Porosła trawą krótką jak włos na rekrucie
Albo na więźniu, który przestał liczyć czas.
Ta góra była granicą ojczyzny
Tego człowieka. O, gdyby mogła na stopach olbrzyma
Ponieść go dalej, do bram miast podbitych,
Gdzie się wraz z ludźmi wykrwawiły mury,
Drzewa i ziemia, ziemia i urodzaj,
Pieśni i taniec, gromadne zabawy,
Grenada, Teruel, Albacete, Madryt,
Krew krwi najdroższa, ócz jego źrenica,
Gdzie zatrzymano haniebną przemocą
Łomot serc zgodny
I oddech swobody,
Który poruszył tym pięknym narodem
Jak wielkim żaglem na swobodnym morzu.
Tam, za tą górą, groźna noc tyranii,
W głębi tej nocy płonie wulkan srogi,
Lonty wulkanu na wsze świata strony
Rzucone płoną — Ojczyzno, bądź mężna!

Stojąc na szczycie my, dwoje Polaków,
Oczu nie śmieliśmy zwrócić na niego,

Bacznie się jednak patrzyli żołdacy,
Co straż trzymając grali w kości w trawie.
Właśnie im w czarnych, szumiących spódnicach
Kobiety niosły obiad i wesoło krzycząc
Szły ścieżką w górę.
Lecz my patrzyliśmy w stronę Hiszpanii
I serca nasze nuciły jej pieśni
I wysławiały jej dumną urodę
Przez pól przestrzenie, szerokie i puste,
Żółtych skał złomy, oliwkowe drzewa.
Patrzył towarzysz i pot wielkim gronem
Spływał mu z czoła, choć wiatr był tu rzeźwy,
Wzniósł pięść do skroni i tak trwał przez chwilę.
Tak z odkrytymi staliśmy głowami
I zdało nam się, że wielka zatoka
Burzliwą falą wspięła się ku górze,
Że się rozszumiał nurt Ebro i Duero,
Że rozdzwoniły się na wietrze lasy,
Że wielkim głosem wołali umarli
A żywi raz im jeszcze — przysięgali.

## SARE

Jest nad granicą hiszpańską
Wioska Sare, może pół-miasteczko.
Na rynku pod żółtą markizą
Podają cierpkie wino pirenejskie,
Podają twardy pasterski ser.
W wiosce Sare, w pół-miasteczku
Jest stary dom nad zboczem,
Nad przepaścią wysłaną koronami drzew
Jak zielonymi jabłkami piwnica chłodna.
Na tarasie, gdy niebo ciemnieje,
Dziewczyna w białym czepku
Podaje soczyste pstrągi na półmisku.
Skrzypi podłoga pod jej zręcznymi stopami
W lekkich góralskich spadrylach.

Przy kolacji nikt się nie śpieszy,
Niech jeszcze na talerzach trwa ten szczęśliwy blask.
Śpieszy się tylko noc sierpniowa
Śpieszy się tylko nagły górski chłód
Śpieszą się tylko chmury gwałtowne
I jak falujące falbany
Odpinają się od granatowych gór:

Co wieczór ta sama
Ulewa słodka i rzęsista jak krótki potop.
Przenosimy wtedy z werandy trzcinowe krzesła
I teraz już wiadomo: przybiegnie noc
Rozprostują się liście

Napełni się ciemnością zieleń syta i prężna
Uśnie amarantowy płomień w szklankach
Jak owoce tarniny, jak noc jest to cierpkie wino.
Siedzą pod daszkiem na rynku starzy Baskowie
Słychać, jak pykają z fajek.
Aż tu dobiega zapach wiejskiego tytoniu.

*Julia Hartwig*

*Jerzy Harasymowicz*

## DZIECIŃSTWO

Najpierw pamiętam: mój dziadek, żubr w uprzęży z różańców, wymagał ode mnie bojaźni bożej oraz dziesięciorga przykazań, które też nauczył mnie recytować w tempie niewyobrażalnym.

Potem przyszła pierwsza komunia... Proboszcz płynął dostojnie, przebijany nieustannie czerwonymi sztyletcikami wywalonych uroczyście języczków...

Tego dnia dziadek dał mi wielkie złociste jabłko.

Ponieważ ciągle wyrywałem się pod świętą figurę stojącą w ogrodzie, aby tam — jak informowałem — podziękować Bogu za łaskę, dziadek był rozpromieniony. Puszczał mnie natychmiast.

...Zaś w ogrodzie, w gąszczu drzew, pomiędzy którymi wykluwały się pierwsze gwiazdy — owa figura była tylko wrogim, ponurym zamkiem, w którego podziemiach uwięziono mi najukochańszą.

Przeto ciężkim, dostojnym kłusem ruszałem do szturmu, a wspaniały szyszak z pióropuszem szumiał w mej wyobraźni walecznej.

## SZACHY

Drewniane konie, ach, ruszają z kopyta,
w rogu płonie wieża
pociskami rozbita.

Gońcy leżą z przestrzelonym bokiem,
król siedzi pod tronem
z zawiązanym okiem.

A tu nagle dziecko:
raz dwa, raz — zagrało,
więc bez spadochronów wszystko
na ziemię pospadało.

I oto już — siedzi sobie dziecko
na środku szachownicy,
w nóżki je całują
wąsaci przeciwnicy.

## KRZYWOUSTY POD GŁOGOWEM

Głogów, rok 1109. Baszta, na którą jak na dzidę nadziany jest księżyc. Noc. Wokół oblegający Niemcy kupią się ciasno przy ogniskach. Straże zaś mają ciągle na uwadze wielkie pochody borów, które zewsząd napierają na obóz. Bowiem straszne są dla cesarskich te nadodrzańskie puszcze, w których każde, zda się, drzewo niesie im śmierć, dusi niewidzialnymi mackami, wciąga w topieliska, obala naraz na ziemię — jak piorun! Tu zwykłe nawet zarośla potrafią milczkiem, jak wilki, skoczyć tłustym knechtom do gardła. „Mein Gott" — żegnają się henrykowscy najeźdźcy, ściskają bezradnie swe ogromne miecze, patrząc ponuro na Odrę, która jest tuż i łagodnie toczy swe wody, ubrane jakby w drobniutką srebrną kolczugę.

## Z CZASÓW 1655 — 1660

„Skupiwszy się ciasno, ostatni Szwedzi czynią do nacierających kąśliwymi rapierami...

..Ale wtem — znowu iskrzą się chłopskie niedźwiedzie topory — i oto są uderzenia, których wzrokiem nie pojmiesz i oto jeszcześ słowa nie przemówił, a gustawowi już rzucają się, już obejmują świętą nadwiślańską ziemię!...

Swar bitewny przycicha... Tu i tam jakiś oszalały rajtar rzuca swój świetny arsenał mordu, klęka, składa szpony...

...Niedługo potem na widnokręgu ostrożnie rośnie na cisawym koniku jaśnie wielmożny dziedzic, podążający z miejsc, w których tę wrzawę dziką przeczekał...

Patrząc z zadziwiającą ciekawością w koński kark, wśród spracowanych, zjuszonych kos, przesmykiem szerokim na łokieć dziedzic prześlizguje się do dworu.

„Przy czym pierwszy to raz chyba gromadzący się chłopi patrzą nań zupełnie bez bojaźni, na jego tłusty ponury pysk, na jego u siodła ozdobną, skórzaną nahajkę.

*Jerzy Harasymowicz*

*Teodor Goździkiewicz*

# PARA GRZYWACZY

## I

Ojciec nie miał ziemi i pracował na leśnych zrębach jako drwal.

Mieszkaliśmy w domu pod borem, w końcu ról chłopskich, gdzie dziadek w schedzie otrzymał prawo pobudowania chałupki na placu swoich krewnych. Nie było to darmo. Za plac ten obowiązany był ojciec dawać pięć dni odrobku w czasie żniw, o co krewni co roku nie omieszkali się upomnieć.

Było stąd blisko do lasu, ale za to daleko do wsi — do sklepu, do kościoła, do miasta i do szkoły. Rowami, ścieżkami i wszelkimi skrótami wynosiło to z pięć kilometrów, a drogą jeszcze więcej. Toteż nie uczyłem się, nie chodziłem do szkoły. Ojciec uważał, ze jestem za mały, za słaby, żeby codziennie przemierzać tę drogę.

Zresztą nauka u nas odbywała się tylko od Wszystkich Świętych do Wielkanocy, a więc od czasu ukończenia pasionek do czasu rozpoczęcia robót w polu. Podczas deszczów na drogach było błoto, a śnieg zawalał pola, gdy przyszły zimowe zawieruchy.

Ojciec nie chciał mnie puścić z domu. Patrzył nieraz na mnie i coś przeżywał. Jakąś zgryzotę. Co i jaką — najlepiej powiedzą jego słowa:

— Bąki tylko zbijasz, dziecko, a nic się nie uczysz... Będziesz ciemny jak i ja... Ale jak cię tu posłać do szkoły?... A to pada, a to mróz, a to butów nie masz i tak zawsze w kółko... Żebyś to chociaż był większy!

Wiedziałem, że ze wsi niektóre dzieci chodziły do szkoły, że miały tornistry, książki, z których czytały, i zeszyty, w których coś pisywały. Dla mnie jednak były to obce światy, których nie oglądałem zupełnie.

Uczyłem się tylko lasu: w lecie podpatrywałem ptaki po gąszczach, w zimie zaś śledziłem wielorakie tropy zwierząt na śniegu. Były wyraźne, uchwytne i tak różne jedne od drugich.

Codziennie rano ojciec, jeśli tylko nie zaspał, podrywał się o szarym świcie, jeszcze przed wschodem słońca. Rozpalał ogień, wstawiał garnek z ziemniakami, do żeleźniaka nalewał wody, zasypywał ją garścią kaszy i przygotowywał wszystkie graty potrzebne do roboty w lesie. Przed sień podprowadzał taczkę, kładł na nią piłę, szpadel, siekierę i gracę, a obok stary parciany worek i w nim kilka klinów z grabowego drzewa. Siekierę i gracę ojciec tak wyostrzył, że były

jęte niby brzytwy, kliny zaciosane cienko tak znów twarde, że można je było wbijać wprost w pień bez śladu zrobionego ostrzem siekiery. Przyrządy ojciec lubił mieć w największym porządku.

Gdy woda w żeleźniaku zaczynała wrzeć, a ziemniaki były na dogotowaniu, ojciec budził mnie. Ściągał mi z głowy pierzynkę, tarmosił za włosy i przewracał na boki — trudno wybijałem się ze snu. Kiedym wreszcie otworzył oczy, zmógłszy ołowiany ciężar powiek, widziałem, jak ojciec wlewa do wrzątku zakwas z dzbanka i miesza w żeleźniaku drewnianą łyżką, a potem, rzuciwszy do kominka kilka gałązek, zabiera się znowu do strugania ziemniaków. Widziałem to wszystko nawet wówczas, gdym nie patrzył, gdyż te czynności powtarzaliśmy co dzień niezmiennie.

— Wstawaj, wstawaj!... Dzień jak koń... Pomożesz mi trochę, zawsze będzie lżej...

— Tak, lżej... — odpowiadałem ojcu krnąbrnie, świadom własnych cierpień, bolały mnie bowiem wszystkie kości i mięśnie, szczególnie rano, po śnie.

Ojciec na moje protesty zupełnie nie zwracał uwagi. Miałem dziesięć lat, więc nie wypadało takiemu koniowi siedzieć w domu i obdeptywać ściany. Mogłem udźwignąć gracę, mogłem udźwignąć siekierę — reszta narzędzi była znacznie lżejsza: piła, szpadel, kliny. Liczyłem się więc jako pomoc ojca.

Po jedzeniu ruszaliśmy. Najpierw miedzą wśród pól ku lasowi, a potem lasem ku zrębom. Chodząc tędy cztery razy dziennie z taczką ojciec wydeptał już sobie wyraźną ścieżkę. Mijała ona pobrzeżny rów i zagłębiała się między drzewa. Najpierw rozpościerało się królestwo rudych sosen, potem teren się obniżał i bogacił w olchy, znów podnosił cokolwiek wyżej, ukazywały się porośnięte trawą polany z rzadkimi dębami, z kępami głogu i jeżyn, a potem świeże zręby — ogołocona z drzew powierzchnia ziemi, bielejąca kręgami ściętych pni.

Ojciec zatrzymuje się z taczką na brzegu lasu, zostawia ją tu razem z dwoma kawałkami chleba, owiniętymi w czystą lnianą szmatkę, a potem bierzemy narzędzia i ruszamy na środek zrębów, do najbliższego pnia. Jest ich dużo, do zimy jednak muszą być wszystkie wykopane, bo z wiosną zasadzi się tu nowe drzewka — małe sosenki i małe świerczki.

Z brzękiem leci na ziemię piła, głucho padają na pulchną od mchów i sosnowych szpilek glebę graca i siekiera, stukają kliny. Ojciec spoziera na pierwszy z brzegu pieniek, podnosi z wysiłkiem gracę, upatruje dogodnego miejsca i zaczyna błyszczącym ostrzem odgarniać ziemię na boki, rzucając w moją stronę krótko:

— Kop!

Ku południowi, kiedy część roboty posunęła się naprzód, ojciec spoglądał na słońce i jak gdyby mu ono coś powiedziało, rzucał wszystko wokół pnia. Odchodził do stojącej w cieniu taczki, podnosił zawiniątko z chlebem, brał sobie jeden kawałek i mnie dawał jeden. Był to pierwszy odpoczynek. Wiedziałem, że ojciec po zjedzeniu chleba wypali papierosa i odsapnie cokolwiek . Wtedy dla mnie zostawał las. Brałem swoją część chleba i szedłem między drzewa.

Ciepłe prądy powietrza chodziły wśród pni niby delikatne chuchnięcia. Szeleściły liśćmi osiki, potrząsały witkami brzóz, kołysały czubkami sosnowych gałęzi. W oczy wpadał ruch, w uszy tysiączne szmery i półdźwięki, trzaski i ptasie melodie, nos chwytał woń świeżych i starych, gnijących liści, zapach

grzybni i poziomek. Las, drzewa, głosy, światła czuło się całym sobą: skórą, ruchem głowy, smakiem, lżej lub ciężej postawioną bosą stopą.

Głębie leśne kusiły, wołały, ciągnęły i obiecywały. Ptak się jakiś przemknął między pniami tak szybko i tak niespodzianie, że w oczach nie zarysował się żaden zdecydowany, ściśle określony obraz; raczej kolorowa smużka, wiążąca cień z cieniem przez świetlistą przestrzeń. Spod krzaka dzikich malin szmyrgnął szarawy kształt zajączka lub królika. Gdzieś wiewiórka upuściła zerwaną szyszkę świerkową — głuche pacnięcie odbiło się o kolumnadę pni.

— Hop! — hop!...

Las — każde drzewo i każdy krzew — rzuca echo głosu dalej i dalej. To głos znajomy, woła ojciec. Robota czeka. Trzeba się z boleścią oderwać od tych pokus, od tych czarów. Trzeba zawrócić kroki: z cienia — w słońce, z lubego chłodu — na upał, z lenistwa — do łamiącej krzyż pracy, z lasu — na zrąb...

— Hop! — hop!... Hop! — hop!...

Każde posunięcie stopy boli, jak gdybym kroczył po raniących skórę kolcach. Trzeba się zmuszać do odwrotu. Trzeba hamować gorzkie łzy, cisnące się do oczu. I złość dziwną, rosnącą w piersi coraz mocniej. Droga tak krótka przedtem, droga, która sama ciągnęła w głębie leśne, teraz się dłuży, męczy i chyba rośnie przed człowiekiem, bo brzegu lasu nie ma i nie ma.

A tu właśnie coś nowego: z dużego świerka, któremu jakaś wichura zrzuciła wierzchołek i którego trzy boczne gałęzie, rosnące ku górze, wygięły się łukami, formując drzewo w rodzaj olbrzymiego świecznika — z tego właśnie świerka, spomiędzy jego rozłożonych na boki konarów, sfrunął grzywacz. Zalśnił swoimi barwami w płaszczyznach świateł, zaszarzał w płaszczyznach cieni i znikł gdzieś dalej. Leciał wolno, niby ociągając się, niby nie zwracając na mnie uwagi. Gniazdo? Czyżby tam, wśród tych gałęzi było gniazdo?... A może...

Serce mi zaczyna walić z niepokoju i radości. Stanąłem, patrzę.

— Hop! — hop! — woła ojciec, jakbym gdzieś przepadł daleko w borze.

— Ady idę!... — odpowiadam ze złością, gdyż jestem tuż, blisko.

## II

Tak się więc stało, jak tylokrotnie marzyłem. Znalazłem gniazdo grzywacza na złamanym świerku. Było wyraźne, choć niepozorne. Na zewnątrz zgrubienia, które tworzyły trzy wyrastające z jednego miejsca konary, sterczały końce gałązek, tworzących dość niedbale sklecone gniazdo. Nigdy bym go nie zauważył, gdyby nie sfrunięcie wówczas jednego ze starych rodziców.

Teraz miałem bo miałem o czym myśleć, do czego tęsknić. Uderzając gracą w ziemię lub nabierając na szpadel piasku, stale tylko formułowałem odpowiedzi na rozliczne pytania, jakie mi się w zgorączkowanej głowie lęgły. Co tam w tym gnieździe jest? Jajka czy młode? Jeśli jajka, to kiedy się wylęgną? A jeśli młode, to jakie są już duże? Czy są gołe? Czy się szypułą dopiero czy też pierzą? A jeśli się pierzą, to czy nie uciekną?

Najmniejszą przerwę w naszej robocie z ojcem wykorzystywałem w tym celu. Przybiegałem do świerka i patrzyłem w górę pnia. Czasem widać było wystający zza gniazda ogon siedzącego ptaka, a czasem zupełnie nic. Dopiero kiedy oparłem rękę o pień i klapnąłem głośno, ptak sfruwał. Robił to zawsze

jednakowo. Spływał wolnym, cichym lotem — niby niedbałym, niby ociągającym się — leciał niedaleko między pniami i siadał na gałęzi.

Rozumiałem. Chciał mieć oko na gniazdo.

Dzień w dzień, od świtu do nocy marzyłem teraz tylko o tym, żeby wejść na drzewo i zobaczyć, co tam jest: jajka, ślepce, szypulaki czy już podloty? Tego ostatniego bałem się najbardziej, bo ptaki mogły się każdej chwili „zwieść", czyli zlecieć z gniazda, a dla mnie zostałyby tylko ślady w nim, które rzuca ostatni ptak, opuszczający rodzinne pielesze.

Żeby więc się to nie stało, musiałem wiedzieć, co się w gnieździe znajduje. Trzeba było zatem wdrapać się na pień i przekonać naocznie. Ale kiedy to miałem uczynić? Ani rano, ani wieczorem nie było czasu. W południe musiałem iść do domu, żeby zjeść z ojcem kapustę przygotowaną przez niego wieczorem poprzedniego dnia. W krótkich przerwach odpoczynku było to również niemożliwe. Przedsięwzięcie wymagało więcej czasu, niż potrzeba na zjedzenie w samotności kawałka chleba.

Ale pewnego dnia los uśmiechnął się do mnie. W domu nie było jedzenia na obiad i ojciec zeszedł z roboty wcześniej, żeby coś uwarzyć. W tych wypadkach gotował najczęściej kaszę. Mnie zaś kazał poskładać na sąg drobne, wykopane od rana korzenie. We dwóch ułożyliśmy grube karcze, a ja sam miałem tylko pozapełniać przerwy i dziury między poszczególnymi łupami i przyjść do domu.

Gdy ojciec odszedł, gorąco zabrałem się do roboty i w mig wykonałem zadanie, a zaraz potem skoczyłem do świerka z gniazdem. Na samo miejsce poszedłem wolno i ostrożnie, żeby mnie kto nie podpatrzył i nie podzielił ze mną tajemnicy. Oglądałem się za siebie i patrzyłem na strony uważnie, ale nie spostrzegłem nikogo i niczego podejrzanego.

Podszedłem do pnia i przede wszystkim rzuciłem okiem na gniazdo. Nie było nic widać, choć zazwyczaj wystawał ogon siedzącego ptaka. I moje klapnięcie w pień nic nie pomogło. Nie sfrunęło żadne z rodziców. Wówczas szarpnął mną niepokój: a może się już „zwiedły"?... uciekły?... Tym bardziej więc trzeba się wdrapać tam wysoko do gniazda i przeciąć nić niepokoju.

Spojrzałem po pniu i zacząłem oceniać go pod kątem trudności wejścia na wierzchołek. Z początku pień był zupełnie bez sęków, ale za to posiadał mocno chropowatą korę. Jeden minus był wynagrodzony jednym plusem, przewagą była moja zdolność włażenia na drzewa. Dalej, po kilku metrach, rozpoczynały się sęki. Były nieliczne, suche, ale twarde. Trzeba będzie każdy dobrze wypróbować, nim się rękę czy nogę na nim oprze, gdyż przy wspinaniu sęk może się znaleźć w dłoni, a ja na ziemi.

Ponad sękami była już pierwsza żywa gałąź — zielona, mocna, solidna, a dalej — po prostu schody.

Już twarz mam na wysokości konaru, wygiętego w kształt olbrzymiego rogu bawołu. Już w nos bije charakterystyczna woń gołębiego nawozu... Teraz prostuję nogi i prostuję się cały, wychylając twarz jednym ruchem nad gniazdo...

Są. Młode. Dwa. Szypulaki, ale niedługo się wypierzą.

Patrzę, wdycham ostry zapach pomiotu i cały jestem parą młodych grzywaczy urzeczony. Śliczne: duże, rozrosłe, tłuste, mają kolor pierza ojca i matki, ale jakby stonowany, jakby przyciemniony. Dzioby czarne, oczy czarne, nie-

ruchome. Na siwych główkach i zielono-granatowych szyjach rosną im jeszcze kłaczki brudnożółtego puszku. Pozostałość z pierwszego, ochronnego pokrycia w najwcześniejszym okresie życia małych. Siedzą obok siebie, łepek w łepek i bok w bok. Nadęte, spłoszone, nieufne, dzikie. Co pewien czas wstają nieudolnie na nogi, stroszą pióra, rzucają główką w moją stronę i kłapią groźnie dziobami. Ma to przerazić i odstraszyć przeciwnika w mojej osobie.

Nie, nie odstraszą mnie dopóty, aż się dowoli na nie napatrzę, nasycę, więc biorę okiem każdy szczegół ich budowy, kolor każdego nieledwie piórka. Chcę wszystko zapamiętać, wszystkiego się tu nauczyć — tak bowiem blisko nie miałem gołębi młodych jeszcze nigdy w życiu. I to jeszcze grzywaczy — najładniejszych spośród dzikich gołębi...

Och, muszę je mieć! Koniecznie!

Rzeczywistość jednak, z którą się wkrótce zetknąłem, oblała mój zapał zimną wodą. Ojcu o wszystkim opowiedziałem, musiałem to powiedzieć... Wykorzystując chwilę jego zainteresowania się mną — najczęściej bowiem milczał i pracował bez przerwy — wspomniałem o grzywaczach. Że tu blisko jest gniazdo, a w nim para młodych. Że ja te młode chętnie wziąłbym na wychowanie.

Ojciec sprzeciwił się z miejsca i w sposób tak stanowczy, że moje nadzieje na posiadanie ptaków upadły najgruntowniej.

Wyprostował grzbiet, wsparł się na gracy i patrząc na mnie z góry zasądził:

— Żebyś mi się nie ważył! Ja bym ci zabrał! Rosną na to, żeby sobie fruwały, a nie po to, żeby je męczyć po klatkach!

Stał nade mną wielki, groził mi palcem prawej ręki, a lewą zdjąwszy z obsady gracy głasnął pasek na brzuchu. Ten pasek od spodni znałem bardzo dobrze. Nie dlatego, żeby nim ojciec ćwiczył moje plecy albo co innego, ale dlatego, że pasek ten spełniał i tak podwójną rolę: podtrzymywał ojcu spodnie i służył do zawieszania kluczyka od półskrzynka w kuferku. Przechowywał tam ojciec brzytwę, zapałki i, jeśli miał, parę groszy, zamykał wszystko na kluczyk, a kluczyk wieszał na troczku rzemiennym w dziurce od pasa.

Słuchałem wyroku ojca ze spuszczoną głową i tłumiłem w sobie łzy żalu — palące, gorzkie, duszące łzy.

Trzeba się było pożegnać z grzywaczami.

## III

Nie miałem matki od dość dawna. Kiedy skończyłem lat pięć, zachorowała na brzuch i nie pomogły żadne okłady, robione według przepisów życzliwych sąsiadów, a silnych głowaczy w sztuce leczenia. Matka poleżała zaledwie kilka dni i zmarła. Ojciec, człowiek od niej znacznie starszy, nie zamierzał się drugi raz żenić. Namawiających go do tego kroku zbywał machnięciem ręki i słowami:

— Co mi tam już po tym... Obejdzie się cygańskie wesele bez marcepanów... Nie dla mnie...

Samotność, odosobnienie i ciężkie warunki wyrobiły w ojcu surowość w stosunku do siebie i w stosunku do mnie. Nie folgował sobie, nie folgował

mnie. Zawsze poważny, zawsze milczący, miał mnie blisko siebie, patrzył mi na ręce, na twarz i w oczy. Zdawało mi się, że widzi we mnie, w środku, wszystko, co tylko bym tam ukrył. Ale nie ukrywałem przecież nic. Nawet owych znalezionych grzywaczy.

Przestałem odwiedzać gniazdo. W wyobraźni tylko przeżywałem szczegóły rozwoju i zmian u młodych, rosną na pewno i pokrywają się pierzem. Lotki u ich skrzydeł, ogony robią się coraz dłuższe, kolorowe miejsca na szyi i na barkach stają się bardziej wyraziste, pierś rudzieje aż do czerwoności, dziobki twardnieją i ciemnieją.

Pierwszego lepszego dnia, wypierzone, sfruną z gniazda i siądą na pobliskich drzewach, by już więcej nie wrócić do rodzinnego gniazda, a wtedy — choć posyp im soli na ogon!

Którejś nocy nad ranem wybuchła burza. Grzmiało bardzo długo, błyskawice rozświetlały ciemności, deszcz siekł okna i ściany chałupy, a wiatr dął tak mocno, aż kozły na strychu jęczały, niby gniecione wielkim ciężarem. Zdawało się, że wichura zdmuchnie naszą samotną chałupkę pod lasem.

Rano przewaliło się wszystko dalej, minęło niby zły sen, a my z ojcem jak zawsze przedtem ruszyliśmy ku porębie do roboty.

Zboczyłem w pewnej chwili ze ścieżki prowadzącej do pni i poszedłem w stronę świerka, na którym było gniazdo. Dlaczego to zrobiłem, trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Czy tęsknota do ptaków przemogła wszystko, czy zatroszczyłem się o los grzywaczy, które przeżyły burzę szalejącą nad lasem w nocy? Może to wszystko razem?

Wykorzystując swoje miejsce za plecami ojca ruszyłem szybko w bok ze ścieżki między drzewa w kierunku świerka. Już z daleka ujrzałem u odziemka kupę zielonych gałęzi, a wysoko bieliła się na pniu rana, którą spowodowało oddarcie się gałęzi. Ze ściśniętym sercem podszedłem bliżej. Świecznikowaty wierzchołek drzewa zniknął. Wszystkie trzy ramiona konarów zostały oddarte przez wiatr i rozrzucone. Szkodnik-wicher miał ułatwione zadanie, gdyż wierzchołek złamanego pnia był już w środku zmurszały i słaby. Trzymała się tylko sama zewnętrzna powłoka niby tuleja, na której tkwiły trzy rozrośnięte, a więc ciężkie konary. Gdy wicher w nie uderzył i zatargał — spadły wszystkie trzy.

Gdzie były młodziaki grzywaczy?

Co się z nimi stało?

Chodzę, patrzę, krążę w kółko, nieledwie wącham. Powinny tu gdzieś być, jeśli ich co nie zjadło, muszą być albo żywe, albo martwe! Znalazłem szczątki gniazda, potarganą kępkę suchych, cienkich gałązek, rzuconą w pobliżu świerkowego pnia. A młodziaków nie było.

Począłem więc myszkować między gałęziami konarów. Obchodziłem każdy z nich z osobna, patrzyłem pomiędzy sęki i pod rzuconą na ziemię gać. Nie było nic przy pierwszym, to samo przy drugim konarze, wreszcie przy trzecim — były! Siedziały obok siebie zmoknięte, skulone, głodne, drżące z chłodu, ledwie żywe. Czekały właściwie śmierci, gdyż w tym miejscu, gdzie się ukryły, nigdy by ich rodzice nie odnaleźli.

Młodziaki skazane były na zagładę. Niewątpliwą.

Postanowiłem je ratować. Wziąłem oba i włożyłem do czapki. By nie rozgniewać ojca długą nieobecnością przy robocie, pobiegłem szybko na porębę.

Skrzyczy mnie?... Zbije?... Nie uwierzy?... Każe ptaki odnieść z powrotem na miejsce?...

Wreszcie podszedłem i stanąłem z boku, trzymając czapkę z gołębiami w ręku. Ojciec szpadlem podkopywał gruby korzeń sosny. Mnie nie widział czy nie zwracał uwagi.

— Tato! — zacząłem pokornie.

— Co? — odezwał się ojciec suchym, jakby nieżyczliwym tonem.

— Przyniosłem młodziaki... — wybełkotałem sztywnym z wrażenia językiem.

Ojciec podniósł głowę znad korzenia i spojrzał na mnie uważnie. Dwie wiechy wąsów zwieszały mu się po obu stronach ust.

— Co za młodziaki? — Odczułem groźną nutę w jego głosie.

— Grzywacza...

— A to skąd?... Jakim sposobem?... Po co?... Kto ci kazał?

Mimo wszystko w ostatnich słowach ojca nie wyczułem owego kategorycznego sprzeciwu, który przecinał wszelką dyskusję. Odwrotnie — miałem wrażenie, że domyśla się pewnych rzeczy, a z moich ust wymaga tylko potwierdzenia. Nadto zdawało mi się, jakby pragnął utrzymać się w nastroju srogości. Wyrzuciłem więc z siebie jednym tchem wszystko, co wiedziałem: o burzy, złamanym wierzchołku świerka, zniszczonym gnieździe, półżywych młodziakach.

I dodałem, że jedynym ratunkiem dla ptaków może być tylko zabranie ich do domu. W lesie bowiem zdechną z głodu i chłodu, choćbym je nawet zaniósł na miejsce z powrotem.

— A stare? — rzucił podchwytliwie.

— Starych nie ma. Odleciały widocznie od gniazda.

Teraz wszystko zależało od jednego ojcowego słowa. Zatrzymałem oddech w piersiach.

— Dużo ty tam zwojujesz — odezwał się wolno innym tonem i zabrał się do przerwanej poprzednio roboty.

## IV

Tą rzeczy koleją miałem w domu parę młodych grzywaczy. Przyniosłem ptaki w tej samej czapce, w której umieściłem je zaraz po znalezieniu. W niej obeschły z wilgoci, w niej się trochę ożywiły i ogrzały wzajemnym ciepłem.

Przyniosłem grzywacze do domu, umieściłem w klatce, ale wobec późnej pory i zmęczenia rzuciłem się spać. Nie spałem jednak spokojnie. Rozpierała mnie radość. Nie wierzyłem namacalnej prawdzie. Budziłem się w nocy z lękiem, gdyż prześladowały mnie sny. Bohaterami ich była zawsze para moich grzywaczy. Raz mi się roiło, że młode zdechły, bo albo nie miały wody, albo jedzenia. To znowu widziałem je na podwórku, jak nieodgadnionym sposobem wydostały się z klatki i zbierały do ucieczki, wznosząc powoli skrzydła do lotu. Albo spostrzegałem je siedzące wysoko na gałęzi — dalekie, niedosiężne.

Dzień wyzwolił mnie z koszmarów, ale zaczęły się inne, prawdziwe kłopoty. Wypadłem rano wprost z pościeli do młódków i pierwszą moją myślą było, że trzeba je nakarmić.

Ale jak będą jadły? Jak będą piły?

Młodziaki były bardzo głodne. Wole ich, podgardla zupełnie zapadły, ptaki stały się znacznie lżejsze. Nic dziwnego: nie jadły już drugi dzień, a zeszłej nocy zmarzły w czasie burzy.

Musiałem je nakarmić i napoić. Ale jak to należało zrobić? Widziałem jeszcze za życia matki, jak pojono kurczęta. Dostały zaraz po wylężeniu drobno posiekane gotowane jajko kurze, w wierzchu pudełeczka od pasty do butów wody i te śmieszne a zarazem ładne puchowe kuleczki — i jadły, i piły. Dziobały cząsteczki jajka, a potem przybiegały do brzegu pudełeczka i jak nauczone — piły drobnymi, krótkimi łykami, unosząc głowę w górę.

Biorąc z tego wzór zaczerpnąłem z drewnianej konewki małym garnuszkiem wody i postawiłem przed dziobami siedzącej na środku izby pary. Gołębie ani nie drgnęły. Siedziały naburmuszone, nieufne i niby zagniewane — dzikie. Nie wiedziały zupełnie, co to jest woda, co to wszystko znaczy i czego od nich chcę. Oddychały tylko mocno, aż od tych oddechów ruszało im się pierze na grzbiecie. Stanąłem przed nimi z kubkiem bezradny.

Na to wszedł ojciec. Zbliżył się do kominka, wziął ścierkę wiszącą obok kaptura i zaczął wycierać ręce.

— Teraz je dopiero poisz? — odezwał się z wyraźną naganą w głosie. — Ładnie by wyglądały, gdyby czekały na ciebie! Dawno by zdechły bez wody..

Zrobiło mi się gorąco. Czy to oznacza, że ojciec je wczoraj sam poił? Ale jak?

— Nie chcą wcale pić... — poskarżyłem się lękliwie.

— Bo to nie tak trzeba robić — nieprzyjemnym tonem ciągnął ojciec — w ten sposób to mógłbyś czekać do sądnego dnia...

Pełen poczucia własnej winy stałem niezaradny, stropiony, bliski płaczu. Nie chciałem jakimś niebacznym słowem czy niewłaściwym postępkiem rozgniewać ojca. I tak mi na wiele pozwolił, godząc się na przyniesienie grzywaczy do domu. A nuż w gniewie każe mi odnieść parę do boru?

— Weź w jedną rękę garnczek, a w drugą ptaka i tak rób, żeby mu wetknąć dziób w wodę... Żeby ją poczuł... Zobaczysz wtedy...

Ojciec wyszedł. Przygotowywał taczkę do odjazdu. Słyszałem szczęk siekiery o gracę i brzęk szpadla.

Posłuchałem rady. Ująłem garnczek w lewą rękę, w prawą wziąłem ptaka i brzeg naczynia podsunąłem mu pod sam dziobek. Wskazującym palcem przycisnąłem główkę młodziaka lekko ku dołowi, aż cały dziób znalazł się w wodzie. I wtedy stała się rzecz nadzwyczajna: gdy tylko płyn dostał się na język ptaka mimo ściśniętego dzioba, grzywacz drgnął raptownie, wyciągnął ku przodowi szyję, zanurzył łepek gwałtownie w wodę aż po oczy i zaczął pić łakomie — raz, raz, raz...

Pił — pił — pił i pił... Zdawało mi się, bez końca. Nareszcie przestał, podniósł w górę główkę, odetchnął przez szeroko otwarty dziobek, otrząsnął go z wilgoci i skulił się cały jak przedtem. Był znowu nieruchomy, nieufny, obcy.

Z drugim ptakiem nie było już żadnego kłopotu. Napoiłem go bardzo prędko i łatwo. Jedna więc część zadania została rozwiązana pomyślnie. Ale pozostawała jeszcze druga — karmienie. Ptaki nie zwracały wcale uwagi na rozsypany przed ich dziobami groch, jak również nie robiły na nich wrażenia moje psykania czy ruchy dłoni, by skłonić je do rozwarcia dziobów.

Musiałem więc inaczej sprawę rozwiązać. Chodziło o to, żeby ziarnka grochu znalazły się w przełyku ptaka. Jak to więc należało zrobić? Po krótkim namyśle zacząłem delikatnie rozwierać dziób i wkładać do różowego wnętrza po jednym ziarnku. Szło to niezgrabnie i niesporo, ziarna często wypadały, ale w końcu kilkanaście ziarnek dostało się do wnętrza gardziołka zgodnie z przeznaczeniem.

Spieszyłem się, bo ojciec mógł każdej chwili zawołać mnie do wyjścia. Należało być gotowym. Jeszcze jedno ziarnko... Jeszcze jedno... Im więcej, tym lepiej. Ze swoją drogą zdobyczą spotkam się i zobaczę dopiero na obiad. A to kawał czasu jeszcze. Teraz jest dopiero po niedawnym wschodzie słońca.

— No, do jedzenia! — usłyszałem głos ojca sprzed sieni.

Wsadziłem szybko oba ptaki do klatki i wybiegłem przed chałupę. Taczka stała już przygotowana. Było na niej wszystko, co potrzeba. Obok zaś, na wierzchu ławki, ojciec postawił miskę z ziemniakami, do których nalał mleka, przyniesionego wczoraj wieczorem ze wsi. Jedliśmy szybko, by móc jak najprędzej wyjść. Dzień robił się coraz pełniejszy.

I znowu marsz ścieżką do boru — jak co dzień, jak zawsze. A oto zręby. Bielą się pniaki, bieli poruszony przez nasze ręce piasek i postawione przez nas sągi. Słońce tu grzeje coraz mocniej, po burzy zaczęły się upały. Naginamy spracowane grzbiety, zmuszamy do chwytów obolałe dłonie. Chwytamy obsady szpadla i gracy, chwytamy korzenie. Kopiemy siwą glebę leśną aż do płonej surowicy, wywalamy na wierzch piasek: raz żółty, raz czerwonawy, raz płowy niby ziarno jęczmienia. Dzień upływa bardzo wolno, godziny mijają żółwim krokiem. Ciężko. Boleśnie.

Krótkie przerwy w robocie „dla oddechu" przedłużałem mimo woli. Zamyśliłem się nieraz nad jakimś szczegółem, stanął mi w pamięci niedawny obraz z życia grzywaczy — a to młodziak pijący z garnka wodę, a to oddychający głęboko w głębi klatki, a to stary, szybujący nad polami w pogodny dzień.

— Taki, widzisz, będzie z ciebie pożytek teraz... Ptaki ci w głowie — odezwał się niespodzianie ojciec.

Ubodło mnie to bardzo głęboko. Schyliłem się jednak szybko i podjąłem przerwaną na chwilę pracę.

W taki sposób nadeszło południe. Nie mogłem się go doczekać. Ruszyliśmy wreszcie z boru na obiad, ja w domu dopadłem wpierw klatki, ażeby na własne oczy się przekonać, że wszystko w porządku. Gołębie siedziały bok w bok na podłodze, oddychając równo i mocno. Żyły!

Trzeba było je zatem nakarmić. Wysadziłem je z klatki na polepę i myślałem, w jaki sposób dać im jeść. Jak to zrobić? Miałem jeszcze w domu trochę prosa i nim postanowiłem je nasycić. Ale jak? Czy je tak karmić prosem, jak rano grochem? Nie! To było niemożliwe! Drobniusieńkie ziarnka prosa zupełnie się do tego celu nie nadawały!

Nagle tknęła mnie myśl — czyby nie spróbować karmić młódki tak, jak to robią stare gołębie? Widziałem przecie kilka razy karmienie gołębi domowych... Sąsiedzi w starej wsi chowali te ptaki.

Bez chwili wahania nabrałem w usta najpierw ziaren prosa a potem cokolwiek wody. Czując językiem rzadką, płynną mieszaninę, podniosłem z ziemi młódka i wziąłem w usta jego dziób. Gołąb drgnął, niby dotknięty prądem elektrycznym, wsunął gwałtownie dziób w moje usta jak najgłębiej i począł żar-

łocznie chłonąć mieszaninę prosa z wodą. Trzepał przy tym skrzydłami i bił mnie nimi po twarzy. Ja zaś tchnąc lekko powietrze w jego dziób pomagałem mu w jedzeniu.

Drugiego nakarmiłem już bardzo łatwo. Teraz tylko trzeba było mieć jakieś ziarno i czas, a wszystko inne pójdzie jak z płatka. Przejmowała mnie głęboka, upajająca radość. Odkryłem sposób karmienia swoich gołębi. Mogłem się cieszyć, że mi nie zdechną z głodu. Odwrotnie — wierzyłem, że urosną i to prędko.

## V

W sobotę po południu schodziliśmy zawsze z poręby wcześniej. Ojciec brał od gajowego kartkę, w której było podane, ile przez tydzień zrobiliśmy sążni, i z tą kartką udawał się do administracji we dworze. Tu zapisywano naszą należność, a jednocześnie wypłacano ojcu zarobek, osiągnięty w tygodniu ubiegłym. W ten sposób wypłata za naszą robotę opóźniała się o tydzień.

Zdarzało się jednak często, że nie wypłacono ojcu nawet za ten przeszły tydzień — jeden i drugi. Dochodziło nieraz do miesiąca nawet, upływało kilka tygodni, a pieniędzy jak nie było, tak nie było. Ojciec dokładnie co sobota szedł do dworu i zanosił kartki od gajowego, ale wracał zły, ponury, złorzeczący przez zęby, z czego rozumiałem tylko jeden wyraz:

— Dranie!...

Bardzo się wtedy ojca bałem, jego gniewu, ale jednocześnie i żal mi go było. Gdy nie przyniósł wypłaty, jedliśmy tylko kaszę, nieraz nawet bez mleka, a zamiast chleba, którego nie było za co kupić, ojciec piekł na blasze kominka zrobiony z razowej mąki placek. Przepijaliśmy go tylko wodą przyniesioną z domu w dzbanku glinianym.

Przy końcu czerwca zrobiło się najgorzej. Ojciec nie dostał wypłaty przez cały miesiąc i w sobotę, po powrocie ze dworu, oświadczył:

— Co my teraz, dziecko, będziemy jedli?

Po chwili zaś dodał słowa, które mnie smagnęły swoją treścią niby biczem:

— A tobie się akurat teraz gołąbków zachciało!...

No tak, miał rację — jakżeby nie miał racji? Głównym naszym pożywieniem była kasza jęczmienna, a jednocześnie ja nią karmiłem swoje gołębie po spasieniu tych kilku garści prosa, które u nas były. Rzecz jasna, że przybywały nowe żołądki i przyczyniały się do zmniejszania zapasu kaszy — i stąd te ojcowe słowa.

Ja zaś swoje grzywacze karmiłem skrupulatnie trzy razy dziennie: rano przed pójściem do boru, w południe podczas gotowania obiadu i wieczorem po powrocie z roboty. Młódki, pilnowane przeze mnie, rosły bardzo szybko. Pierzyły się coraz lepiej, lotki zaś w skrzydłach i pióra w ogonie wydłużały się im z każdym dniem.

Oba młodziaki wyglądały coraz dorodniej, upodabniały się coraz bardziej do starych grzywaczy.

Tak trwało kilkanaście dni. Aż przyszedł czas, gdy zauważyłem, że gołębie wysuwają główki spomiędzy prętów klatki i próbują dziobać drobne przedmioty leżące na polepie: plewkę z ziarna, kamyczek, mały odprysk gałązki. Na ten widok oblała mnie struga radości. Jeżeli dziobią takie drobiazgi, to czemu

nie mogą zainteresować się ziarnkami kaszy? Przecież od jednego do drugiego już tylko krok.

Wysadziłem młodziaki w południe z klatki na ziemię, posypałem im przed dzioby jęczmiennej kaszy i zacząłem obserwować, co się teraz stanie. Z początku oba stały nieporuszone, jakby onieśmielone obcością miejsca i innego niż wnętrze klatki otoczenia.

Po chwili jednak rozsypane ziarnka zwróciły ich uwagę. Jeden z nich wyciągnął szyję, spojrzał na ziemię, przekrzywił główkę, a potem niespodzianie dziobnął ziarnko kaszy raz, drugi. Uchwycił je samym koniuszkiem dzioba i rzucił, pstrykając charakterystycznie dziobem. To samo zrobił z następnym, z trzecim.

Drugi grzywacz widząc to podbiegł szparko z boku i patrzył na brata, ze wzmożoną uwagą śledząc ruchy jego dzioba... Wreszcie sam zaczął naśladować tamtego i próbować: brał i rzucał, brał i rzucał.

Aż stało się, że jeden z nich dosmakował się tego samego pokarmu, który otrzymywał w innych warunkach. Przysiadł nagle na nóżkach, rozwarł do połowy skrzydła i zaczął łapczywie, ale niedołężnie tłuc dziobem po ziarnie. Jedno łapał, inne tylko poruszał, bijąc dziobem niecelnie, w zapamiętaniu. Drugi wkrótce poszedł za jego przykładem, porzuciwszy żebrzące piski, którymi się domagał od brata karmienia.

Grzywacze więc zaczęły jeść same naprawdę, a mnie, patrzącemu na to wszystko, łzy ze wzruszenia i radości zasłoniły oczy.

Tak samo szybko nauczyłem je pić wodę, przystawiając ich główki do pełnego kubka, umieszczonego na polepie. Gdy tylko zaczynały ciągnąć napój, odejmowałem dłoń i gołębie same kończyły picie.

A więc już teraz jadły, piły. Same!

Mięśnie ich skrzydeł zaczęły domagać się ruchu, ćwiczeń, wprawy. Toteż młódki coraz częściej wstawały w klatce, rozpościerały skrzydła na boki, tłukąc nimi zapamiętale powietrze przez kilka minut, aż w całej izdebce wirowały kłęby kurzu.

Ojciec widząc to rzekł raz do mnie:

— Ciasno mają... Trzeba je przenieść na tamtą stronę i puścić wolno... Niech się nie męczą w klatce...

A następnie, jakby chcąc zatrzeć czy osłabić dowód swojej troskliwości o ptaki, dodał po chwili:

— Pobrudzą tam wszystko, więcej nic.

Przeniosłem grzywacze na „tamtą stronę". „Tamta strona" naszej chałupki to była po prostu spora komórka, gdzie rzucało się wszystko, co było niepotrzebne w domu lub w ogóle wycofane z obiegu. Pod ścianą stały niecki, łopata do wsadzania chleba do pieca, moje sanki, dwa koszyki i motyczki do kopania ziemniaków, parę drewek na kliny, stare trepy i wiele innych gratów rzucanych na wszelki wypadek.

Nieduże, kwadratowe okienko dawało wnętrzu światło.

Tam, do środka tej komórki puściłem gołębie któregoś południa. Miałem cokolwiek wolnego czasu i obserwowałem wszystko. Gdy ptaki posadziłem na ziemi, stanęły zalęknione na wyciągniętych nóżkach, pierze na nich przyklapnęło, przez co wysmuklały i wydłużyły się nadmiernie. Ach, jakie były piękne! Zupełnie jak owe stare, które podglądałem z żyta nad rzeczką... Na

ciemniejących zielono, chwytających już lekki odblask metaliczny szyjach ukazywały się białawe, wyraźne paski, dodające ptakom tyle uroku.

Śledziłem ich każdy ruch. Najmniejsze poruszenie głową czy dziobem. Chwilę dłuższą stały oszołomione, zaskoczone obcością świata, który im się objawił nagle i zupełnie niespodziewanie. Aż w pewnym momencie — jakby zupełnie bezwolnie, jakby ulegając z jednej strony wewnętrznej potrzebie, a z drugiej pokusie wolnej przestrzeni — ptaki niby umówione rozwarły razem skrzydła i zaczęły nimi bić powietrze. Z suchej ziemi wstały tumany kurzu.

Wreszcie, uchwyciwszy swą gołębią świadomością fakt, że skrzydła odrywają je od ziemi, unosiły się lekko ku górze i spadały na ziemię, unosiły się i spadały, aż uleciały pod posobę i tam zaczęły krążyć wokół całej komórki, budząc stare, zleżałe pokłady kurzu.

Była to pierwsza w ich życiu większa próba lotu, nie licząc przymusowego spadku ze świerka na ziemię podczas burzliwej nocy. Bardzo ograniczona co prawda próba, ale już wchodząca w rachubę w całej karierze ich ptasiego życia.

W ten sposób wzięły komórkę, całe jej wnętrze, w wyłączne posiadanie. Jeść im sypałem na ziemię na wprost okienka, gdzie było najwidniej. Tuż obok stawiałem kubek z wodą. Jadły, kiedy chciały, piły, kiedy im się tylko żywnie podobało. Rano, idąc do roboty, zostawiałem je z żalem, w południe witałem z radością, wieczorem szedłem spać, ukołysany miłym przeświadczeniem, że są tuż niedaleko mnie — syte, wyrośnięte, zdrowe.

Grzywacze szybko poznały komórkę i wszystkie jej właściwości. Po jedzeniu i na noc siadały na drążku przybitym do belek a służącym do wieszania brudnej bielizny. Tu kucały obok siebie, kuliły szyje w pierze i trwały w bezruchu — trawiły. Gdy były głodne, chodziły po ziemi między rozrzuconymi gratami. W biały dzień, kiedy przesuwające się po niebie słońce schwyciło róg szybki i na drewnianej framudze okna legło trójkątną plamą światła, grzywacze podfruwały na oświetlone miejsce, siadały w promieniach i otwierając skrzydła, na zmianę nagrzewały się leniwiejąc i śpiąc. Spędzał je stamtąd głód i znikający promień słońca przetoczonego na zachód.

## VI

Była niedziela po południu. Stałem w komórce na wprost jedzących gołębi, gdy przed okienkiem naszej chałupy przeszedł jakiś człowiek. Rower postawił pod ścianą, minął sień i wszedł do izby. Ojciec akurat prał koszule. Niezwłocznie ruszyłem za przybyszem i znalazłem się w izbie wtedy, gdy wymieniali uścisk ręki. Stałem za nim, między progiem a kominem.

Ojciec spojrzał w moją stronę i rzekł szybko:

— Mój kochany, idź sobie do gołębi albo gdzieś w pole!

Zrozumiałem — ojciec chciał być sam z gościem, a mnie chciał się pozbyć. Wyszedłem z izby, ale widok tego człowieka nie dał mi spokoju. Do nas rzadko kto przybywał, nikt nas prawie nie odwiedzał. Rodzina była daleko, a sąsiedzi ze wsi nie mieli do nas prawie żadnych interesów. Tymczasem pamiętałem, żem go już gdzieś widział, a nawet zdawało mi się, że był u nas zeszłego roku. Niski, czarniawy, podobny trochę do Cygana. Ludzie we wsi bardzo o nim źle

mówili: a to że komunista, a to że w Boga nie wierzy, a to że wywrotowiec. Nadto podobno miał nie chodzić do kościoła, kłócić się z księdzem i wygrażać panom. Nasi sąsiedzi ze wsi twierdzili, że siedział w więzieniu.

Zajrzałem do gołębi. Siedziały na drążku pod posobą, w tych warunkach nie były ważne, więc zamknąłem drzwi i wyszedłem na dwór. Było ciepło — lipiec. Żyta już dojrzewały i należało się spodziewać, iż lada dzień zaczną się żniwa. Na piaszczystych wzgórkach wszystko już było żółte — i kłosy, i słoma.

Stanąłem przy zagonie, urwałem na wpół dojrzały kłosek i wydłubując z plewy miękkawe jeszcze ziarnka począłem je gnieść w zębach i połykać ciastowatą miazgę. Miała mdły, nudnawy smak, ale tylko z początku, dopóki podniebienie nie przyzwyczaiło się do niego i dopóki nie nabrałem — jeśli tak można powiedzieć — rozmachu.

Miażdżyłem w zębach pojedyncze ziarnka, a jednocześnie nie spuszczałem z oka naszej chałupki. Była na pozór cicha, ja jednak wiedziałem, że tam jest obcy człowiek, który o czymś z ojcem radzi. O czym rozmawiają? Nie wiedziałem. Nawet się nie domyślałem.

Po dłuższym czasie gość mojego ojca wyszedł, wsiadł na rower i pojechał w stronę wsi prosto drogą. W ślad za nim wytknął ojciec głowę przez drzwi i kiwnął na mnie ręką.

Podbiegłem i jak zwykle popatrzyłem mu w oczy.

— Słuchaj... — rzekł do mnie poważnie i wolno, jakby chciał, żebym dobrze zapamiętał każde wypowiedziane słowo — jutro do roboty nie idziemy, bo nikt nie idzie... Ani pilarze, ani szkudlarz, ani inni robotnicy... Tak powinno być...

— A to czemu? — wyrwało mi się z ust.

— Nie idziemy i basta. To nie dla ciebie — ojciec ściągnął brwi. — Czego się niepotrzebnie wypytujesz?

Potem ojciec zamilkł na chwilę, zamyślił się, jakby sobie coś przypominał czy szukał odpowiednich słów.

— Ja teraz pójdę za bór... Może wrócę na noc, a może nie. Pamiętaj, żebyś domu pilnował i nie zarzucił gdzie ognia. Zostawiam ci chleb i kartoflankę z południa. Jak ci się jeść zechce, to sobie pojesz... Tylko ogień, pamiętaj!... Ogień!

Przerwał, a po chwili dodał:

— Jak nas wyrzucą z boru, to sobie robotę znajdziemy u żniw... Teraz nie ma głupich. Zapłacili za tamto co prawda, ale jak trzeba razem z chłopami — to trzeba...

Ojciec skończył, wszedł do izby, ale zaraz wyjrzał.

— Słuchaj, gdyby się o mnie kto dzisiaj czy jutro pytał, to powiedz, żem poszedł do miasta. Nie zapomnij — poszedłem do miasta!

Usiadłem na ławeczce przed domem, podkuliłem nogi i zacząłem znowu wysupływać młode ziarnka z kłosa. Ciepło letniego dnia wolno się zmniejszało, cienie drzew wydłużyły się, tylko w powietrzu panowała w dalszym ciągu ogromna suchość.

Wreszcie ojciec wyszedł z chałupy. Był boso, ale na głowie miał czapkę odświętną, na ramionach zarzuconą marynarkę, w ręku zakrzywiony kij dębowy, który sobie wygiął sam.

— Nie bój się tylko — przemówił do mnie łagodnie — nic ci nie będzie,

jeżeli sam posiedzisz... O zmroku idź spać, zamknij się dobrze, nie otwieraj nikomu i z ogniem, pamiętaj, ostrożnie... Chleba sobie nie żałuj!

Poszedł wolno dróżką ku lasowi — bosy, z opuszczonymi nogawkami od spodni, w nowej czapce, w marynarce. Towarzyszył mu wiernie jego własny cień. Patrzyłem za nim dopóty, póki się nie schował między sosnami.

Zostałem sam przy domu i wtedy dopiero przemówiło do mnie osamotnienie. Nieraz przecie zostawiał mnie ojciec, gdy udawał się do miasta albo do drugiej wsi, ale to było co innego. Wszystko wydało mi się teraz okropnie dziwne, obce i obojętne, poza tym jednym, że nie ma ojca. Byłem niby zawieszony w pustce. Nie wabiła mnie ani sień, ani ściany izdebki, ani gołębie w komórce. Na płacz mi się zbierało, bo czułem się strasznie opuszczony. Najchętniej bym pobiegł za ojcem, dogonił go tam gdzieś w drodze między drzewami, ułapił za dłoń, spojrzał w górę ku jego oczom, by odczytać w nich wyrok, i poprosił:

— Weźcie mnie, tato, z sobą!...

Ale ojciec był już daleko i odchodząc kazał mi wyraźnie siedzieć w domu.

Jakże wolno mijał teraz czas. Wchodziłem do wnętrza domu i zaraz wychodziłem, gdyż zawsze mi się zdawało, że poza moimi oczami, poza plecami coś się takiego stanie, czego ja mogę nie zobaczyć, nie dopilnować; jeśli byłem w środku — to ciekawił mnie dwór, a jeśli byłem na dworze — środek izby. Pola, las, daleka wieś i nasza chałupka zrobiły się niby inne, niby nieznane. A wszystko dlatego, że nie było ojca, że poszedł nie wiadomo gdzie, że mnie zostawił samego i nie wiadomo, kiedy wróci i po co poszedł.

Słońce stanęło na zachodzie i zupełnie sczerwieniało, a cień od naszej gruszki poszerzony i podłużony rozczapierzył się daleko na polu pełnym żyta. Gdzieś na pastwisku chłopcy dopasali krowy i jeden z nich śpiewał na całe gardło:

„Pod borem na perzowce
pasła dziewczyna owce —
tu ra ra, tu ra ra,
tu ra ra, tu ra ra —
pasła dziewczyna owce"...

Pozazdrościłem mu. Doczeka wieczora, napasie krowy, a potem przygna je do domu. Zastanie tam ojca, matkę, siostry, brata.... A ja?... Ja?... Ja jestem sam...

Czerwień przedwieczorna wlała się na miedze, przeniknęła żyta, a w chwilę potem zaczęła szarzeć. Szedł wieczór. Zajrzałem do gołębi, sypnąłem im na ziemię dwie garście kaszy, ale już nie sfrunęły z drążka. Czuły późną porę i nie były widocznie głodne. Uspokoiłem się. Kiedy jutro wstanie wczesny świt, znajdą na ziemi jedzenie. Sprzątną wszystko do ostatniego śladu, nim ja poderwę się z łóżka.

Wróciłem do izby, zasunąłem zaworę i położyłem się spać, rozebrawszy się tak prędko, jak nigdy. Myślałem, że zaraz usnę, jak to nieraz przy ojcu bywało, ale nie... Patrzyłem na wszystko dokoła bardzo trzeźwo. Spać mi się nie chciało. Widziałem mierzchnące okno, ciemne zarysy belek, czarne szpary między deskami na posobie, jakieś ubranie wiszące na gwoździu, kuferek pod oknem, w którego przytworku ojciec przechowywał swoje przybory do golenia.

Obejmowała mnie wielka cisza. Niby głęboka woda, kiedy w nią dawać nurka. Naciągnąłem na twarz ojcową kapotę, pod którą sypiałem, zamknąłem oczy, wtedy i cisza, i ciemność przytłoczyły mnie zupełnie.

## VII

Poderwałem głowę z poduszki — ktoś walił pięścią w ramę okna. W izbie i na świecie było już widno zupełnie. Świty letnie są wczesne i od razu pełne światła, zwłaszcza kiedy otworzymy niespodzianie oczy.

Gdy spędziłem rozespanie z powiek, poznałem włodarza dworskiego. Przycisnął twarz do szyby, z obu dłoni uczynił zasłony dla oczu, by lepiej widzieć wnętrze izdebki pełnej jeszcze cienia, i coś wołał.

Musiał mnie dojrzeć na łóżku, bo usłyszałem jego huczący bas:

— Ojciec jest w domu?

— Nie, nie ma.

— A gdzie się podział?

— Nie wiem. Poszedł do boru.

— Nie wiesz — zadrwił z lekka włodarz — a do roboty czy pójdziecie? Wiesz? Ojciec ci nie mówił?

— Nie wiem — odpowiedziałem swoje.

Włodarz zamamrotał coś pod wąsem, odszedł dwa kroki od okna, wrócił znowu i huczał przytknąwszy policzek do szyby:

— Jak się pokaże ojciec, to mu powiedz, żeby poszedł do roboty!... Tylko nie zapomnij! Zapamiętaj sobie!

— Dobrze! — odkrzyknąłem hałaśliwie.

Odszedł, ale ja już nie zasnąłem mimo wczesnego rana. Rozleniwiony poleżałem cokolwiek i wstałem. Wołał mnie na zewnątrz domu ten sam niepokój, co wczoraj, wołała świadomość obowiązku — gołębie były głodne.

Wstałem szybko, ubrałem się i nawet bez mycia pobiegłem na drugą stronę domu. Wszystko się sprawdziło, jak przewidywałem wczoraj. Grzywacze wyzbierały kaszę do czysta i siedziały na framudze okna w oczekiwaniu na słońce.

Na mój widok wyciągnęły szyje i przekrzywiły łebki patrząc ku mnie. Kiedym je tak zobaczył tęskniące do świata, do przestrzeni, zrobiło mi się ich żal — pierwszy raz... Cóż miałem jednak robić? Wypuścić je? Otworzyć im okno?

Pewnie, wiedziałem, że tęskniły, jednak poczucie własności, chęć posiadania ich były we mnie silniejsze niż ochota obdarzenia ptaków wolnością. Żałowałem ich, to prawda. Byłem jednak przekonany, że gdybym je ujrzał na wolności, mój żal po ich utracie byłby znacznie większy niż radość z uwolnienia młodziaków.

Posypałem im jedzenia, zmieniłem wodę i wyszedłem na dwór. Był już wielki dzień. Słońce stało wysoko nad polami pełnymi rosy, która błyszczała na wąsach zbóż, na liściach drzew i krzewów, na źdźbłach traw. Światło łamało się w jej kroplach i zabarwiało każdą z nich odpryskiem tęczy.

Gdy po zjedzeniu odgrzanej kartoflanki wyszedłem na drogę, byłem zdziwiony masami ludzi, którzy szli niedalekim traktem w stronę miasta. Ciągnęli chłopi i kobiety, młodzież a nawet dzieci. Domek nasz stał z boku przy wąskiej

drodze do boru, nieco na wyżynie i stąd widok na trakt miałem zupełnie odkryty. Kupy ludzi śpieszyły się, jakby gonił je jakiś ostry nakaz. Czasem wozy pomykały jeden za drugim — całe w stukocie kół i kurzu. Trakt wywijał się od strony południa z lasu, ale dalej już szedł odkrytymi polami, pełen piasku i lotnego pyłu, ulatującego w górę przy najlżejszym poruszeniu nogą.

Zacząłem się pytać samego siebie: co to było? Dokąd ci ludzie tak śpieszą? Do kościoła czy na jarmark? Czy i mój ojciec znajduje się tam, w tym tłumie?

To pytanie nasunęło mi przed oczy postać ojca i przypomniało jednocześnie moją samotność. Skurcz żałości schwycił mnie za gardło. Wolałbym teraz, żeby ojciec już krzyczał na mnie, byleby tylko był tutaj w domu, koło ściany czy nawet w borze.

Ludzie traktem przeszli, ostatni przejechali na koniach. Drogi opustoszały, a z nimi całe okoliczne pola. Zamknąłem izbę i usiadłem na ławeczce pod oknem. Nie wiedziałem, co robić, kogo się poradzić, dokąd się udać. W miarę upływu czasu piasek nagrzewał się coraz mocniej, gdyż słońce wznosiło się wyżej. Południe nadchodziło, upał wzrastał z każdą godziną.

Byłbym w tym cieple usnął z bezruchu, gdyby nie nagły w stronie miasta strzał. Najpierw jeden, a potem kilkanaście, raz po raz. Wybiegłem na drogę i słuchałem. Strzelanina nie ustawała. Zupełnie jak na polowaniu albo jak na wojskowych ćwiczeniach, które były zeszłego roku na jesieni za wsią.

Kręciłem się koło domu w zupełnej niewiedzy i bezradności. Wypatrywałem ku wsi, ku miastu, spoglądałem na trakt. Było jednak wszędzie tak pusto, tak cicho, aż lękliwie.

W pewnej chwili, gdym się znajdował na podwórku za płotkiem, usłyszałem na drodze gwałtowny tętent konia. Ruszyłem do furtki, by zobaczyć, co się dzieje. Ale nie zdążyłem. Przede mną przecwałował jeździec — chłop jakiś z gołą głową i zakrwawioną twarzą.

— Ej! — krzyknąłem za nim — ej!

Zupełnie odruchowo chciałem go zapytać o coś — skąd jedzie i dokąd, dlaczego ucieka, czy ojca mojego nie widział, jakbym się domyślał, że mogli być razem. Ale nie zdążyłem. Mignął tylko przede mną i rwał na koniu w stronę lasu. Po chwili przepadł między drzewami.

Niepokój wzrósł we mnie jeszcze bardziej. O niczym innym nie mogłem myśleć, tylko o ojcu: gdzie jest i co się z nim dzieje? Nawet gołębie mnie nie bawiły. Posypałem im kaszy w komórce na ziemię, wsunąwszy tylko przez uchylone drzwi prawą rękę. Sypnąłem i wybiegłem na drogę, zwracając się mimo woli w kierunku miasta, w stronę, w której słyszałem niedawne strzały.

Może było już południe, bo słońce stało na wprost drzwi wejściowych do chałupy, gdy na trakcie znowu pokazywać się zaczęły grupy ludzi — mniejsze, większe, to sami chłopi, to wokół wozu. Szli dość szybko, zwracając się za siebie i oglądając.

Ale ojca nie było widać.

Minęło południe — ojciec nie przyszedł.

Długi, letni dzień lipcowy ciągnął się w nieskończoność. Gdy wreszcie słońce dolnym brzegiem oparło się o bór, poczucie osamotnienia zmorzyło mnie. Zacząłem płakać z głodu, bezradności i opuszczenia.

Tymczasem, gdy już zacząłem tracić ostatnią nadzieję, ojciec pokazał się od strony zupełnie niespodziewanej. Szedł miedzą wśród żyta, prosto na cha-

łupę. Ale wyglądał zupełnie inaczej, niż go widziałem wczoraj odchodzącego i przypominałem podczas długich chwil samotności. Nie miał czapki, nie miał kapoty, nie miał kija. Lewą rękę trzymał zgiętą na piersi, dłoń wsunąwszy za pazuchę.

Wszelkie niepokoje i wszystkie bóle od razu we mnie zgasły. Nawet płacz. Szybko otarłem lewym rękawem i lewą dłonią — lewe oko, a prawym rękawem i prawą dłonią — oko prawe. Podbiegłem w stronę nadchodzącego szybko i zacząłem się uśmiechać.

— Idziecie, tato?

Jakbym nie wierzył w oczywistość faktu. Musiałem się uśmiechać bardzo wyraźnie, bo i ojciec się uśmiechnął. Zbliżył się do mnie, oparł mi rękę na głowie.

— Nie był tu nikt? Nie pytał się o mnie? — przemówił łagodnie ojciec — Pewnie ci się jeść chce, co?... Płakałeś?

— E, nie!... — zaprzeczyłem gorąco.

Och, radość mnie ponosi. Jestem lekki i lotny, same nogi porywają. Jest ojciec! Palimy ogień, gotujemy, warzymy, jemy. Tylko z tą ojca lewą ręką... Oszczędza ją przy robocie. Rozmawiamy.

— Boli was, tato, ręka?

— Trochę...

— A od czego?

— Tak sobie... Jutro się zgoi.

— A gdzie byliście, tato?

— U ludzi, dziecko...

— A co robiliście?

— Takie tam sobie rzeczy...

— Ale co? — nastawałem.

A kiedy ojciec nie chciał mi odpowiedzieć, tylko patrzył na mnie dziwnie, ciągnąłem dalej swoje:

— A kto tak strzelał, tato?

— Policja, mój kochany...

— Do kogo?

— Do ludzi...

— A dlaczego?

— Jak urośniesz, to zrozumiesz...

Chciałem rosnąć prędko już nieraz i przy różnych okazjach, ale choć codziennie wyciągałem się do góry, zawsze byłem niższy od ojca i daleko miałem do posoby.

Wieczór przeszedł migiem, a potem znowu chmura, znowu ciemno na duszy.

— Zostaniesz sam. Jutro będę u ciebie — mówi ojciec odchodząc na noc — niedaleko się zatrzymam. Nie bój się niczego. I powiedz, gdyby się kto o mnie pytał, że jestem w mieście za robotą.

## VIII

Chodziłem koło domu, nudziłem się, oprzątałem grzywacze i wyglądałem ku słońcu. Najpierw — daleko to do południa, a potem — daleko to do wieczora. Noc mi przeszła dość łatwo i szybko. Nawet wieczorem, kiedy się kładłem spać,

nie czułem osamotnienia, gdyż zdawało mi się ciągle, że ojciec jest gdzieś niedaleko — jak gdyby stał za oknem i przez szybę patrzył do wnętrza naszej chałupki, chcąc się przekonać, co i jak sam w niej robię.

Głodny nie byłem. Ojciec wczoraj przygotował mi tyle jedzenia, że miałem na cały dzień. Przygrzewałem sobie tylko co jakiś czas i pojadałem, oczekując tej chwili, kiedy ojciec znowu mnie odwiedzi. Nie zgadnąć tylko, kiedy się to stanie: w dzień, o zmroku czy w nocy. Wolałbym, żeby najprędzej.

Miało się ku wieczorowi i spoglądałem na tę samą miedzę, którą wczoraj nadszedł ojciec. Zdawało mi się, że tylko go patrzeć, że już idzie, że gdzieś tam wszedł na miedzę i posuwa się po niej.

Wypatrywałem sobie tam oczy, tymczasem nie zauważyłem, że z przeciwnej strony, ode wsi jedzie w naszą stronę trzech policjantów na rowerach. Posuwali się jeden za drugim. W słońcu migały ostrymi blaskami szprychy u nowych kół, a siodełka poskrzypywały na wybojach nierównej dróżki.

Stanąłem nieruchomy i patrzyłem spokojnie, co się będzie działo dalej. Policjanci dojechali do naszej chałupki, zatrzymali się, zeszli z rowerów i stanęli koło naszej furtki. Każdy z nich był inny, choć ubrani byli wszyscy jednakowo. Mieli na sobie granatowe mundury, pasy skórzane na brzuchach, przy nich bagnety, od czapek paski podpięte pod brodę, karabiny przytroczone do rowerów, buty zakurzone siwym pyłem. Jeden był wysoki, dość chudy i miał długie, żółtawe wąsy. Drugi niższy, grubawy, z czerwoną twarzą i wybałuszonymi oczami. Trzeci średni — ni wysoki, ni gruby. Niższy od tego najwyższego, a wyższy od tego najniższego. Pod nosem czernił mu się mały, przystrzyżony wąsik, podobny do niezmytego dotknięcia palcem umorusanym w sadzach.

— Tutaj? — powiedział ten gruby schodząc z roweru.

— Tu, tu, panie komendancie — potwierdził ów wysoki z płaczliwymi wąsami, opierając rower o płot.

— Na pewno?

— Na pewno, panie komendancie.

Zdjęli czapki, wyciągnęli z kieszeni od spodni białe chusteczki i zaczęli dokładnie ocierać z potu uznojone czoła.

Wreszcie zwrócili się do mnie frontem.

— Chodźno tu, chłopcze!

Podszedłem, patrząc na wszystko jak na osobliwość.

— Tyś z tego domu?

— Tak, z tego.

— Ojciec jest?

— Nie, nie ma...

— A gdzie się podział?

— Poszedł za robotą...

— A, za robotą... A gdzie za tą robotą?

— Nie wiem...

Ten grubszy, nazwany komendantem, tarł w dalszym ciągu wilgotne, szerokie czoło, na którym widać było wyraźnie czerwoną pręgę, wyciśniętą przez czapkę.

— A gdzie matka? — zapytał trzeci, średni.

— Matki nie mam — odpowiedziałem zaraz — umarła...

— Mów prawdę — zmarszczył groźnie brwi — bo jak nas będziesz okłamywał, to my potrafimy dobrać ci się do skóry! Gdzie ojciec?

— Nie wiem... Poszedł za robotą.

— Dajcie spokój pytaniom, kolego... Nie dowiemy się nic od tego bękarta. Musimy przeprowadzić rewizję. Czy masz klucz od kłódki do twego domu?

— Mam...

— Otwieraj!

Otworzyłem drzwi z kłódki i popchnąłem je. Policjanci weszli, wszyscy trzej, do środka. Zaglądali pod obrazy, pod łóżko, zdarli pierzynkę z łóżka i przewrócili słomę. Podnieśli wieko kuferka, przewrócili wszystkie szmaty, które się tam znajdowały, wyrzucili niektóre na izbę, wreszcie wzięli się za przytworek. Ponieważ był zamknięty, a ja powiedziałem, że kluczyk od niego ma ojciec przy sobie na pasie, więc bagnetem podważyli wieczko i otworzyli, oglądając wszystko po kolei: ojcową brzytwę, mydelniczkę z mydełkiem, jakieś papierki, zdaje się, że matki metrykę urodzenia.

Potem przeszli do komórki i tu przewracali zgromadzone w niej graty, nie omijając łopaty do chleba, niecek, moich sanek, starych trepów ojca, pieska do ściągania butów i kawałków grabowego drzewa, przygotowanego na kliny do łupania pieńków w boru.

Następnie wspięli się po drabinie na górę i tu chodzili pomiędzy krokwiami, przyświecając sobie latarkami elektrycznymi, które wyjęli z kieszeni mundurów. Poruszyli klepki ze starej, rozeschniętej cebratki, obejrzeli cegły w kominie, podnieśli obtłuczone wiadro, podstawione tu kiedyś podczas deszczu, żeby woda przeciekająca przez dach miała w co kapać. I znowu zeszli.

Stanęli przed wejściem do domu, na podwórku, i otrzepywali z kurzu mundury na łokciach i nogawki od spodni. Jeden z nich, ten z czarnymi wąsikami, przemówił do mnie:

— Mów prawdę, brzdącu, nie chował tu ojciec jakich papierów?

— Nie... Ojciec nie umie czytać, to na co mu papiery?

— Nie mądrz się, tylko odpowiadaj na pytania... Czy tu do ojca kto przyjeżdżał?... Jaki nieznajomy chłop?... Mów prawdę!

— Nie... Tu nie było nikogo.

Teraz znowu przemówił komendant, zwracając się całą szerokością swojego brzucha do mnie:

— Gdzie wczoraj był ojciec?

— Na robocie — odpowiedziałem.

— Gdzie na robocie?

— Nie wiem... — odpowiedziałem.

— Panie komendancie! Nie dowiemy się nic od tego smarkacza. Najlepiej zabierzemy go z sobą na posterunek i tam potrzymamy dotąd, aż zacznie śpiewać, co potrzeba...

Poprawili czapki, poprawili pasy, obciągnęli mundury, zadźwięczeli bagnetami, potrącając nimi o ramy nowych rowerów, i zaczęli gotować się do drogi.

— Zamknij dom, bo pójdziesz z nami! — rozkazał komendant.

Zrobiło mi się nieswojo, ale podszedłem do drzwi i zamknąłem kłódkę, przetykając przez skoble pałążek kłódki i przekręcając kluczyk.

Wyszliśmy za ogrodzenie, ja zawarłem za sobą dokładnie furtkę. Byłem za-

lękniony i żal mi było gołębi, które zostawiałem bez żadnej opieki — bez jedzenia i wody.

Ruszyliśmy. Pierwszy szedł komendant prowadząc rower, ja szedłem za nim, a zaraz po mnie dwaj pozostali posterunkowi, też wsparci na swoich maszynach. Pobrzękiwały metalowe, luźne cząstki przy karabinach i rowerach, skrzypiały czarne, zapylone buty policjantów. Nadchodził wieczór na świecie.

Zanim doszliśmy do wsi, komendant dwa razy zwracał się do mnie z pytaniem, czy wiem i czy powiem, gdzie ojciec jest dzisiaj i czy był wczoraj w mieście. Obiecywał mi, że mnie zaraz puści, jeżeli tylko powiem prawdę. Nie będzie mnie prowadził nawet do sołtysa, tylko tu od razu z drogi każe mi iść z powrotem.

Odpowiadałem za każdym razem, że nie wiem, a choć na mnie krzyczeli i grozili mi zamknięciem w więzieniu, przecież nie zmieniłem swojego słowa.

Doszliśmy do wsi, a ponieważ sołtys mieszkał w tamtym końcu, więc ruszyliśmy wzdłuż drogi, mijając poszczególne domy. Ludzie stali na drogach, po podwórkach, w drzwiach domów. Znać było po wszystkich ogromne poruszenie. Rozmawiano, krzyczano, wygrażano, wytrząsano pięściami, obiecując bliżej niewiadomemu nieprzyjacielowi łamanie żeber. Kobiety płakały, dzieci małe trzymały się fałd matczynych spódnic, trąc oczki i krzywiąc buzie.

Przed domami leżały kupy słomy, czasem rozdarte pierzyny i poduszki, poprzewracane stołki i krzesła, ławy i beczki. Ludzkie szmaty, suknie kobiece i kapoty chłopskie wisiały na futrynach okien, wyrzucane z wnętrz chłopskich chałup.

Przed domem sołtysa spotkaliśmy kilkunastu chłopów pilnowanych przez grupę policjantów. Stali koło domu hardzi i gniewni, patrząc w ziemię lub w górę, ponad twarze otaczających ich konwojentów. Niektórym żony przyniosły letni przyodziewek lub w zawiniątku kawałek chleba na drogę. Stały z boku i patrzyły po chłopach, jakby chciały się przekonać, czy ich mężowie boją się tej nagłej zmiany losu.

Były tu dwie podwody parokonne. Czekały na rozkaz przewozu aresztowanych do komendy w mieście. Przy nich stało kilka krów uwiązanych do luśni, widocznie zasekwestrowanych we wsi chłopom. Mieli pewno jakieś zaległości.

Tu, przed sołtysa domem, czekałem razem ze wszystkimi przygnębiony, smutny i trochę zastraszony. Zostawiłem za sobą dom zupełnie na łasce Opatrzności, zostawiłem dwa żywe stworzenia, które mogą zdechnąć, jeżeli moja nieobecność poza domem potrwa dłużej, a potrwać może. Policja, jak widać, nie żartuje.

Już się dobrze mroczyło, już komendant kazał chłopom siadać na wozy, kiedy podszedł do mnie jeden z policjantów i oznajmił mi, żebym uciekał do chałupy jak najprędzej, że nic tu po mnie. Widziałem, że ten sam policjant chwileczkę przedtem rozmawiał z komendantem i wskazywał na mnie wzrokiem, widocznie więc przekonywał komendanta, że więzienie mnie nie odegra tu żadnej roli, że ja naprawdę mogę nic nie wiedzieć, bo ojcowie nie zawsze zdradzają przed dziećmi cele swoich wyjść z domu.

## IX

Żniwa. Dni długie, gorące. „Ogień żywy leci z nieba" — mówią ludzie męcząc się od wczesnego świtu do zmierzchu. Pola odkrywają się co dzień szerzej i dokładniej. Błyszczy rżysko i widać snopki żyta ustawione w mendle. Brzęczą kosy.

Ojciec wygoił rękę już na tyle, że pracuje u chłopów. Sypia w domu, a ja pozbyłem się lęku. Jada u ludzi śniadanie, obiad, kolację. Jestem z nim zawsze. Chałupę zamykamy na kłódkę, ja grzywaczom dam jeść i pić na zapas i udajemy się na wieś. Drugi raz dostają jeść dopiero wieczorem.

Pomagam w robocie. Czasem zbiorę kawałek pokosu ze ściany, czasem zwiążę snopek albo go odniosę na środek zagonu, gdzie będzie stawiany rząd mendelków. Michasiowa, wiejska wyrobnica, która zbiera za ojcem ścięte żyto, spojrzy tylko na mnie z wdzięcznością, dziękując mi w ten sposób za wyręczenie jej cokolwiek.

Ale to nie całe moje wynagrodzenie.

Robotą swoją zarabiam na jedzenie. Gospodyni sadza mnie za stolikiem kuchennym i nakłada mi jedzenie w niedużą, glinianą miseczkę. Wczoraj dostałem kluski z maślanką a potem kaszy ze słoniną. Śniadania nie dostaję, bo przesypiam. Kolację — tak, dostaję ze wszystkimi razem.

Najbardziej jednak cieszę się z tego, że ojciec jest przy mnie, a właściwie — ja przy ojcu. Sypia teraz w domu, a ja nie odczuwam już lęku i osamotnienia. Po tej bytności policji, kiedy tak mnie o ojca wypytywali, gdzie jest i czy był w mieście, ojciec nie przychodził na noc kilka razy. Potem zanocował, następnie poszliśmy w pola do żniwa u ludzi i tymczasem tak jakoś wszystko ucichło.

Martwią mnie gołębie. Zostają w komórce same i choć nasypię im dużo jedzenia, zawsze wieczorem są głodne, zawsze siedzą na okienku tęskniąc do świata, do przestrzeni, do wolności.

Powiedział ojciec w niedzielę:

— Słuchaj, mój kochany, za długo te gołębie więzisz. Kosztują tylko i nic więcej... Przez całe życie i tak ich nie utrzymasz w zamknięciu... Teraz już umieją jeść, w polu dużo jedzenia, ziarna spod kosy nawysypywało się aż strach... Wyżyją. Mogą sobie latać, chodzić, zbierać, gdzie chcą... Idź, wypuść je!

Ton mowy ojca zwiastował, że mój sprzeciw nie będzie znaczył nic a nic. Trzeba było tylko wypełnić polecenie. Z podwórka przez sień skierowałem się do komory i otworzyłem drzwi. Jeden grzywacz siedział na oknie, drugi chodził po ziemi, wybierając z piasku ziarnka kaszy. Spojrzałem na nie z takim uczuciem, jakbym je pierwszy raz widział. Na ich widok ogarnęła mnie wielka rzewność. Szyje miały wyraźnie zielonkawe i biały kołnierzyk na nich tak jasny, tak wyraźny, że wydał mi się niby namalowany. Przez tych kilka tygodni ptaki wysmuklały, wypiękniały, pióra miały czyste, siwawoszafirowe.

Z zaciśniętymi żalem, ale i ciekawością ustami podszedłem do okienka, spłoszyłem siedzącego tam gołębia, otworzyłem zardzewiałe haczyki i pchnąłem ramę na zewnątrz. Wolnym otworem wlała się do zatęchłego środka komórki struga czystego powietrza.

Potem wyszedłem na podwórko i usiadłem obok ojca na ziemi. Okienko było przed nami. Całe ciemne i chwilowo puste. Ale oto usłyszałem charakterystyczne plaskanie skrzydeł i — najpierw jeden, a potem zaraz za nim drugi —

gołębie ukazały się na parapecie. Stanęły jak tyle razy bok w bok, patrzyły przed siebie, na strony, w dół, wyciągając szyje i kiwając główkami. Przestępowały z nogi na nogę, jakby zdziwione, że przezroczysta przeszkoda, zatrzymująca je dotąd, zniknęła lub jakby je oszołomił zapach gorącego powietrza.

Wreszcie, po dłuższej chwili wahań i namysłów, niby umówione pchnęły się oba ku przodowi i rozwarły skrzydła. Pociemniało mi w oczach... Ptaki ruszyły w przestrzeń, złapały wolność... Z początku rwały się do przodu i wstrzymywały lot. Raz... drugi... trzeci... Pewnie bały się spotkać przeszkodę, w którą uderzyłyby piersią, jak to nieraz musiało się im zdarzyć z szybą.

Następnie uczyniły ruch, który świadczył, że zamierzały usiąść na gruszy, ale spłoszył je prawdopodobnie widok drgających od ruchu ich skrzydeł nieznanych im liści. Potem jednak wyrównały lot, przyśpieszyły jeszcze bardziej...

Poszły!

Wzbiły się wyżej, zatoczyły koło ponad naszym domem, nad podwórkiem i dziką gruszą, i jeszcze jedno koło szerzej a wyżej — i jeszcze...

Wstaliśmy z ojcem z ziemi i z zadartymi do góry głowami śledziliśmy każde poruszenie ich skrzydeł Kierowały nami. Kręciliśmy się w kółko, pociągani widokiem latających swobodnie ptaków.

Przeżywałem i płacz, i radość jednocześnie. Żałowałem straty, ale cieszył mnie widok żywych, zdrowych, latających gołębi... A jak to wtedy wyglądały, kiedy po burzy zmoknięte tuliły się do złamanego konara? Co by się wtedy z nimi stało, gdyby nie ja?

Niech więc już fruwają, kiedy na to nie ma rady. Niech się cieszą wolnością, kiedy tak musi być... Człowiekowi bowiem zawsze łatwiej pogodzić się ze stratą, która jest nieunikniona.

Grzywacze się cieszą. Wprost pływają w powietrzu. Zakreślają koła tak duże, że kiedy ich wypatrujemy, mroczki stają nam w oczach.

Tak, uciekają. Giną nam teraz w kręgu patrzenia. Szafirowy odcień ich pierza stapia się z szafirem nieba w jedno; ani mój wzrok, ani ojca nie może uchwycić sylwetki ptaków. Zginęły w niebie, w błękitnej przestrzeni, w słońcu, w oddaleniu.

— Tyle je zobaczymy — odezwał się ojciec — jak już powąchają wiatru, to się tu nie pokażą... Zobaczysz!

Pewnie, że tak będzie. Ojciec ma zawsze rację, choć, jak mi się zdawało, w słowach jego zdołałem uchwycić też skrytą nutkę żalu. Ale to nic nie znaczyło wobec tego, co przeżywałem ja. Nieznana gorycz dusiła mnie za gardło i hamowała płacz: żal i radość, ale żal chyba przeważał.

Wyniósł ojciec z izby stare palto, rozłożył je w cieniu pod gruszą koło studzienki, sam się na nim rozciągnął jak długi, brzuchem do ziemi, i podłożywszy ręce pod głowę próbował zasnąć. Był przepracowany, zmęczony, nic dziwnego — od tygodnia przeszło kosił cudze żyto.

Ja zaś stanąłem przy płocie bez ruchu i wpatrywałem się aż do bólu oczu w to miejsce nad widnokręgiem, gdzie mi zniknęły grzywacze. Nurtowała mnie bowiem niepokonana nadzieja, nierozumna wiara, że ptaki jeszcze przylecą, że się znajdą. Że ukażą się właśnie od tej strony. Nie wierzyłem, nie mogłem uwierzyć, ażeby zapomniały to miejsce, gdzie przez tyle tygodni siedziały, jadły, spały.

Dobrze mi tak było samemu się łudzić, żałować i wierzyć, wątpić i mieć nadzieję.

I gdym tak patrzył w rozjarzoną przestrzeń, śledząc w niej najmniejszy nawet ruch pszczoły, trzmiela czy szerszenia, myśl podsuwała mi najrozmaitsze obrazy wspomnień, których bohaterami były zawsze grzywacze. Miałem je przecież niedawno tak blisko. I tak długo. Karmiłem, poiłem, czemuż więc nie przyjdą do ręki jak tyle innych stworzeń: koń, pies, kot czy kura?

A może przyjdą? A może nadlecą? Może pożałują? Kto to może odgadnąć? Przecież to także żywe stworzenia! Resztki nadziei nie pozwoliły mi zwątpić całkowicie w ich przywiązanie do tych kątów, gdzie przebywały tak długi czas.

Rozmyślania te tak mnie pochłonęły, że patrząc przed siebie widziałem właściwie tylko własne swoje myśli. Tamten świat wewnętrzny okazał się silniejszy i bogatszy od zewnętrznego, zubożałego jeszcze przez ubytek pewnych rzeczy widzialnych i dotykalnych.

Podrywają mnie jakieś zjawiska — coś się dzieje. Usłyszałem nagle plaskanie skrzydeł i szum lotek tak mi znanych. Ach! O, radosne dziwo!... Oba grzywacze są za mną, polatują nad gruszą i upatrują miejsca dogodnego do siadania. Przyleciały skądś, ze świata. Bujają nad czubem gruszy niby trzmiele nad kwiatem. Raz się do drzewa zbliżą, raz oddalą, chcą siadać i znowu podlecą w górę.

Przyleciały! Przyleciały jednak! Patrzę na nie niby na czarowne zjawisko, które zniknęło i znowu się ukazało... Piękniejsze! Bardziej niezwykłe!

Wreszcie grzywacze po długich próbach, zamiarach i wahaniach wybrały miejsce. Była nim boczna sucha gałąź, widoczna i odkryta ze wszystkich stron. Nad nią pofruwały badawczo i dotykały lękliwie nóżkami, trzymając skrzydła w gotowości, uniesione ku górze. Potem siadły. Obciążona gałąź zachwiała się razem z nimi, zahuśtała, ale gdy chwyciły równowagę, uspokoiła się i ona.

Patrzyłem na nie śledząc każdy najmniejszy ruch ich ciał, skrzydeł, nóg i głów. Ptaki były spłoszone, podniecone, czujne, gotowe natychmiast zerwać się w powietrze. Ten przelot sprzed chwili jak gdyby je wyszlifował. Stały się tak smukłe jak nigdy, zgrabniejsze, powabniejsze. Barwy piór uzyskały niewidziany dotąd kolor i połysk. Na szyi, na brzuchu, na bokach i plecach.

Popołudnie było bardzo długie. Tak długie, jak tylko bywa w lipcu. Dzień się przechylił na drugą stronę, słońce znacznie zniżyło, upał zelżał, a i ojciec się zbudził. Przeciągnął się, ziewnął i wstał.

— Co, są gołębie?

— Są — odpowiedziałem pełen najgłębszej radości.

A gołębie stały na owej suchej gałązce i stale badały otoczenie. Spoglądały w górę na niebo, patrzyły na liście gruszy, w dół, pod siebie i na boki. Główki im chodziły w kółko, niby umieszczone na wyoliwionej osi. Ptaki wykręcały je za siebie z prawa na lewo i z lewa na prawo. Aż po długich, długich ceregielach ostrożnie siadły na gałązce, przykrywając brzuchem obie łapki.

Odetchnąłem. Poczuły się przecież niby na swoim.

A kiedy przed samym zmrokiem, nie spuszczane przeze mnie z oka, pełne ostrożności i płochliwości sfrunęły z gruszy i usiadły na parapecie okiennym zaglądając nieufnie do zacienionego wnętrza komórki — serce mi skoczyło do gardła z rozrzewnienia. A więc poznały dom! A więc poznały okienko! A więc zdradziły się z przywiązaniem do miejsca!

Nadchodzący wieczór popędzał je. Pokonawszy resztę lęku gołębie zleciały do środka komórki i zmierzały od razu na drążek pod posobę. Tam zasiadły na nocleg, jak siadały tyle razy, a ja za nimi przywarłem okienko.

Pierwsza wizyta światu i przestrzeni została złożona.

## X

Od tej chwili, od tej niedzieli zacząłem moim grzywaczom wierzyć. Byłem pewien, że zawsze wrócą na noc do domu. Sypałem im na polepę w komórce ziarna, nalewałem do garnuszka wody, otwierałem okienko i szedłem rano z ojcem do roboty. Praca odciągała mnie od moich wychowanków, skazywała na długie o nich myślenie przez całe przedpołudnie, ale za to, kiedy przyszedłem na obiad do domu, oczy miałem pełne radości!

Zastawałem je zawsze na suchej gałęzi gruszy. Siedziały obok siebie, wystawione na działanie promieni słonecznych, wygrzewały się godzinami, jakby chciały powetować długie tygodnie zamknięcia w mroku ciasnej komórki. Wiatr je głaskał, a słońce polerowało. Piękniały więc w tym słońcu z dnia na dzień. Pełniejsze, dojrzalsze, urodziwsze. Rwały moje oczy nieustannie.

Gdym jednego dnia, stęskniony jak zwykle, przyszedł do domu, nie zastałem młódków na suchej gałęzi. Uderzony niemiłą zmianą szukałem ich wokoło... Przy domu, za domem, na polu — jednym, drugim, trzecim. Rozpościerały się tu pożniwne rżyska, a gdzieniegdzie świeże podorywki między dwoma zagonami ziemniaków. Pasy stojących jeszcze jęczmion i pszenic schodziły ku strudze, jakby we wgłębieniu dolinki szukały dla siebie wilgoci i lepszej, zasobniejszej gleby.

Po tych ścierniskach, orkach i ugorach szukałem grzywaczy miejsce koło miejsca.

Nareszcie je znalazłem! Były! One niewątpliwie! Trzymały się razem — zgodna parka — i chodziły po ściernisku za domem pilnie szukając żeru. Robiły kilka kroków naprzód, stawiały ostrożnie nóżki między kolcami ścierni, coś tam dziobnęły i znów szły przed siebie patrząc pilnie na boki. Niosły się starannie, wdzięcznie, ogony trzymały lekko uniesione w górę, jakby się bały podrapać je, pokaleczyć o ściętą ostro słomę rżyska.

Gdy tak patrzyłem na nie z daleka, przeszyło mnie całego w pewnej chwili bolesne przypuszczenie: a może to nie moje grzywacze? Może to dzikie nadleciały tu i chodzą po ściernisku w pobliżu chałupy? Możliwe... To się mogło zdarzyć. Tłumiąc więc w sobie głuchy niepokój postanowiłem się przekonać — spłoszyć gołębie i patrzeć, dokąd polecą.

Podbiegłem w ich stronę i kiwnąłem ręką. Ptaki stają, unoszą główki i patrzą na mnie, jakby nie wiedziały, o co w tej chwili chodzi. Gdy jednak zacząłem się zbliżać do nich na niepokojąco bliską odległość, uniosły skrzydła, poderwały się i klapnąwszy mocno kilka razy iotkami o siebie — zaczęły szybować.

Zrazu uniosły się w górę, potem zrobiły duże koło, półkole, którego środkiem był nasz dom, a wreszcie poleciały prościuteńko w stronę gruszy i siadły na gałęzi wykonawszy kilka gibkich, znamionujących ostrożność ruchów korpusu i skrzydeł. Gałązka się pod nimi ugięła i zahuśtała, ptaki chwytały równowagę, ale potem i jedna strona, i druga uspokoiły się i ucichły.

Teraz już im nie daję pić — same latają do strugi po wodę. Raz nawet podpatrzyłem, jak się w strudze kąpały. Siadają na suchej gałęzi gruszy i odpoczywają, a jeśli jest wielki upał, wchodzą w gąszcz liści. Nasyciły się już światłem. Tylko zawsze przed zmrokiem sfruwają z gruszy i przez otwarte okno dostają się do komórki. Dawne miejsce na drążku koło belek jest najbardziej godne zaufania i najsposobniejsze na nocleg.

Grzywacze żerują, piją, siedzą, fruwają, gdzie chcą. Wszystko same. Ale zawsze trzymają się w pobliżu naszego osiedla. Spłoszone przez jastrzębia zmierzają ku domowi i w gąszczu gałęzi dziczki szukają schronienia. Wyrastają i dojrzewają. Skrzydła im się wygładziły, uzyskały połysk, a goła do niedawna nasada dzioba okryła się delikatnymi, gęstymi, o drobnym rysunku piórkami. Każdy szczegół ich upierzenia, białe paseczki i zielony odcień pierza na szyi, szafirowy nalot na grzbiecie podkreślają ich urok.

Grzywacze są koło domu, są w domu, ale nie przyczyniają mi żadnego kłopotu. Tyle tylko, że im otworzę rankiem okienko od komórki, a wieczorem zamknę. Ojciec już teraz nie może powiedzieć, że zjadają kaszę przeznaczoną dla nas. Gołębie się całkiem usamodzielniły. Są w polu, a mogą być i w lesie. Nie mogę jednak dopuścić do siebie myśli, żeby nie weszły na noc do komórki, żeby nocowały na gruszce albo szukały noclegu na olszynach przy strudze.

Blask słońca zaczyna żółknąć, chłopcy za krowami palą ogniska, a długie pędzle dymów rozciągają się nad polami. Ludzie już kopią ziemniaki, a my z ojcem chodzimy im pomagać i zarabiamy sobie zapas na zimę.

— Bieda będzie, dziecko, w tym roku na gody — mówił do mnie ojciec — bo przecie do roboty w boru dwór mnie nie weźmie po tym wszystkim...

Mimo zajęcia się robotą, kopaniem ziemniaków, i tak widzę wszystko, co się dokoła dzieje. A widzę to, że dzikie grzywacze skupiają się w stadka i pełne niepokoju przelatują z lasu na pola, a z pól do lasu. Gdy znad redlin ziemniaków podniosę oczy, zawsze widzę siwe stadko, pomykające to tu — to tam. Patrzę na to i myślę: czy też moje gołębie nie będą chciały odlecieć? Czy ich nie pociągnie ta sama siła, która wiedzie tamte?

Więc choć mi ojciec mówi o biedzie, ja ptaków od siebie nie puszczę. A czy one potrafią tak jak dzikie dać sobie radę w nieznanym świecie? Czy tamtym młodym, żyjącym na swobodzie, nie przewodzą w ich wędrówce starzy rodzice?

Jesień co dzień późnieje. Gołębi dzikich nad polami coraz mniej, a kiedy widzę, że moje siedzą na suchej gałęzi gruszy, patrzą pełne niepokoju ku polom i lasom — postanawiam zamknąć okno, gdy tylko wejdą wieczorem na nocleg do komórki, i nie otworzyć więcej.

Są teraz — jak dawniej, gdy były pisklakami — zamknięte. Stoją przy szybce na parapecie okienka i nerwowo drepcą nóżkami, nadeptując sobie na palce. Piersiami chcą przebić przeszkodę, odgradzającą je od wolnego świata, ale przeszkoda nie puszcza. Ona słucha mnie — działa zgodnie z moją wolą.

Wrzesień się kończy. Zniknęły pasma „babiego lata". Rankami pokazały się szrony. Kopania w polu coraz mniej, siewów też już prawie nie widać. Grzywacze dzikie przepadły bez śladu. Na ich miejsce pokazały się nad polami stada wrzaskliwych gawronów i szumiące masy szpaków. Z gęstwin boru wiatr niesie zapach grzybów i gnijących liści. Chmury obniżyły się ku ziemi i sypią czasem drobnym, chłodnym dżdżem.

Mówi pewnego dnia ojciec:

— Te gołębie wypuść, niech się nie męczą... Co im zresztą dasz jeść w zimie, jak sam nie będziesz miał?... A może już nie odlecą, bo przecie ich pora minęła?

Muszę usłuchać ojca. Nie dlatego, żebym się bał o jedzenie dla grzywaczy — nie. Znów mi ich żal. Nie jedzą, nie piją całymi dniami, tylko stoją w okienku i patrzą na dwór. Osowiały i posmutniały, stroszą pióra. Czekają na to, że im się to okienko jak dawniej otworzy.

Więc je otwieram zaraz z samego rana. Czas jest lekko mglisty, chłodnawy, a od wschodu kłębią się dość gęste chmury. Ojciec poszedł na wieś młócić do sołtysa, a ja zostałem pilnować domu i zaczynam gospodarzyć. Więc najpierw te gołębie. Popycham okno.

Jak tylko poczuły brak przed sobą szyby i powiew świeżego powietrza, ożywiły się. Sfrunęły z okna na płot, ale tylko tknąwszy go nóżkami zerwały się w górę, prysnęły ponad dom, ponad gruszę i już są w polu. Zastałymi skrzydłami pracują gwałtownie, przyśpieszają lot z każdą sekundą, tną powietrze niby dwie siwe strzały. Suną ku łączce, zataczają mały, ostry łuk i zgodnie siadają nad wodą. Chwilę ich nie widać — wiem — piją, a potem znów są. Wytryskają znad rowu i idą przed siebie — coraz wyżej i dalej nad bór, w stronę wsi, giną z oczu, jak zginęły za pierwszym razem.

Wychodzę znów przed furtkę na dróżkę, przy której stoi nasza chałupa, i śledzę widnokrąg, ale nie widać nic, tylko mi w oczach latają ciemne cętki. Wszędzie pusto, cicho, tylko na polach widać samotne krowy, pasące się po seradelach.

Przepadły moje grzywacze. Poniosło je.

Tłumiąc żal, zabieram się do robót zleconych mi przez ojca. Przynoszę z szopki do izby suchych gałązek, czerpię ze studni małym wiadrem wodę, strużę ziemniaki, zamiatam klepisko, rozpalam ogień.

Po wykonaniu jednak każdej, najmniejszej nawet czynności wychodzę zawsze na dwór, rzucam okiem na ulubioną suchą gałąź moich gołębi, patrzę na pole, gdzie tyle razy zbierały ziarno, potem kieruję oczy na niebo. Nie ma jednak nic. Chmury nadciągnęły nad nasz dom, leci drobna, uciążliwa mżyca. Chłodno w bose nogi, chłodno całemu.

Wstrząsam się i wracam do domu.

Dzień minął, gołębie nie wróciły. Otworzyłem okienko do komórki na wszelki wypadek, ale to nic nie pomogło. Nie skorzysta z niej nikt. Wieczorem nadszedł ojciec i przyniósł kawałek słoniny. Zrobił mi kolację i poszliśmy spać. Myślałem z tępym bólem w piersi o grzywaczach, które przepadły, ale dość szybko zasnąłem.

Na drugi dzień budzi mnie głos ojca:

— Chodź na dwór, wstań i patrz!

Zerwałem się z pościeli i w koszuli przybiegłem do okna. Spojrzałem przez szybę i serce zabiło mi z głębokiej radości. Na oszronionym płocie siedziały oba grzywacze. Powietrze przeczesało im pióra, zgubiły osowiałość, znowu wysmuklały. Siedziały koło siebie i w perłowym świetle ranka widziały mi się prześliczne. Po co ja je puściłem?

Ubrałem się jak mogłem najszybciej, wybiegłem przed sień i posypałem rannym gościom jagieł. Spojrzały bokiem, sfrunęły na ziemię i zaczęły dziobać

ziarenka kaszy. Patrzyłem na niewdzięczne ze łzami w oczach i prosiłem je w duszy gorąco, by nie odlatywały, by nie gardziły naszą gościną.

Nie usłuchały. Posiliły się jagłami i odleciały nad strugę. Tak już było cały dzień. Pokazywały się i niknęły. Sfruwały na płot, na ziemię po kaszę, ale na okno komórki — nie. Przylatywały i odlatywały. Kiedy śledziłem kierunek ich lotu, zauważyłem, że ginęły gdzieś nad borem.

Przed wieczorem znalazły się, nie weszły jednak do komórki. Zostały na noc na gruszy. Długi październikowy wieczór przeżyłem w żałości, a nie mniej długą noc przespałem niespokojnie.

Gdy rano wstałem, grzywaczy już na dziczce nie było.

Odleciały.

— Musiałbyś je wiązać, żeby zostały, ale co by ci z takich wiązanych przyszło? — perswadował mi ojciec. — Nie miałbyś z nich wielkiej pociechy... Każde stworzenie ma swoje prawa... Nawet człowiek.

Nadeszły dnie Wszystkich Świętych. Ojciec zrobił mi trepki i kierował mnie do szkoły. Z olszowej szczapy sporządził podeszwy, z cholewek starych butów — przyszwy i ruszyłem na naukę. Miałem daleko. Wychodziłem o ciemnawym świcie, wracałem o zmroku, ale chodziłem. Byłem w pierwszej klasie i wstydziłem się trochę, gdyż koło mnie znajdowały się dzieci znacznie ode mnie mniejsze i młodsze, ale po pewnym czasie jakoś to się zatarło. Musiałem też je gonić w nauce, bo niektóre chodziły do szkoły od września i nieźle już umiały czytać. Pomagał mi trochę po lekcjach nauczyciel, któremu było mnie żal.

Tymczasem na świecie się zadeszczyło, przyszły wiatry, strąciły liście, po sosnach w pobliskim borze huczały ponurymi basami, spadły przymrozki, a z nimi śnieg i cały świat obieliła zima. W czasie krótkich dni ojciec chodził do boru i wyrzynał kozikiem wiotkie gałązki brzozowe, przynosił je do chałupy i wieczorem robił miotły przy blasku ognia, padającego z otworu komina, zaś w dnie targowe nosił ich po piętnaście na plecach do miasta i sprzedawał.

— Nie pójdę już do nich, psiakrew, kołatać o robotę — mówił o dworze.

Czasem i jego poza strapieniem nawiedzały inne myśli.

— Ciekawe, gdzie też to te nasze grzywacze, co? Jak myślisz?

I mnie to nieraz przychodziło do głowy, ale co miałem mówić? Klęcząc koło stołka ustawionego przed kominkiem, żeby mi było widniej przy odrabianiu lekcji, myślałem bardzo często o nich: gdzie są, czy żyją, co się z nimi dzieje? Na dworze szalała zamieć, wiatr bił w ściany, trzepał śniegiem po szybach okna, wyganiał z kominka dym i rozdmuchiwał go po całej izbie. Zdawało mi się, że grzywaczom jest tam gdzieś w obcej stronie lepiej — zaciszniej i przytulniej. Świadomość tego faktu znacznie osładzała mi tęsknotę po nich i samotność czyniła lżejszą.

Skończyła się jednakowoż w biedzie nasza zima. Nadszedł kwiecień i ojca najęli do wywózki gnoju. Przestał chodzić z miotłami do miasta. Na świecie razem z pierwszymi ociepleniami pokazały się znowu ptaki: skowronki, szpaki, drozdy, bociany, a niedługo po nich dzikie gołębie.

Czy... czy przylecą nasze zeszłoroczne?

Śmigały nad polami siwe pary, ale nie zwracały na nasz dom najmniejszej uwagi. Czyżby to były nie tamte, tylko obce? Trudno mi było na te pytania

odpowiedzieć. Grzywacze są tak do siebie podobne, iż żadne oko nie odróżni jednego od drugiego.

Aż pewnego dnia przed południem, gdym w słońcu rąbał toporkiem gałązki na pniaku przed domem, poderwał mnie znajomy świst skrzydeł. Spojrzałem szybko w górę. Na suchej gałęzi naszej dzikiej gruszy siadał właśnie grzywacz. Siadał z właściwą tym ptakom ostrożnością, gnąc skrzydła i rozpościerając wachlarzowato ogon. Wstrzymałem oddech, zmrużyłem oczy, znów je otwarłem — teraz już ptak siedział spokojnie, choć obciążona gałąź gięła się pod nim.

Czyżby to któryś z moich dawnych? Ale dlaczego jeden? Jeśli zaś obcy, to dlaczego trafił właśnie na ową suchą gałąź? Przecież miał całe drzewo, jeszcze gołe prawie, zaledwie obsypane nabrzmiałymi pąkami?

Rzuciłem rąbanie, skoczyłem od pniaka i wykonałem wszystkie zeszłoroczne czynności. A może wleci przez okno do komórki? Chciałem go przecież mieć, a przede wszystkim przekonałbym się, czy to nie mój dawny!... Otworzyłem okienko, sypnąłem przed nie jagieł i czekam. A serce mi bije z przejęcia, a oczy łzawią ze wzruszenia. Grzywacz stoi na gałązce, patrzy na boki, wyciąga szyję, przekręca główkę. Wreszcie... wreszcie wolno i ostrożnie sfrunął na płot. Usiadł i z większą jeszcze nieufnością patrzył na jagły, na mnie, zamierzył się, jakby chciał zlecieć na ziemię, ale nie zleciał. Nie dotknąwszy nawet nóżkami ziemi podwórka poderwał się w górę niby czymś nagłym spłoszony i odleciał w stronę boru bez zakrętu, bez łuku.

Nie pokazał się odtąd już nigdy więcej.

Czy to był któryś z tamtych i dlaczego jeden?

Tego nie wiem.

Dożyliśmy z ojcem do wojny i wojnę jakoś obaj przetrzymaliśmy. A po wojnie, w roku 1945, już jako duży chłopak zacząłem się uczyć naprawdę, w mieście. Dostałem stypendium i tyle już umiem, że opisałem tę swoją prawdziwą historię z grzywaczami.

*Teodor Goździkiewicz*

*Włodzimierz Majakowski*

# REWOLUCJA

## KRONIKA POETYCKA

26 lutego. Pijani, zmieszani z policją,
żołnierze strzelali w tłum.

27-my.

Po lufach i klingach rozlał się starych
brzask.
Szkarłatne wydłużały się błyski.
Surowy
trzeźwy
w stęchłych koszarach
modlił się Pułk Wołyński.

Na krwiożerczego
sołdackiego Boga
roty przysięgały,
waląc w podłogę wieloczołą głową.
Krew rozpalała się, skronie huczały.
Ręce żelazo ściskały kurczowo.

Pierwszemu,
który:
— „Strzelać za głód!“ —
kulą zamknęli ryczące usta.
Ktoś tam — „Baczność!“
Nie skończył.
Trup.
Miasto burzą rot chlusta.

9 godzina.

Na miejscu postoju
w wojskowej samochodowej szkole
trwamy,

koszar murem ściśnięci.
Brzask się rozrasta,
zwątpieniem kole,
przeczuciem straszy i nęci.

Do okna!
Widzę —
tam,
gdzie niebo krają
pałaców przycięte kły,
w przestworze wzleciał
samodzierżcy orzeł,
czarniejszy niż przedtem,
bardziej orli
i zły.

Od razu
ludzie,
konie,
latarnie,
domy,
koszary moje —
tłumnie
setkami
wypadły na bruk.

Dudnią wyboje, krokami gruchotane.
Uszy głuszy niepojęty huk.

I nie wiadomo,
czy z pieśni zuchwałej,
czy z poszarpanej miedzi trąb gwardyjskich,
jasnością przebijając kurz,
zrodził się obraz
wiecznotrwały.
Płonie.
Czerwone rzuca błyski.

Potrzebniejsza niż chleb i woda
— jakże jej pragną oni! —
szerzej i szerzej skrzydła ściele.
Oto ona:
„Obywatele, do broni!
Do broni, obywatele!“

Na skrzydłach sztandarów
stugłową lawą znowu

z gardzieli miasta wzwyż uleciała.
Bagnetów kłami wgryzła się w dwugłowe
imperatorskiego orła czarne ciało.

Obywatele!
Dziś chwieje się tysiącletnie „Wczoraj".
Dziś sprawdza się wszechświata podwaliny.
Dziś
aż do małego guziczka w ubiorach
życie na nowo przerobimy.

Obywatele!
Dziś pierwszy dzień roboczego potopu.
Idziemy
na odsiecz dniom niewolniczym!
Towarzysze, w niebo grom tupotu!
Niech flota syrenami wściekłość wyryczy!

Dwugłowemu biada!
Pienią się pieśni.
W tłum bije falą radości.
Place pluszczą.
Owiani podmuchem,
mkniemy w malutkim Fordzie,
kul wyprzedzając pościg.
Przez miasto przedzieramy się syren wybuchem.

We mgle.
Rzeka ulic dymi.
Jak ładowane w burzę barki,
ponad barykadami
płynie, turkocząc, śpiew Marsylianki.
Pierwszego dnia już pocisk ogniowy
stoczył się brzęcząc za kopułę Dumy.

W nowego świtu gorączce dreszcz nowy
wśród nowych zwątpień witamy tu my.
Co będzie?
Czy ich z okien wygnamy,
czy też nam czekać
na narach,
aż Rosję
znów
mogiłami
wygarbi monarcha!

Duszę głuszę ostrym wystrzałem.
Dalej —

w okopie z szynela.
Domy w kaemów trzasku rozsypało
płonące miasto.
Huczy i strzela.

Wszędzie języki.
Buchają żarem.
Tlą się i znów buchają, rozsiewając iskry.
To ulice,
wymachując czerwonym sztandarem,
wzywają Rosję wezwaniem ognistym.

Jeszcze!
O jeszcze!
Niech uczy jaśniej czerwonojęzyczny orator!
Niech światło słońca
i księżyca zgaśnie
pod mściwymi palcami tysiącrękiego Marata!

Śmierć dwugłowemu!
Wal
w katorg bramy,
pazurami do rdzą przeżartych się dorwij.
Orlich piór czarnymi pęczkami
podstrzeleni, padają stójkowi.

Poddaje się płonący szkielet stolicy.
Sieć poszukiwań zarzucili szerzej.
Zbliża się chwila.
Na most Troicki
wstępują tłumy żołnierzy.

Zwarli się.
Walka.
Skrzypią filary, skrzypi każda sztanga.
Mgnienie! —
i w politurę
zachodu
z Piotropawłowskiej twierdzy w górę
wzbił się płomieniem rewolucji sztandar.

Śmierć dwugłowemu!
W spasione szyje głów
walcie na odlew!
Żeby już nie ożył.
Oto on!
Pada!
Wczepił się w ostatniego znów — zza węgła.

„Boże,
cztery tysiące przyjm na swe łono!“

Dość!
Radość roztrąbcie wszystkimi głosami!
Cóż
nas obchodzisz,
Panie!
My swoim sami
wieczyste damy odpoczywanie.

Czemu śpiew umilkł?
Czy pierzchło męstwo?
Czy dusze zdusiła Sybirów płachta biała?
Nasze — zwycięstwo!
Chwała nam!
Chwa-a-ła!

Póki na broni zaciśnięte palce,
nowa panuje wola w kraju.
Ziemi — nowych przykazań tablice
niesiemy z naszego Synaju.

Nam,
Ziemi mieszkańcom,
drogi jest każdy Mieszkaniec Ziemi.
Wszyscyśmy bracia —
w kopalni,
w biurze,
w drukarni.
Wszyscyśmy
tutaj —
żołnierze jednej
życie tworzącej armii.

Pęd planet,
byt mocarstw
naszej podległe są woli.
Nasza jest ziemia.
Powietrze — nasze.
Nasze — gwiazd kopalnie najdroższe.
I nigdy,
nigdy!
Nikomu,
nikomu już nie pozwolim
rwać naszej ziemi pociskami,
szarpać naszego powietrza lanc ostrzem.

Czyja złość ziemię na dwoje złamała?
Kto wzdębił dym nad rzezi łunami?
Czy słońca
jednego
dla wszystkich za mało?
Za małe niebo błękitne nad nami?!

Ostatnie działa w krwawych sporach chrypią,
ostatni toczy się bagnet, pryskają opiłki.
Zmusimy wszystkich — niechaj proch rozsypią!
Dzieciom rozdamy granatów piłki.

To nie tchórzliwi wrzeszczą żołnierze,
nie ci, co chleba nie mają czarnego,
to ogromnego narodu gromowe:
— Wierzę
w wielkość serca człowieczego! —

To nad zawiedzionymi w miłości,
i nad polami bitew, co dymią,
dziś
niebywałą spełnia się rzeczywistością
socjalistów herezja olbrzymia!

*1917, 17/IV*

Przełożył
*Leopold Lewin*

## POSŁUCHAJCIE

Posłuchajcie:
Przecież, jeśli zapalają gwiazdy —
to znaczy, że one komuś potrzebne są nocą?
To znaczy: ktoś chce, żeby blask ich świecił?
To znaczy: dla kogoś te plwocinki perłami migocą?
I zachłystując się
kurzem południowej zamieci,
ktoś wdziera się do Boga,
czy nie spóźnił się, nie wie,
płacze,
przypada do jego żylastej ręki,
prosi —
żeby koniecznie była gwiazda na niebie! —
przysięga —
że nie przeżyje tej bezgwiezdnej męki!

A potem
chodzi zatrwożony,
ale pozornie ze spokojną twarzą.
Mówi do kogoś:
„Już dobrze?
Już się nie lękasz?
Czyżbyś nic nie czuł?“
Posłuchajcie!
Przecież, jeśli gwiazdy
zapalają —
to znaczy, że ludzie o nich marzą?
To znaczy, że to niezbędne,
by się zapalała choćby jedna gwiazda
nad dachami
co wieczór?!

*1913*

## PŁYTKA FILOZOFIA NA GŁĘBOKICH MIEJSCACH

Jeśli nie Tołstojem,
to tłustym się stanę:
jem,
piję,
od upału — kłoda.
Kto nie filozofował nad oceanem?...
Woda.

Wczoraj
piekło miał
w swej głębinie,
dziś
ocean —
synogarlicą.
No, i cóż z tego?
Wszystko płynie...
Zmienia się wszystko.

Na wszystko
w wodzie
jest swoja pora:
czas przypływu
czas odpływu zmienia.

A Stiekłowowi
woda
nie odpływa z pióra.
To brak sumienia.

Śnięta rybka
płynie na fali.
Wiszą
płetewki,
jak skrzydełka podbite.
Czas płynie,
i ona —
coraz to dalej
płynie i kwita.

Na spotkanie nam,
wolniej, niż foka w wodzie,
statek z Meksyku,
a my tam —
skąd on wraca.
Tak widać być musi.
Normalny podział
pracy.
Mówią, że to wieloryb.
Mają rację chyba.
Coś jakby morski Biednyj —
tylko grubszy trzykrotnie.
I wąsy Demiana są na zewnątrz,
a wieloryba —
odwrotnie.

Lata — mewy.
Wzwyż to poleci —
i do wody —
rybkami się obżerać.
Znikły mewy.
W gruncie rzeczy,
gdzie są teraz?

Urodziłem się,
rosłem,
karmiono mnie z miski,—
żyłem,
pracowałem,
zestarzałem się troszkę...
I tak życie minie,
jak minęły nas Wyspy
Azorskie.

*1925, 3/VII — Ocean Atlantycki*

Przełożył
*Anatol Stern*

*Adolf Sowiński*

# FRYDERYK SCHILLER

## LATA NAUKI

Pośród trzystu państw i państewek niemieckich z osiemnastego wieku księstwo wirtemberskie należało do tworów politycznych średniej wielkości. Nie mogło równać się z Prusami, ale zdecydowanie górowało nad tak miniaturowymi księstewkami, jak Sachsen-Weimar lub Sachsen-Meiningen. Rozciągało się na przestrzeni około dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych i liczyło pół miliona mieszkańców.

Wirtembergia jest piękną okolicą Niemiec. Na południu sięga do Jeziora Bodeńskiego i Alp Algawskich. Wartki Dunaj, który dopiero co opuścił stoki Szwarcwaldu, zatacza łuki wśród pogórza przedalpejskiego, a dalej — ku północy — w Szwabskiej Jurze otwierają się malownicze i ludne doliny mniejszych i większych rzek. Za Jurą kraj opada upodabniając się coraz bardziej do pagórków sąsiedniej Frankonii.

Jedną z najpiękniejszych dolin tworzy Neckar, płynący na terenie Wirtembergii północnym skrajem Szwabskiej Jury, by w innych już stronach wlać swe wody do Renu. Nad Neckarem rozłożył się Stuttgart, stolica Wirtembergii. Miasteczko Marbach, położone o niespełna trzydzieści kilometrów od stolicy idąc z biegiem rzeki, nie zasłynęło w historii niczym innym prócz tego, że stało się miejscem urodzenia wielkiego poety.

Ojciec tego poety, Johann Kaspar Schiller, osierocony w dzieciństwie, prowadził od najwcześniejszej młodości życie wędrowne, poświęcił się bowiem służbie wojskowej. Gdy w roku 1745 wybuchła wojna między Austrią i Francją o Niderlandy, był felczerem w najemnym pułku huzarów bawarskich. Dostał się do niewoli francuskiej i powrócił do ojczyzny dopiero wtedy, gdy między stronami wojującymi stanął pokój w Akwizgranie.

Miał lat dwadzieścia sześć, gdy w roku 1749 zawitał do Marbachu i poślubił tam siedemnastoletnią Dorotę Kodweiss, córkę miejscowego oberżysty i piekarza. Zamierzał na stałe osiąść w miasteczku i zarobkować przy pomocy nabytych w wojsku umiejętności felczerskich, ale rychłe bankructwo teścia wygnało go znowu w świat. Poniósł straty i doznał szwanku na opinii jako bliski powinowaty bankruta, musiał więc szukać szczęścia gdzie indziej. Opuściwszy żonę i niespełna dwuletnią córkę, zaciągnął się ponownie do wojska.

Za tego rodzaju okazją nie trzeba było gonić. Książę wirtemberski, Karol Eugeniusz (1728—1793), potrzebował ludzi na sprzedaż. Już w roku 1752 zobowiązał się formalnym układem, że za 325.000 liwrów będzie dostarczał Francji sześć tysięcy żołnierza rocznie. Teraz, w okresie Wojny Siedmioletniej (1756—1763), podczas której był w swej polityce ściśle uzależniony od Francji Ludwika XV, podwoił ten kontyngent ludzki. Rekrutacja odbywała się nierzadko w sposób brutalny: młodych ludzi porywano nocą z mieszkań lub też otaczano i uprowadzano po niedzielnych nabożeństwach.

Kaspar Schiller został wkrótce lejtnantem. Stał gdzieś w polu, gdy doszła go wiadomość, że 10 listopada 1759 roku — po dziesięciu latach małżeństwa — żona powiła mu dawno upragnionego syna. Otrzymał on imiona Johann Christoph Friedrich. W swych późniejszych zapiskach ojciec taki dał wyraz żywionym dla niego uczuciom: „O ty, istoto wszech istot, ciebie prosiłem po urodzeniu mego jedynego syna, ażebyś mu przydała tej siły ducha, której ja nie mogłem osiągnąć dla braku wykształcenia — i tyś mnie wysłuchała!"

Mały Fryderyk odziedziczył po matce wysokie czoło, rudą czuprynę i piegi. Gdyby mógł aż tak daleko sięgnąć pamięcią, pozostałyby mu wspomnienia zakopconej sionki i jedynej, ciasnej, parterowej izdebki, w której gnieździła się cała rodzina. Ale w Marbachu spędził tylko trzy pierwsze lata swego życia, więc wspomnień nie miał żadnych. Za to matka pamiętała, że nieraz w tym najwcześniejszym dzieciństwie ulegał konwulsjom i gdy leżał po nich wyczerpany, już wtedy śpiewała mu i opowiadała pieśni i bajki ludowe, których niewyczerpane zasoby starczyły jej na wiele lat późniejszych.

Tymczasem ojciec wojował przemierzając Turyngię, Saksonię i Hesję. Nie zdobył ani laurów, ani pieniędzy. Z końcem wojny, uzyskawszy rangę kapitana, przyjął nienajzaszczytniejsze stanowisko oficera werbunkowego w wiosce Lorch i tam sprowadził rodzinę. Chłopiec podrósł już na tyle, że mógł pobierać pierwsze nauki w szkółce parafialnej u pastora Mosera, którego dobrotliwą postać zapamiętał sobie na całe życie i uwiecznił ją później pod autentycznym nazwiskiem w *Zbójcach*.

W roku 1766 Kaspar Schiller przesiedla się z rodziną do Ludwigsburga, gdzie obejmuje stanowisko nadzorcy ogrodów książęcych, najlepsze i najzyskowniejsze w jego życiu. Dopiero teraz, poza zgiełkiem oręża i sferą zapachu komiśnego chleba żołnierskiego, może rozwinąć zalety swego żywego umysłu. Studiuje botanikę, pisze dziełko o hodowaniu drzew w dużych skupiskach a nawet składa wiersze oparte — zgodnie z modą czasu — na tematach biblijnych. Ma wyższe aspiracje co do wychowania dzieci, a ustalony nareszcie byt materialny pozwala mu wierzyć w urzeczywistnienie nadziei.

Fryderyk rozpoczyna w Ludwigsburgu normalną edukację. Z cenzurą „obiecującego ucznia" kończy szkołę łacińską, czyli rodzaj progimnazjum, i marzy o studiach teologicznych. Ale tymczasem decyzja co do kierunku jego dalszej nauki zapadła bez liczenia się z tymi marzeniami, z których zresztą sam po latach szydził: „Na co bym wyszedł? Na magisterka z Tybingi?".

Ludwigsburg był drugą, obok Stuttgartu, rezydencją książęcą. Tu i w pobliskim pałacu Solitude książę Karol Eugeniusz szukał wraz ze swą metresą, Franciszką von Hohenheim, pełnej swobody zacisza, gdy nieprzystojnym trybem życia zanadto wyzwał przeciwko sobie opinię publiczną.

Był to skrajny despota i marnotrawca, którego panowanie — jak i panowa-

nie wielu innych tuzinkowych książąt — weszło do historii pod mianem „rządów metres". Sprzedając pułki swych poddanych Francji, usiłował jednocześnie naśladować u siebie przepych królewskiego dworu francuskiego. Nie trudno sobie wyobrazić, ile łez kosztowała w małym państwie każda perła. „Właśnie w sześćdziesiątych latach — mówi historyk Franciszek Mehring — widział Ludwigsburg rozwiązłe marnotrawstwo tego szwabskiego sułtana, jego pyszny dwór złożony z dwóch tysiący osób... jego włoskich śpiewaków i tancerzy, jego bale, koncerty, reduty, kuligi, iluminacje, fajerwerki i polowania. A tymczasem nędznie sklecone miasto, w którym niejeden budynek już się walił, nim jeszcze podciągnięto go pod dach, było odpowiednim tłem dla tej złudnej wspaniałości."

Zapędy tyrańskie księcia wirtemberskiego przejawiały się również w prześladowaniu wszelkiej myśli wolnej. Między innymi książęcą ofiarą był uczony i pisarz, Jan Jakub Moser, a twierdza Hohenasperg, widoczna na horyzoncie z ludwigsburskiego parku, na dziesięć lat zamknęła w swych murach poetę Daniela Schubarta. Ten właśnie poeta ukuł nazwę „plantacja niewolników" dla Karlsschule czyli Szkoły Karola w Ludwigsburgu, którą książę wirtemberski założył w roku 1773 i ochrzcił swym imieniem. Chodziło przede wszystkim o wykształcenie i polityczne urobienie odpowiedniej ilości urzędników administracyjnych i medyków wojskowych na potrzeby księstwa. Rekrutacja uczniów dokonywała się nieraz za pomocą metod przymusu.

Przymusowo dostał się do tej szkoły czternastoletni Fryderyk Schiller. W dwa lata później przeniesiono ją do Stuttgartu, rozszerzono zatrudniając około pięćdziesięciu nauczycieli i przemianowano na akademię. W jej okresie ludwigsburskim Schiller studiował prawo, a w Stuttgarcie przerzucił się na medycynę, przy której pozostał już do końca.

Akademia, przypominająca położeniem i trochę architekturą Szkołę Podchorążych w Łazienkach, mieściła się w pobliżu stuttgarckiego pałacu książęcego. Sztychy współczesne ukazują nam — na tle dwu wzgórz uwieńczonych krzewami — trójskrzydłowy kompleks budynków okalających dziedzińce puste jak deptaki więzienne. Za to na tyłach przylegał do wschodniego skrzydła park książęcy, gdzie pośród drzew i łąk mieniły się dwa jeziora. Na jednym z dziedzińców stał — wysoko wzniesiony na piedestale — posąg księcia, którego otaczały symboliczne figury dobroci, szczodrobliwości, geniuszu i wielkoduszności. Posąg księcia stał poza tym w sali koncertowej, gdzie wychowankowie zbierali się na codzienne modlitwy. I podobizny księcia powtarzały się w audytoriach, zdobiąc nawet ciemne ławy szkolne.

W związku ze swym pochodzeniem społecznym akademicy dzielili się na dwie kategorie: szlachecką i mieszczańską. Przynależnych do pierwszej nazywano kawalerami, zepchniętych do drugiej — elewami. Elew Schiller sypiał wraz z pięćdziesięcioma towarzyszami w jednej sali, podobnie zresztą jak inni — młodsi i starsi — koledzy, ponieważ wysoka Karlsschule była zorganizowana na sposób ściśle wojskowy. Wszystko, w ciągu całego dnia, robiono na komendę. Nawet do sali jadalnej maszerowali uczniowie w szyku wojskowym, na komendę robili zwrot w prawo lub w lewo, na komendę odmawiali przepisaną modlitwę, na komendę siadali i chwytali łyżki do rąk.

Z pamiętników i dokumentów ówczesnych brzmią jeszcze ku nam rozkazy: „Stój! Do modlitwy! Do stołu!" I widzimy wcześnie wybujałego elewa Schillera,

długiego, chudego i laskonogiego jak bocian. Tę chudość podkreślają jeszcze obcisłe spodnie z białego sukna i obcisły, niebieski fraczek, obramowany kołnierzem i wyłogami z czarnego pluszu. Gdy elew wychodził na dziedziniec, zakładał mały kapelusik ze stojącymi po bokach kresami, a spod kapelusika musiały — jak opiewał regulamin — wystawać pukle niepudrowanych włosów. Na plecach — również w myśl przepisów — merdał się ogonek sztucznego harcapa.

I elew Schiller rzadko wydalał się poza dziedziniec, ponieważ Karlsschule była zamkniętym na wszystkie spusty zakładem wychowawczym. Zarówno wakacje jak i uroczyste święta spędzano na miejscu. Władze szkolne nader rzadko zezwalały na widzenie się z rodzicami lub też na odwiedziny domu rodzinnego. Bywało nawet, że nie dawano doraźnego zwolnienia na pogrzeb najbliższych. Książę Karol Eugeniusz, który — byle jak przekręcając słynne powiedzenie Ludwika XIV „Państwo — to ja!" — wołał nieraz w gniewie „Ojczyzna — to ja!", chciał być wyłącznym panem i ojcem swych wychowanków. Sam doglądał porządku i przestrzegania regulaminu oraz wtrącał się do publicznych egzaminów, w których uczestniczył razem z hrabiną von Hohenheim. Miały one być jednocześnie hołdem składanym przez uczniów im obydwojgu.

Trzeba stwierdzić, że młodziutki Schiller nie należał i nie mógł należeć do ludzi, którzy by nie okazali chwiejności wobec wszechwładnych w ich czasie i środowisku pojęć i przykazań, owych zaciężnych i mściwych kondotierów historii panującej nad nami wszystkimi. Toteż — choć rozmyślał już nad *Zbójcami* — był w tych czasach autorem sążnistych mów i wierszowanych panegiryków na cześć księcia i hrabiny von Hohenheim. Zachowało się sporo tych elaboratów brzmiących nadmiernie szumną retoryką pochlebstwa. Trudno byłoby je tłumaczyć tylko duchem rokokowej galanterii, obowiązującej nawet w murach Karlsschule. Raczej prawdą jest to, że w atmosferze bezwzględnego przymusu rodzą się w człowieku jak gdyby dwie ustawicznie paktujące z sobą dusze: oportunistyczna i buntownicza. Pierwsza jest normalnym głosem instynktu samozachowawczego, a więc ogłasza alarm i nawołuje do ustępstw, gdy człowiekowi grozi fizyczna zagłada, druga — wciąż marzy o wolności i sprawiedliwości. Podział na zjadaczy chleba i szlachetnych służebników idei nie jest taki prosty, bo jego linia graniczna przebiega najczęściej nie między ludźmi, ale wewnątrz ludzi. Tyle że ci, w których rozpanoszyła się dusza oportunistyczna, zginęli w mrokach niepamięci, podczas gdy ci, w których uzyskała przewagę dusza buntownicza, stali się na zawsze rozkoszą i słodyczą całej ludzkości, nie ustającej w dążeniu do ulepszenia własnego życia.

Wśród przemocy odbierającej człowiekowi prawo do protestu i zamanifestowania swej indywidualności dusza buntownicza dojrzała w Schillerze niezwykle szybko. Przyczyniła się do tego lektura dzieł dawnych i współczesnych.

Z dzieł dawnych najbardziej zachwycały młodzieńca żywoty sławnych mężów starożytnego Plutarcha, skąd szedł ku niemu powiew ludzkiej wielkości, budząc odrazę do otoczenia, czego świadectwo znajdujemy w *Zbójcach:* „Gdy o wielkich ludziach czytam w Plutarchu swoim — mówi Karol Moor — obrzydliwość mnie bierze na ten wiek ślimaczy... Jasny ogień Prometeja strawił się zupełnie, za to szukają płomieni z mączki widłakowej, bengalskich ogni, przy których fajki tytoniu zapalić nie można."

Mimo zamków, rygorów i kar przenikała w mury szkolne i współczesność. Wiedziano, co się dzieje za obrębem „plantacji niewolników". System szpiegowski, który Karol Eugeniusz wprowadził do swej akademii wojskowej, osobiście wysłuchując doniesień konfidentów, utrudniał obieg zakazanych książek, ale go nie uniemożliwiał. Ci, których tresura fizyczna i duchowa chciała zamienić w wierne sługi prowincjonalnego tyrana, czytali dzieła na owe czasy światoburcze. I znowu z dokumentów wyłania się laskonoga postać elewa Schillera, który, zapomniawszy o spadających mu na czoło włosach rudych jak płomyki, suchy i przygarbiony zaszywa się gdzieś w kąt umywalni i gorączkowo przewraca karty zakazanej książki, gotów ją w każdej chwili skryć pod fraczkiem na trochę zapadłej już piersi.

Były to czasy ostatnich lat życia największego pisarza niemieckiego Oświecenia, Gottholda Ephraima Lessinga (1729—1781), którego twórczość jest wyrazem dążności niemieckiego mieszczaństwa do wyzwolenia się spod przemożnej władzy książąt feudalnych. W szczególności Lessingowska *Emilia Galotti* stawała do walki z przemocą i okrucieństwem takich władców jak Karol Eugeniusz. O wiele bardziej jeszcze niż Lessing burzyło się młode pokolenie pisarzy mieszczańskich, toteż nie darmo dziesięciolecie ich natężonej działalności (1770—1780) nazywamy „okresem burzy i naporu". Była to rewolucja literacka, która objęła wszystkie ziemie, gdzie dawał się słyszeć język niemiecki. Historia literatury wymienia kilkunastu nosicieli tej rewolucji — od Fryderyka Maksymiliana Klingera, którego dramat, zatytułowany *Sturm und Drang,* dał nazwę całemu okresowi, aż do Gotfryda Augusta Bürgera, autora znanej powszechnie ballady *Lenora.* Ale do dziesięciolecia „burzy i naporu" należy przede wszystkim wczesna twórczość Johanna Wolfganga Goethego. Starszy o dziesięć lat od Schillera, był już podówczas Goethe autorem *Götza von Berlichingen,* dramatu historycznego osnutego na tle szesnastowiecznych wojen chłopskich, i *Cierpień młodego Wertera,* powieści współczesnej, w której uwidoczniła się tragiczna rozterka całego pokolenia.

Historia literatury zalicza i młodzieńczą twórczość Schillera do „okresu burzy i naporu". Zanim jednak pod sam koniec tego okresu stanął w szeregach twórców, był żarliwym odbiorcą dzieł swego czasu.

Około roku 1778 wpadło mu w ręce opowiadanie Daniela Schubarta zatytułowane *Zur Geschichte des menschlichen Herzens (Przyczynek do historii serca ludzkiego).* Było to odkrycie niemałej wagi, gdyż znajdujemy tu główne motywy, dzięki którym powstali *Zbójcy:* nienawiść między braćmi i ojcobójstwo. Sam Schubart jak gdyby zachęcał młodego poetę mówiąc w dołączonej do książki uwadze, że oddaje ją geniuszowi, aby zrobił z niej komedię lub powieść, jeśli tylko z bojaźni nie zechce umieścić sceny w Hiszpanii lub Grecji, lecz śmiało podniesie jej kurtynę na ziemi niemieckiej. U Schubarta nie ma jeszcze akcji zbójeckiej, ale stosunki panujące w Wirtembergii skłaniały nowego twórcę, by bunt przybrał tę właśnie postać. Przecież Schubart, którego szyderstwami poczuł się dotknięty Karol Eugeniusz, był już wtedy zamknięty w wilgotnych murach twierdzy Hohenasperg, którą miał opuścić dopiero po dziesięciu latach udręki więziennej. Skorumpowany dwór budził odrazę każdego człowieka uczciwego.

I jeszcze raz z dokumentów wyłania nam się postać elewa Schillera pracującego uporczywie nad *Zbójcami* — manifestem swej młodości. Szukał pre-

tekstów, aby dostać się na izbę chorych, gdzie łatwiej można się było skryć przed okiem wychowawców. Pisał nocami, przypalając kosmyki włosów przy wątłej świeczce. Pragnął przemówić „pełnobrzmiącym głosem poetów", a tymczasem na każdy szelest za drzwiami musiał czym prędzej chować rękopis byle gdzie i udawać, że pilnie studiuje któryś z podręczników szkolnych. Były to wieczory i noce żarliwe, podczas których „wyzwalał się z wszelkich pęt".

Lata szkolne dobiegały końca. W roku 1778 złożył Schiller łacińską rozprawę *Filozofia i fizjologia,* która jednak nie znalazła uznania władz szkolnych, ponieważ młody adept medycyny ważył się występować przeciwko uznanym autorytetom. Poinformowany o tym książę skazał go na rok jeszcze pobytu w akademii, ażeby „przytłumić jego ognie". Dopiero w roku 1870, na zasadzie rozprawy *O związku między zwierzęcą i duchową naturą człowieka,* otrzymał Schiller dyplom ukończenia akademii i stanowisko medyka przy jednym ze stacjonujących w Stuttgarcie pułków grenadierskich. Więcej niż skromna gaża wynosiła osiemnaście guldenów miesięcznie.

Miał lat dwadzieścia jeden. Był autorem paru wierszy drukowanych w *„Szwabskim Magazynie"* i posiadaczem skarbu: wykończonego rękopisu *Zbójców.* Nie znalazł wydawcy, który by sfinansował druk tej tragedii, toteż — zaciągnąwszy nie pierwszą już pożyczkę — zdecydował się wydać ją własnym kosztem. Miarą panujących wówczas stosunków może być fakt, że w tym pierwszym wydaniu Schiller przezornie nie podał swego nazwiska, a jeszcze ostrożniejszy drukarz umieścił fałszywe dane co do miejscowości, gdzie arkusze tłoczono.

Albowiem już motto brzmiało niebezpiecznie: „In tyrannos!" — „Przeciwko tyranom!", w przedmowie zaś poeta głosił: „Jeżeli ktoś postanowił, że jego celem jest obalenie występku oraz pomszczenie religii, moralności i praw obywatelskich na ich wrogach, to musi odsłonić występek w jego nagiej ohydzie i postawić go przed oczyma ludzkości w jego kolosalnym wymiarze, zniewolić się do uczuć, przed których przewrotnością wzdryga się jego dusza."

Jednocześnie z wydaniem książkowym wszczął Schiller starania o wystawienie *Zbójców* na scenie. Rzecz dostała się do rąk barona Heriberta Dalberga, dyrektora teatru w Mannheimie, ówczesnej stolicy Palatynatu. Baron kochał teatr, ale nie zamierzał narażać się zbytnio dla młodego autora, który napisał taką sztukę, że „kat musiałby ją spalić". Zażądał zmian, na które Schillerowi wypadło się zgodzić. Była to cena pierwszego sukcesu. Prócz tego, że skreślono szereg zbyt rewolucyjnie brzmiących zdań i złagodzono wymowę niektórych scen, Dalberg zażądał umieszczenia na afiszach teatralnych uwagi, z której wynikało, że akcja nie toczy się we współczesności, lecz w dawnych czasach, w roku 1495, gdy „cesarz Maksymilian ustanowił wieczny pokój dla Niemiec".

Tak przystosowana sztuka została wystawiona w Mannheimie 13 stycznia 1782 r. Osiągnęła sukces niebywały. Mimo okrojeń zrozumiano ją jako szturm przypuszczony do społecznego i państwowego porządku owych czasów.

Młodziutki dramaturg nie znał jeszcze dostatecznie życia, toteż w rysunku swoich postaci nie zawsze trafnie prowadził „linię pośrednią między diabłem i aniołem", jak sam później orzekł. Stworzył więc w Amalii raczej poglądowe wcielenie wszelkich cnót niźli żywą kobietę. Nie zawsze również zachowywał reguły charakterologicznej konsekwencji, bo jeżeli na początku Franciszek Moor

jest potworem wywodzącym się wprost z piekła dawnych „czarnych charakterów", zimną, wyrachowaną bestią, w której nie drgnie ani jedno ludzkie uczucie, to na końcu przemawia sentymentalnymi wręcz tyradami. Ale mimo wszelkich słabości ze sztuki bił namiętny protest przeciwko niewoli i łamaniu ludzkich charakterów złymi prawami. To o tych prawach mowa, gdy Karol Moor, zbójca-buntownik, woła: „Czyż mam swoje ciało ścisnąć i swoją wolę zasznurować prawami? Prawo nie stworzyło jeszcze żadnego wielkiego człowieka, natomiast wolność lęże kolosów i ekstremy."

Schiller sam był świadkiem entuzjazmu, z jakim przyjęto jego sztukę, udał się bowiem potajemnie do Mannheimu w parę dni po premierze. Wróciwszy do Stuttgartu, listownie dziękował aktorom i Dalbergowi za sukces. „Myślę — pisał na końcu nie bez pewności siebie — że gdy Niemcy uznają kiedyś we mnie poetę dramatycznego, to początek epoki będę musiał liczyć od minionego tygodnia."

Innego zdania był wychowany na francuskiej literaturze pseudoklasycznej książę Karol Eugeniusz, który przeczytawszy *Zbójców* znalazł w nich niesłusznie — prostactwo, a słusznie — rebelię. Gdy poeta bez urlopu, niedość zatarłszy za sobą ślady, udał się po raz drugi do Mannheimu, aby znów być widzem spektaklu, ściągnęło to na niego prześladowania. Karol Eugeniusz wymierzył mu karę czternastu dni aresztu, grożąc zwolnieniem ze służby i twierdzą, jeżeli medyk pułku grenadierów będzie pisał cokolwiek oprócz rozpraw z dziedziny swego fachu. W ten sposób książę wirtemberski zyskał sobie w historii niesławne miano prześladowcy poetów.

Smutny los Schubarta, którego nie tak dawno udało mu się odwiedzić w twierdzy Hohenasperg, popchnął Schillera do natychmiastowej decyzji. Obmyślił szczegółowy plan ucieczki, która przypadła na wrześniowy wieczór roku 1782. Akurat przyjmowano w Stuttgarcie wielkiego księcia rosyjskiego, Piotra, wraz z małżonką. To odwróciło uwagę straży od pustego powozu, który zwolna toczył się wokoło miasta. O godzinie dziesiątej wsiedli doń dwaj mężczyźni. Był to Fryderyk Schiller i jego przyjaciel Andrzej Streicher, muzyk. Powóz ruszył w ciemną noc. O ósmej rano przekroczył szczęśliwie granicę Palatynatu.

Od tej ucieczki, która była konieczną samoobroną, zaczyna się nowy okres życia poety.

## OD „ZBÓJCÓW" DO SZTURMU NA BASTYLIĘ

Droga ucieczki Schillera prowadziła do Mannheimu, gdzie przybył pod fałszywym nazwiskiem. Spodziewał się, że w mieście, gdzie doznał pierwszych uniesień sławy, zostanie przyjęty z otwartymi ramionami, tym bardziej że przywoził z sobą rękopis nowego dzieła: *Sprzysiężenie Fieska w Genui* ze znamiennym podtytułem: *Tragedia republikańska.* Był bez grosza przy duszy. Czas sprawowania zawodu eskulapa wojskowego w Stuttgarcie przyniósł mu tylko długi.

Tymczasem nie zastał Dalberga w Mannheimie, a gdy się zwrócił do niego listownie z prośbą o zaliczkę na *Fieska,* ostrożny baron, nie myśląc bynajmniej narażać się księciu wirtemberskiemu, odmówił wszelkiej pomocy i odrzucił sztukę jako nie nadającą się w tej postaci do wystawienia.

Wolność przyniosła pierwsze rozczarowanie, była to bowiem wolność pozorna w podobnym do poprzedniego niewielkim państwie niemieckim. Przez rok prawie tułał się Schiller po małych miasteczkach i po cudzych domach, przerabiając *Fieska*, pisząc tragedię *Luise Millerin*, której później nadał tytuł *Intryga i miłość*, układając plany *Don Karlosa* i *Marii Stuart*. Parę miesięcy spędził w Bauerbachu pod Meiningen, majątku pani von Wolzogen, matki dwu przyjaciół z Karlsschule. I tam, w Bauerbachu, przeżył swą pierwszą, zresztą nieodwzajemnioną, miłość do młodziutkiej Charlotty von Wolzogen.

Sprawa ucieczki zaczęła się jak gdyby przedawniać, toteż baron Dalberg był skłonny pertraktować z poetą, tym bardziej że wydany drukiem *Fiesko* wzbudził zainteresowanie innych scen.

W drugiej połowie roku 1783 Schiller przybywa ponownie do Mannheimu i zawiera z Dalbergiem formalną umowę, na mocy której zobowiązuje się w ciągu następnego roku dostarczyć teatrowi nową sztukę oprócz *Fieska* i *Intrygi i miłości*.

Praca nad tą nową sztuką, *Don Karlosem*, pierwszym dramatem wierszowanym, posuwa się nader powoli. Do końca roku 1784 jest gotów tylko pierwszy akt. Schiller czyta go w Darmstadt, w obecności księcia weimarskiego, Karola Augusta, który po tym wieczorze autorskim odznacza go tytułem radcy swego księstwa. Przeciwko dalszemu ciągowi *Don Karlosa* sprzysięgło się wszystko: choroba, stałe kłopoty pieniężne i wreszcie rozgardiasz namiętności spowodowany nie dość szczęśliwym romansem z Charlottą von Kalb, arystokratką o wysokich koneksjach. Z tymi ostatnimi przeżyciami wiąże się wiersz *Rezygnacja*, w którym słyszymy głos wewnętrznej godności, nakazującej poecie — kosztem niejednego wyrzeczenia — powrócić do wielkich przedsięwzięć.

W tym czasie Schiller mógłby słowami swego Don Karlosa powiedzieć, że horyzont mannheimski zaciążył nad nim jak „świadomość mordu". Poczuł niebezpieczeństwo zagrażające rozwojowi jego poezji. Marząc o wydobyciu się z atmosfery, która stała się nieznośna, skorzystał z osobliwego zaproszenia. „Przed paroma dniami — pisze do pani Wolzogen w liście z dnia 7 czerwca 1875 roku — spotyka mnie najwspanialsza w świecie niepodzianka. Otrzymuję paczkę z Lipska i znajduję listy czterech całkiem obcych mi osób, pełne ciepłych uczuć dla mnie i moich utworów. Były wśród tych obcych dwie panny o bardzo ładnych twarzach. Jedna wyhaftowała mi kosztowny portfel, druga narysowała siebie i trzy pozostałe osoby, a wszyscy rysownicy w Mannheimie podziwiają jej sztukę. Taki podarunek, złożony tylko za to, że spędzono miłe godziny przy czytaniu moich utworów — taki podarunek jest dla mnie większą nagrodą niż głośne wołanie świata, jest najsłodszą rekompensatą za tysiące ponurych minut. I gdy tak teraz dalej zastanawiam się nad tym myśląc sobie, że na świecie jest może więcej takich kółek, które — nieznane mi — kochają mnie i cieszyłyby się, gdyby mnie poznały, że może po stu latach albo i później, kiedy już mój proch rozwieje się dawno, pobłogosławią moją pamięć i dla leżącego w grobie będą miały jeszcze łzy i podziw — wtedy cieszę się z mego zawodu poety..."

Do czwórki nieznanych osób, które okazały mu tyle serca, należały panny Minna i Dora Stock oraz dwóch młodych mężczyzn: Gotfryd Körner, przyszły ojciec poety Teodora Körnera (Tyrteusza „wojen wyzwoleńczych" skierowanych przeciwko zaborom Napoleona) i przyszły pisarz Ferdynand Huber. Ci

ludzie umożliwili Schillerowi zamieszkanie w Gohlis pod Lipskiem, gdzie w atmosferze przyjaźni i odprężenia powstał słynny *Hymn do radości,* jeden z najwspanialszych utworów liryki światowej. Gdy Körner poślubił Minnę Stock i założył dom w Dreźnie, gdzie zajmował dobrze płatne stanowisko radcy konsystorza, Schiller pociągnął za nim i przez rok korzystał z jego przyjacielskiej pomocy. Zapewniony byt pozwolił mu nareszcie ukończyć *Don Karlosa.* Jednocześnie zaś w tym drezdeńskim okresie rozpoczyna poważne studia nad historią i filozofią.

Było lato 1787 roku, gdy pani von Kalb przypomniała sobie dawnego przyjaciela i zaprosiła go do Weimaru, gdzie jej mąż był podkomorzym książęcym i zasiedziałym właścicielem dóbr ziemskich. Ale ten pierwszy, blisko półroczny pobyt w Weimarze nie przyniósł poecie żadnych korzyści życiowych. Wysoko postawione osobistości, z którymi usiłowała go zetknąć pani von Kalb, przyjęły go zimno, oficjalnie. Ponadto weimarski „dwór Muz", na którym książę Karol August zgromadził najwybitniejszych ludzi epoki, przeżywał jak gdyby okres długich wakacji. Goethe, król „dworu Muz", przebywał podówczas we Włoszech. Przelotnie zetknął się Schiller jedynie z postarzałym już Wielandem, „niemieckim Wolterem", autorem *Oberona* i *Historii Abderytów.* Ale Wieland nie mógł obiecać mu nic więcej prócz otwarcia łamów *„Niemieckiego Merkuriusza",* periodyku, który wydawał.

Chłód wiał z małomiejskich uliczek weimarskich. A tymczasem poza murami miasta ogrody nad krętą rzeką Ilm przechodziły w lasy, gościńce wabiły do wędrówki, obiecując chyba dlatego tak wiele, że nie widać było ich końca. Może gdzieś na tych szlakach biegnących ku górom Turyngii, gdzie z modrzewi opadały resztki złotych jak skry na miodzie igieł, zastąpi koniom drogę młoda dziewczyna i stworzy przejezdnemu poecie dom rodzinny?

W jednej z wycieczek, następnego roku po opuszczeniu Weimaru, dotarł z przyjacielem, Karolem von Wolzogen, do turyngskiej wioski Volkstedt, leżącej na peryferiach miasta Rudolstadt, z którym stykały się podówczas odsunięte dziś dalej lasy. Były to jeszcze dziedziny księcia weimarskiego.

W Volkstedt zamieszkiwała z dwiema córkami, Karoliną i Lottą (imię sławne dla całej epoki!), pani von Lengefeld, wdowa po łowczym książęcym. Uczucie, które powziął Schiller do dwudziestojednoletniej Lotty, kazało mu spędzić w tych stronach wiosenne i letnie miesiące roku 1788.

Tak sprzyjające słowikom mokre gaje nad rzeką Saalą wokół Rudolstadtu powiedziałyby nam wiele o tamtej miłości, gdybyśmy chcieli napisać godziwą fantazję. Tym razem wypada nam jednak poprzestać na faktach, których wiele mamy do zarejestrowania.

Minęło zniechęcenie, które od czasu, gdy ukończony *Don Karlos* trafił gdzieś niby w próżnię, zdawało się ogarniać Schillera coraz bardziej. Czyta Homera, tłumaczy Eurypidesa, pisze *Bogów Grecji,* mały poemat, w którym daje wyraz właściwej całemu klasycyzmowi niemieckiemu tęsknocie za „utraconą religią piękna". Z tego czasu pochodzi również niewielki poemat *Artyści,* w którym czytamy te przejmujące słowa:

Cośmy odczuli tutaj jako piękno,
zajdzie nam kiedyś drogę jako prawda. *

* Przekład cytatów poetyckich, przy których nie podano nazwiska tłumacza, pochodzi od autora szkicu.

Wreszcie nowelą *Geisterseher (Duchowidz)* próbuje swych sił w prozie artystycznej, a rozprawą *Geschichte des Abfalls der vereinigten Niederlande von der spanischen Regierung (Historia oderwania się zjednoczonych Niderlandów od korony hiszpańskiej)* śmiało zdobywa dziedzinę historii jako nauki.

Wczesną jesienią roku 1788 dom pani von Lengefeld staje się widownią wydarzenia, na którego doniosłe skutki będziemy jednak musieli czekać czas jeszcze pewien. Goethe powrócił z Italii. Jak dawniej, tak i teraz lubi urządzać poetyckie ekskursje na wzgórzu Lasu Turyngskiego, z których jedno — przed ośmioma laty — podszepnęło mu wiersz będący czystym i wiotkim tchnieniem wieczoru: *Ueber allen Gipfeln ist Ruh...* Obecnie, wraz ze zbliżającą się czterdziestką, coraz mniej jest skłonny do wypadów samotnych i lubi występować w asyście. Przejazdem gościł już nieraz u wdowy po łowczym, a więc zjawił się jako stary znajomy.

O tej jego wizycie pisze Schiller w liście do Körnera: „Nareszcie mogę ci opowiedzieć o Goethem, na co — jak wiem — z upragnieniem czekasz. Ubiegłą sobotę spędziłem prawie całą w jego towarzystwie, kiedy odwiedził nas z Herderem, panią von Stein i panią von Schardt, którą widziałeś u wód. Przy pierwszym wejrzeniu znacznie spadło wysokie mniemanie, które wytworzyłem sobie z opowiadań o jego pociągającej i pięknej postaci. Jest średniego wzrostu, nosi się sztywno, tak też chodzi. Twarz ma zamyśloną, oczy zaś pełne wyrazu, żywe... Przy całej powadze wyraz jego twarzy zdradza dużo życzliwości i dobroci. Jest brunetem i wydawał mi się starszy niż według moich obliczeń mógł być rzeczywiście. Głos ma nadzwyczaj miły, opowiada płynnie, inteligentnie, żywo... Znajomość zawarliśmy szybko, bez najmniejszego skrępowania..." „Ale — dodaje za chwilę autor listu — wątpię, czy kiedykolwiek zbliżymy się do siebie."

Atmosfera obopólnej niechęci, pokrytej światową ogładą, nie miała rozwiać się szybko. Niemniej jednak właśnie za wstawiennictwem Goethego uzyskuje Schiller nominację na profesora historii w Jenie, gdzie działał jedyny uniwersytet księstwa weimarskiego. Decyduje się z miejsca i w przeciągu krótkiego czasu przygotowuje wykład inauguracyjny pod tytułem *Was heisst und zu welchem Ende studiert man die Universalgeschichte (Czym jest historia powszechna i po co ją studiujemy)* i wygłasza go w dniu 11 maja 1789 roku w przepełnionym audytorium uniwersyteckim. Studenci burzliwą owacją przyjęli twórcę *Zbójców* stającego przed nimi w nowej roli.

W dwa miesiące później, dnia 14 lipca, lud paryski zdruzgotał mury Bastylii. A gdy runęło królestwo Burbonów, śmiały uciekinier spod tyranii księcia wirtemberskiego i twórca *Zbójców* otrzymał nową nominację: Zgromadzenie Narodowe przyznało mu tytuł honorowego obywatela Republiki Francuskiej z uwagi na to, że „mężowie, którzy swymi pismami i swą odwagą służyli sprawie wolności i przygotowywali wyzwolenie ludów, nie mogą być uważani za cudzoziemców przez naród oswobodzony dzięki ich światłym umysłom i męstwu".

W ten sposób zamykamy młodzieńczy etap twórczości Schillera, który w pierwszych tygodniach Rewolucji Francuskiej dobiega lat trzydziestu. Oprócz *Zbójców* dostatecznie omówionych powyżej, z dzieł dramatycznych powstały — przypomnijmy sobie — w tym okresie następujące: *Fiesko, Intryga i miłość* oraz *Don Karlos.*

W porównaniu z żywiołowym wybuchem buntu w *Zbójcach* — *Fiesko* jest

w znacznej mierze dziełem autora obliczającego efekt dramatyczny. O niedostatecznej wymowie tej sztuki decyduje przede wszystkim temat: na przełomie lat 1546—1547 wybucha w Genui rokosz przeciwko absolutystycznym zapędom dynastii Doriów, ale hrabia Fiesko, który staje na czele sprzysiężonych, nie działa w imię sprawiedliwości i występuje przeciwko tyranowi Dorii tylko dlatego, aby zająć jego miejsce. O tej postaci sam Schiller powiedział: „Toteż nie było w mojej mocy natchnąć fabułę żywym żarem, który panuje w czystym produkcie zapału.“ Idea jest tu raczej zastąpiona intrygą, co może było skutkiem wielu przeróbek, których domagał się od poety dyrektor teatru mannheimskiego. Odnaleziona w roku 1943 inna redakcja tragedii nastręcza więcej możliwości rozwiązania wątku dramatycznego, albowiem — według niej — republikanin Verrina morduje hrabiego Fiesko, gdy ten chce się koronować na księcia.

Od historii, w którą zawiodło go sprzysiężenie Fieska, wraz z *Intrygą i miłością* przechodzi Schiller znów na grunt współczesny.

Stosunki panujące na dworze i w państwie Karola Eugeniusza wirtemberskiego dostarczyły głównych przesłanek do tego utworu. Było tak, jak gdyby Schiller otworzył zakamarki pałacu książęcego i kolejno ukazał na scenie, co się dzieje w tych pozornych zaciszach fałszywego dostojeństwa, patrzących zza firanek na ogrodowe szpalery wyszeregowane i przycięte pod linię nie tylko jak wojsko do musztry, ale jak całe społeczeństwo feudalne. Mowa tu jest o tym księciu, który „na swój stół stawia sok Indii Zachodnich i Wschodnich — wywołuje swym okrzykiem raje z puszcz — każe źródłom swego kraju tryskać dumnymi łukami ku niebu i szpikowi swych poddanych buchać w fajerwerkach“. A kamerdyner opowiada nam, jak książę sprzedał do Ameryki jego synów, przeszachrowuje bowiem obcym mocarstwom kwiat młodzieży jako towar żołnierski.

Przypominamy sobie, że tej tragedii Schiller nadał pierwotnie tytuł *Luise Millerin*. Uległ dopiero namowom wielkiego aktora, Wilhelma Ifflanda, który ówcześnie działał w Mannheimie, i uogólnił tytuł sztuki, która nadal pozostała dramatem Luizy Miller, córki muzykanta miejskiego, plebejki połączonej węzłem czystej miłości z Ferdynandem, synem prezydenta (czyli premiera) von Waltera. W odróżnieniu od swego ojca młody szlachcic Ferdynand jest już wyraźnym produktem Oświecenia i przemawia stylem przypominającym Jana Jakuba Rousseau: „Pomyśl, co starsze — mówi do Luizy — moje szlacheckie pergaminy czy też harmonia świata? Co ważniejsze — mój herb czy też postanowienie niebios w spojrzeniu mojej Luizy: «Ta kobieta urodziła się dla tego mężczyzny».“

Luiza łączy w sobie losy szekspirowskiej Julii i Desdemony, Ferdynand zaś ma jednocześnie cechy czułego Romea i zazdrosnego Otella. Dostawszy do rąk sfałszowany list miłosny, mający świadczyć o zdradzie kochanki, zabija Luizę, a następnie zadaje śmierć samemu sobie. Ta tragedia jest konsekwentnym skutkiem przewrotnych metod działania, stosowanych w zamkniętym środowisku dworskim. Po mistrzowsku celuje w tych metodach sekretarz prezydenta Waltera, fałszerz, intrygant i lis, nie darmo noszący nazwisko Wurm, czyli Robak. Możemy powiedzieć, że Luiza i Ferdynand giną z jego ręki, padają bowiem jako ofiary jego matactw. Atmosfera dworu, gdzie absolutyzm nieomal stendhalowskiego „księcia Parmy“ knuje intrygę za intrygą, ażeby oddalić

chwilę własnej klęski, przypomina nawet w szczegółach to, co Schiller widział w Stuttgarcie i Ludwigsburgu u Karola Eugeniusza. Osoby wzięte są żywcem z aparatu państwowego Wirtembergii, z życia — tak jak na nie spojrzał wstecz postępujący w swym rozwoju dramaturg. Faworyta książęca, lady Milford, ma swój pierwowzór w hrabinie von Hohenheim, prezydenta von Waltera odnajdziemy w historycznym ministrze Montmartinie, padalca Wurma — w również historycznym Wittlederze.

Padło oskarżenie przeciwko despocie wirtemberskiemu, które jest jednocześnie oskarżeniem absolutyzmu wszystkich trzystu władców niemieckich, albowiem — jak w każdym doskonałym utworze literackim — wydarzenia indywidualne stają się tu wydarzeniami typowymi, czyli nawołującymi do uogólnienia.

Przechodząc z kolei do *Don Karlosa,* należy stwierdzić, że jest on pierwszym w twórczości Schillera przykładem dramatu, który mówi właściwie o współczesności, chociaż jego akcja rozgrywa się w historii.

Głównym oskarżonym jest i tym razem absolutyzm. Na samym początku prac nad tym dziełem pomysł był skromny, gdyż konflikt dramatyczny ograniczał się do tego, że Don Karlos, syn króla hiszpańskiego, Filipa II (1527—1598), miał pierwotnie zaślubić Elżbietę, młodą królową francuską, którą obdarzał uczuciem, ale owdowiały tymczasem ojciec zrabował mu narzeczoną i sam się z nią ożenił. Studia historyczne znakomicie przyczyniły się do tego, że w poecie dojrzał plan szerszy i pełniejszy. Filip II, któremu w roku 1555 przypadły Niderlandy, rządził tam — za pośrednictwem krwiożerczego księcia Alby — w duchu reakcji katolickiej skierowanej przeciwko rozprzestrzeniającemu się protestantyzmowi. Długie wojny, które toczyły się w latach 1568—1609, przyniosły w końcu Niderlandom wolność: ich północna część oderwała się od korony hiszpańskiej. Oświecony markiz Posa jest u Schillera nosicielem idei wyzwoleńczych ludu niderlandzkiego i właściwym bohaterem dramatu.

Interpretacja tej postaci, a zarazem interpretacja całego dramatu zawarta jest już w jednym z listów Schillera, który tak mówi o powracającym z podróży markizie: „Wzbogacony tysiącem nowych płodnych pojęć, pełen prężnych sił, twórczych popędów, śmiałych i rozległych planów, z głową zaprzątniętą, gorejącym sercem, przeniknięty wielkimi, porywającymi ideami powszechnej mocy człowieka i ludzkiej szlachetności, żarliwiej zapalony dla szczęścia tej wielkiej całości, która uzmysłowiła mu się w tylu jednostkach — przychodzi teraz po swych wielkich żniwach, płonąc z tęsknoty, aby znaleźć scenę, na której mógłby realizować te ideały, zrobić właściwy użytek ze zgromadzonych skarbów. Narzuca mu się sytuacja istniejąca we Flandrii. Zastaje tu wszystko gotowe do rewolucji. Jego ideałowi wolności republikańskiej trudno byłoby znaleźć moment korzystniejszy i podatniejszą glebę:

Tyle bogatych, kwitnących prowincji,
lud mocny, wielki, a ponadto — dobry,
więc pomyślałem, że musi być rzeczą
boską takiego ludu zostać ojcem.

W im większej nędzy zastaje ten lud, tym silniej owo pragnienie przynagla jego serce, tym bardziej śpieszy się, aby je urzeczywistnić.“

Związek serc pomiędzy markizem Posą a Don Karlosem jest jedną z najpiękniejszych przyjaźni w literaturze światowej. Posa niejako stawia na Don Karlosa, oczekuje, że marzycielski infant urzeczywistni jego plany. Trudno byłoby przyjąć uproszczone poglądy, że Schiller hołduje utopii, nieżyciowej mrzonce, kiedy skłania się ku koncepcji, że lud niderlandzki może być wyzwolony przez „posłańca z góry", jakiegoś szlachetnego, oderwanego od swej dynastii Don Karlosa. Poprzez tyrady swego utworu i komentarze zawarte w listach Schiller niewątpliwie przemawia językiem wolnościowych pragnień ówczesnego mieszczaństwa, które marzyło o stworzeniu swej własnej republiki, ale jednocześnie pisał przecież dramat historyczny, w którym rolę jednostki musiał określić tak, jak ona w danym okresie historii wyglądała.

Zarazem jesteśmy tu jak najdalsi od upraszczania złożonej psychiki ludzkiej, od dzielenia ludzi na czarne i białe charaktery. Jeżeli w *Zbójcach* plątał się nieraz, to w *Don Karlosie* poeta nieomylnie prowadzi „linię pośrednią między diabłem i aniołem", tę skomplikowaną linię graniczną, za której biegiem szukamy zawiłej prawdy o człowieku. Przykładem tego jest postać króla Filipa II, który w rozmowie z Wielkim Inkwizytorem chwieje się, gdy ma skazać na śmierć swego w jednej osobie — syna i antagonistę. „Mój syn, jedyny syn — mówi król — dla kogóż zbierałem?" „Raczej dla rozkładu niż dla wolności" — padają słowa Wielkiego Inkwizytora. „Mniemamy tak samo" — odpowiada król.

Gdy czytamy dziś staroświeckie historie literatury i monografie Schillerowskie, uderza nas powierzchowność w tłumaczeniu akcji *Don Karlosa*. Zazwyczaj bywa wysuwana na czoło miłość Karlosa do królowej albo też na wszelkie sposoby rozważa się przyjaźń między Karlosem a Posą jako zjawisko przyjaźni w ogóle. I miłość, i przyjaźń są elementami świadczącymi o tym, jak dalece pełnych ludzi stworzył Schiller, ale główna wymowa tego dzieła przesuwa się w dziedzinę spraw i marzeń społecznych, jak o tym świadczy również dwanaście listów, które Schiller napisał interpretując w tym duchu swoje dzieło.

Jest ono dalszym — po *Zbójcach* oraz *Intrydze i miłości* — etapem jego buntu przeciwko rzeczywistości „trzystu tyranów", uniemożliwiających mieszczaństwu niemieckiemu podniesienie tego samego sztandaru, który powiał nad Paryżem i był symbolem haseł wolności, równości, braterstwa.

## ZMIERZCH STULECIA

Mogłoby się wydawać, że wraz z objęciem katedry na uniwersytecie jenajskim wyjaśniła się wreszcie sytuacja materialna Schillera, który od chwili opuszczenia murów szkolnych był w nieustannych tarapatach pieniężnych, a nawet w pewnej chwili groziło mu więzienia za długi.

Tak jednak nie było. Schiller jako profesor nie otrzymywał żadnej gaży i trudna rzeczywistość wkroczyła w jego życie już nazajutrz po wspaniałym wieczorze inauguracyjnym. Jego nominacja była czystym zyskiem dla skarbu księstwa weimarskiego. Przysługiwały mu tylko należności, które studenci mieli obowiązek wpłacać za słuchanie wykładów. Ale zarówno nieporadność życiowa młodego profesora, jak i wrogość kolegów, owych „uczonych dla chleba",

umiejących wyłapywać co bogatszych studentów, spowodowała, że już w następnym semestrze ilość słuchaczy spadła do trzydziestu, spośród których zaledwie dziesięciu uiściło należne opłaty.

Zresztą stanowisko ówczesnego profesora uniwersytetu było czymś zupełnie innym, niż później, gdy nauka zdobyła sobie prawo do powszechnego szacunku i dawała możność zrobienia większej lub mniejszej kariery. W owych latach natomiast uniwersytety pracowały podobnie jak niższe szczeble szkolne. Rzeczą profesora było podać studentom pewien zasób wiadomości z ustalonego przepisami podręcznika, a nie uprawiać własną działalność naukową, do czego przepisy władz nie dopuszczały. Nawet Immanuel Kant, który rościł sobie prawo do „kopernikowskiego przewrotu" w filozofii, musiał jako współczesny Schillerowi profesor uniwersytetu królewieckiego wykładać według obcych, staroświeckich podręczników, z których tezami nie zgadzał się zupełnie. Własne dociekania naukowe były możliwe jedynie poza murami uczelni.

Toteż nic dziwnego, że nim upłynął rok, Schiller począł odczuwać swoją profesurę jako zbyteczny ciężar. Niemniej jednak, wśród ustawicznych kłopotów materialnych, ciągnie dalej wykłady i trzyma się uniwersytetu jenajskiego. Ma wreszcie konkretny zawód, który pozwala mu oficjalnie starać się o rękę Charlotty von Lengefeld. Oświadczyny zostały przyjęte i w lutym 1790 roku młoda para łączy się związkiem małżeńskim. W jenajski dom tuż nad Saalą, wyższy od młodego ogrodu i niższy od łagodnych wzgórz, weszła ukochana „Lolo". Nie odznaczała się wybitną urodą, ale wszyscy mówili o jej wdzięku i o zaletach jej charakteru. Umiała stworzyć w domu ciszę i skupienie, rzeczy tak bardzo potrzebne. „Jakie piękne prowadzę teraz życie! — pisze Schiller do Körnera. — Pogodnie wokół spoglądam, a serce moje — doznając łagodnego ukojenia — nie posiada się z radości, podczas gdy duch mój znalazł wytchnienie i pokarm. Życie moje jest pełne niezakłóconej harmonii, dni upływają bez gwałtownego napięcia, lecz spokojnie i jasno. Oddaję się — jak dawniej — zajęciom, ale bardziej jestem z siebie zadowolony..."

Na horyzoncie tej pogody przelotnej w życiu Schillera, który zawsze pragnął przegonić swą pracą czas, jak gdyby miał świadomość przedwczesnego końca, pojawiła się wnet złowróżbna chmura. Już w pierwszych miesiącach pożycia małżeńskiego uległ chorobie, „gorączce kataralnej", jak to określała ówczesna medycyna. Były to drastyczne objawy gruźlicy. Wypadło na rok przerwać wykłady. Młody organizm gwałtownie walczył z chorobą, ale i choroba nie pozwalała się uśpić zbyt łatwo. Raz po raz dawała o sobie znać nawrotami „febry". Dopiero dłuższa kuracja w Karlsbadzie przywróciła poecie siły. Mógłby na nowo zabrać się do pracy, ale tym razem długi, spotęgowane wydatkami na chorobę i na większe z konieczności gospodarstwo małżeńskie, zdawały się grozić całkowitą ruiną wszelkich nadziei.

W tym ciężkim położeniu przyszła niespodziewana pomoc: książę von Augustenburg i hrabia von Schimmelmann, duński minister finansów, zapewnili poecie na trzy lata pensję w wysokości tysiąca talarów rocznie, nie zobowiązując go tym do niczego, a życząc mu tylko powrotu do zdrowia i pracy literackiej.

O sile kupna tysiąca talarów może nam dać pojęcie fakt, że Goethe, utrzymujący w swym pałacyku weimarskim, który poważnie wewnątrz przebudował, całą gromadę służby oraz konie do wyjazdu dwoma powozami na prze-

mian, dbający o swą willę w ogrodach nad Ilm, ponoszący koszty reprezentacyjnych przyjęć, ubierający się wytwornie, rozjeżdżający się dowoli i skupujący przedmioty sztuki, zarabiał jako minister trzy tysiące talarów rocznie i nigdy nie zaciągnął ani grosza długu.

Schiller nie był bynajmniej w swych wydatkach tak obliczalny jak — mimo wysokiej stopy życiowej — Goethe, ale odtąd sprawa chleba powszedniego schodzi w jego życiu zdecydowanie na plan dalszy. Przyjął wsparcie, kierując się ówczesnymi pojęciami o pożyteczności.

Zdobyta w ten sposób swoboda pozwoliła mu poświęcić się nowym studiom i pracom. Ukończył przede wszystkim *Dzieje Wojny Trzydziestoletniej,* które zamykają jego twórczość w dziedzinie historii i zapowiadają trylogię dramatyczną o Wallensteinie. Ponadto zajął się bliżej filozofią Kanta, która wywarła silny wpływ na jego poglądy etyczne i estetyczne.

Owocem studiów kantejskich były rozprawy: *Ueber den Grund des Vergnügens an tragischen Gegenständen (O przyczynach doznawania przyjemności w obcowaniu z przedmiotami tragicznymi), Ueber die tragische Kunst (O sztuce tragicznej)* i *Ueber Anmut und Würde (O wdzięku i godności)* oraz listy *Ueber die ästhetische Erziehung des Menschen (O estetycznym wychowaniu człowieka).* Człowiek zepsuty w czasach długich wojen i zamieszek politycznych — głosi autor — może odrodzić się tylko wtedy, gdy w obcowaniu z przedmiotami estetycznymi uszlachetnią się jego uczucia i popędy. Zgodnie z Kantem uważa, że człowiek znajduje się w stanie estetycznego doznawania wtedy, gdy pozwala wrażeniom zmysłowym, stanowiącym materiał naszego życia, powstawać i oddziaływać niewymuszenie, nie wtrącając się do ich swobodnej gry wolą i rozumem. Taką również kantejską wymowę ma rozprawka *Ueber naive und sentimentalische Dichtung (O poezji naiwnej i sentymentalnej).*

Zdrowie poprawiło się na tyle, że Schiller mógł wybrać się w dalszą podróż, pragnął bowiem ujrzeć wirtemberską ojczyznę i bliskich. W drodze otrzymał wiadomość, że umarł „stary Herod", jak nazywał Karola Eugeniusza, toteż śmiało zajechał do Ludwigsburga, gdzie po blisko dziesięciu latach zupełnej rozłąki zobaczył się z postarzałymi rodzicami. W Ludwigsburgu został ojcem, tu bowiem — jesienią roku 1793 — przyszedł na świat jego pierwszy syn, Karol.

Korzystnym wydarzeniem okrężnej drogi powrotnej było zetknięcie się w Tybindze z księgarzem Cottą, który podjął się wydawania miesięcznika *„Hory"* (po grecku — *„Pory roku")* i rocznika *„Almanach Muz"*. Obydwa te wydawnictwa stały się później platformą ścisłej współpracy między Schillerem a Goethem.

Punktem zwrotnym w ich dotychczasowych, dalekich i zimnych stosunkach było — niezadługo po powrocie Schillera do Jeny — spotkanie w sierpniu 1794 roku. Wypada tu oddać głos samemu Goethemu, który tak o tym pisze:

„Schiller udał się do Jeny, gdzie go również nie widziałem. W tym czasie niewiarogodnie ruchliwy Batsch * założył towarzystwo przyrodnicze rozporządzające pięknymi zbiorami, poważnym aparatem. Zazwyczaj brałem udział w periodycznych posiedzeniach tego towarzystwa. Kiedyś zastałem tam Schillera. Przypadkowo wyszliśmy razem. Nawiązała się rozmowa. Widać było, że

* Przyrodnik, profesor uniwersytetu junajskiego (zmarł w roku 1802).

wykład go zainteresował, ale zauważył bardzo rozsądnie, wnikliwie i ku mojemu ukontentowaniu, że taki sposób rozpatrywania natury kawałek po kawałku żadną miarą nie może nęcić laika, jakkolwiekby go natura zajmowała.

Odpowiedziałem na to, że chyba i dla wtajemniczonego jest on przykry i że może być oczywiście inny sposób podejścia do natury, aby przedstawić ją nie w jej rozproszeniu i rozdrobnieniu, ale jako żywą i działającą, dążącą od całości ku częściom. Pragnął wyjaśnień w tej mierze, ale nie ukrywał wątpliwości. Nie chciał przyznać, że coś takiego wynika z doświadczenia, jak ja utrzymywałem.

Doszliśmy do jego domu, rozmowa zwabiła mnie do wnętrza. Wtedy z ożywieniem wyłożyłem metamorfozę i paroma charakterystycznymi pociągnięciami pióra kazałem w jego oczach powstawać roślinie. Słuchał i patrzył na wszystko z wielkim zainteresowaniem, z wyraźną pojętnością. Ale gdym skończył, potrząsnął głową i rzekł: «To nie jest doświadczenie, to jest idea». Zesztywniałem, po trochu zagniewany, bo tym zdaniem jak najściślej oznaczył miejsce, które nas dzieliło... Stara złość szukała ujścia, ale wziąłem się w karby i odrzekłem: «Bardzo mi miło, że mam idee, nie wiedząc o tym, i że patrzę na nie własnymi oczyma».

Schiller, który miał więcej mądrości życiowej niż ja, a z uwagi na „*Hory*", które zamierzał wydawać, wolał raczej zjednywać mnie niż odstręczać, odrzekł na to coś trybem wykształconego kantysty, że zaś mój uparty realizm dał jeszcze niejeden powód do ożywionej dysputy, przeto spieraliśmy się wiele, a potem zaprzestaliśmy walki: żaden z nas obydwu nie mógł się uważać za zwycięzcę, obydwaj uważaliśmy się za niepokonanych...

Dla mnie szczególnie była to nowa wiosna, wraz z którą wszystko kiełkowało, wydobywało się z otwartych nasion i gałęzi. Nasze obustronne listy składają o tym najbardziej bezpośrednie, najczystsze i najpełniejsze świadectwo."

Tak z „nową wiosną" powstała najpiękniejsza i najpłodniejsza w literaturze światowej przyjaźń dwu wielkich poetów. Intensywne badania historyczne, do których przyłączyły się później studia nad Kantem, oddaliły Schillera od poezji. Było zasługą Goethego, że go poezji przywrócił. W następnych latach rozwinęła się między poetami-przyjaciółmi niezwykle żywa korespondencja, również jeden z najpiękniejszych dokumentów świata i właściwie należąca do literatury.

Raz po raz na łukach falistej drogi między Weimarem a Jeną — dobre konie nie potrzebowały i godziny czasu — widać było powóz Goethego z kamiennym spokojem udrapowanego w jasnozielony płaszcz podróżny z aksamitnymi wyłogami o kolorze i połysku liścia bukszpanu. Raz po raz kareta pocztowa, cwałująca tą samą drogą, wiozła duszącego w sobie kaszel „wiecznego młodzieńca" o ostrym profilu, nerwowo potrząsającego grzywą rudych włosów. Mijane ciężkie woły z rogami zdobnymi we wstążki, jak to jest zwyczajem dziś jeszcze w tamtych stronach, usiłowały podnieść łby wraz z jarzmem ponad kłęby ruchliwej kurzawy.

W korespondencji obydwu petów wiele miejsca zajmują „*Hory*", które zaczęły wychodzić w roku 1795 i wzbudziły powszechne zainteresowanie. Współpracownicy częstokroć zawodzili, toteż Schiller i Goethe musieli przeważnie zapełniać numery własnymi przyczynkami, co oczywiście nie sprzyjało sku-

pieniu nad wielkimi pracami poetyckimi, którym się obydwaj jednocześnie poświęcali. Ten stan rzeczy nie dał się utrzymać na dłuższą metę, toteż po trzech latach „*Hory*“ umarły śmiercią głodową, żeby tą metaforą określić chroniczny brak materiału. Natomiast „*Almanach Muz*“, który zaczął wychodzić w tym samym roku, co „*Hory*“, przetrwał do końca stulecia i stał się najświetniejszym magazynem klasyki niemieckiej.

W jego tomie za rok 1797 ukazały się *Ksenie* Schillera i Goethego, cykl epigramatów polemicznych i aforystycznych rozprawiających się z atakami na „*Hory*“ i z drugorzędną literaturą ówczesną. Schiller nazywał to „polowaniem na szaraka w literaturze“, a na tym polowaniu powstały świetne utwory satyryczne. Czego w nich nie zauważono i nie wykpiono! Dostało się wszystkim „lisom z płomienistymi ogonami“, których drwina wypędza do „kraju filistrów“, dostało się fałszywym apostołom wolności, nietolerancyjnym fanatykom religijnym, bezdusznym „oświeceńcom“, nadętym krytykom, zarozumiałym, pragnącym się mienić poetami twórcom rymowanych haseł, wzniosłym apostołom przeciętności literackiej, cynikom tak głośno gardłującym za ostatnim krzykiem mody, jakby byli zwiastunami przyszłości, zrzędnym chwalcom minionego czasu nie umiejącym ogarnąć myślą współczesności.

Z czterystu czternastu dystychów, w których nie zawsze można ściśle oddzielić myśl i pióro Goethego od myśli i pióra Schillera, lecą ostre strzały na wszystkie strony, trafiając nieomylnie w ludzi godnych napiętnowania i sprawy domagające się satyrycznego grotu. Dziś, po upływie przeszło stu pięćdziesięciu lat, wiele dystychów zwietrzało, wiele wymaga komentarza historycznego, ale wiele również od razu przenosi nas w sam środek ognia ówczesnych batalii, których dobra znajomość nieraz pozwoliłaby nam uniknąć daremnego rozlewu „krwi literackiej“. Ironicznie nazwali poeci swe zwięzłe satyry z grecka kseniami czyli podarunkami, gościńcami, aby je każdy zastosował do siebie, gdy bajka pod zmienionym nazwiskiem lub bez nazwiska mówi o nim. „Jeżeli tylko — pisał o tych sprawach Goethe do Schillera — Niemcy są zdolni pojąć, że można być dobrym, dzielnym człowiekiem nie będąc od razu filistrem i maluczkim na duchu, to pańskie piękne sentencje dokonują chwalebnego dzieła, skoro wielkie sprawy natury ludzkiej przedstawione są w nich z taką szlachetnością, swobodą i śmiałością.“

Podczas gdy rok 1796 (okres powstania, nie opublikowania) nazwali poeci „rokiem ksenii“, to rok następny — 1797 — był „rokiem ballad“, albowiem — współzawodnicząc ze sobą — pracowali znów równolegle nad tym samym typem utworu literackiego i stworzyli szereg arcydzieł stojących na pograniczu liryki i epiki. Powstały w tym czasie następujące ballady Schlilera (większość z nich ukazała się w „*Almanachu Muz*“ za rok 1798): *Rękawiczka, Pierścień Polikratesa, Rycerz Toggenburg, Żurawie Ibikusa* i *Droga do hamerni*. Ale pasja do ballad nie minęła z upływem „roku ballad“, który został ochrzczony tym mianem jedynie dlatego, że wtedy na przestrzeni krótkiego czasu posypały się one jak z rogu obfitości. Już w roku następnym poeta napisał *Walkę ze smokiem* i *Porękę*, a w latach późniejszych — przytaczamy tu odnośne dane, żeby nie powracać już do tego typu twórczości — *Hero* i *Leandra* (1801), *Kassandrę* (1802), *Gody zwycięzców* (1803), *Grafa Habsburga* (1803) i *Strzelca w Alpach* (1804). Te dwie ostatnie ballady były dodatkowym produktem studiów do dramatu o Wilhelmie Tellu.

Staroświeckie, ale nie darmo przysłowiowe i wymowne, określenie „tytan pracy" jak najściślej pasuje do Schillera. Oddając się w latach dziewięćdziesiątych tylu zajęciom, jak profesura oraz studia historyczne i filozoficzne, znajdował jednocześnie czas i energię na twórczość poetycką, pracę redakcyjną, rozległą korespondencję i kontynuowanie *Wallensteina*, którego poszczególne części wystawił teatr weimarski w latach 1798—1799.

Małomiejska Jena, nazywająca „głęboką nocą" już godzinę dwunastą, ze zdumieniem, którego rzecznikami byli stróże nocni, widywała lampę palącą się w pokoju poety nieraz aż do świtu falującego lodowatym chłodem od mgieł znad niskiej Saali. Już parokrotnie spoglądaliśmy w przeszłość dzięki dokumentom, które są oczami historii, toteż niechaj nas to samo spojrzenie poprowadzi raz jeszcze. Zobaczymy Schillera w jednym z jenajskich domów, których kilka zmienił, Schillera przy pracy. Gabinet jest niewielki, jak gdyby poeta mimo woli stosował się do zaleceń Leonarda da Vinci: odpoczywaj na wolnym powietrzu lub w wielkich pomieszczeniach, pracuj w ciasnocie. W każdym razie była to ciasnota inna niż nasza, powiedzmy — historyczna, skoro Schiller mógł przebiegać dobre dziesięć droków tam i na powrót, deklamując dopiero co napisane strofy i fragmenty. Obok biurka stał zawsze imbryk z czarną kawą i dzbanek ognistego wina reńskiego. Pracujący potrafił je nieraz bez opamiętania wychylić jednym tchem, gdy opuszczały go siły.

„Najczęściej — mówi jeden z naocznych świadków — pracował aż do trzeciej, czwartej czy piątej godziny rano i rzadko potem wstawał przed dziewiątą lub dziesiątą, a niekiedy i w południe, by spożyć obiad dopiero między trzecią a czwartą. Najchętniej chodził po domu w szlafroku, bo zresztą ubieranie się było w ogóle słabą stroną Schillera. A przy tym był tabaczarzem i nie lubił trzymać się prosto: przechylał na bok głowę. Jego wielkie, niebieskie oczy spoglądały śmiało, a przecież łagodnie i jakiś lekki wdzięk... przykuwał do tego wspaniałego człowieka... Był na wskroś czułym ojcem i małżonkiem, ale jego wola i decyzje obowiązywały dobrą żonę i dzieci * ponad wszystko. Zdarzało się, że przewrażliwiony chorobą poeta był dla nich opryskliwy..."

Jesienią roku 1799 cicha Lolo, ofiarna żona poety, poważnie zachorowała. Gdy się jej choroba przewlekała, zapadło ostateczne postanowienie: należy Jenę zamienić na zdrowsze powietrze Weimaru. Trudno rozstrzygnąć, ile jeszcze przyczyn złożyło się na decyzję przeprowadzki i jaką rolę odegrała tu chęć przeniesienia się do stolicy księstwa, a jaką urok sąsiadowania o miedzę z Goethem. W każdym razie na samym schyłku ostatniego roku stulecia przeprowadzka stała się faktem dokonanym. Książę zezwolił Schillerowi na opuszczenie profesury jenajskiej, która zresztą od pewnego czasu była już tylko fikcją, tytułem bez praktycznych obowiązków.

Z chwilą osiedlenia się w Weimarze dalsze życie czterdziestoletniego w tej chwili Schillera nastręcza mało faktów zewnętrznych wymagających specjalnego omówienia. Odtąd bowiem jego życiorys staje się historią powstawania jego dzieł — wśród ustawicznej walki z chorobą.

Jeżeli w pierwszym okresie swojej twórczości Schiller rzucił wyzwanie ota-

---

* Oprócz wspomnianego już pierwszego syna, Karola, który urodził się 14 września 1793 r. w Ludwigsburgu, Schiller miał jeszcze troje dzieci: syna Ernesta (ur. 1796) i dwie córki — Karolinę (ur. 1799) i Emilię (ur. 1804). Ostatnim męskim potomkiem Schillera był jego wnuk (syn Karola), zmarły w roku 1877 emerytowany major austriacki, Fryderyk Ludwik Ernest baron von Schiller.

czającemu go światu i przedstawił nędzę stosunków panujących w Niemczech pod absolutnymi rządami kilkunastu tuzinów książąt prowincjonalnych, to w okresie drugim, który liczymy od wybuchu Rewolucji Francuskiej aż do przełomu dwóch wieków, jesteśmy świadkami jego chwiejności na terenie zagadnień politycznych.

Jest rzeczą oczywistą, że głównym wydarzeniem, a raczej całym ciągiem głównych wydarzeń czasu była Rewolucja Francuska. Wobec niej musiał zająć stanowisko każdy, ktokolwiek zastanawiał się nad sprawami postępu i moralnych ideałów ludzkości. Wobec niej zajął stanowisko i Schiller.

Dziś, po upływie półtora wieku z okładem, łatwo nam oceniać doniosłość wydarzeń, dzięki którym potoczyły się naprzód oblane krwią koła historii, ale wtedy było to o wiele trudniejsze. Wtedy każdego dnia spod noża gilotyny padały setki głów. Jej chrzęst przeraził Schillera, gdy we Francji objęli władzę jakobini i krwawo rozprawili się z wrogami rewolucji. Tu należy szukać przyczyn, że gdy po kilku latach skomplikowanego krążenia po wszystkich pocztach kraju dotarł do rąk Schillera dyplom honorowego obywatelstwa Republiki Francuskiej (niedokładny nagłówek określał adresata jako „Sieur Gille, publiciste allemand"), poeta już go nie przyjął.

W swych koncepcjach politycznych wahał się odtąd między demokratyczno-republikańskimi tendencjami mieszczaństwa a złudzeniami humanisty odwołującego się w sprawach społecznych do wielkoduszności oświeconego władcy, którego przykład chciał nieraz widzieć w Karolu Auguście, księciu weimarskim.

Ale mylił się tylko w upatrywaniu sposobów zdobycia wolności, natomiast wolność narodu niemieckiego pozostała zawsze jego celem, o który walczył w każdym swym dziele: w dramacie, w wierszu, w essayu filozoficznym i historycznym.

Historię rozpatrywał z punktu widzenia potrzeb współczesnych, widział jej sens w rozwoju heroicznych dążności wolnościowych.

Ballady Schillerowskie natychmiast po ukazaniu się drukiem zyskały sobie niezwykłą popularność na wzór poezji ludowej. „Popularność każdego dzieła poetyckiego — orzekł ich autor — jest pieczęcią jego doskonałości." Słuszność tego zdania sprawdza się w tym wypadku całkowicie. Wspaniałość trafnych obrazów poetyckich i wartkiej akcji przemawia do każdego czytelnika bez względu na stopień jego wyrobienia i gotowości do rozumnego obcowania z poezją.

Tematy do swych ballad brał Schiller ze starożytności i średniowiecza, opiewając wielkość charakterów ludzkich, składając hołd miłości, przyjaźni, wierności i bohaterstwu przejawiającemu się również w zmaganiach z groźnymi siłami natury, jak gdyby i tu poeta chciał przykuć przelotny byt ludzki do „wiecznego łańcucha" prac, o którym mówi w swym wykładzie mającym tłumaczyć sens historii powszechnej.

Schiller-historyk, który napisał *Dzieje Wojny Trzydziestoletniej,* jest jednocześnie autorem wspomnianego już tryptyku dramatycznego *Wallenstein,* osnutego na tle wydarzeń tejże wojny, która w latach 1618—1648 spustoszyła nieomal całą Rzeszę.

Ale jeśli w swym dziele historycznym wyidealizował króla szwedzkiego, Gustawa Adolfa, i wysunął go na czoło rozległej sceny wojennej, to w swym

dramacie — zgodnie z jego tytułem — uczynił główną postacią Albrechta Wallensteina.

Ten bogaty szlachcic, rodem z Czech, już na początku Wojny Trzydziestoletniej stał się — dzięki swym wybitnym talentom — głównym wodzem wojsk cesarskich. Umie wspaniale organizować i trzymać w ryzach wielkie armie najemnych lancknechtów. Z talentami wodza łączy niezwykłą bystrość polityczną, która pozwala mu wznieść się ponad uprzedzenia religijne katolików i protestantów, tak zażarcie walczących podówczas o swe dogmaty i obrządki. Kieruje spojrzenie dalej i widzi historyczną konieczność w zjednoczeniu rozbitej na księstwa Rzeszy. Dlatego występuje przeciwko partykularnym interesom większych i mniejszych książąt, w czym dostrzegamy również stanowisko Schillera ze *Zbójców*, z *Intrygi i miłości*, z *Don Karlosa*.

Młodzieńcza nienawiść poety do despotów łączy się tu z marzeniem o jednym państwie niemieckim, obejmującym swymi granicami cały naród. Dziś jest dla nas rzeczą oczywistą, że marzenia patriotów nie mogły być inne, ale gdy — drogą dopuszczalnej analogii — uzmysłowimy sobie, że jeszcze w wieku siedemnastym Mazurzy jako mieszkańcy tej dzielnicy, która najdłużej zachowała samodzielność daną jej niegdyś testamentem Bolesława Krzywoustego, uważali się nieomal za odrębny naród, docenimy postępowość haseł wysuwanych przez Wallensteina, a tym samym przez Schillera. Skutkiem dzielnicowego rozbicia Niemiec był zanik patriotyzmu ogólnonarodowego. Za czasów Schillera i później Wirtemberczyk uważał się za coś zdecydowanie odmiennego od Bawara lub Saksończyka, nie mówiąc już o północnym Prusaku. Oczywiście nie było to odrębnością narodową, lecz skutkiem złej historii.

Przedstawiając Wallensteina jako nosiciela idei zjednoczenia Rzeszy, Schiller nie szczędzi mu rysów indywidualnych, takich, jakie wyłaniają się ze źródeł do dziejów tamtego okresu. W dramacie tym współżyją harmonijnie dwie prawdy: współczesna i historyczna. Bo wyborny wódz i przenikliwy mąż stanu był kłębowiskiem niepohamowanych ambicji osobistych i jeżeli widzi przed sobą wielkie państwo jako najbliższy cel polityczny, to zarazem — niby przedwczesny napoleonida — myśli o samym sobie jako o przyszłym jedynowładcy tego państwa i ta myśl staje się zasadniczym motorem wszystkich jego działań.

Dlatego jest tak bardzo człowiekiem swojej epoki i dlatego kruszy się jego charakter. Tocząc z cesarzem sprawiedliwą walkę o żywotne cele narodu niemieckiego, Wallenstein mniema, że będzie mógł osiągnąć te cele podstępnymi machinacjami, do których rzędu należy zdrada ojczyzny i przejście na stronę Szwedów.

A jednocześnie jego świadomość w dużej mierze ograniczona jest horyzontem umysłowym epoki: w krytycznych sytuacjach radzi się gwiazd, każe sobie stawiać horoskopy, których mętne wyroki wpływają hamująco na jego decyzje, powstrzymują go od czynu w momencie najbardziej do tego właściwym.

Szaleństwo wielkości, które nim owładnęło, podszeptuje mu zdradliwie, że można ambitne plany urzeczywistnić na własną rękę, nie licząc się z układem realnych sił na arenie Rzeszy. Nie szuka oparcia ani w katolikach, ani w protetestantach, książęta zaś, strzegący wyłącznie swoich interesów partykularnych, osaczają go nienawiścią.

Osamotniony Wallenstein idzie ze swym snem o Rzeszy zjednoczonej pod jego panowaniem ku nieuchronnej zagładzie. Idea wynaturzyła się i nie odpowiada pragnieniom żadnej ze stron biorących udział w wojnie. Idei nie zastąpi Wallensteinowi bałwochwalcza cześć, którą tak długo oddawało mu wojsko. Jeden po drugim wypowiadają mu posłuszeństwo najemni generałowie, buntują się regimenty, podnosi głowę chłop udręczony nieustannymi rekwizycjami:

Ośm miesięcy, jak to mrowie
Spadło do nas ni to z chmury:
Pod imieniem zbawicieli,
Bez wszelkiego korowodu,
Izby, stajnie w zarząd wzięli,
Daj im jadła, daj pościeli,
A sam z dziećmi puchnij z głodu.

(przeł. J. N. Kamiński)

Zamordowanie Wallensteina 25 lutego 1634 roku jest nieuniknionym następstwem jego pychy wiodącej wraz z nim na manowce ideę, którą w pewnym momencie tak trafnie wyraził, mówiąc do Questenberga w siódmej scenie drugiego aktu *Piccolominich*, że niesie teraz hetmańską buławę Rzeszy „w imię pomyślności wszystkich, w imię dobra całości, a nie po to już, by uczynić większym jednego". Rozpadła się jego armia i nie spełniła się jego misja, gdy zapragnął przede wszystkim „uczynić większym" samego siebie.

Zdaniem Goethego jest *Wallenstein* Schillera tak wielki, że nic w tym rodzaju nie może mu dorównać. Rozumiejmy przez „ten rodzaj" wspaniałe dzieło dramatyczne, w którym poeta umiał powiązać przeszłość z teraźniejszością i ukazać swemu narodowi doniosłe zadanie polityczne.

Pod pewnymi względami można by porównać *Walleinsteina* z *Faustem*, tak wielkie jest bogactwo myśli szczegółowych i odkrywczych prawd o człowieku zawartych w trzech utworach, które obejmujemy wspólnym tytułem. Świadomie — jak Goethe w *Fauście* — nawiązuje tu Schiller do starej tradycji wersyfikacyjnej Hansa Sachsa i teatru ludowego, świadomie — w słynnym Prologu — jak gdyby złotą klamrą spina historię z chwilą obecną — z końcem osiemnastego stulecia:

Dzisiaj u kresu stulecia, gdy nawet świat rzeczywisty zmienia
się w poezję, gdy walka mocnych, śmiałych charakterów
w naszych się oczach o wielki cel toczy, o przedmiot troski
wszystkich ludzi świata,
O panowanie i wolność — niech sztuka
Na scenie cieniów próbuje dziś lotów,
Bardziej podniebnych, by się nie powstydzić
Tego, co życie gra na swojej scenie.

(przeł. Wł. Lewik)

Od chwili gdy Schiller zamieszkał w Weimarze jako sąsiad Goethego, jego biografia — jakeśmy już wspomnieli — coraz bardziej zaczyna się pokrywać z historią powstawania jego dzieł, toteż niewiele już będziemy mieli do zakomunikowania.

Miasto, w którym osiedlił się teraz na stałe, liczyło sześć tysięcy mieszkańców, a było stolicą księstwa, którego ogólna liczba ludności nie dosięgała stu tysięcy (ówczesny Londyn, metropolia przodującej światowemu przemysłowi Anglii, dochodził do miliona mieszkańców). Działo się w tym kraiku niewiele lepiej niż wszędzie za czasów „niemieckiej mizerii", z której dna tyle goryczy wydobyli historycy, mówiąc o upadku rzemiosła, handlu i rolnictwa, o wyzysku fiksalnym, braku szkół, zaniku cnót obywatelskich i rozproszonych nadziejach na zwrot ku lepszemu.

Żyjący z małego państewka turyngskiego, odciętego od szerszych możliwości handlowej wymiany swych dóbr ze światem, dwór weimarski nie był bogaty. Gdy się zwiedza dziś nieliczne zabytki weimarskie, uderzają nas sztuczne marmury we wnętrzach sal, a obok na pozór masywnych popiersi, ustawionych na również z pozoru masywnych kolumienkach, przechodzimy krokiem ostrożnym, by połami ubrania nie zdmuchnąć tych rekwizytów tuzinkowej świetności, jeżeli — jak tyle razy gdzie indziej — okaże się, że wymodelowano je z masy tekturowej, a nie z brązu, którego kolor naśladuje chytra farba.

Schiller miał tu dawniej uzyskany tytuł dworski (nie zapomnieliśmy, że czternaście lat temu Karol August odznaczył nim w Darmstacie twórcę *Don Karlosa)* i wstęp na galowe przyjęcia. Ten ostatni przywilej nie przysługiwał jego żonie, szlachciance, która ważyła się wyjść za plebejusza. Toteż powstała upokarzająca sytuacja: starsza z sióstr von Lengefeld, Karolina, która została żoną szlachcica, Wilhelma von Wolzogen, korzystała na dworze z pełnych uprawnień, podczas gdy młodszej, Charlocie, nie przysługiwało z nich żadne.

Etykieta na „dworze Muz" była sztywna, a Karol August nie zamierzał jej łamać dla nikogo, natomiast mógł — jak mawiał — uszlachcić, kogo mu się podobało. Dla Schillera uzyskał nawet cesarski dyplom szlachectwa w roku 1802. Sam poeta, który ten „akt łaski" przyjął, kierując się — podobnie jak w wypadku zapomogi nadesłanej przez duńskich arystokratów — ówczesnymi pojęciami o użyteczności, tak pisał o tym wydarzeniu w liście do Körnera (29 listopada 1802): „Mógł się do tego przyczynić również fakt, że mój szwagier zajmuje pierwszorzędne stanowisko na dworze. Albowiem było rzeczą osobliwą, że z dwu sióstr jedna ma na dworze wysoką rangę, a druga nie ma tam żadnego przystępu... To wszystko wyrównuje ów dyplom szlachectwa, ponieważ moja żona, jako szlachcianka z urodzenia, odzyskuje w ten sposób prawa, które miała przed naszym ślubem, bo inaczej moje szlachectwo nic by jej nie pomogło. Mojej żonie rzecz ta przynosi niejakie korzyści, moim dzieciom może je przynieść, ja sam oczywiście niewiele zyskałem. Jednakże w tak małym mieście jak Weimar jest zawsze rzeczą korzystną, gdy człowieka od niczego nie wykluczają, bo to przecież bywa tu nieprzyjemne, podczas gdy w większym mieście zupełnie by się tego nie zauważało."

Mały ogródek przy pałacyku Goethego dotykał murów miejskich, dom Schil-

lera (kupiony za trzy tysiące talarów) odsuwał się bardziej ku środkowi miasta, ku placowi zwanemu Esplanadą.

Według ówczesnych pojęć parter nie był godny, aby go zamieszkiwał pan domu. Parterowe pomieszczenia służyły tylko celom gospodarczym. Kondygnacją „wytworną" było pierwsze piętro, ale Schiller pozostawił u siebie to piętro żonie i dzieciom, sam zaś usadowił się w skromnych pokoikach na mansardzie. Widać stąd było front pałacyku Goethego na Frauenplan, a ponad murami obronnymi górowały wysokie drzewa.

Miasto usypiało wcześnie jak duża wieś i zdawało się, że przestarzałe obwarowania istnieją jedynie po to, aby można było zamknąć bramy po wejściu teatralnego boga snu i nie wypuścić go przed świtem. W letnie noce, przy oknach otwartych ku tchnieniom Lasu Turyngskiego, cicho bulgotały w pobliżu, na ulicach i placach, gardła zaśniedziałych trytonów, wylewających w baseny lodowatą wodę ze studzien, które wykopano i na wzór włoski ozdobnie nakryto staraniem, a czasem i sumptem Goethego-ministra.

Jeżeli *Wallenstein* był dziełem siedmiu lat pracy, to teraz — wciąż nękany chorobą — pracował Schiller tak gorączkowo, że co kilkanaście miesięcy wychodził spod jego pióra nowy dramat. I tak na początku nowego stulecia ukończona zostaje *Maria Stuart,* a następnie opuszczają kolejno weimarską mansardę *Dziewica Orleańska* (1801), *Narzeczona z Messyny* (1802) i *Wilhelm Tell* (1804). Ostatnie miesiące życia poświęcił Schiller wytężonej pracy nad dramatem *Dymitr,* który niestety pozostał już dziełem nie skończonym.

Jednocześnie z oryginalną twórczością dramatyczną rozwijał poeta działalność przekładową, tłumacząc Szekspirowskiego *Makbeta, Fedrę* Racine'a, *Turandot* Gozziego i modne sztuczki francuskiego komediopisarza Picarda *(Pasożyt, Siostrzeniec wujem),* aby zasilić repertuar teatru weimarskiego.

Była to niesłychana wydajność, świadcząca o wspaniałej dyscyplinie wewnętrznej twórcy, który wypełniał myśleniem każdą lepszą chwilę śmiertelnie chorego organizmu.

Z utworów poetyckich tego okresu na specjalną uwagę zasługuje świetny wiersz retoryczny, noszący tytuł *Początek nowego wieku.* Zaledwie jedno stulecie minęło wśród burzy — czytamy w strofie wstępnej — a tu już drugie zaczyna się mordem. Daremnie po świecie, do którego krańców docierają brytyjskie okręty jak macki zachłannego polipa, szukasz ziemi szczęśliwej, gdzieby kwitł „wiecznie zielony ogród wolności". Chwieją się granice wszystkich krajów i „stare formy sypią się w ruiny", albowiem

Dwa potężne narody się zwarły
O wyłączne nad światem władanie,
Ludom grożąc zachłannymi gardły,
Wznosząc trójząb i gromu błyskanie.

(przeł. M. Jastrun)

Tak Schiller określił sytuację polityczną, która wytworzyła się w roku 1801, gdy powstawał omawiany wiersz. Dwa lata przedtem, 18 brumaire'a (9 listopada) 1799 r., Napoleon Bonaparte obalił Dyrektoriat i objął dyktaturę wojskową, by przemienić rewolucję w cykl szaleńczych wypraw wojennych. W gra-

nice Niemiec wniósł zwycięstwo i zabór. Na mocy pokoju w Lunéville (9 luty 1801) Francja zagarnia ziemie położone na zachód od Renu, gdzie mieszkało półczwarta miliona Niemców, czyli jedna siódma część ogółu ludności Rzeszy. Cały naród, który wkrótce przeżyje o wiele cięższe doświadczenia, już teraz pogrąża się w smutku i rezygnacji, czego wyrazem jest ów „wiersz pokojowy", w którym Schiller wyznacza Niemcom rolę widzów na teatrum wojny i razem z nimi szuka azylu w abstrakcyjnych regionach sztuki:

Wolność jest jedynie w kraju marzeń,
Piękno w pieśni zakwita jedynie.

(przeł. M. Jastrun)

Rozbrat między rzeczywistością sztuki a rzeczywistością życia jest znamienny dla filozoficznych wynurzeń Schillera. W dziedzinie dramaturgii poeta głosił, że stary wóz Tespisa „może udźwignąć tylko cienie i bożyszcza, a gdy ciśnie się doń surowe życie, lekki wóz grozi upadkiem". Ale, z drugiej strony, dla praktyki twórczej Schillera charakterystyczny jest rozbrat między jego poglądami teoretycznymi a poczuciem rzeczywistości historycznej, dzięki której tak prawdziwe są jego dzieła. Nierzadki to wypadek w dziejach wielkich pisarzy, że estetyka, którą albo żywcem przejęli od epoki, albo też — jak Schiller — ciekawie rozwinęli, nie ułatwiała im pisania, ale wręcz im je utrudniała.

Idealistyczna estetyka, której zasady wywodził Schiller z filozofii Kanta, była ponadto jedną z prób rozwiązywania problemów społecznych epoki na drodze innej niż rewolucyjna. Dlatego należy ją uznać za cykl bitew, które Schiller stoczył z Rewolucją Francuską. Lud tracił jego aprobatę w tym wypadku, gdy występował jako uzbrojona „dzika masa" przetaczająca się ulicami miast. Toteż znamienne są jego słowa z *Pieśni o dzwonie:* „Wtedy kobiety stają się hienami" i równie znamienne jest padające za chwilę ostrzeżenie: „Biada tym, którzy użyczają niebieskiej pochodni światła wiecznemu ślepcowi..."

Toteż nic dziwnego, że Schiller snuje marzenia o jakimś „państwie estetycznym", w którym — niby w dalekiej prowincji platońskiej Rzeczypospolitej — rządziłaby intelektualna i moralna elita ludzkości. Wymowne pod tym względem są jego *Listy o estetycznym wychowaniu człowieka,* gdzie czytamy, że należy „rozejrzeć się za klasą ludzi, która nie pracując — działa i bez urojeń może tworzyć ideały... a będąc niesiona prądem wydarzeń, nie staje się jego pastwą. Tylko taka klasa może zachować piękną całość natury ludzkiej... Czy taka klasa rzeczywiście istnieje albo raczej czy ta klasa, która w odpowiednich warunkach zewnętrznych rzeczywiście istnieje, odpowiada i wewnętrznie tym pojęciem, jest to zagadnieniem, którym nie chcę się tu zajmować."

Nie ulega wątpliwości, że weszliśmy tu w sferę wyznań żenujących: autor buntowniczych *Zbójców* wygłasza jakiś rodzaj pochwały arystokracji, chociaż natychmiast pochwałę tę ogranicza krytyką wątpiąc, czy istniejąca elita odpowiada wewnętrznie wymaganiom, którym powinni by odpowiadać jacyś władcy „państwa estetycznego". Jest to ślepa uliczka humanizmu mieszczańskiego, który wyjścia z „niemieckiej mizerii" nie zawsze szukał na głównym szlaku historii, chociaż nieustannie protestował przeciwko upodleniu „rodzaju ludzkiego".

Walka przeciwko degradacji człowieka przejawia się również w iluzjach, które Schiller — wraz z całą epoką — wytworzył sobie na temat starożytności, tak często obecnej w jego wierszach. Mimo autentyczności mitów i legend w znikomej mierze zbliżamy się tu do odtworzonego przez naukę świata antycznego wraz z jego społecznymi i psychicznymi właściwościami. Wciąż raczej pozostajemy w świecie wyzwalającego się mieszczaństwa, które u bojowników i reprezentantów demokracji greckiej szuka poparcia swych praw politycznych, jak gdyby ubierało w antyczne kostiumy swych własnych bohaterów. Widząc przed sobą ideał niezależności politycznej od „trzystu tyranów" i rwąc się do ujęcia władzy politycznej w swe ręce, dalekie jeszcze od tej władzy mieszczaństwo niemieckie rozpościera ponad swymi walkami niebo herosów greckich niby malowniczy baldachim.

Tęsknota za przeszłością, gdy — jak mówi Schiller w *Bogach Grecji* — istoty z kraju baśni rządziły jeszcze pięknym światem i na lekkiej wstędze radości wiodły za sobą szczęśliwe pokolenia, była formą tęsknoty za przyszłością. Roztacza się tu nie tylko marzenie poety, by nadeszło „królestwo piękna" łączące „śmiertelnych z bogami", ale i wizja wolności wzorowanej na wyidealizowanym greckim „mieście-państwie", przy czym zapominano, że byli w nim niewolnicy.

Rewolucja francuska postawiła mieszczaństwu konkretne, bliskie cele i sprawiła, że ideał obywatela z dostosowanych do potrzeb współczesności wyobrażeń o demokracji greckiej stał się natychmiast przestarzałym modelem społecznym, ale służył mieszczaństwu niemieckiemu jako dekoracja przez cały jeszcze okres napoleoński. Uwielbienie dla swoiście pojętego antyku nie było więc u Schillera ani przypadkiem, ani ucieczką w głąb „złotego wieku" kultury europejskiej, lecz wyrazem dążeń wolnościowych. W tym świetle jaśniej chyba odczytamy jego wiersze i poematy osnute na tematyce greckiej lub też poetycko roztrząsające zagadnienia związane z wiecznie żywym światem Hellady.

Świat ten znał pojęcie niszczycielskiego losu, przed którym nie może ujść cało człowiek obarczony winą, bez względu na to, czy dopuścił się jej świadomie, czy też nieświadomie. Mitologia grecka, która na tym tle stworzyła tragiczne dzieje króla Edypa, mówi tu poglądowo o jednym z najgłębszych i najstarszych doświadczeń ludzkich: o sprzeczności zaznaczającej się nader często między wolą jednostki a niezachwianym porządkiem bytu. Goethe, który umiał formułować swe sądy zwięźle i ściśle na kształt wzorów matematycznych, powiedział z myślą o tych sprawach, że nasze życie „jak i całość, w której się mieścimy, w niepojęty sposób złożone jest ze swobody i konieczności".

Od jego czasów nauka wykryła wiele praw rządzących przyrodą i społeczeństwem, niemniej jednak sama natura ludzka wciąż kryje dla nas w swym wnętrzu całe mnóstwo tajemnic, nad którymi codziennie schylają się wychowawcy młodzieży, sędziowie i poeci. Niejasne są dotąd, bo nazbyt skomplikowane, drogi dziedziczenia charakterów, ale samej zasadzie ich dziedziczności nikt nie myśli przeczyć. Schiller twórczo zinterpretował mitologiczne opowieści greckie o ludziach ściganych losem równoznacznym z ich własną, odziedziczoną naturą. W *Narzeczonej z Messyny* śmiało wstąpił w głębie, ledwo na samym brzegu próbnie zgruntowane przez psychologię. Ale utożsamiając los z etyczną jakością człowieka, z charakterem ludzkiej jednostki, usiłuje nas

jednocześnie przekonać, że pierwotne okoliczności, pośród których wytworzył się ten charakter, mają moc oddziaływania na synów i wnuków.

Wychodząc od tej dla zupełnego braku dowodów niebezpiecznej koncepcji, która niedługo potem wyzwoliła w Niemczech całą orgię prymitywnie nastrojowych i niesamowitych „dramatów fatalistycznych", rozsnuł Schiller tragedię panującego domu messyńskiego: dwaj bracia popadają w śmiertelny spór i giną dlatego, że ich ojciec dopuścił się — wbrew prawom krajowym — zbrodni, porywając i przywłaszczając sobie kobietę przeznaczoną jego z kolei ojcu.

Fabuła *Narzeczonej z Messyny* nie jest zaczerpnięta z żadnego źródła historycznego. Całkowicie wymyślił ją poeta. We wcześniejszej *Marii Stuart*, tragedii z dziejów szesnastowiecznej Anglii wchodzącej w swą erę elżbietańską, oparł się na historii, ale potraktował ją dość swobodnie. Chodziło mu o to, aby dramat miał „siłę, a nawet obowiązek podporządkować prawdę historyczną prawom sztuki i dany przedmiot ująć według ich potrzeb". Te „prawa sztuki" to i tym razem — podobnie jak w *Narzeczonej z Messyny*, którą wbrew chronologii omówiliśmy wcześniej, ponieważ jest jaskrawszym wypadkiem tego samego rodzaju — nieuchronny, pchający bohaterkę ku zagładzie los, który Schiller w liście do Goethego określił jako „doświadczanie i zapalanie gwałtownych namiętności", co nieraz prowadzi nieszczęsną królową szkocką do zbrodni. Na dalszym już planie toczy się walka między katolikami a protestantami, cofają się w głąb sceny sprawy państwa i narodu. Nie ma bohaterów, którzy by je reprezentowali, nie ma nosicieli idei tamtego czasu i kraju. Jakkolwiek byłaby ciekawa koncepcja psychologiczna *Marii Stuart*, najtragiczniejszej postaci z czasów reformacji i kontrreformacji angielskiej, brak bohaterów ówczesnego życia publicznego uniemożliwia autorowi zajęcie stanowiska wobec doniosłego momentu historii.

Ale wraz z *Dziewicą Orleańską* ponownie wchodzi Schiller w sam środek zagadnień dziejowych.

Jeżeli *Zbójcy* są dla nas poetyckim przeczuciem Rewolucji Francuskiej, to w *Dziewicy Orleańskiej* już współcześni dosłuchali się przepowiedni nadchodzących wydarzeń. Niebezpieczeństwo marszu Napoleona na Niemcy rosło z roku na rok. Schiller nie dożył tej chwili, gdy Rzesza stała się jak gdyby kolonią francuską, w której rządzili i bogacili się napoleońscy generałowie, ale gdy naród podniósł się wreszcie i w wojnie wyzwoleńczej z lat 1813—1815 zrzucił obce jarzmo, żądając zarazem zjednoczenia ojczyzny, wiersze z *Dziewicy Orleańskiej* brzmiały jak patriotyczne hasła dnia:

Marny jest naród, który nie poświęca
wszystkiego chętnie swemu honorowi.

Ta tragedia Schillerowska miała wyraźne ostrze antynapoleońskie i na przykładzie ich własnej historii pokazywała Francuzom, jak straszną rzeczą jest niewola. Jako czas akcji wybrał Schiller lata 1429—1431, czyli ten okres Wojny Stuletniej, który związany jest z wystąpieniem na pół legendarnej Joanny d'Arc.

Francja znajduje się w żałosnym stanie: słaby król Karol VII nieskutecznie walczy przeciwko własnej matce, która okazuje posłuszeństwo Anglikom, książę Burgundii posuwa się do otwartej zdrady, szlachta oddaje się waśniom,

armia jest w rozkładzie, udręczony rekwizycjami chłop przymiera głodem, angielski najezdnik wygrywa bitwę po bitwie.

W tych warunkach Joanna, posłanniczka prostego ludu, pasterka z wioski Domremy w Wogezach, wysuwa się na czoło wydarzeń. Sposób ujęcia tej postaci może być uważany za polemikę zarówno z Wolterem, którego satyryczna epopeja *La Pucelle d'Orléans* wyszydza domniemaną dziewiczość Joanny, jak i z Szekspirem, który w Henryku VI nie szczędzi jej cech ujemnych. Schiller potraktował swą Joannę jak najbardziej serio, uczynił z niej żarliwą patriotkę, która swą wiarą w zwycięstwo i swym bohaterstwem ratuje ojczyznę. Walki, którym przewodziła, umożliwią powstanie narodowo zjednoczonej, suwerennej Francji z silną władzą centralną.

Tak wygląda pośmiertne zwycięstwo Dziewicy Orleańskiej, której Schiller każe umrzeć nie na stosie, jak to zapisała historia, lecz na placu boju.

W czasach upodlenia duma narodowa Joanny przemawia słowami brzmiącymi jak osobiste wyznanie Schillera. Jednym ze skutków dzielnicowego rozbicia Niemiec był oświecony kosmopolityzm wyrażający się w przekonaniu, że państwo i naród są tylko przypadkowymi, dowolnymi formami współżycia ludzkiego i hamują rozwój całej ludzkości. Patriotyzm uważano za małostkowość niegodną umysłów wyższych i kładziono go między ludzkie błazeństwa. Chociaż był synem tej epoki, Schiller uważał, że idea związku ludów może dojrzeć do urzeczywistnienia jedynie w sposób naturalny, gdy nie tylko zachowując, ale i rozwijając swe odrębności narody same utworzą rodzinę, tak jak jednostki, wśród których tyle jest indywidualności, z poczucia nieodpartej potrzeby łączą się w społeczeństwo.

Toteż Niemcy — i dziś, i wczoraj — słusznie podnoszą zasługi tego poety w dziedzinie odbudowy ich zanikłej na końcu osiemnastego stulecia świadomości ogólnonarodowej. Jakkolwiek *Dziewica Orleańska* rozgrywa się na ziemi francuskiej, jest ona zarazem pieśnią o miłości ojczyzny niemieckiej, gdyż nikt, komu nie byłaby droga własna ojczyzna, nie umiałby nasycić bohaterki takim patriotyzmem. I tak właśnie poetę zrozumiano.

Wracając do samego utworu, należy podkreślić, że obok politycznej wymowy współczesnej, tragedia ta odznacza się prawdą historyczną i psychologiczną. Joanna żyje w świecie pojęć katolickich, toteż Schiller pozwala tej „świętej bojowniczce" przeżywać uniesienia wiary, inaczej bowiem dosłyszelibyśmy zgrzyt fałszu. Ale ileż tu jednocześnie prawdy o naturze ludzkiej! Młoda dziewczyna, która ślubowała dziewictwo, jest zawsze sama ze swymi zdrowymi instynktami, ze swym zrozumiałym ludzkim marzeniem o szczęściu rodzinnym. Nie podda się żadnym pokusom, ale są rzeczy silniejsze od zwykłych pokus: na polu walki pokochała, i to pokochała wroga. Toteż gdy ją pytają, czy zachowała dziewiczość, milczy, chociaż nie złamała ślubu. I tak staje u Schillera na progu zguby. Wyborna i prawdziwa jest ta komplikacja dramatyczna.

Gdy się ogląda *Dziewicę Orleańską* na scenie, trudno opędzić się wrażeniu, że mimo galerii typów i mnogości zjawisk całe malowidło historyczne skomponowane jest dla jednej tylko postaci: dla „wybranki niebios" — Joanny zwyciężającej mądrością swej idei. Nie ma tu żadnych wątków drugoplanowych, które by odrywały naszą uwagę od głównej postaci, jest natomiast jak najściślej pojęta jedność akcji. Z tej wysokiej miary osiągnięcia dramatycznego i z jego rodzaju zdawał sobie chyba sprawę i sam autor, skoro pisał w liście

do Körnera (13 lipca 1800): „Moja nowa sztuka powinna wzbudzić dużą sympatię już samym swym tematem. Jest tu jedna główna postać, wszystkie pozostałe osoby w liczbie dostatecznie wielkiej nie mogą się z nią równać pod względem uczuć, które ona budzi."

Całość dramatu nastrojona jest na wysoki patos, który jednak nie nuży, brzmi bowiem naturalnie jak powaga epicka u Homera. Rym w monologach i dialogach scenicznych zawsze uważał Schiller za nadmierny luksus artystyczny tragedii francuskiej, toteż tu — podobnie jak w *Don Karlosie* — przemawia nierymowanym, uroczystym trymetrem jambicznym, który stał się wierszem dramatu już w *Natanie-mędrcu* Lessinga. Ponieważ wszystko dzieje się jak gdyby w heroicznym micie, nie dziwią nas ani jasnowidzenia Joanny, ani ciemne przekleństwa, które rzuca na nią ojciec, ani oskarżenie jej o czary w tej dusznej atmosferze ówczesnego fanatyzmu religijnego. Wielkość — daje nam do zrozumienia Schiller — możliwa jest nawet w najmroczniejszym okresie historii.

Zabawne były przyczyny, dla których *Dziewica Orleańska,* uznana przez Goethego za najdoskonalsze dzieło Schillera, nie miała premiery w Weimarze. Karol August, wychowanek smaku i języka francuskiego, orzekł wprawdzie, że poeta „uszlachetnił niemiecką Muzę" i „posępny język niemiecki zniewolił do najpiękniejszej melodii, do jakiej jest on zdolny", ale uważał, że będzie lepiej, jeżeli sztuka nie wejdzie na scenę. Gdyby bowiem scena weimarska zdecydowała się na premierę, Karolina Jagemann, młodziutka śpiewaczka i aktorka, która była towarzyszką książęcych chwil wytchnienia, dałaby się niewątpliwie unieść ambicji odegrania roli Dziewicy i nie natrafiłaby na przeszkody. Toteż książę wzdragał się na myśl „o przeraźliwej empirii uczenia się roli i o stracie czasu". Wobec takich argumentów nawet Goethe, sprawujący funkcję dyrektora teatru, był bezsilny. *Dziewica Orleańska* została wystawiona w Lipsku, we wrześniu 1801 r. Obecny na jednym z przedstawień autor spotkał się z burzliwą owacją.

Tymczasem stulecie, które „zaczęło się mordem", niosło coraz głębiej w Europę błysk francuskich bagnetów. Gdy Schiller pisał *Wilhelma Tella,* już jego najściślejsza ojczyzna, Wirtembergia, obsadzona była wojskami francuskimi. Listy od rodziców i sióstr przychodziły rzadko i świadczyły o utrapieniach życia pod okupacją. Wolna dotąd Szwajcaria, kraina bitnych górali alpejskich, cierpiała również od ucisku napoleońskiego, budząc — jak w kilkanaście lat później Grecja — współczucie poetów. Schiller pisał do Wilhelma von Wolzogen, że „obecnie mówi się tym więcej o wolności szwajcarskiej, ponieważ zniknęła ona ze świata".

Na postać Wilhelma Tella, legendarnego bohatera walk narodowo-wyzwoleńczych toczonych przez Szwajcarię z Austrią w wieku czternastym, pierwszy zwrócił uwagę Goethe, który swego czasu odbył podróż do tego kraju, poznał jego historię, krajobraz, podania i lud. Nosił się nawet z zamiarem napisania epopei o Tellu, ale porzucił tę myśl i niejako odstąpił temat Schillerowi, z którym toczył wiele rozmów o prawach, obyczajach i majestatycznej przyrodzie wolnych kantonów.

Albowiem Schiller — autor narodowego dramatu Szwajcarów — nigdy w Szwajcarii nie był, tym bardziej więc wypada nam podziwiać jego wyobraźnię, która stworzyła bezbłędny, autentyczny świat gór i jezior. Nie poprzesta-

jąc na opowiadaniach Goethego, korzystał ze źródeł historycznych, z opisów podróży, ze starych kalendarzy i rycin, którymi zapełnił ściany i sprzęty w swej pracowni, ażeby nieustannie mieć przed oczyma widoki tworzące scenę akcji.

Jeżeli w *Dziewicy Orleańskiej* wszystko skupia się wokoło jednej postaci mającej wypełnić wielką misję, to w *Wilhelmie Tellu* jest wielu równorzędnych nosicieli idei wyzwoleńczej, gdyż bohaterem jest tu właściwie cały naród. Toteż oglądając ten dramat w teatrze, stwierdzamy, że staje się on prawdziwy tylko wtedy, gdy reżyser umie operować scenami zbiorowymi, podczas gdy siła scenicznej wymowy *Dziewicy Orleańskiej* rośnie w miarę reżyserskiej umiejętności podporządkowania grup ludzkich Joannie. Może ta uwaga techniczna wyświadczy jakąś pomoc naszej wyobraźni i na moment odsłoni przed nami kurtynę Schillerowskiego teatru, bo zawsze tekst dramatu jest jakby dopiero nutami do wykonania symfonii.

Gdy czytamy lub oglądamy sceny z *Wilhelma Tella,* zdumiewa nas fakt, że ich autor trzy lata przedtem głosił: „Wolność jest tylko w królestwie marzenia..." Bo tu, wśród czaru kantonów Schwyz, Uri i Unterwalden, rodzi się wolność rzeczywista, mająca krew i ciało, mieszkająca w chatach pracowitych górali i sprzysięgająca się na hali Rütli przeciwko przemocy Habsburgów słowami: „Pragniemy być zjednoczonym narodem braci, nie rozdzielać się w żadnej potrzebie i w żadnym niebezpieczeństwie". Aczkolwiek ludowi bohaterowie są zindywidualizowani, to jednak główny nacisk położony jest nie na to, co ich dzieli, lecz na to, co ich łączy w społeczeństwo nie umiejące żyć bez wolności. Mówi o tym Stauffacher:

A dziś na tejże ziemi służalec przysłany
Obelgą, zelżywymi dręczy nas kajdany!
Żadnejże w tym uścisku nie znajdziem obrony?
O! nie — władzy tyranów jest kres wymieniony.
Gdy lud nie ma już nigdzie ulgi w uciśnieniu,
Gdy nie może wydołać nieszczęścia brzemieniu,
Sięga z dobrą otuchą w niezbędnej potrzebie
Po swoje prawa, wiecznie trwające na niebie,
Co są jak gwiazdy nigdy nieskazitelnemi.
Stan pierwotnej natury powraca na ziemi,
Człowiek w bliźnim człowieka mając przed oczyma,
Innych środków pozbawion, oręża się ima.
Tak. Gdy nas gwałt odziera z pierwszym dóbr człowieka,
Bronić się mamy prawo; kraj zbawienia czeka.
Niech żony, dzieci nasze oręż zabezpiecza.

(przeł. J. N. Kamiński)

Jest rzeczą oczywistą, że te wiersze, mieszczące się doskonale w kompozycji dramatu, brzmiały jednocześnie żywym głosem aktualności i były wyrazem poglądów samego Schillera, dla którego boje sprzysiężonych z Rütli są tylko przykładem do naśladowania we współczesności. Rzutując w przeszłość swą znowu młodzieńczą nienawiść do tyranii, poświęcił całe swe serce i nieomylną wyobraźnię sprawie rybaków, pasterzy i rolników szwajcarskich.

Przestał istnieć zaznaczający się tu i ówdzie w ostatnich latach jego twórczości rozbrat między poglądami teoretyka, który od „wozu Tespisa“ i od sztuki w ogóle próbował odpędzić „surowe życie“, a niezawodnym zmysłem poety-realisty. Sam zdawał sobie z tego sprawę, skoro jest autorem następującej wypowiedzi: „Bo zwykle prześciga mnie poeta, gdzie powinien bym filozofować“.

*Wilhelm Tell* jest ostatnim ukończonym dramatem Schillera i koroną jego twórczości. Wspomniany powyżej *Dymitr* pozostał fragmentem stworzonym wśród cierpień końcowego stadium choroby.

Tylko dwa pierwsze akty z *Dymitra czyli krwawych godów moskiewskich* — jak brzmi pełny tytuł zamierzonego dzieła — zdążyły ułożyć się w formę dramatu scenicznego i przyoblec w artystyczny kształt wiersza, chociaż i tu natrafimy w wielu miejscach na luki i urwane zdania. Reszta — to parę luźnych scen i dość szczegółowy plan całości, świadczący zarówno o rozległych studiach historycznych nad tematem, jak i o przemyśleniu koncepcji utworu do końca.

Dla nas szczególnie ciekawy jest akt pierwszy, obejmujący scenę sejmu w Krakowie. Realia historyczne potraktował Schiller swobodnie, każąc na przykład sejmowi z początku siedemnastego stulecia obradować właśnie w Krakowie, podczas gdy od Unii Lubelskiej (r. 1569) sejmowano w Warszawie, ale rzeczowo przedstawił sytuację, na tle której była możliwa awantura wojenna z Dymitrem Samozwańcem na czele.

Tego rodzaju człowiek był potrzebny po obu stronach. Bojarstwo rosyjskie — niechętne Borysowi Godunowowi rodziny Mścisławskich, Szujskich, Romanowów, Golicynów — weszło w porozumienie z magnaterią Rzeczypospolitej, z Wiśniowieckimi, Mniszchami, Wojnami, Stadnickimi. Możnowładcom obydwu krajów chodziło oczywiście tylko o wzmożenie potęgi swych rodów. Ze swej strony magnateria polska, chciwa nowych włości, umiejętnie wykorzystuje Samozwańca, który szczodrą ręką rozdaje nie zawojowane jeszcze księstwa, jako sprawne narzędzie do osiągnięcia swych celów. Wbrew podnoszącym się głosom rozsądku nawołuje do wojny, porywając za sobą szlachtę gotową krzyczeć „hurra!“ wszędzie, gdziekolwiek cwałują konie, błyska broń i są do wzięcia łupy. Ta Schillerowska scena „sejmu krakowskiego“ jest pomnikiem warcholstwa naszych przodków. Dla tego warcholstwa, które Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* przedstawił z taką goryczą i troską, poeta obcego narodu miał tylko tony pogardliwego humoru i zjadliwej ironii.

Samego Dymitra, o którym historia niewiele umie nam powiedzieć, przedstawia Schiller jako człowieka wierzącego w swe carskie pochodzenie i w doniosłość swej misji. Na tym tle rozwija się tragedia osobista tej postaci, gdyż wobec nieodpartych faktów Samozwaniec traci wiarę w swe imperatorskie prawa, ale widzi, że cofnąć się nie można, bo rzeczy zaszły już zbyt daleko. To, co dotąd działało siłą wewnętrznego przekonania, staje się teraz świadomym kłamstwem, udawaniem, szalbierstwem, byle tylko utrzymać się wysoko.

Opanowuje i gubi Samozwańca nieposkromiona, „wallensteinowska“ żądza władzy. Już nie przebiera on w środkach mających zapewnić mu tron carski. Wchodzi w konflikt z całym narodem, odrywa się od ziemi, nad którą chce panować, zraża sobie chłopstwo, które — pragnąc zrzucić jarzmo pańszczyzny dopiero co nałożonej nań przez Borysa Godunowa — umożliwiło domniemanemu synowi Iwana Groźnego i rzekomemu oswobodzicielowi tryumfalny po-

chód na Moskwę. „Kiedy ma być nieszczęście — notuje Schiller w marginesowej uwadze do planu — to nawet dobro musi wyrządzać szkody. Dymitr budzi gniew w rozgoryczonym narodzie rosyjskim nawet pięknymi rysami swojej natury."

Ogromna masa notatek do *Krwawych godów moskiewskich* zdaje się świadczyć o tym, że Schiller zamierzał uczynić z Dymitra naturę wyjątkową, jak gdyby „godną władzy", ale chciaż Samozwaniec tak bogato jest wyposażony, to jednak musi runąć, ponieważ przepych monarszej purpury zasłonił mu świat przed oczyma, poraził go ślepotą w obliczu politycznych i społecznych potrzeb danego czasu i kraju, czego skutkiem jest — według słów autora — „nieufność i nieszczęście".

Trudno nie dosłuchać się w tym swoistego głosu wielkiej polemiki toczonej przez epokę z Napoleonem.

## EPILOG

Wiosną roku 1804, gdy ataki choroby nieco przycichły, odbył Schiller pierwszą i ostatnią w życiu podróż do Berlina.

Po miniaturowym, cichym Weimarze dwustutysięczna podówczas stolica Prus robiła wrażenie jakiegoś Paryża, chociaż z dawnych sztychów wyłania się obraz — jak na nasze gusty — dostatecznie małomiejski. Bruki albo przedstawiały wiele do życzenia, albo nie było ich wcale, a rzadkie latarnie tylko na głównych ulicach i jedynie z wieczora nie tyle rozpraszały mrok, ile pozwalały przechodniowi z grubsza obliczyć, jaka odległość dzieli go od słupa do słupa. W porównaniu z Weimarem były to odległości wielkie i wycieńczony chorobą poeta słaniał się na nogach po każdej wizycie, jak gdyby odbył całą podróż.

Dwa tygodnie, które Schiller spędził w Berlinie, składały się z dni tryumfu. Iffland, pierwszy, mannheimski odtwórca roli Franciszka Moora w *Zbójcach*, był od kilku lat dyrektorem teatru narodowego w Berlinie i już dawniej wprowadził sztuki Schillera na tę scenę. Teraz, na przyjazd poety, przygotował *Wallensteina* i *Wilhelma Tella*.

Schiller spotykał się z owacjami na ulicach i w teatrze. „Poeta, który po raz pierwszy odwiedził Berlin — czytamy w jednym z ówczesnych sprawozdań prasowych — był obecny na przedstawieniu. Gdy wszedł do loży, przyjęły go oklaski całej sali. Serdecznie witano go radosnymi okrzykami, które brzmiały tak długo i donośnie, że zagłuszyła je dopiero muzyka przed podniesieniem kurtyny. Taki dała publiczność wyraz swym uczuciom czci dla wielkiego geniusza, któremu zawdzięcza wiele wspaniałych rozkoszy. Przyjazd Schillera wzbudził w ogóle żywe zainteresowanie powszechne, które wynika z szacunku i wdzięczności."

Był to jednak ostatni z jego tryumfów, dość zresztą zewnętrzny, bo próba znalezienia finansowego punktu oparcia i osiedlenia się w Berlinie spełzła na niczym.

Latem tegoż roku żona urodziła mu w Jenie, pod opieką zaprzyjaźnionego z rodziną lekarza, córeczkę Emilię. Znalazłszy matkę i nowonarodzoną w dobrym zdrowiu, wracał późnym wieczorem do Weimaru. W dolinie koło miasteczka Dornburg, gdzie trzy zamki sterczą na pionowym, skalistym brzegu

Saali, było cicho, wilgotno, chłodno. Może za długo słuchał głosów przeszłości, którą tak wspaniale umiał wyczarowywać z martwych? Dość że zaziębił się silnie, dostał kolek w brzuchu i spostrzegł jakieś dziwne otępienie wszystkich pięciu zmysłów. Były lekarz obserwował samego siebie pisząc do Goethego: „Ogromne, nagłe osłabienie nerwów w takiej porze roku jest rzeczywiście zabójcze."

Ale i tym razem wstał jeszcze z łóżka.

Późną jesienią na dworze weimarskim miały miejsce uroczystości: Karol Fryderyk, syn panującego księcia, żenił się z Marią Pawłowną, córką Pawła I, cara rosyjskiego. Schiller napisał z tej okazji drobną scenę dramatyczną, jak gdyby pieśń weselną rozbitą na głosy i chór: *Die Huldigung der Künste (Hołd sztuk)*. Był to jego ostatni utwór skończony.

Zima przeszła wśród zmiennych kaprysów choroby, a wiosna zdawała się rokować nadzieje. Aż do ostatnich dni kwietnia — pełen zapału — pracował nad *Dymitrem*. Goethe, który sam dopiero co wstał po przewlekłej chorobie, w następujących słowach opowiada o ich ostatnim spotkaniu: „Na początku maja odważyłem się wyjść. Zastałem go w chwili, gdy wybierał się do teatru, czego nie chciałem mu odradzać. Złe samopoczucie nie pozwoliło mi towarzyszyć mu — i tak rozstaliśmy się przed drzwiami jego domu, ażeby się już nigdy więcej nie zobaczyć."

Z teatru wrócił Schiller na pół przytomny, wstrząsany dreszczami nie do opanowania. Po kilku dniach nie przyjmował nawet wina, którego najrozmaitszymi gatunkami lekarze usiłowali krzepić niknące siły organizmu. Głucho bełkotał z głębi piersi, gdy usiłował mówić. Wreszcie zawiodła go i ręka, gdy usiłował pisać: nakreślił trzy początkowe litery jakiegoś słowa, którego całości nie można się było domyślić. Stracił przytomność. Zmarł 9 maja 1905 roku.

Karolina von Wolzogen, pierwsza biografka poety, pozostawiła nam opis jego ostatnich dni. Przytaczamy z jej relacji fragment dotyczący wczesnego popołudnia 9 maja: „Około trzeciej przyszła zupełna bezsilność, oddech zaczął ustawać. Moja siostra klęczała przy łóżku. Powiedziała, że jeszcze uścisnął jej rękę. Stałam z lekarzem w nogach łóżka i kładłam zagrzane poduszki na stygnące stopy. Przez jego rysy przebiegł jak gdyby elektryczny udar, a potem głowa opadła w tył i najdoskonalszy spokój przemienił jego oblicze. Rysy stały się takie jak u kogoś spokojnie śpiącego..."

Ówczesnym zwyczajem pogrzeb odbył się nocą. Kondukt wyruszył o północy z 11 na 12 maja, dążąc na niedaleki cmentarz wokół kościoła świętego Jakuba. Do weimarskiej Krypty Książęcej kości zostały przeniesione dopiero w roku 1827.

Swój słynny epilog do *Pieśni o dzwonie*, napisany w dziesięć lat po śmierci Schillera, uświetnił Goethe słowami, które — jako jeden z najpiękniejszych hołdów oddanych poecie — wypada tu na zakończenie powtórzyć:

Za nim leżała — czczym blaskiem objęta —
Ta pospolitość, co nas wszystkich pęta.

. . . . . .

Więc czcijcie go, bo co mu dało życie
Na pół, potomność niech da całkowicie.

*Adolf Sowiński*

*Fryderyk Schiller*

# DYMITR

## FRAGMENTY

### AKT PIERWSZY

*MARYNA, ODOWALSKI*

ODOWALSKI

No cóż, panienko, rozkaz wykonałem.
Teraz gorliwość czeka na pochwałę.

MARYNA

Jesteśmy sami — a spraw arcyważnych,
O których nie śmie nic wiedzieć carewicz,
Wiele nam trzeba omówić. Niech kniaź
Za wolą bogów podąża. Sam wierzy
W swe posłannictwo — więc wierzy mu świat.
Trzeba go jednak utrzymać w niewiedzy,
Która jest matką wszystkich wielkich czynów.
Nam trzeba widzieć jasno, trzeba działać.
On daje imię i zapał. Rozwaga
Należy do nas... A skoro zwycięstwo
Zapewni sprawie nasz rozum i sztuka,
Niech mu się zdaje, że sukces wyprawy
Spada mu z nieba.

ODOWALSKI

Rozkazuj, królowo!
Dla ciebie żyję. Tobie krew poświęcę.
Cóż mnie obchodzi ta sprawa moskiewska?
Tyś dla mnie wszystkim! Tylko twojej chwale
Oddam ostatnią krwi kroplę z mych żył.
Ubogi wasal — chyba tylko we śnie
Mogę ku tobie podnieść moje oczy...
Lecz chciałbym chociaż zasłużyć na łaskę...

Chciałbym uczynić cię wielką — i niech tam
Kto jeno zechce, pojmie cię za żonę —
Tyś i tak moja, jeśliś moim dziełem!

MARYNA

W twoje też ręce powierzam mój los...
Tylko ty jeden spełnisz me marzenia.
Król — widzisz — kluczy... Na wskroś go przejrzałam,
Ta gra z Sapiehą — [wszystko umówione.]
Wiem, to mu nawet bardzo odpowiada,
Że ojciec — król się lęka trochę ojca —
W tym przedsięwzięciu osłabia swe siły.
Że rokosz, który ledwie co zażegnał,
Na obcej wojnie szlachcie z głów wyszumi...
Sam król wybierze raczej neutralność,
Bo szczęście [bywa zmienne.] Zwyciężymy —
To w każdym razie Moskwa się osłabi.
Jeśli przegramy — łatwiej swoje jarzmo
Przyjdzie mu Polsce nałożyć na kark.
Jesteśmy sami — [król nam nie pomoże] —
Król dba o swoje — i nam dbać o swoje.
. . . . . .
Powiedziesz wojsko na Kijów. Niech wierność
Ślubuje księciu i mnie... zrozumiałeś?
I mnie! Ostrożność niestety konieczna...

ODOWALSKI

Tobie! Bój idzie o twoją wszak sprawę,
Więc wojsko w twoje zaciąga się służby.

MARYNA

Trzeba mi twego ramienia — i oka.

ODOWALSKI

Rozkazuj, pani!

MARYNA

Poprowadzisz kniazia...
Będziesz go chronił, stał przy jego boku...
Z każdego kroku pilnie mi zdasz sprawę,
Z kim by rozmawiał, [jak długo i o czym.]
Każdą myśl jego znać muszę...

ODOWALSKI

Zaufaj
Mej przezorności.

MARYNA

Nie spuszczaj zeń oka.
Bądź mu obrońcą, bądź stróżem — i spraw,
Żeby zwyciężył — wierząc, że zwycięstwo
Zawdzięcza tylko nam... Czy mnie rozumiesz?

ODOWALSKI

Możesz mi ufać... Nic bez nas... rozumiem.

MARYNA

Nikt nie jest wdzięczny... Gdy tylko poczuje,
Że już jest carem — zapomni o więzach.
Wszak dobrodziejstwo wnet staje się krzywdą,
Kiedy je trzeba okupić wdzięcznością.
Ruś nienawidzi Polaków — więc trudno
Trwałymi więzy serce złączyć z sercem.
. . . . . .
Cokolwiek będzie — donieś mi natychmiast.
W Kijowie będę czekać twego posła.
Rozstaw posłańców jak słupy milowe,
Ślij ich o każdej porze dnia i nocy,
Choćbyś miał dla mnie swe wojsko wyludnić!

*Wchodzi wielu szlachty.*

SZLACHTA

Słyszałaś nas, patronko! Czyśmy dobrze
Bronili sprawy? Kogo trzeba bić?
Rozkazuj naszym ramionom i szablom.

MARYNA

Kto dla mnie w pole wyruszy?

SZLACHTA

My wszyscy!

MARYNA

Punkt zborny — Kijów. W trzy tysiące koni
Zjawi się ojciec. Szwagier w dwa tysiące,
A do pomocy przybędą znad Donu
Kozackie sotnie, od dońskich porohów.

SZLACHTA

Pomyśl o kiesach, patronko. Ten Sejm

Wiele nas grosza kosztował. Więc najpierw
Musisz nas z długów wykupić.

INNI

Patronko,
O kiesach naszych pamiętaj — a wraz
Ruszym, by ciebie obwołać carycą.

MARYNA

Biskup Kamieńca i Chełmu pod zastaw
Ziemi i ludzi nie poskąpi grosza.
Oddajcie w zastaw, sprzedajcie swe wioski,
Niech w konie idzie grosz każdy — i w broń!
Najlepszym rządcą jest wojna. Żelazo
Przemienia w złoto. Co stracicie w Polsce,
To się wam w Moskwie zwróci tysiąckrotnie.

ROKOL

Jeszcze dwie sotnie siedzą przy kielichu.
Zajdź do nich, przepij na zdrowie, a wszyscy
Pójdą za tobą jak jeden...

MARYNA

Masz rację.
Prowadź mnie do nich.

WSZYSCY

O piękna patronko!
Będziesz carową — lub sczeźniem z kretesem!

INNI

Tyś nas odziała, tyś dała nam buty,
Dla ciebie płynie nasza krew serdeczna!

*Wchodzą: Opaliński, Ossoliński, Zamoyski i inni.*

OPALIŃSKI

I my też z tobą... tu nie zostaniemy.

ZAMOYSKI

Z tobą! My także pragniemy wziąć udział
W moskiewskich łupach.

OSSOLIŃSKI

O, weź nas, patronko,
A obwołamy cię Moskwy carycą!

MARYNA

Cóż to za ludzie? Jakieś, widzę, ciury!

OSSOLIŃSKI

Myśmy stajenni u pana starosty.

ZAMOYSKI

Ja jestem kucharz u imć kasztelana
Ziemi wileńskiej...

OPALIŃSKI

Ja — niby woźnica...

BIELSKI

Ja kręcę rożnem.

MARYNA

Proste parobczaki.

STAJENNI

My ludzie wolni... i z Piastów... nie mieszaj
Nas tu, patronko, z pospólstwem. My szlachta
I tak jak inni, mamy swoje prawa.

ODOWALSKI

Dlatego baty biorą na kobiercu.

ZAMOYSKI

O, nie gardź nami! Dzielne mamy serca!

ODOWALSKI

Weź ich na służbę. Daj konie i buty —
A bić się będą jak diabły...

MARYNA

Odejdźcie.
Najpierw was trzeba przerobić na ludzi.
Mój ochmistrz wyda wam szaty.

WSZYSCY

O, pani!
Ty dbasz o wszystko i na wszystko baczysz
Jak urodzona królowa!

MARYNA

Wiem, wiem.
Dlatego będę królową.

OSSOLIŃSKI

Na koń
I miecz do ręki — a jak druga Wanda
W zwycięstwo dzielne poprowadzisz pułki.

MARYNA

Jam z wami duchem. Wojna nie dla niewiast.
. . . . . .
Czy przysięgacie mi wierność?

WSZYSCY

Juramus!

*dobywają szabel*

JEDNI

Vivat Marina!

DRUDZY

Russiae regina!

*MNISZECH, MARYNA*

MARYNA

Czemuż na czole chmura, drogi ojcze,
Właśnie, gdy szczęście do nas się uśmiecha
I wszystko chwyta za broń dla Maryny?

MNISZECH

Właśnie dlatego, córeczko... Tak, wszystko
Na jedną kartę... Od tych właśnie zbrojeń
Ostatnie siły opuszczają ojca.
Och, mam powody, by się niepokoić!
Szczęście jest złudne... Drżę na myśl o skutkach...

MARYNA

Ale dlaczego...

MNISZECH

O, niebezpieczna dziewczyno! Do zguby
Prowadzisz ojca! Cóż ze mnie za baba,
Że się nie umiem oprzeć naleganiom!
Jestem potężnym, możnym wojewodą,
Pierwszym po królu! Czyśmy nie powinni
Na tym poprzestać — i w spokoju ducha
Zażywać szczęścia, które nam przypadło?
Ty sięgasz wyżej... Tobie dola średnia
Twych sióstr nie starczy...
Osiągnąć pragniesz szczyt marzeń śmiertelnych
I czoło carską ozdobić koroną —
A ja, najsłabszy z ojców, wiesz — że chciałbym
Mej drogiej córze choć nieba przychylić
I omamiony twoimi prośbami
Los pewny zwierzam igraszce przypadku...

MARYNA

Jakże to, ojcze! — Żałujesz dobroci?
Powiedz, czy może się skromnym nasycić
Ten, komu moc się unosi nad głową?

MNISZECH

Wszak z twych sióstr żadna nie nosi korony,
A przecież są szczęśliwe...

MARYNA

Cóż to za szczęście dla mnie, jeśli z domu
Mojego ojca — wojewody, wejdę
W dom mego męża — również wojewody!
Cóż mi przybędzie od takiej zamiany?
Jakże mi dniem się radować następnym,
Skoro przynosi to, co i dzisiejszy!
Nudny powrocie wszystkiego, co stare!
O, smętna pustko jednakiego życia!
Czyż warte trudu chęci i zamiary?
Miłość — lub wielkość, tego pragnie dusza,
A wszystko inne niewiele mnie wzrusza...

MNISZECH

. . . . . .

MARYNA

Rozpogódź, ojcze, zasępione czoło.
Zamiast upadać na duchu, pozwólmy,

Niechaj nas porwie bystra fala losu!
Miast o ofierze, którą oto składasz,
Myśl o nagrodzie — i o wielkim celu,
Myśl, że swą córkę obaczysz w diademie
Na carów Moskwy tronie szczerozłotym —
A świat pod berłem twych wnuków...

MNISZECH

Nie myślę,
Nie widzę świata poza moją córką.
Moim dziewczątkiem w królewskiej koronie!
Wygrałaś! — Pierzcha serdeczna rozterka —
Żądasz — więc jakże odmówić mam córce.

MARYNA

Więc tylko jeszcze jednej prośby, ojcze,
Zechciej wysłuchać...

MNISZECH

Powiedz, czego żądasz?

MARYNA

Jakże mi czekać w samborskim dworzyszczu
Z sercem, co mdleje z tęsknoty — i pęka!
Jak znieść świadomość, że gdzieś tam, za Dnieprem
Mój los się waży — a mnie dal bezkresna
Dzieli od boju! Ach! — duch niecierpliwy
Oczekiwania przeżywa katusze
Mierząc przestrzenie lodowatym lękiem
I biciem serca...

MNISZECH

Czego chcesz, córeczko?

MARYNA

Pozwól w Kijowie mi czekać zwycięstwa!...
Tam się wszystkiego wraz dowiem u źródła...
Tam, na granicy dwu władzy obszarów
Każda wieść z wiatrem przybieży na skrzydłach,
Najcichsze echo przekazując uszom...
Tam mi Dnieprowe zaśpiewają fale
Pieśń o Smoleńsku...

MNISZECH

Pohamuj się, córko!

MARYNA

Pozwolisz, ojcze? Odwieziesz mnie? — powiedz!

MNISZECH

Odwieziesz! Przecie wiesz, że ci ulegnę...

MARYNA

Najdroższy ojcze, gdy jako caryca
Osiądę w Moskwie, wiesz, naszą granicą
Musi być Kijów... Kijów będzie mój.
A ty zostaniesz panem na Kijowie.
Wtedy dojrzeją wielkie zamierzenia...

MNISZECH

Ty śnisz, dziecino... Już ci nie wystarczy
Ogromna Moskwa... Pragniesz połać ziemi
Kosztem ojczyzny oderwać...

MARYNA

Ach, Kijów!
Tam panowali kiedyś Waregowie...
Dobrze pamiętam Kronik opowieści
I wiem, że Kijów, zrabowany Rusi
Zwrócić nam trzeba Rusi...

MNISZECH

Cicho, cicho!
Tego nie może słyszeć wojewoda!

*(odgłos trąb)*

Ruszają!

## AKT DRUGI

### Scena druga

*Pagórek otoczony drzewami, skąd rozpościera się widok daleki i radujący oko. Widać rzekę płynącą wśród krajobrazu ożywionego młodą zielenią zasiewów. Tu i tam bieleją wieżyce grodów. Za sceną bębny i wojenne fanfary. Zjawia się ODOWALSKI wraz z oficerami. Za nimi wchodzi DYMITR.*

ODOWALSKI

Wojska niech ciągną dalej, brzegiem lasu,
A my z pagórka spójrzmy na dolinę.

*Kilku oficerów odchodzi, wjeżdża DYMITR.*

DYMITR

*cofając konia*

Ach, cóż za widok!

ODOWALSKI

To carstwo twe, panie.
To, co tu widzisz, to już ruska ziemia.

RAZIN

Te słupy noszą już herby moskiewskie.
Tutaj się kończy panowanie Polski.

DYMITR

A piękną rzeka, która nurt swój toczy
Poprzez dolinę, czy to może Dniepr?

ODOWALSKI

Dniepr toczy fale bliżej Czernihowa,
A to jest Dzisna, co [srebrem tak lśni]
Jak okiem sięgnąć — wszędzie twoja ziemia.

RAZIN

A tam, w oddali — te błyski złociste —
To już kopuły Siewier-Nowgorodu.

DYMITR

Jakże wspaniały widok! Jakie pola!

ODOWALSKI

Wiosna je w młodą przyodziała krasę,
Bo żyzna ziemia piękne rodzi zboże.

DYMITR

Jak oko błądzi po tych pól bezmiarze!

ODOWALSKI

To tylko, panie, skromniutki początek
Ogromu ruskich ziem, bo niezmierzone
Mkną jej obszary ku wschodowi słońca. —
A ku północy tam sięga granicą,
Gdzie sięga płodność żyznej ziemi-matki.

RAZIN

Patrz, jak się car nasz okrutnie zamyślił...

DYMITR

Na tych rozłogach mieszka jeszcze pokój —
A ja, wśród chrzęstu straszliwych oręży
Przychodzę oto, jak wróg, by je zniszczyć...

ODOWALSKI

O tym czas, panie, rozmyślać po wojnie.

DYMITR

Czujesz jak Polak — a jam synem Moskwy.
To kraj, co przecież obdarzył mnie życiem.
O, przebacz, droga, rodzima ty ziemio,
I ty mi przebacz, o słupie graniczny,
Na którym ojciec swe orły wyrzezał —
Że ja, syn niecny, dziś wrogim orężem
Zamącam spokój twej cichej świątyni...
Przychodzę tutaj, by żądać imienia
I zrabowanej schedy mego ojca.
Tu rządził kiedyś ród dzielnych Waregów,
Mych dziadów — z górą trzydzieści pokoleń.
Mnie, ostatniego z rodu, boża dłoń
Wyrwała z rąk morderców...

## Scena trzecia

*Rosyjska wioska. Plac przed cerkwią. Słychać dzwon na trwogę. GLEB, ILIA i TIMOSZKA wbiegają na scenę uzbrojeni w siekiery.*

GLEB

*wychodząc z domu*

Dokąd ci ludzie tak biegną?

ILIA

*z innego domu*

Kto dzwoni?

TIMOSZKA

Sąsiedzi, bracie, spieszą na naradę!

*Wchodzą: OLEG, IGOR i wielu innych z dziećmi i żonami, które niosą toboły.*

OLEG

Uciekać, bracia! Ratuj się, kto może!

GLEB

Co tam? Wy dokąd z żonami i z dziećmi?

IGOR

Uciekać! Polak najechał granice
Od Moromenska — i grabi, i siecze!

OLEG

Dalej! Uciekać w głąb kraju, do miast!
Myśmy już nasze podpalili strzechy
I cała wioska, jak jeden, ucieka
Na wschód, pod skrzydła carskich wojowników!

TIMOSZKA

O, oto nowy tłum uciekinierów...

*IWASZKA i PETRUSZKA wchodzą z drugiej strony w towarzystwie uzbrojonych chłopów.*

IWASZKA

Niech żyje car nasz, wielki książę Dymitr!

PETRUSZKA

Kto [carewicza miłuje], ten z nami!

GLEB

Jak? Co to znaczy?

ILIA

Wy dokąd?

TIMOSZKA

I kto wy?
Cóż to! W głąb kraju cała wieś ucieka,
A wy tu do wsi z powrotem? — A może
Chcecie się przedrzeć do szeregów wroga?

PETRUSZKA

Jakiego wroga? To nie wróg się zbliża,
Ale przyjaciel i prawy nasz dziedzic...
O, jest posadnik!

POSADNIK

*Występuje naprzód i rozwija pergamin*

Krucha to sprawa, sąsiedzi i radni!
Oświeć nas, Boże, i pomóż w zamęcie.

CHŁOPI

A co się stało?

POSADNIK

Ot co! mam tu pismo
Od carewicza, który z polskim wojskiem
Tutaj przybywa — i który nas, Rosjan...
Co robić?

CHŁOPI

Czytaj! Najpierw czytaj pismo!

INNI

Czytaj, słuchamy...

POSADNIK

No to posłuchajcie.
„My, Dymitr Iwanowicz, z łaski bożej carewicz
Wszechrosji, Kniaź na Ugliczu, Dmitrowie i
innych księstwach, po urodzeniu pan i dziedzic
wszelakiej ziemi ruskiej, z carskim wszem ludom
pozdrowieniem."

GLEB

To pełny tytuł wszechruskiego cara!

POSADNIK

„Iwan Wasilicz przesławnej pamięci...
[Jak wam wiadomo — całe życie pragnął,
Byście tronowi służąc najprzykładniej]
I dzieciom jego pozostali wierni.
My, jako cara najprawdziwszy syn,
Którego Borys pozbawić chciał życia,
A który bożym ocalał zrządzeniem —
Dziś przybywamy, by odebrać tron.
Miecz w prawej ręce, w lewej wić oliwna,
Dla wiernych łaska, dla opornych — zguba.
Przypominamy wam waszą przysięgę
Każąc porzucić zdrajcę Godunowa

I nam, prawemu tronu spadkobiercy,
Należny złożyć czołobitnie hołd.
Jeśli ten rozkaz wykonacie — rządy
Przyrzekam pełne łaski; w razie buntu
Niech krew przelana wam spadnie na głowy,
Bo miecza prędzej nie schowam do pochew
Aż tron odzyskam...“

TIMOSZKA

[Cóż, ani chybi, to Iwana syn]

GLEB

Jakże możemy synowi Iwana
Odmawiać ślubów i zamknąć granice?

ILIA

[A jeśli kłamie, jeśli to nieprawda?]

TIMOSZKA

Co?! Nie bądź głupi! Chciej tylko pomyśleć,
Jaki by rozum spłodził takie kłamstwo?
Gdyby nim nie był, jakżeby śmiał twierdzić...

GLEB

I ja tak myślę... Bo, zważcie, czy Polak
Ciągnąłby w pole ot tak, dla oszusta?

TIMOSZKA

Tak, to na pewno prawdziwy carewicz.
Powiedzcie, jakże synowi Iwana
Odmówić ślubów i zamknąć granicę?

ILIA

A jednak myśmy berłu Godunowa
Hołd i przysięgę złożyli na wierność...

Przełożył
*Włodzimierz Lewik*

*Jan Brzechwa*

# O POEZJI DLA DZIECI

## 1

Lew Tołstoj przez lat czternaście oddawał się z niesłabnącym zamiłowaniem twórczości dla dzieci. Jego opowiadania i bajki weszły do zbiorów, które nosiły nazwę *Abecadła*. O pracy swej pisał: „Moje dumne marzenie o tym *Abecadle* jest takie: wyłącznie według tego *Abecadła* uczyć się będą dwa pokolenia dzieci rosyjskich — od carskich aż do chłopskich, czerpać zeń bedą swoje pierwsze wrażenia poetyckie; po napisaniu tego *Abecadła* wolno mi już będzie spokojnie umrzeć."

Zresztą nie tylko Tołstoj, ale niemal wszyscy wielcy pisarze poświęcali uwagę małym czytelnikom i pisząc dla nich, dalecy byli od mniemania, że zniżają się do twórczości pośledniejszej rangi.

W naszej epoce przed literaturą dla dzieci stoją zadania donioślejsze niż kiedykolwiek dawniej. „Dzieci — jak mówił Gorki — po raz pierwszy w dziejach ludzkości stały się spadkobiercami nie pieniędzy, nie domów i mebli swoich rodziców, ale rzeczywistego i olbrzymiego skarbu, jakim jest państwo socjalistyczne, stworzone pracą rąk ich ojców i matek."

Słowa Gorkiego wskazują na wielką rolę, jaką ta dziedzina literatury ma do spełnienia. Skoro się bowiem mówi o upowszechnieniu kultury, o oddziaływaniu na masy za pomocą środków artystycznych, nie powinno się zapominać, że masy nie są abstrakcją, ale składają się z jednostek, które przechodzą normalne fazy rozwoju, od wieku dziecięcego, aż po wiek dojrzałości, i nie może być rzeczą obojętną, z jakim bagażem rozpoczynają dzieci swoją pierwszą podróż w przyszłość.

Walka o duszę dziecka stanowi odcinek walki klasowej niezwykle zaciętej i bardzo trudnej, ze względu chociażby na arsenał środków ogłupiania, którym rozporządza wroga ideologia. Niwelować wpływy zacofanego otoczenia w okresie kształtowania się świadomości dziecka może i powinna właśnie literatura, gdyż dociera ona do dziecka najwcześniej, gdyż przemawia do wyobraźni jego najsilniej. Ale jedynie literatura dostatecznie atrakcyjna, powabna, zabawna, pełna fantazji spełnić może to odpowiedzialne zadanie.

Trzeba też zaznaczyć, że od tego, co dziecko czyta, zależny jest dalszy jego stosunek do książki. Przez odpowiednią literaturę dla dzieci kształtuje się

smak przyszłego czytelnika, któremu toruje się drogę do wielkiej poezji, do literatury klasycznej.

Niestety, stan polskiej poezji dla dzieci — bo o poezji tylko zamierzam tutaj pisać — budzić musi głęboki niepokój i troskę tych wszystkich, którzy ponoszą za nią odpowiedzialność: wydawców, pisarzy, publicystów, działaczy kultury.

Nasza tradycja w zakresie poezji dla dzieci jest nader uboga. Kilka bajek Krasickiego, parę utworów Mickiewicza, nieco Fredry, wierszowane morały zacnego i ckliwego Jachowicza, garstka prześlicznych wierszy Konopnickiej. To wszystko.

Dopiero Julian Tuwim pokazał, jaka może i powinna być poezja dla dzieci. Na czym polega tajemnica uroku Tuwimowskich wierszy? Po prostu na tym, że był on prawdziwym poetą. Poezje dla dzieci pisali Broniewski, Januszewska, Słobodnik, Gałczyński, pisali również inni poeci i wszystkie te utwory noszą na sobie znamię talentu poetyckiego ich autorów.

Ale jest to tylko kropla w morzu rymowanej wody, zalewającej rynek księgarski i czasopiśmiennictwo dziecięce. Rymować, zwłaszcza źle, potrafi każdy, ale nie każdy przez to staje się poetą. W stosunku do dzieci prawo to nie obowiązuje. Proceder bezkarnego, nieudolnego rymowania chroniony jest przez mit specyfiki, przez blagę o znajomości duszy dziecka, przez fałsz o walorach wychowawczych owej częstochowszczyzny. Na tej zasadzie piszą dla dzieci ludzie bezradni, pozbawieni kryteriów artystycznych, poczucia odpowiedzialności i skrupułów.

My, dorośli, wiemy, jakie wzruszenia daje obcowanie z dziełem sztuki, z utworem prawdziwie artystycznym. Dzieciom odbiera się te wzruszenia. W utworach przeznaczonych dla nich występują zazwyczaj mętne, senne lale na tle równie mętnego, sennego krajobrazu. Przewijają się przez nie suche, rymowane frazesy, które niegdyś wyszywano na ręcznikach i śliniaczkach. Nawet zdolni autorzy przejmują ten bezbarwny styl i ulegają w wierszach dla dzieci niebezpiecznej tendencji do standaryzacji formy, do nietwórczego korzystania z szablonowych tematów, intonacji, rytmów.

Pisemka dziecięce roją się od wierszyków, w których absolutnie nic się nie dzieje, bliźniaczo do siebie podobnych, pisanych z reguły czterowierszową strofką, w połowie tylko rymowaną i to zazwyczaj źle i niedbale.

Oto przykład szablonu tego typu:

1. Zachodzi już słonko,
Zorza lśni czerwona,
Obudził się wietrzyk
I przyleciał do nas.

2. Wiatr dmuchnął od pola,
Chwieje się leszczyna,
Skacze po gałązkach
Wiewióreczka zwinna.

3. Szumi wiatr jesienny
W parku wśród zarośli,

Przychodzą do parku
Dzieci i dorośli.

4. — Listopadzie, mgiełką
Nie zakrywaj słonka,
Chcemy dziś wygrabić
Liście pod jabłonką.

5. Już się śmieją oczy
I buzie rumiane,
Hania zrywa jabłka,
Gruszkę zrywa Janek.

6. Raźno maszerują
Ścieżyną przez pole,
Skrócą sobie drogę,
Prędzej będą w szkole.

7. Już przyniosła kredę,
Już kwiatki podlewa,
Krząta się dyżurna,
Coś cichutko śpiewa.

8. — Piękne rybki w stawie,
Piękne chmurki w górze,
Najpiękniejsze piątki
Na mojej cenzurze.

9. Weź się do nauki,
Gdy lat kilka minie,
Będziesz maszynistą
Na smoku-maszynie.

Na pozór niby wszystko w porządku. Ale tylko na pozór. Bo któż by się domyślił, że przytoczony wiersz to po prostu zlepek dziewięciu strofek, z których każda zaczerpnięta jest z innego utworu, a każdy z tych utworów napisał inny autor? Czyż nie jest objawem symptomatycznym i niepokojącym fakt, że wszystkie przytoczone wyżej wyimki napisane są jednakowym sześciozgłoskowcem, że posiadają one ten sam układ stylistyczny, ten sam typ i format wersyfikacyjny, a nawet analogiczną frazeologię? Jak doszło do tego, że również cenieni autorzy, którzy na swój sposób służą sprawie wychowania polskiego dziecka, dali się uwieść temu dążeniu do standaryzacji formy? Podany przeze mnie *pastiche* stanowi zestawienie dziewięciu zaledwie urywków, ale można byłoby zabawę tę ciągnąć w nieskończoność i to w najrozmaitszych układach i kombinacjach, od środka i od końca, bez szkody dla całości.

A oto inna postać szablonu, którym posługują się autorzy wierszy dla dzieci, pragnąc ułatwić sobie i bez tego już ułatwione i niechlujne rymowanie:

1. Brawo Jurek, brawo Hanka
. . . . . .
Aż tu nagle niespodzianka.

2. Do Janka od Wani,
Do Liu od Hani.

3. Ustawił altankę
Dla laleczek Hanki.

4. A malutkiej Hani
Liść spadł na kaftanik.

5. Gdy dorosnę, myśli Janek,
Może radnym też zostanę.

6. Antek wnet kasztanka dosiadł
Obok w wózku Stach i Zosia.

7. Jakaż miła ta Ludka
. . . . . .
Taka zawsze czyściutka.

Przykłady tego szablonowego rymowania imion czerpię z dwóch zaledwie numerów *„Płomyczka"* (3 i 6) oraz dwóch numerów *„Świerszczyka"* (9 i 40) z r. 1953, które miałem właśnie pod ręką. Ale to tylko drobna część tego „poetyckiego bagażu". W tych samych czterech numerach pism dziecięcych ukazuje się jeszcze Nastka (do miasta), Janek (zostanę), Jerzyk (leży), Ola (przedszkola), spotykamy Dżona (wagonach), Bronię (wagonik), po czym snują się: Henio, Zbyszek, Krysia, Kasia, Ewka, Franio, Greta, Ludwik, Magda, Jadzia, Jurek — po prostu w czterech zaledwie egzemplarzach pisemek znajdujemy imienny katalog nieszczęsnych małych abonentów *„Płomyczka"* i *„Świerszczyka"*.

Rym — o czym jeszcze wspomnę — w utworach dla dzieci odgrywa szczególnie ważną rolę. Jest rzeczą słuszną, aby imię bohatera przypadało właśnie na rym, tak jak — dajmy na to — u Mickiewicza Leszek, Hreczecha czy Domeyko. Ale to, co u poety jest wyrazem kunsztu wzbogacającego utwór, u cytowanych wyżej autorów staje się przez świadomą, a przy tym jednostajną i płaską częstochowszczyznę objawem karygodnego lekceważenia małego czytelnika — lekceważenia, które obraża jego dobry smak i dziecięcą godność osobistą.

I tu również cenieni skądinąd autorzy ulegają łatwiznom szablonu i zniżają się do ogólnego poziomu lichego pisarstwa.

Chciałoby się zawołać słowami Szczedrina: „Przeklęta niechaj będzie ta gęś, która dała swe pióra do napisania takich utworów!"

## 2

Istnieją dwa zasadnicze warunki powstania dobrego utworu poetyckiego: klarowność myśli i celność wyrazu artystycznego. Zamysł twórczy i sposób, forma, w jakiej zostaje on wyrażony, winny być nieomylnie z sobą zharmonizowane, a nawet więcej: powinny ściśle do siebie przylegać, w przeciwnym bowiem razie otrzymujemy coś na podobieństwo poruszonego zdjęcia fotograficznego o zamazanych, mętnych konturach. Ta mętność w liryce prowadzi do mętniactwa, do pozornych niedomówień, które łatwo można zdemaskować jako nieporadność pisarską. Niektórzy poeci osiągają klarowność kosztem celności, inni, dążąc do celności formy, gubią klarowność myśli. Tradycje wielkiej poezji polskiej na przestrzeni wieków zdają się potwierdzać słuszność tezy, dotyczącej adekwatności obu pomienionych czynników. Nawet u Leśmiana zamysły całkowicie irrealne podane są w sposób niezmiernie precyzyjny i klarowny, a celność formy nie staje się bynajmniej „piewcy ciężką obrożą". Klarowność i celność — to także umiejętność doboru słów nieomylnie trafnych, to zwięzłość posunięta do granic nieuniknionej konieczności, to kunsztowna instrumentacja, poetyczność obrazów, atrakcyjność tematu, akcja wewnętrzna, komunikatywność, prostota i lekkość — tak, lekkość „pozwalająca dziełu szybować poprzez stulecia", jak mawiał France.

Tylko taka poezja jest dobra i przeciwko takiej właśnie poezji kiepscy autorzy i źli wychowawcy wysuwają mit owej „specyfiki", która jak strach na wróble odpędza poetów od najlepszych, najwdzięczniejszych czytelników, szczerych miłośników książki.

Oczywiście, pisząc dla dzieci poeta musi liczyć się z właściwościami dziecięcego wieku, ale to już jest tylko sprawa adresata, nie sprawa specyfiki.

Wiersze powierzchownie opisowe, w których nic się nie dzieje, niedbale i nieudolnie rymowane, pełne abstrakcji i retoryki, nie tylko nie są dla dzieci, nie są również dla dorosłych.

Dobrze rozumiał to wielki krytyk Bieliński, kiedy wołał, zwracając się do pisarzy rosyjskich:

„Piszcie, piszcie dla dzieci, ale tylko tak, żeby książkę waszą przeczytał z przejemnością również człowiek dorosły i żeby po jej przeczytaniu przeniósł się lekkim marzeniem w jasne lata swego dzieciństwa... Rzecz najważniejsza, to jak najmniej sentencji, moralizatorstwa i rezonerstwa... Dzieci... chcą widzieć w was swoich przyjaciół... żądają od was uciechy, a nie nudy, opowieści, a nie pouczeń..."

Literatura dla dzieci może być, rzecz prosta, pouczająca, ale idee wychowawcze w utworach podawać należy w iskrzącej się, wesołej i lekkiej formie, aby dziecko tego nie dostrzegało, w przeciwnym bowiem wypadku rozsądna myśl autora staje się odpychająca, staje się piłą, której zęby ranią wyobraźnię małego czytelnika.

„Nie należy przypuszczać — pisał Gorki — że wszystkie bez wyjątku książki dla dzieci powinny zawierać materiał poznawczy. Nasza książka powinna być nie dydaktyczna, nie ordynarnie tendencyjna. Powinna ona przemawiać językiem obrazów i być wysoce artystyczna. Potrzebna jest nam wesoła, zabawna książka, rozwijająca w dziecku poczucie humoru."

Zastraszająca ilość złych pod względem artystycznym, a przez to szkodliwych pod względem wychowawczym książek dla dzieci na naszym rynku księgarskim, to wynik bezdusznego, biurokratycznego ujmowania tych spraw przez wydawnictwa i urzędy. Powoływanie się na wysokość nakładów, mającą rzekomo świadczyć o poczytności złych książek, wskazuje tylko na uleganie złudzie i urokom statystyki. Książki te rozchodzą się na tej samej zasadzie, na jakiej ludzie kupują czerstwy chleb, gdy w piekarniach zabraknie świeżego.

Popieranie przez recenzentów i urzędników złych wierszy pod pozorem ich użyteczności nie zdoła zmylić czytelników. I biada poecie, któremu potrzebna jest rekomendacja krytyki czy urzędów. Sądzę, że kiedy Gorki mówił, iż dla dzieci trzeba pisać tak samo jak dla dorosłych, tylko jeszcze lepiej, to miał on na myśli większy stopień klarowności i doskonalszą celność wyrazu. Książka, która odpowiada tym warunkom, sama toruje sobie drogę do czytelników.

Prócz wspomnianych wyżej cech, właściwych wszelkiej dobrej poezji, w wierszach dla dzieci szczególnie ważną rolę odgrywa rym, gdyż jego funkcja znacznie jest tutaj donioślejsza. Rym dla dziecka staje się punktem ogniskującym uwagę, mobilizującym pamięć. Elementy dźwiękowe wiersza wybijają się na czoło także i dlatego, że w samym dziecku tkwi przyrodzona skłonność do rymowania. Toteż rymy powinny być ścisłe, blisko z sobą sąsiadujące, bodajże najlepiej — w dystychowym układzie. Fraza zbyt długa, przekraczająca dziewięciozgłoskowiec, zanadto oddala od siebie rymy, dziecku trudno jest pochwycić ich zbieżność. Skoro zaś rym koncentruje uwagę czytelnika i stanowi czynnik pobudzający co chwila jego wrażliwość słuchową, na rym padać powinny najistotniejsze momenty fabularne utworu, pointy, imiona postaci działających, słowa przynoszące nowe pojęcia i nazwy albo chociażby tylko nowe z brzmienia.

Słowa takie same przez się stanowią dla dziecka materiał poznawczy, pomnażają jego wiedzę o języku i bawią je tak, jak nowe zabawki. Gra słów ułatwia mu ich zapamiętanie i niepostrzeżenie wzbogaca jego słownictwo. Niesłusznie tedy niektórzy niepowołani mentorzy atakują w utworach dla dzieci żart słowny, który nazywają uczenie, ale pogardliwie — „werbalnym".

Powołam się tu jeszcze raz na Gorkiego, który stwierdza, że „dziecko do lat dziesięciu wymaga zabawy i rozrywki i wymaganie to jest biologicznie usprawiedliwione. Dziecko, bawiąc się, najlepiej poznaje otaczający je świat. Bawi się również i słowem, bawi się w słowo, i właśnie na tej zabawie słowem uczy się języka ojczystego, przyswaja sobie jego muzykę i to, co filologicznie nazywa się «duchem języka»".

Warto też zauważyć, że nigdy jeszcze wzbogacenie języka nie było dziecku tak potrzebne, jak w naszych czasach, kiedy życie wszechstronnie się przeobraża, kiedy powstaje tyle nowego i wszystko wymaga nowych form językowych.

Skoro poeta pisać ma o sprawach nowych, utwory jego nieuchronnie zawierać muszą trudniejsze pojęcia i słowa, nawiązujące do współczesności. Wymagają tego, zresztą, konieczności rozwojowe dziecka. Makarenko stwierdza, że „książka nie powinna być ściśle stosowana do wieku małego czytelnika, ale wiek ten powinna wyprzedzać, powinna prowadzić dziecko na wyżyny, na których dotąd jeszcze nie było. Jeśli książka będzie zajmująca tylko dla ściśle

określonego wieku, będzie to zawsze zła książka, która nie wzbogaci ani wyobraźni, ani języka małego odbiorcy."

Borys Polewoj w referacie swym na II Zjeździe Pisarzy Radzieckich potwierdza spostrzeżenia Makarenki i domaga się, aby książka, wyprzedzając wiek czytelnika, dla którego jest przeznaczona, rozszerzała jego widnokręgi, pociągała go żywością obrazów, grą słów, uczyła w sposób wesoły i zabawny.

A tymczasem jakże często zdarza się u nas, że poetyckie ciocie przykucają obok dziecka i starają się w swoich wierszach imitować dziecięcy język za pomocą różnych ecie-pecie, kąpu-kąpu, ple-ple... Pewna dziewczynka po wysłuchaniu ze zdziwieniem tego rodzaju przemowy zapytała matki: „Mamusiu, dlaczego ta pani tak się wygłupia?"

3

Czytelnikowi niniejszego szkicu wydać się może dziwne, że cytuję wyłącznie pisarzy rosyjskich, ale cóż miałem począć, skoro na próżno szukałem jakichkolwiek wypowiedzi polskich krytyków albo pisarzy na temat poezji dla dzieci. Karst, Kierczyńska, Kott, Kubacki, Matuszewski, Śpiewak, Wyka — nie splamili dotąd swych piór oceną tej ważnej dziedziny literackiej.

Wszyscy nasi krytycy — te śpiące królewny kultury polskiej — wbrew oczywistej potrzebie społecznej i logice faktów zaniewidzieli na jedno oko i otoczyli zmową milczenia sprawę, której doniosłość rozumieli i Bieliński, i Tołstoj, i Gorki. Czyżby i w tym wypadku odstraszał mit „specyfiki", czyżby można było na serio usprawiedliwiać się brakiem znawstwa tej właśnie dziedziny twórczości?

Literaturą młodzieżową interesują się jeszcze różne czynniki zarówno partyjne, jak i państwowe, nawet krytyka poświęca jej nieco uwagi. Literatura dla dzieci młodszych nie obchodzi nikogo lub prawie nikogo. Wydawcy nie potrafili zachęcić do jej uprawiania dobrych poetów i zbyt łatwo godzą się z dezercją tych, którzy już próbowali swych sił na tym polu. Prasa literacka, zajęta sprawami wielkich i jakżeż nudnych dyskusji, traktuje literaturę dziecięcą jako problem drugorzędny, należący raczej do dziedziny gospodarstwa domowego niż do dziedziny kultury. Poważni mężczyźni, zajmujący się literaturą i krytyką, sprawy twórczości dla dzieci odstąpili z uczuciem ulgi swoim żonom i ciotkom, stwarzając pozory, iż jest to jeden z atrybutów macierzyństwa.

Przed kilku laty odbyło się rozszerzone Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Miało ono ocenić dorobek dotychczasowy w zakresie literatury dziecięcej oraz pobudzić pisarzy do zainteresowania się tą ważną sprawą, ale zawiodło i jedno, i drugie. Pierwsze takie zebranie w Polsce, które powinno było dźwignąć literaturę dla dzieci na wyższy poziom, które powinno było szeroko rozgłosić doniosłą jej rolę, przeszło blado, bez echa. Źle zorganizowane, obrazujące bałamutnie rzeczywisty stan omawianej literatury, pozbawione prawdziwie głębokiej troski o małych czytelników, stało się ono jedynie odfajkowaniem, pozornym załatwieniem problemu dla samouspokojenia kierownictwa Związku. Świadczy o tym chociażby fakt, że powzięte podówczas uchwały nie doczekały się dotąd realizacji.

Wielka i pasjonująca dyskusja, poświęcona literaturze dla dzieci, która odbyła się w r. 1952 w Związku Radzieckim, u nas przeszła niepostrzeżona, niczego nas nie nauczyła i nie zdołała przebudzić naszych śpiących królewien. Ten sam los spotka zapewne referaty Polewoja i Marszaka, wygłoszone na II Zjeździe Pisarzy Radzieckich.

Daleki jestem od mniemania, aby mój skromny głos mógł w drobnej chociażby mierze wypełnić ogromną, od dawna istniejącą lukę, aby mógł stać się skutecznym alarmem tam, gdzie piętrzą się masy powszechnej obojętności.

Pragnę jedynie usunąć przegrodę między poetami a dziećmi przez obalenie mitu „specyfiki", pragnę obudzić w poetach owo „dumne marzenie", aby z wierszy ich dzieci polskie czerpały swoje pierwsze wrażenia poetyckie, aby uczyły się na nich piękna polszczyzny i prawd życiowych.

Wędrując po rozmaitych zakątkach naszego kraju, w spotkaniach z dziećmi słyszałem zawsze i wszędzie skargi na brak dobrych książek. Te same żale wypowiadają bibliotekarki, nauczyciele, kierownicy księgarń. A pewna dziewczynka z Jarocina pod Poznaniem napisała do mnie w liście: „Kochany pisarzu, czy kochany pisarz nie mógłby powiedzieć w Związku Literatów, żeby było więcej książek dla dzieci, bo my nie mamy co czytać."

Przekazując prośbę małej dziewczynki z Jarocina, podejmuję apel Bielińskiego: piszcie, piszcie dla dzieci! Poeci starszego pokolenia i wy, poeci młodzi, którzy macie przodować naszej literaturze, nie lękajcie się straszaka „specyfiki", uprawiajcie tę piękną sztukę, jaką jest pisarstwo dla dzieci. Utworów waszych nie dostrzegą, być może, krytycy i pisma literackie, urzędy i działacze kultury, ale za to pozyskacie uznanie i zdobędziecie serca milionów małych czytelników, tych prawdziwych, wiernych przyjaciół pisarza i książki.

*Jan Brzechwa*

*Juliusz W. Gomulicki*

# KŁOPOTY »OSTREGO PIÓRKA«

## NIEZNANA SATYRA KAJETANA WĘGIERSKIEGO*

Przed wszystkim zalecam ci: trzymaj się Boala!
On, kiedy gromi zbrodnię, imion nie ocala;
Inaczej nic nie zdołasz. Satyra nie taka,
Zamiast poprawić, jeszcze zabawi łajdaka!

Fr. Zabłocki

Było to bodaj w r. 1935, w wielkiej sali Biblioteki Ordynacji Krasińskich na Okólniku, kiedy nieoceniony Wiktor Ziajowski — znający jeszcze mojego ojca, któremu nosił na Mariensztat różne „białe kruki", wypożyczane mu przez Zygmunta Wolskiego lub Stanisława Kętrzyńskiego do rozmaitych prac literackich — położył przede mną na stole bibliotecznym opasły rękopis z XVIII w. (zdaje się, że był to kodeks sygnowany numerem 3198), zawierający zbiór wierszy polskich z epoki Oświecenia, a pomiędzy nimi wiele nie drukowanych jeszcze satyr, epigramatów, erotyków i wierszy okolicznościowych pióra Kajetana Węgierskiego.

Siedziałem wówczas po uszy w poezji Oświecenia, badając rękopiśmienną twórczość Naruszewicza, Trembeckiego i Węgierskiego, szczególnie zaś tego ostatniego (1756—1787), jednego z najciekawszych i najbardziej postępowych poetów stanisławowskich, usuniętego w cień przez literaturoznawstwo burżuazyjne, które traktowało go prawie wyłącznie jako cynicznego libertyna i złośliwego paszkwilanta, szukającego w satyrze upustu dla swoich nie zaspokojonych ambicji. Nic dziwnego tedy, że każdy wzięty w rękę a nie znany dotychczas zbiorek jego utworów budził we mnie dreszczyk emocji. A może właśnie tutaj — myślałem sobie w takich razach — znajdę jakiś nowy utwór tego poety, nie spotykany w innych rękopisach osiemnastowiecznych, a rzucający nowe światło na jego życie i na jego twórczość satyryczną, która wprowadziła tyle pożądanego fermentu do ówczesnej literatury polskiej?

Z takim samym nastawieniem zabrałem się wówczas do wertowania owego rękopisu u Krasińskich.

Pierwsze karty znajdujących się tam Węgierscianów nie zapowiadały bynajmniej jakiegoś obfitszego połowu. Była tam, o ile dobrze pamiętam, znana

---

* Zob. Archiwum.

sielanka Węgierskiego *Hilas i Celeryna,* były jego wielokrotnie przedrukowywane listy, bajki i epigramaty, były również — często spotykane w rękopisach — mocno pieprzne wierszyki i zagadki. Dalsze karty przyniosły ponadto dwa znakomite, ale znane mi już z innych źródeł, *Spacery* po Warszawie, a po nich słynne *Portrety pięciu Elżbiet,* dwa *Listy z Warszawy* oraz uroczą próbkę polskiej *poèsie badine* — wierszyk *Na piersi Wiktosi,* posiadany już wtedy przeze mnie w odpisie z jakiegoś innego rękopisu. Bodajże od tego wierszyka właśnie rozpoczęła się dłuższa seria niespodzianek!

Najpierw tedy ukazały się w rękopisie dwa zupełnie nieznane, po hogarthowsku obrobione obrazki warszawskie (swawole paziów królewskich oraz sceny z jakiegoś kafehauzu), po nich wypłynęła równie nieznana i niespodziewana *Satyra moja,* na końcu wreszcie pojawiło się w pełnym tekście świetne *Spędzenie czasu,* drukowane dotychczas w jednym tylko fragmencie, a do tego mylnie przypisywane Trembeckiemu.

Połów nielada, zważywszy zwłaszcza na wielką rzadkość dobrze nakreślonych obrazków obyczajowych, których w poezji Oświecenia posiadamy stosunkowo niewiele, a które są tym bardziej interesujące, że oprócz walorów czysto literackich przynoszą jeszcze realistyczne odbicie ówczesnego życia potocznego, stanowiąc cenne uzupełnienie opisów pamiętnikarskich oraz szkiców rysunkowych.

Ciekawa rzecz, że moje późniejsze poszukiwania przedwojenne nie ujawniły ani jednego z wymienionych tu czterech wierszy w jakimś innym odpisie osiemnastowiecznym. Dopiero w r. 1943 czy 1944 wpadł mi w rękę — dzięki przyjacielskiej uczynności Tadeusza Mikulskiego — obszerny a nie znany mi przedtem rękopiśmienny zbiór wierszy polskich XVIII w. (własność Biblioteki Narodowej), w którym odnalazłem nowy odpis jednego z owych obrazków warszawskich (ze sceną w kafehauzie).

Wkrótce potem przyszło powstanie, a razem z nim przyszedł koniec na wszelkie kwerendy literackie. Ba, przyszedł koniec i na owe nieznane teksty Węgierskiego: spłonęły bowiem zbiory Krasińskich i Narodowej, spłonęły także moje odpisy poczynione w tych zbiorach. Gdym powrócił do kraju i rozejrzał się po ocalałych zbiorach rękopisów osiemnastowiecznych, wydało mi się nawet, że — oprócz wspomnianego już *Spędzenia czasu,* które wymieniano jeszcze w jednym z kodeksów Akademii — nie odnajdę już chyba ani jednego z owych czterech nieznanych wierszy, które napotkałem u Krasińskich. Było to na szczęście, jak i w wielu innych wypadkach, omyłką.

Następnym wierszem, który się odnalazł w r. 1952, rokując pewne powodzenie i dalszym nie ukończonym jeszcze poszukiwaniom, była dowcipnie napisana a równocześnie złośliwa *Satyra moja.* Natrafiłem na nią w Zbiorach Wilanowskich Archiwum Głównego, w kodeksie, który należał ongiś do Ignacego Potockiego (sygn. 204) i w którym, obok wielu innych nie znanych mi wierszy polskiego Oświecenia, znalazłem jeszcze drugie, niezwykle cenne *ineditum* Węgierskiego — dochowane w autografie poety! — a mianowicie jego długi list poetycki do Ignacego Potockiego, napisany w Kamieńcu Podolskim 14 listopada 1781 r., podczas pobytu w tym mieście króla Stanisława Augusta. List ten ogłoszę przy innej sposobności, teraz jednakże powracam do owej nieznanej satyry, która już samym swoim tytułem przypomina dwa inne, od dawna znane wiersze naszego poety z r. 1776; *Moją ekskuzę,* skierowaną do pijara-

wierszopisa Gracjana Piotrowskiego, oraz *Myśl moją,* przesłaną nieco wcześniej pod adresem Stanisława Bielińskiego, naówczas starosty garwolińskiego.

Wszystkie trzy wiersze są doskonałym przykładem charakterystycznej dla Węgierskiego maniery pisarskiej, polegającej na stałym uwydatnianiu swojej własnej osoby i swoich własnych poglądów, z równoczesnym — jak najsłuszniejszym zresztą — atakiem na rozmaite błędy i zdrożności współczesnych, a przede wszystkim na konkretne osobistości.

*Satyra moja* jest najpóźniejszym spośród owych utworów i pochodzi bodaj z r. 1779, a więc z tego okresu, w którym Węgierski — po raz ostatni już ostrzeżony, że jego następne wystąpienia przeciwko magnatom czy królowi spotkają się z groźnym odwetem — zaprzestał pisania ostrych satyr antymagnackich *ad personam* i przerzucił się do satyry obyczajowej, starając się zacierać ślady swojego autorstwa i atakując mniej groźnych przeciwników, których zemsta nie mogła mu tak bardzo zaszkodzić.

Myślę też, że ten utwór należy chyba umieścić u wstępu do owego drugiego okresu, jako ostatnią może refleksję zadzierzystego poety nad jego powołaniem i nad jego skłonnością do szydzenia z wszelkiej podłości i miernoty, bez względu na jej pozycję społeczną.

Skierował go klasycznym wzorem do własnego „piórka" — owego niepozornego a symbolicznego narzędzia pisarskiego, przed którym drżeli jednakowoż i które szanowali najpotężniejsi jego przeciwnicy.

Urągał temu pióru nawet poczciwy, ale zacofany pijar Gracjan Piotrowski, dziwnie lubiący skądinąd „swawolnisia" Węgierskiego oraz ceniący jego „rymy gładkie i dobitne":

Zgięty w prasie swych nieszczęść, przypadków, aż skoro
Posłyszy, że gdzieś wielbią jego słodkie pioro,
Lub też, że ostre jego ktoś satyry czyta,
Rzuca troski i zaraz do wierszy się chwyta (...)

Rdza, śniedź na rozum ludzki bywa próżna chwała,
Lecz tak się w duszach wieszczych powszechnie rozlała,
Że jednego na wszystkich trzeba by poloru,
Czy kto wśród dworu pisze, czy też wśród klasztoru.

Aleć ta mniej szkodliwa, choć spólna przysada;
Gorsza się dziś wrzepiła w naszych braci wada,
Że jadem ostrzą pióra, w niezbożności moczą
I tym się bardziej chełpią, im bardziej wykroczą.

Anonimowy nieprzyjaciel poety, który przywdział na siebie błazeński kostium Bielawskiego, doradzał Węgierskiemu inne zatrudnienie dla jego pióra:

Wierz mi, przepisuj raczej ustawy i listy,
Kiedy masz i zapłatę, i godność kopisty;
Kradnij fraszki z Woltera i z nim potem w parze
Łącz się, jak z Rafaelem sokalscy malarze,
A jeśli jeszcze nad to zbywają ci chwile,
Obróć je lepiej na sen niźli na paszkwile.

Jeszcze gwałtowniej przemawiał do poety jakiś nieznany z nazwiska najemny wierszopis, występujący w obronie króla i magnaterii przed ostrym piórkiem „młodzika“:

Nie przeto, że dziecinnych kilka zlepisz wierszy,
Masz rozumieć, że jesteś w ojczyźnie najpierwszy,
Ani tak, choćbyś i chciał, będziesz kiedy bystry,
Żebyś w dziełach i rządach naganiał ministry.
Wiedz i to, że z takiego, jakeś ty, warsztatu,
Co ostrym piórkiem tykać zwykli majestatu,
Z sprawiedliwego sądów marszałka wyroku
Biorą czasem nad Wisłą miesięczne po boku.

W ataku na Węgierskiego wzięli udział jeszcze inni poeci wysługujący się wielkim feudałom, m. i. Józef Epifani Minasowicz, surowo karcący „młokoska“, który niby szukał sławy za pomocą „potwarczych rymów“, po nim jakiś bezimienny obrońca „pięciu Elżbiet“ („Godzien-eś, cny poeto, by cię muzy rosą — Helikońską skropiły, co ją w kroku noszą“) oraz równie bezimienny obrońca marszałka Lubomirskiego, którego Węgierski zaatakował w alegorycznej bajce-satyrze *Lasek*. Zwróćmy uwagę na ciekawy szczegół, że wszyscy ci napastnicy atakowali poetę pod maską anonimu albo pseudonimu, Minasowicz zaś, który swoją napaść podpisał, wydrukował ją dopiero po wyjeździe Węgierskiego za granicę!

Poeta miał zresztą i obrońców, do których należeli m. i.: Stanisław Trembecki, Mateusz Czarnek oraz dwóch bliżej nie znanych poetów, z których jeden przybrał sobie nazwisko nie żyjącego już wówczas Korytyńskiego. Ten ostatni właśnie, przypominający stylem i słownikiem poetyckim Naruszewicza, apelował do Węgierskiego, aby nie rzucał przypadkiem swojego pióra:

Nie trzeba, żebyś swe pióro zaniechał:
Gdzie umysł niesie i dowcip wysoki
Rzucając ziemię, wzlatuj nad obłoki (...)

Z czasem ta zawiść gorąca ostygnie,
Co ciebie teraz lży, oczernia, kąsa;
Po chwili swojej dzikości się wzdrygnie,
Co cię przegryza i z gniewem się dąsa;
Złość długo nie trwa, a kiedy ta pryśnie,
Pamięć ci wieczna i sława zabłyśnie.

Węgierski początkowo tłumaczył się ze swoich ataków, ale tłumaczył niezbyt przekonywająco, co najlepiej chyba odbiło się w jego prawdziwie humorystycznym twierdzeniu, jakoby w swoich utworach nigdy nie atakował nikogo *ad personam*, starając się jedynie o wyszydzenie ogólnych przywar społecznych:

Zawszem się starał o to, aby szydząc z wady
Nigdy szczególnych osób nie brać za przykłady.
To tylko mam nieszczęście, że czytając chciwie,

Zdarzyło mi się nieraz malować szczęśliwie
I, lubom nie chciał ściągnąć niczyjej urazy,
Rozumiał świat złośliwy poznać swe obrazy.

Możemy sobie wyobrazić, jakim homerycznym śmiechem ów „świat złośliwy" przyjął tego rodzaju zapewnienia!

W *Satyrze mojej* nie było już miejsca na podobne żarciki, toteż poeta — zapowiadając szczerą poprawę złośliwego „piórka" — przyznawał się w końcu do dawnych grzechów... umyślnych, a wykorzystując pomysł użyty przez swego mistrza Boileau w jednej z jego satyr (Satyra II: *À Molière. Accord de la rime et de la raison,* w 11—12), twierdził, że jest ofiarą... rymu, który zawsze mu podpowiada odpowiedniki niezgodne z rzeczywistością!

Oto, jak brzmi wspomniany ustęp satyry Boileau w polskim przekładzie księdza Gorczyczewskiego (1805), zwanego przez Korbuta „pogromcą obskurantów":

Ja zaś, który dziwacznym wiedziony kaprysem,
Za me, jak sądzę, grzechy jestem rymopisem,
Kiedy kunsztu trudnego chcę zbierać owoce,
Kiedy się nad rymami morduję i pocę,
Często się przez dzień cały mozolę na marno:
Gdzie chcę napisać: biało, tam się składa: czarno.
Chcę rzec, czyich pism żadna nie szpeci zakała:
Na miejscu Wergilego rym stawia — Rafała.
Chcąc wydać wdzięki bóstwa do pieszczot stworzone,
Zamiast Cytery, pióro w rym sadzi — Gorgonę.
Wiary i wstydliwości kryśląc wzór jedyny,
Rozum chce Penelopy, a rym żąda — Fryny.
Wreszcie, choć z wytężenia ledwie mózg nie pryśnie,
Rym wszystko wspak obraca i zły wyraz wciśnie.

Używszy w swoim utworze owego podstępnego boalowskiego chwytu Węgierski uzyskał za jednym zamachem jeszcze dwie korzyści: po pierwsze udało mu się jeszcze raz ostro przejechać po paru pogardzanych czy też lekceważonych przez siebie osobistościach (Ponińskim, Sapieże, Bielawskim, Działyńskim, Bronikowskiej), po wtóre — zasygnalizował w ten sposób, że gdyby mu się w którymś z najbliższych wierszy wyśliznęła jakaś niespodziewana pochwała lub nagana, to wolno ją odczytać według metody zastosowanej w obecnej satyrze. Metodę tę zresztą zademonstrował natychmiast na sobie samym, pisząc o sobie jako o wysokim, grubokościstym, szkieletowato chudym dystrakcie, podczas gdy w rzeczywistości był niskim, delikatnie zbudowanym i okrągławym krótkowidzem!

Warto jeszcze zaznaczyć, że wspomnianą tu drugą satyrę Boileau naśladował podczas Sejmu Czteroletniego Alojzy Feliński w swoim znanym wierszu *Do Stanisława Trembeckiego,* wyraźnie wykorzystując zresztą dobrze mu widać znaną satyrę Węgierskiego, a nawet w jednym wypadku prawie dosłownie powtarzając przykłady osobowe swego polskiego poprzednika:

Zawsze ten rym przeklęty najwięcej zatrudnia,
Daremnie go od świtu szukam do południa.
Nigdy mi podług myśli nic się nie udało,
Kiedy potrzeba czarno, to wypada — biało.
Gdy chcę wytknąć, kto z obcym na kraj czyni zmowy,
Na złość mi się nasuwa marszałek sejmowy.
Gdy wymieniam, kto z mówców sejm zaszczyca polski,
Rozum mówi: Potocki, a rym — Suchodolski.
Gdy najlepszych w narodzie rymotwórców liczę,
Sami na koniec wiersza spieszą Marewicze.
Tak, cokolwiek bądź Muza moja śpiewać zacznie,
Wszystko mi, jak na przekór, wypada opacznie.

Dodajmy jeszcze, że w okresie Sejmu Czteroletniego zwyciężyła nareszcie praktykowana przez Węgierskiego zasada imiennego ataku satyrycznego, rodząc setki znakomitych, tchnących szczerze obywatelskim i patriotycznym duchem, paszkwilów i walnie pomagając stronnictwu reformy (a później jakobinom warszawskim) w ich zaciętej walce z feudalizmem.

Swego rodzaju patronem i prekursorem tej walki był Węgierski, którego jadowite wiersze stały się wtedy ideowym i artystycznym wzorem dla paszkwilantów-patriotów, odciskając się wielokrotnie na ich ówczesnej twórczości. *Portrety pięciu Elżbiet* spowodowały podobne sportretowanie piórem kilkunastu ówczesnych arystokratycznych intrygantek, listy i satyry dostarczyły gotowego materiału do scharakteryzowania wielu umitrowanych i wyinfułowanych szkodników, a krytyczna „moralizacja" przy czwartej pieśni *Organów* natchnęła nieznanego autora (podobno był nim Kossakowski) do napisania głośnej satyry *Żądania próżne,* w której znakomicie wyszydzono króla i jego ministrów. Ten ostatni utwór przypisywano nawet pióru Węgierskiego, który wtedy już od dwóch lat spoczywał na cmentarzu w Marsylii!

Możemy śmiało powiedzieć wobec tego, że zwyciężyła wówczas poetyka „ostrego pióra".

Znalazło to nawet symboliczne pokwitowanie w znanym wierszu Franciszka Zabłockiego (jeżeli to on na pewno jest jego autorem) pt. *Objawienie się geniusza satyry autorowi paszkwilów,* w którym ów „geniusz" (duch opiekuńczy) w ten sposób przemawia do satyryka:

Daję ci moje pióro; tym końcem tak pisze,
Jak niegdyś Persyjusze, jak Juwenalisze
I jak wasz Naruszewicz, tym tak, jak Horacy,
Jak Krasicki — nie mocno dość dla was, Polacy!
Wasi zbrodnie twardszego są nad rzymski grzbietu,
Nie czują kłucia pióra, gdy nie ma sztyletu!

Gdyby żył wówczas Węgierski, byłby zapewne — obok Franciszka Zabłockiego — głównym przedstawicielem tych właśnie satyryków, którzy posługiwali się ostrzejszym końcem owego pióra!...

*Juliusz W. Gomulicki*

*Tomasz Kajetan Węgierski*

# SATYRA MOJA

Piórko, co chętnie cudze malujesz śmieszności,
Przyznaj, że gdyby równał dowcip twojej złości,
Samą tylko szanując, choćby śmieszną, cnotę,
Mściłobyś i na tronie haniebną robotę,
A równo wszystkie głupstwa wytykając szczyrze,
Począwszy choć od *Żydka* [1], kończąc na *Alzyrze* [2],
Nie uszedłby twej chłosty żaden autor płaski —
Czy go zowią Sapieha, czyli też Bielawski.
Lecz daremnie, me piórko, piszesz i poprawiasz,
Choć jedne głupstwo zmażesz, to ich sto zostawiasz:
Tuś niepotrzebnie głupim zrobiło Essena [3],
Niżej trochę, na wywrót, lichwiarzem Hilzena [4],
A rym u ciebie — z rzeczą ustawnie niezgodny —
Gotów nam Działyńskiego [5] chwalić dowcip modny.
Gdy chcesz obywatela malować dobrego,
Rozum stawia-ć Pisarza [6], rym zaś — Ponińskiego [7]...
A gdy imię Krajczyny [8], co piękność maluje,
Z Bronikowską [9] dla miary obok się znajduje,
Chętnie cię już, niewdzięczne, rzucam, moje pióro.
Tyś na Miera [10] wylała twe dary, naturo!
Ani mi wolno, w jego źle wstępując ślady,
Tych, których gwiżdże, śmieszne pomnażać przykłady.
Lecz, byś się poprawiło i wiecznie, i szczyrze,
Zakończmy, moje piórko, na własnej satyrze,
A odtąd — już skromniejsze — widź, wiele śmieszności
Można w mojej osobie umieścić bez złości.
Wiedz, że się podobało dziwacznej naturze
W trzechłokciowej mą duszę osadzić figurze [11].
Na cóż się to przydało? — kiedy mi nie dała
Do stufuntowych kości i sześć funtów ciała [12].
Tak, bardziej niż do człeka podobny do cienia,
Do zabawienia-m trudny, łatwy do znudzenia,
A gdym próżnie w głębokich myślach zatopiony,

Minąwszy ludzi — późne czynię im pokłony [13].
Więc gdy mój umysł wszystko dziś cierpliwie znosi,
Powiem w sekrecie, że go niestatek unosi.
Mówią nawet — i pono nie są to już żarty —
Że bywasz, mój umyśle, czasem i uparty.

## PRZYPISY

Obecny pierwodruk satyry Węgierskiego został oparty na jej odpisie zachowanym w Zbiorach Wilanowskich Archiwum Głównego, Rps 204 (niefoliowany), w którym nie podano zresztą nazwiska autora. Przypisy, których nie było w kodeksie Bibl. Krasińskich (zob. s. 171), dodano w tym odpisie obcą ręką, na samym końcu wiersza. Sygnuję je poniżej dodatkiem „przyp. kop.".

[1] „*Żydek*, sławna komedia Bielawskiego" (przyp. kop.). — Mowa tu o Józefie Bielawskim (1739—1809), miernym komediopisarzu i wierszopisie, którego komedia *Natręty* była pierwszym utworem wystawionym na pierwszej publicznej scenie warszawskiej w r. 1765. Bielawski przeszedł do potomności nie tyle dzięki swoim pracom literackim, ile dzięki złośliwym ucinkom swoich prześladowców, którzy pisali do niego żartobliwe wiersze, podrabiając z kolei jego rzekome odpowiedzi i mieszając go w ten sposób do licznych utarczek literackich. Pierwszy rozpoczął tę zabawę Węgierski (w marcu 1776 r.), a kontynuowali ją: Benedykt Hulewicz, Stanisław Potocki, Trembecki, Niemcewicz, Onufry Kopczyński, Michał Wyszkowski i wielu innych. Wspomnianej tu komedii *Żydek* nie znajdujemy w bibliografii Bielawskiego, może więc jest to po prostu aluzja do jego rzekomego pochodzenia (Niemcewicz twierdził, że Bielawski był synem hetmana w. k. Jana Klemensa Branickiego i jakiejś nieznanej Żydówki).

[2] „*Alzyra* nowo przetłumaczona przez ks. Sapiehę" (przyp. kop.). — Wolterowska *Alzyra* była w XVIII w. tłumaczona co najmniej czterokrotnie na język polski: w r. 1750, 1754, 1779 i 1780. Pierwsze dwa przekłady, dokonane przez pijarów, nie wchodzą oczywiście w rachubę; czwarty był dokonany prozą przez Ignacego Lachnickiego (na polecenie hetmana Ogińskiego), tu więc zapewne mowa o trzecim, anonimowym, który ukazał się w Warszawie w r. 1779, nakładem Dufoura (Estr. XXXIII, 308). Wspomniany jako tłumacz Sapieha — mógł to być albo nie żyjący już wtedy Michał Antoni Sapieha (zm. 1760), podkomorzy litewski, który przetłumaczył również *Zairę* i *Henriadę* Woltera, albo też (jeśli ta sztuka była naprawdę „nowo przetłumaczona") — Kazimierz Nestor Sapieha (1757—1798), generał artylerii litewskiej, który w r. 1776 wrócił do kraju ze studiów za granicą i który parał się po trosze wierszopisarstwem. Byłaby to już nie pierwsza łatka przyczepiona mu przez Węgierskiego!

[3] Essen August Franciszek (1720—1792), w latach 1763—92 rezydent saski w Warszawie. Człowiek rozumny i uczciwy, ale zgryźliwy mizantrop i weredyk, zawzięcie krytykujący życie polskie w swoich relacjach poselskich wysyłanych do Drezna. Jedno z jego powiedzeń brzmiało: „bez czapki i papki nie masz Polacy".

[4] Hilzen Józef (1736—1786), od r. 1769 wojewoda mścisławski. Podróżnik i miłośnik nauk, znany ze swojej rozrzutności oraz z zamiłowania do hazardowych gier karcianych. Dobry znajomy Węgierskiego, z którym spotykał się później za granicą (w r. 1784 poeta wygrał od niego 150 dukatów węgierskich!).

[5] „On dit, qu'il fait les *Délices de Varsovie*" (przyp. kop). — Ów Działyński to chyba kolega szkolny Węgierskiego, Ignacy Działyński (1754—1797), wojewodzic kaliski, który ok. 1779 r. wrócił do Polski z wojażu zagranicznego, a w 1780 kupił od Alberta Miera patent na rotmistrza kawalerii narodowej. Nic nie wiemy o jego pracach literackich, zwłaszcza zaś takich jak owe *Délices*, które — sądząc po tytule, naśladującym tytuły podobnych wydawnictw francuskich — musiały mieć za przedmiot intymne życie rozrywkowe w stolicy.

[6] Pisarz to Ignacy Potocki (1750—1809), od r. 1773 pisarz w. litewski, później wybitny działacz na Sejmie Czteroletnim. Potocki i jego żona (Elżbieta z Lubomirskich) byli zaprzyjaźnieni z Węgierskim, który skierował do nich kilka wierszy, zawsze się pochlebnie wyrażając o zaletach umysłowych Pisarza. „Rozum" Potockiego chwalił już w swoim wierszu

*Do Ignacego Potockiego* w r. 1777, a w drugim wierszu — z r. 1781 — zwracał się do niego w następujących słowach:

Ty, w którym prace dowcipu nie gaszą,
Co jednym piórem, przez talenta rzadkie,
Piszesz projekta i wirszyki gładkie!

[7] Poniński Adam Łodzia (zm. 1798), podskarbi w. koronny, niesławnej pamięci marszałek sejmu „delegacyjnego" (1773—75), na którym uchwalono pierwszy rozbiór Polski. Zdrajca narodu, płacony z carskiej szkatuły za wysługiwanie się rządowi rosyjskiemu. Węgierski kilkakrotnie napiętnował go w swoich satyrach, chociaż zawsze bez wymienienia nazwiska (por. wiersze *Obywatel prawy, Do Bielińskiego, Spacer nocny po Warszawie* oraz poemat *Organy*).

[8] Krajczyna to Teresa z Ossolińskich Potocka, wojewodzianka wołyńska, żona Józefa Potockiego, od r. 1767 krajczego w. koronnego. Słynna ze swej wielkiej urody, potrafiła zachować ją przez długie lata i jeszcze w r. 1792, kiedy liczyła około pięćdziesiątki, nie ustępowała — według Niemcewicza — takim ówczesnym pięknościom, jak: Aleksandrowa z Chodkiewiczów Lubomirska, podskarbina Kossowska, Julia z Lubomirskich Potocka czy pani Mirska z Litwy. Ignacy Krasicki nazywał ją w r. 1793 „piękną krajczyną".

[9] Pewnie tu mowa o Marii z Unrugów Bronikowskiej, pierwszej żonie Samuela Bronikowskiego, szambelana Stanisława Augusta, sekretarza Rady Nieustającej, a w r. 1778 asesora sądów zadwornych asesorskich z prowincji wielkopolskiej.

[10] Mier Albert (zm. 1831), starościc buski, do 1780 rotmistrz kawalerii narodowej, później targowiczanin. Mier, który pisywał również zgrabne wierszyki, był wówczas jednym z przywódców modnej młodzieży warszawskiej. Dobry znajomy Węgierskiego i Trembeckiego, który skierował do niego w r. 1784 słynny wiersz, zaczynający się: „Zazdrości naszej godne twe chwile". Dodam tu marginesowo, że kończąca ten wiersz anegdota o początku Franków (Francuzów) została przez Trembeckiego zaczerpnięta — jak o tym wyraźnie świadczy nie zauważony przez ostatniego wydawcę (J. Kotta) przypisek w rękopisie Bibl. Kórnickiej 526.IV.47, s. 83 — ze słynnej w owych czasach książki Mme de Graffigny *Lettres d'une Péruvienne* (w wyd. amsterdamskim, 1748, s. 29—31). Trembecki przypomniał sobie pewnie tę anegdotę czytając polski przekład Jacka Przybylskiego (Warszawa, Gröll, 1784, kolportaż od 21 sierpnia), w którym mieści się ona na s. 34—35. Może wziął nawet ten przekład do karety podróżnej, która zabrała go pod koniec sierpnia do Heilsberga, w gościnę do autora *Monachomachii?*

[11] Byłby więc rzekomo wysoki (ówczesne 3 łokcie to ok. 180 cm), w istocie jednak poeta był niewielkiego wzrostu (por. jego wiersz *Ostatni wtorek:* „Co za tłok! przejść nie można, pcham się sobą całym, — Jakie to jest nieszczęście być ślepym i małym!").

[12] To znowu żartobliwe odwrócenie rzeczywistych faktów, ponieważ Węgierski nie był bynajmniej szkieletowato chudy, ale wprost przeciwnie — dobrze zaokrąglony (por. jego portret, pędzla Mirysa, z końca r. 1772).

[13] Te „późne pokłony" nie były spowodowane zatopieniem się poety „w głębokich myślach", ale po prostu jego krótkowzrocznością (por. przypis 11). Znowu więc konsekwentne odwrócenie stosunków rzeczywistych!

UWAGA. Zacytowane lub wspomniane na s. 173—74 wiersze przeciwko Węgierskiemu (Piotrowskiego, anonimowego obrońcy ministrów oraz anonimowego obrońcy „pięciu Elżbiet") a także w jego obronie (pseudo-Korytyńskiego i Czarnka) pochodzą z paru mało znanych rękopisów osiemnastowiecznych i zostaną w całości wydrukowane w przygotowywanym przez wydawcę wyborze wierszy Węgierskiego, mającym się ukazać w ramach „Biblioteki Narodowej", jako wstęp do krytycznego wydania wszystkich pism tegoż poety, które znajduje się już od paru lat na warsztacie wydawcy.

Podał do druku i przypisami opatrzył
*Juliusz W. Gomulicki*

*Jerzy Wyszomirski*

# Z POWODU WYDANIA GOETHEGO*

## GWYNPLAINE

Niech mi wolno będzie zacząć od wspomnienia osobistego. Było to dawno: latem roku 1929. Spędziłem to lato w Niemczech, przedhitlerowskich jeszcze, i kilka tygodni przesiedziałem w Berlinie. Byłem wówczas całkiem młody, świeży, wrażliwy, czuły i bardzo chłonny. W Berlinie zamieszkałem przy Bayreuther-Strasse, niedaleko Viktoria Luise-Platz, i codziennie z rana szedłem na ten plac, by wsiąść do tramwaju i jechać tam czy ówdzie — na zwiedzanie miasta. Któregoś ranka mój tramwaj jakoś nie nadjeżdżał. Usiądę tu na ławeczce, poczekam — powiedziałem sobie. I poszedłem ku ławce, a właśnie siedział na niej jakiś pan, pochylony, z łokciami opartymi na kolanach, trzymając w rękach laskę, którą gmerał w piasku. Zbliżałem się do niego od jego lewej strony: widziałem jego profil. Młody był, może trzydziestoparoletni, wygolony, przystojny, z bujną, jasną czupryną. Usiadłem na drugim końcu ławki. Usłyszałem, że mój sąsiad, też pewnie czekając na tramwaj, dla zabicia czasu śpiewa sobie półgłosem — nie wiem, czy według melodii Schumanna, Schuberta czy może Liszta: *Über allen Gipfeln ist Ruh'... warte nur, balde... warte nur, balde ruhest du auch... ruh-est-du-auch...*

— Ach, Goethe! — wymknęło mi się mimo woli.

Człowiek odwrócił się do mnie całą twarzą i powiedział:

— *Jawohl, mein Herr, Goethe. Aber Sie sind wahrscheinlich ein Slave, vielleicht ein Pole, nicht wahr?*

Zanim zrozumiałem, że widocznie nie wymówiłem słowa „Goethe" z właściwą muzykalnością samogłosek i ucho niemieckie tego człowieka wyczuło we mnie natychmiast cudzoziemca; zanim mu odpowiedziałem — cofnąłem się na ławce, odskoczyłem niemal z przerażeniem i odrazą.

— Przepraszam pana bardzo — szepnąłem po chwili, wstrząśnięty do głębi, zmieszany, oblany rumieńcem wstydu.

---

* Jan Wolfgang Goethe: *Dzieła wybrane* w czterech tomach pod redakcją i ze wstępem Jana Zygmunta Jakubowskiego i Anny Milskiej: tom I: *Utwory poetyckie;* tom II: *Utwory dramatyczne;* tom. III: *Ifigenia w Taurydzie, Torquato Tasso, Faust;* tom IV: *Utwory prozą.* PIW. Warszawa, 1954. — Jan Wolfgang Goethe: *Wybór poezji,* opracowała Zofia Ciechanowska. Bibl. Nar. Seria II Nr 48, Ossolineum—Wrocław, 1955.

— O, nie szkodzi — odrzekł, usiłując się uśmiechnąć. — Przyzwyczaiłem się do tego, że ludzie na mój widok odskakują. Czasem nawet umyślnie tak ich straszę.

Człowiek ten nie miał prawej połowy twarzy. Zamiast policzka jakaś plama sino-czerwona, jak kawał surowego, zepsutego mięsa, poszarpana, pobliźniona, pomarszczona, spod której wyłaniały się szczęki i zęby. Plama sięgała kącika oka i pokrywała małżowinę uszną, zwisającą dziwacznie, zwiniętą jak strączek.

— Zna pan Goethego — powiedział — więc pewnie zna pan i Wiktora Hugo. Może pana zaciekawi, jacy to nowocześni *comprachicos* zrobili ze mnie takiego Gwynplaine'a? Zresztą — ciągnął nerwowo — powtarzam to każdemu, kto mnie po raz pierwszy widzi i kto mi się ciekawie przygląda. Umiem na pamięć te słowa Gwynplaine'a: „Ja jestem symbol: przedstawiam ludzkość całą — tak, jak ją zeszpecili jej władcy, czyniąc jej krzywdę niewypowiedzianą, zniekształcając jej prawo i sprawiedliwość, umysł i rozum, jak mnie oczy, nozdrza i uszy..." A podobno powinienem jeszcze dziękować Bogu i lekarzom, że mnie odratowali, bo mógłbym nie żyć. To — wojna. Pamiątka spod Ypres. Cały mój prawy bok, szyja, ramię, biodro, noga tak wygląda... A mam trzydzieści pięć lat: byłem niebrzydkim, zdrowym chłopcem...

Rozmawialiśmy potem długo. Niejeden tramwaj nadjechał i odjechał. Był żołnierzem czasu pierwszej wojny światowej. Najpierw walczył na ziemiach polskich, rozumiał nawet trochę po polsku, stąd domyślił się, że jestem Polakiem. Potem od roku 1917 przerzucono jego pułk na front zachodni: tam właśnie latem odbyła się owa wielka kontrofensywa angielska. Powiedział mi wiele rzeczy. Powiedział, że wszyscy ludzie i wszystkie narody mogą się porozumieć, tylko te rządy... *o, die Regierungen!* — zgrzytnął swymi obnażonymi zębami.

Nie wiedziałem wtedy, że i to zdanie wziął z Goethego; dopiero znacznie później wyczytałem je gdzieś w pismach „wielkiego Olimpijczyka": „Nie można żądać od narodów, żeby myślały jednakowo, natomiast powinny się wzajemnie rozumieć, uznawać i szanować".

On zaś mówił dalej, że... no cóż? Cóż mu w życiu pozostało? *Über allen Gipfeln — Ist Ruh' — In allen Wipfeln — Spürest du — Kaum einen Hauch — Die Vögelein schweigen im Walde — Warte nur, balde — Ruhest du auch... Balde ruhest du auch* — powtórzył, kiwając głową i przyciskając rękę do serca — *du, dummer Kerl.*

## PONAD WYŻYNAMI

Muszę wyznać, że od owego spotkania, które opisałem tu pokrótce, lecz z całą prawdą, Goethe w mojej świadomości skojarzył się nierozerwalnie z tym swoim króciuteńkim *Śpiewem nocnym wędrowca* i z tym pokrzywdzonym człowiekiem — żywą, chodzącą, kalectwem swym o pomstę do nieba wołającą ofiarą wojny. Ilekroć mówię czy słyszę „Goethe", te dwie reminiscencje natychmiast odżywają we mnie — mówiąc romantycznie: jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Więc, kiedym wziął do rąk cztery tomy Goethego i jego *Wybór poezji,* wprost odruchowo zacząłem szukać *Śpiewu wędrowca.* Znalazłem trzy przekłady: 1) Leopolda Staffa, 2) Gabriela Karskiego i 3) Jadwigi Gamskiej-Łempickiej. Oto one — porządkiem wymienionych tłumaczów:

1) „Wierzchołki wzgórz — spowite w ciszę — drzew żaden już — wiew nie kołysze — śpi las — i ptactwo w gęstwinie — i tobie ninie — spocząć już czas". 2) „Cisza w wyżynie — ze szczytów drzew — żaden nie płynie — ku tobie wiew — wśród sennej mgły — ptactwo w gęstwinie przycichło — zaczekaj, rychło — spoczniesz i ty." 3) „Ponad wyżynami — ścichł wiew — między koronami — drzew — ani szmeru, ledwie tchnienie drży — ptactwo w lesie umilkło — już chwila tylko — ścichniesz i ty".

Który z nich jest najładniejszy, najlepszy, najmelodyjniejszy, najwierniejszy — trudno mi orzec. I zbyt złożona byłaby to sprawa poddawać je tu rozbiorowi — obrazowemu, uczuciowemu, filologicznemu, wersyfikacyjnemu itp. Natomiast przytoczę tu, co sam Goethe powiedział o istocie wiersza: „Nie wszyscy to rozumieją, jak wielkie znaczenie dla wiersza ma temat. To piękny wiersz — mówią — i myślą jedynie o słowach i rymach. Nikt jednak nie dostrzega, że istotna siła i przyczyna działania wiersza tkwi w temacie. Toteż powstają tysiące wierszy, których wątek jest jedno nic, a które zwodzą nas nagromadzeniem słów i dźwięcznych rymów". Co zaś do tłumaczeń w ogólności, nawet najznakomitszych, nawet piórem arcymistrzów dokonanych, kto wie, czy nie miał słuszności Cervantes, mówiąc, iż są one jako owe kobierce ścienne flandryjskie, gdy się na nie spojrzy od strony odwrotnej: ta sama przędza, te same złote nici, ten sam obraz i rysunek, tylko wszystko jakoś przestawione. Można by tu dodać zdanie pani de Staël o przekładach poezji: „Tłumaczenie powinno być miarą rozkoszy, jaką daje oryginał. Tłumaczyć poetę nie znaczy to odtworzyć przy pomocy cyrkla wymiary gmachu; znaczy to ożywić tym samym tchnieniem odmienny instrument. Pożądana jest raczej przyjemność tego samego rzędu niżeli ścisłe podobieństwo rysów."

Z komentarzy Zofii Ciechanowskiej do owej *Pieśni* Goethego dowiedziałem się, że oprócz trzech cytowanych poetów naszych tłumaczyło ją jeszcze dwudziestu innych, poczynając od J. B. Zaleskiego i Lenartowicza, kończąc na współczesnych, jak Lewin i Sztaudynger. Ogromna to ilość. Podobnie zresztą rzecz się ma z przekładami *Pieśni* na inne języki europejskie. Snadź nęci ona poetów, nie daje im spokoju. Dlaczego? Czy tylko dlatego, że w liryce Goethego jest istotnie szczytem prostoty, głębi, zwięzłości i zadumy, jak u Mickiewicza *Polały się łzy?* *) Więc przełożyć ją to znaczy dokazać *tour de force,* zrobić *Meisterstück* poetycki, który zaświadczy o potędze talentu tłumacza. A może właśnie kusi jej wieczystość, jej „cisza przedstworzenia", w której przecież słychać „falę czasu płynącą ze szmerem nieustannym". *Tempus fugit — aeternitas manet.* Czymże jest jednostka ludzka? Pyłkiem. A zatem: *ich liebe dich, o Ewigkeit!* — jak powiedział inny poeta.

Jakkolwiek jest, wiersz ten w życiu Goethego stał się filozoficzną zworą, spinającą jego dojrzałą młodość z chwilą ostatnią, przedzgonną chwilą majestatycznej sędziwości. Powinniśmy być wdzięczni Zofii Ciechanowskiej, że w swym życiorysie poety przypomniała nam ten fakt. Napisał Goethe tę *Pieśń* mając lat trzydzieści, pewnego wieczora wrześniowego 1780 r., na ścianie domku myśliwskiego na górze Gickelhahn w Lesie Turyngskim. Na pół roku przed śmiercią, gdy zakończył ostatecznie drugą część *Fausta* i na rękopisie

---

* Rzecz ciekawa, jak też ten pięciowiersz Mickiewicza przetłumaczyć na jakiś inny język? — J.W.

wycisnął swą pieczęć, odbył na Gickelhahn wycieczkę, by odwiedzić miejsce ukochane w młodości. Przeczytał na ścianie wiersz stworzony przed pół wiekiem. Serce mu pewnie drżało. Lecz pewnie pokiwał głową. *Warte nur, balde ruhest du auch* — powtórzył. Wrócił do Weimaru. Spokojnie powitał śmierć, która nadeszła dnia 22 marca r. 1832. „Nazajutrz po śmierci Gothego — pisze Eckermann — ogarnęła mię głęboka tęsknota: zapragnąłem ujrzeć raz jeszcze jego cielesną powłokę. Nagie ciało było spowite w białe prześcieradło. Wierny sługa Fryderyk zdjął prześcieradło — i zdumiałem się pięknością tych członków. Na jego szlachetnej twarzy malowały się wielki spokój i dostojeństwo. Potężne czoło zdawało się jeszcze ukrywać myśli. Pierś miał szeroką i wypukłą, ramiona i nogi pełne, łagodnie muskularne, stopy o najszlachetniejszym kształcie i na całym ciele ani śladu otyłości, wychudzenia czy zniszczenia. Przede mną leżał w całej swej piękności człowiek doskonały: zachwyt, jaki odczułem na ten widok, pozwolił mi zapomnieć na chwilę, że nieśmiertelny duch opuścił już tak świetną powłokę."

Tak miał wyglądać 82-letni starzec po śmierci. Cóż dopiero za życia. Cóż dopiero w rozkwicie sił i urody. Wszyscy jego współcześni zgodnie utrzymują, że natura pod tym względem obdarzyła go wyjątkowo hojnie. „Oto człowiek!" — powiedział Napoleon, widząc go po raz pierwszy. Nasz zaś Odyniec w tych nieco nieopanowanych słowach opisuje wrażenie, jakie sprawił na nim Goethe, gdy wraz z Mickiewiczem odwiedził go w Weimarze: „Otworzyły się drzwi i wszedł — Jupiter! Gorąco mi się zrobiło. I bez przesady jest w nim coś jowiszowego. Wzrost wysoki, kształt kolosalny, twarz poważna, imponująca — a czoło! W nim to właśnie jest ta jowiszowość: bez diademu świeci majestatem!" Ta „posągowość" Goethego zrodziła zapewne rozpowszechnioną legendę o „boskim Olimpijczyku".

## WYBRAĆ NIEŁATWO

Dwadzieścia trzy przekłady jednego wiersza Goethego wskazują chyba najlepiej na trudności, jakie wyrastają przed układaczami wyborów jego poezji. Co tu wybrać? Zwłaszcza, że nie tylko *Pieśń* znalazła tak wielu tłumaczów. *Króla olch* np. *(Erlkönig)* przekładało osiemnastu poetów, *Rybaka* — czternastu, *Króla w Thule* — dwunastu, *Prometeusza* — dziesięciu, *Ucznia czarnoksiężnika* — dziewięciu itp., itp. Który z przekładów wybrać? Jakie probierze stosować? Zastanawia się nad tym Zofia Ciechanowska: mówi, że należy brać pod uwagę wierność i ścisłość tłumaczenia, rytmikę i nastrój, obrazowanie i wersyfikację. Zapewne. Wszelako tak czy inaczej rozstrzyga koniec końców upodobanie, smak i swoje widzenie rzeczy układacza. Toteż w wydaniu Ossolineum znajdziemy np. *Ucznia czarnoksiężnika* w starym przekładzie Kazimierza Brodzińskiego, w wydaniu zaś PIW-u tegoż *Ucznia* — w nowoczesnej wersji pióra Hanny Januszewskiej. *Prometeusza* daje Ossolineum w dwóch przekładach: Staffa i Feldhorna, PIW zaś — w tłumaczeniu Iwaszkiewicza. Oto początek tego wiersza o rytmie bardzo nierównym, tętniącym jak staccato. Staff: „Zakryj swe niebo, Zeusie — Oparem chmur — I ćwicz się jak pacholę — Co ścina osty — Na dębach i gór szczytach. — Tylko mi nie tknij — Mojej ziemi, — Mej chaty, którejś nie zbudował, — I mego ogniska, — Któ-

rego żaru — Zawidzisz mi.“ Iwaszkiewicz: „Zakryj twoje niebo, Zeusie, — Zasłoną chmur — I ćwicz się niby mały chłopiec, — Ciskając do celu — W wysokie dęby i w szczyty gór. — Ale musisz zostawić mi — Ziemię moją — I moją chatę, którejś nie budował, — I moje ognisko, — Którego żaru — Zazdrościsz mi.“ A teraz Juliusz Feldhorn (przekład z r. 1932): „Nuże, niebiosa swe, Zeusie, — Powlekaj zasłoną chmur — I małym chłopiętom podobny, — Depcącym chwasty, — Wdrzewiaj się w dęby, trzęś graniami gór. — Ale tej ziemi padolnej — Odebrać mi nie potrafisz — Ni chaty mej, której zrębów w pion nie podniosłeś, — Ani ogniska mego — Spłomienionego żarem, — Choć wiem, że i tego mi zajrzysz...“ Przekłady Staffa i Iwaszkiewicza są doskonałe i zapewne bardzo wierne (nie mam pod ręką oryginału i nie mogę tego sprawdzić): dowodzi tego choćby podobieństwo ich rytmiki i zbieżność niektórych wyrażeń, okazując, że tam, gdzie można było, obaj poeci tłumaczyli dosłownie. Przekład Feldhorna w porównaniu z nimi jest słaby, bo rozwodniony, a jednocześnie przyciska niepotrzebnie pedał; przy tym słownictwu słusznie można zarzucić manierę „młodopolską“, w żadnym razie nie przystającą do Goethego: owo „wdrzewianie się“, „trzesięnie graniami“, „ziemia padolna“, „zręby chaty“... A dalej mamy jeszcze: „żertwę“, „sycić mus“, „zżerać trzewia“, „piać hymny“... Cały przekład zda się być stylizowany według *Hymnów* Kasprowicza. Sama układaczka w przypisku zaznacza, że „przekład ten w niektórych szczegółach obrazowania odbiega od oryginału“, lecz „oddaje jego energiczny ton“. Raczej przeciwnie — nie oddaje, jeśli go zestawimy z tamtymi dwoma. A odbiega bodaj bardzo daleko, skoro ze zwykłego „głodu“ robi „głód zżerający trzewia“, a z „dziękczynienia“ — „pianie hymnów“. Takiego przekładu nie trzeba było dawać. I tego rodzaju uwaga nasuwa się w niejednym przypadku, zarówno co do wydania Ossolineum, jak i PIW-u. Jak widać, czasami może niedobrze jest mieć zbyt wiele przekładów do wyboru: powstaje *embarras de richesse,* z którego nie zawsze da się wybrnąć szczęśliwie.

Takie kłopoty bywają z liryką Goethego, od stu przeszło lat stale tłumaczoną przez różnych naszych poetów. Mniej trudności mamy z prozą i dramatami, których przekłady nie są tak liczne i — jako pewien całokształt — łatwiejsze w ocenie. Tak więc *Ifigenię w Taurydzie* i *Torquata Tassa* wybrał PIW w tłumaczeniu Kasprowicza, *Egmonta* — Iłłakowiczówny, z czterech zaś dziewiętnastowiecznych i trzech nowszych (Wachholza 1923, Kościelskiego 1926, Zegadłowicza 1927) przekładów części pierwszej *Fausta* słusznie zatrzymał się na najbardziej poetyckim, artystycznym a jednocześnie najwierniejszym przekładzie Władysława Kościelskiego. Zegadłowicz, ściśle mówiąc, nie przetłumaczył, lecz sparafrazował *Fausta* (rzecz inna, że zrobił to po literacku pięknie), a nawet po prostu napisał swego *Fausta* na marginesie *Fausta* Goethego. Tłumaczenie zaś Leona Wachholza, uczonego profesora medycyny sądowej w Krakowie, autora wielu dzieł z dziedziny psychopatologii, bezsprzecznie miłośnika i znawcy poezji Goethego, lecz osobiście nie posiadającego talentu poetyckiego, jest bardzo ciężkie i prozaiczne. Oto dla przykładu jeden z trudniejszych urywków *Fausta:* Faust w swej pracowni zaklina duchy: „*Erst zu begegnen dem Tiere — Brauch ich den Spruch der Viere: — Salamander soll glühen — Undene sich winden — Sylphe verschwinden — Kobold sich mühen. — Wer sie nicht kennte — Die Elemente — Ihre Kraft — Und Eigen-*

*schaft — Wäre kein Meister — Über die Geister...*" U Kościelskiego, może nie arcydoskonale, ale całkiem dobrze brzmi to tak: „Wpierw, przeciw mocy zwierzęcia — Trza poczwórnego zaklęcia: — Salamandra niech płonie — Undyna wiruje — Sylfa niech wionie — Kobold pracuje. — Ten, który pęta, — Te elementa — Ich moc poznaje — I obyczaje — Mistrzem jest wtedy — Duchów czeredy..." A u Wachholza? „Wpierw, by się dotknąć zwierzęcia, — Użyję czwórki zaklęcia: — Niech Salamandra się piecze — Undyna niech płynie — Sylfa niechaj zginie — Z Kobolda pot ciecze. — Kto by na poły — Znał te żywioły — Sił ich zasoby — Działań sposoby — Nie byłby panem — Nad duchów stanem..."

W ogóle nie jest rzeczą łatwą rozważyć polskie przekłady Goethego pod względem ich wartości artystycznych i wszelakich innych. Wydawcy — i w PIW-ie, i w Ossolineum — musieli mieć z tym rzeczywiście dużo zachodu. Ale zdaje mi się, że do takiej pracy dobrze byłoby powołać jakiś szerszy komitet redakcyjny, złożony nie z naukowców i profesorów, lecz zwyczajnie z poetów, z prawdziwych poetów, których intuicja, wyczucie i zmysł artystyczny mogłyby niejedną wątpliwość rozwiązać. Może by się też okazało wówczas, że nie zawsze najnowsze przekłady są najlepsze. Niekiedy starzy tłumacze, bliżsi w czasie oryginałowi, górują nad nowymi. Do takich tłumaczów Goethego należy z pewnością Ludwik Jenike (1818—1903), uwzględniony zresztą dostatecznie przez obydwa wydawnictwa. Jest to, oczywista, kwestia do dyskusji. I myślę, że polski Goethe powinien stać się przedmiotem rozpraw sekcji poezji i sekcji przekładów Związku Literatów.

## JOWISZ CZY HERAKLES

Obydwa wydawnictwa zostały zaopatrzone w obszerne wstępy i przypisy: wstęp A. Milskiej i J. Z. Jakubowskiego liczy 54 strony, wstęp Z. Ciechanowskiej — przeszło 170 i stanowi niemal monografię, co się tłumaczy tym, że wydanie to nosi charakter bardziej naukowy, gdy PIW przeznacza swoje dla szerszych kół czytelników.

Co do przypisów, odsyłaczy, odnośników itp., składających się na tzw. „aparat naukowy", krótka uwaga. Zapewne, są one potrzebne, ale nie należy z tym przesadzać, jak się to dziś często w wydawnictwach naszych dzieje. Redakcje mają nieraz czytelników za zupełnych niewiadomców, którym najprostsze rzeczy trzeba kłaść łopatą do głowy. Czasami wyjaśniają to, co nie wymaga wyjaśnień, bo tekst jasno o tym mówi; czasami dają pustobrzmiące wzmianki, przepisane z pierwszej gorszej encyklopedii, czasami pomijają właśnie to, co warto by wyświetlić, czasami nawet strzelają mniejsze lub większe bąki. Tak np. Goethe w *Zmyśleniu i prawdzie* powiada, że w Strassburgu zapisał się na wykłady chemii Spielmanna i anatomii Lobsteina. No, jacyś dwaj profesorowie — wiadomo jacy: chemii i anatomii — którzy ostatecznie ani nas ziębią, ani grzeją. Komentator PIW-u w przypisku wyłuszcza: „Jakob Reinhold Spielmann (1722—1783), profesor chemii i botaniki. Johann Friedrich Lobstein (1736—1784), jeden z najsławniejszych (?) profesorów anatomii". Natomiast o kilka stron dalej Goethe pisze — wyraźnie drwiąco: „Światły i rozumny doktor Gall w myśl swej nauki stwierdził, że jestem stworzony na trybuna

ludowego". I o Gallu komentator ani słówkiem. A tu właśnie przydałby się przypisek. Co zaś do niejakich potknięć się redaktorów, czytamy np. o „medalionie wykonanym przez słynnego rzeźbiarza francuskiego Dawida d'Angers". Wygląda na to, że Dawid to imię, d'Angers — nazwisko. Tymczasem nazwisko jego brzmiało David d'Angers, a na imię miał Piotr Jan.

Tyle o przypisach. Z kolei o wstępach. Ani słowa: są nader sumienne, rzeczowe, rozbiorcze, szczegółowe, drobiazgowe, wszechstronne. Ale, niestety, suche, pisane często-gęsto językiem flanelowym, jakby powiedział Lam. Nie porywają czytelnika — przeciwnie: niekiedy nudzą. A powinny by porwać. Wszakże Goethe to jeden z największych poetów ludzkości — w tym starogreckim znaczeniu słowa, a więc nie tylko w sensie „wierszopisarstwa", ale i głębi myśli, i mocy oddziaływania — poetów takich, jak Ajschylos, Dante, Szekspir, Calderon, których twórczość, zapładniająca myślowo całe pokolenia, jest wiecznotrwała: stała się, jakby rzekł Mickiewicz, naszym „chlebem macierzystym", o którym nawet nie myślimy, skąd się wziął i z czego jest zrobiony, wiemy tylko, że się nim karmimy.

Erudycja wstępów jest ogromna, pełna „wszelakiej dobrej scjencji", ale powinna to być *„la gaya scienza"* — wiedza radosna, podana czytelnikowi w sposób po prostu entuzjastyczny. Tymczasem jest to erudycja jakaś martwa, nieożywiona niczym przez autorów wstępów. Widać, że zgromadzili mnóstwo surowca, scalili go w pewien kształt, zlepili, ale nie tchnęli w to nic z siebie. Czytając te bardzo uczone wstępy, myślałem, jakie by wyborne ciasto z tej najprzedniejszej mąki upiekł Boy. Przypominała mi się jego książka o Balzaku, objętościowo mniejsza od wstępu Zofii Ciechanowskiej, a jakże pełna, bogata, pulsująca życiem. Balzac w niej żyje — i jako twórca, i jako człowiek, a Goethe w tych wstępach jest zimnym brązem. A właśnie brązem nie był. Nie był „Olimpijczykiem", za jakiego go nieraz uważano. Nie mógł być olimpijczykiem ten, który powiedział: *„grau, lieber Freund, ist jede Theorie, doch ewig grün des Lebens gold'ner Baum"*. Który mówił: „Albowiem byłem człowiekiem, to znaczy, że walczyłem wciąż". Który wykładał: *„Gut verloren — etwas verloren. Ehre verloren — viel verloren. Mut verloren — alles verloren: da wär'es besser nicht geboren.* Który pouczał: *greift nur hinein in's volle Menschenleben.* Który twierdził: *das höchste Gut der Erdekinder ist ja die Persönlichkeit.*

Otóż, osobowość Goethego zbyt słabo została przez autorki wstępów zarysowana. Mocniejszy jego wizerunek dała Zofia Ciechanowska, bledszy — Anna Milska, aczkolwiek obie gruntownie odmalowały tło dziejowe, na którym ukazuje się ta olbrzymia postać, tj. warunki polityczne, społeczne i gospodarcze, w jakich trwały Niemcy i Europa zachodnia na przełomie wieku XVIII i XIX. Rzecz prosta, że w badaniu osobowości Goethego nie można się posunąć tak daleko, jak sobie na to pozwolił swego czasu prof. dr Paul Möbius (1853—1907), neurolog, który napisał całą „patografię" twórcy *Fausta*. Wszelako malowidło jego żywota * można by uczynić barwniejszym i przedstawić należycie miłość w życiu tego, którego ostatnie słowa poetyckie były: *das Ewig-Weibliche zieht uns hinan,* który stworzył takie postaci dziewczęce, jak Lota, Mignon

---

* Tu można by się odwołać do rozdziału pt. *Rola jednostki w historii* w książce Adama Schaffa pt. *Wstęp do teorii marksizmu.* „Książka i Wiedza", Warszawa 1949. J. W.

i Małgorzata, a mając lat siedemdziesiąt cztery zakochał się jak młodzieniec w siedemnastoletniej Ulryce von Levezow * po to, by napisać jeden ze swych najgłębszych liryków — *Elegię marienbadzką*. To pominięcie miłości, przede wszystkim w wydaniu PIW-u, jest tym dziwniejsze, że jednocześnie PIW ozdobił je portretami takich kobiet, jak: Fryderyka Brion, Wilhelmina Herzlieb, Charlotta Buff, wreszcie owa Ulryka. A we wstępie o nich głucho. Czytelnika może to intrygować: co to za jedne? A właśnie omówienie tej sprawy z pewnością „uczłowieczyłoby" Goethego i zbliżyło go do nas, ludzi żywych.

## FINALE

Goethe w Niemczech miał zawsze swoich wyznawców i czcicieli — nie sztywnych „logów", jak nasi mickiewiczologowie, lecz żarliwych „istów" — „goetheistów", którzy go czytają tak, jak protestanci swą biblię, takich, jakimi we Włoszech są „danteiści" a we Francji „balzakiści". Jednym z nich, szarym i nieznanym, był niewątpliwie tragiczny Gwynplaine, z którym onego czasu wiodłem smutną rozmowę. Największym ze współczesnych goetheistów jest Tomasz Mann, nie tylko jako autor powieści o doktorze Fauście, ale jako myśliciel w ogóle. *Czarodziejska góra* poczęła się też z ducha Goethego, czego świadectwem jej zawrotnie przepastny rozdział *Noc Walpurgi*, a w nim rozmowa o miłości Hansa Castorpa z panią Chauchat, rozmowa, w której „mistyka" splata się z „fizjologią", tak właśnie, jak w twórczości Goethego zespoliła się poezja z przyrodoznawstwem: był to największy *Naturforscher* wśród poetów i największy *Dichter* wśród przyrodników. Dlatego też Tomasz Mann, uczeń Goethego, nauczyciela człowieczeństwa, był wrogiem hitleryzmu, który jest zaprzeczeniem człowieczeństwa. I już w r. 1932, gdy Niemcy, prawie już hitlerowskie, gotowały się wrzaskliwie do obchodów setnej rocznicy śmierci Goethego, Tomasz Mann nie przyznawał im do tego prawa: *das höchste Gut der Erdekinder ist ja die Persönlichkeit* — mówił — a cóż wyście z tą *Persönlichkeit* uczynili? Wtórował mu wówczas któryś francuski poeta, wołający do Niemców: O, Niemcy! Narodzie wielkich filozofów i poetów, którzy tak wspaniale wyśpiewali tajemnice natury i potęgę wielkich przemian, zrozum, że musisz ulec przemianie! Posłuchaj głosu swoich najlepszych duchów. Posłuchaj czystego i ostrego głosu, którym sprzed stu lat przemawia do ciebie Goethe.

Niestety, wówczas były to głosy wołające na puszczy. Dziś Niemcy — Niemcy wschodnie — zrozumiały swą wielką przemianę. Dziś Weimar ze swoim Goetheanum, leżący w NRD, stał się naprawdę przybytkiem człowieczeństwa. „Naród niemiecki — pisze w swej wzruszającej *Drodze do Weimaru* Mieczysław Jastrun (*„Nowa Kultura"*, Nr 2/43 z dn. 24.X.1954) — dziś rozdarty tragicznie, z tego wieczną młodością bijącego źródła czerpie siły do walki o swe zjednoczenie i odrodzenie moralne".

---

* Nawiasem mówiąc, jak pisać to nazwisko? Encyklopedia niemiecka pisze: Levezow, nasz Gutenberg — Lévetzow, Zofia Ciechanowska — Lewetzow, PIW w króciutkim przypisku — Lövetzow. Tu by się zdał komentarz.

*Jerzy Wyszomirski*

## O SATYRZE

Zygmunt Fijas: *Portret z sera.* Warszawa 1954. „Czytelnik"; str. 172.
Jan Sztaudynger: *Piórka.* Warszawa 1954. „Czytelnik"; str. 146.

W pierwszych latach powojennych książki naszych satyryków wynikały ze współpracy z tygodnikiem *„Szpilki"*. Niestety, od dłuższego czasu sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Dobre książki satyryków wynikają przeważnie z absencji w *„Szpilkach"*.

W ubiegłym roku — wymieniam przykładowo, nie dbając przy tym o chronologię — ukazały się dwie książki Magdaleny Samozwaniec, tomik prozy Wojciecha Drygasa, książka Witolda Zechentera, tomy Zygmunta Fijasa i Jana Sztaudyngera. Wszystko są to nazwiska właściwie w piśmie tym na ogół nie spotykane. Czy to dobrze? Źle, bardzo źle!

Źle, mimo wszystko, dla satyryków i zupełnie źle dla jedynego pisma satyrycznego w Polsce. Dobrze układająca się współpraca autorom dawałaby na pewno więcej rozmachu i operatywności, a pismu wyższy poziom, większą rozmaitość, większą celowość istnienia.

*„Szpilki"* jakby tego nie rozumieją i nie zauważają, nadal rozdają na prawo i lewo cenzurki, pouczają i strofują.

Fijas, jak się rzekło, także nic temu pismu nie zawdzięcza, aczkolwiek współczesna satyra może w swoim bilansie po stronie „ma" zapisać niejeden felieton i niejedną humoreskę tego autora.

Zygmunt Fijas — łódzki krakowianin z Nowego Sącza — jest debiutantem tylko formalnie. Choć dopiero niedawno wydał książkę, przecież od lat znamy go z rozrzuconych po czasopismach felietonów, z fragmentów prozy powieściowej, a nawet z kilku — bliskich jego prozie — wierszy. Chcę przez to powiedzieć, że Fijas od dawna dysponuje warsztatem dobrego prozaika, dobrze zaopatrzonym i ukształtowanym. Ambicją właściciela powinno być coraz śmielsze tego warsztatu wykorzystywanie, innymi słowy: sięganie po bogatsze treści, aktywniejsze rozglądanie się wokół siebie.

Jego prozę cechuje duża znajomość realiów z różnych dziedzin życia, zestawia te realia w rozmaity sposób (najgorszy z nich — na szczęście występujący rzadko — kolekcjonerski), służą one humorystycznym, dowcipnym spiętrzeniom. Zespala słowa w wesołe zwroty, powiedzonka i zdania, nadaje słowom własny — uzasadniony przebiegiem narracji — sens. Jest to proza oryginalna, fijasowska. Można by pokusić się o jej parodiowanie, a — jak wiadomo — parodiuje się tylko coś, co posiada swoiste znamiona.

A więc pochwała formalizmu? Skądże, to tylko pochwała warsztatu dobrego prozaika, przykład na to, jak w mniej szczęśliwych wypadkach kunszt pisarski ratuje nawet błahą koncepcję czy pomysł. Daje Fijas w książce kilka takich przykładów, wystarczy wymienić choćby humoreskę *Symfonia z odkurzaczem* opowiadającą o walce sąsiadów z hałasem.

Ślady pewnego jakby programu satyryka można wykryć, czytając humoreskę *Samosąd.* Negatywny bohater humoreski, gdy do niego zgłaszają się z pewną sprawą, protestuje:

„Ale to są drobne wycinki życia, zro-

zumcie. Jakby to powiedzieć, to nie są sprawy frontalne. Jeśli będziemy tracić czas na załatwianie takich głupstw, to nie będziemy mieli czasu na załatwianie spraw poważnych. Takie głupstwo, takie głupstwo... ach!"

Z książki wyziera jeszcze raz ta sama prawda, iż przed procesem twórczym nie zawsze da się uściślić, co jest ważne. Niejeden doniosły temat dawno przestał żyć w satyrze i na odwrót. Życiowa hierarchia tematów jest dla nas wszystkich niewątpliwa, wątpliwości zaczynają się dopiero przy nadawaniu im kształtu artystycznego. Tam hierarchia zaczyna się wichrzyć, szczeble drabinki hierarchicznej zaczynają się przestawiać: ostatecznie bowiem decyduje ów kształt!

Istotną rolę odgrywają u Fijasa dialogi, które nie pełnią, jak to się zdarza, roli waty, ale określają rozmówców i sytuacje, posuwają naprzód wątłą na ogół akcję.

Dominuje groteska, czasem bardzo zaawansowana, jak na przykład *Miłośnik zycbadu;* znika człowiek realny, aby tym jaskrawiej wystąpiły pewne jego cechy, mówiąc bardziej współcześnie, obciążenia. A rzeczą czytelnika będzie już wykrywanie z kolei tych cech u ludzi realnych, sobie znanych. Fijas znajduje się wśród autorów, żądających od czytelników właśnie współpracy ich intelektu i przede wszystkim wyobraźni.

Dowcip Fijasa nie należy do gwałtownie eksplodujących, nie pobudza do „zrywania boków ze śmiechu", ale za to działa na dłuższą metę. Metoda autora nie polega na wytrwałym żeglowaniu do pointy, autor rozkłada ją na cały przebieg humoreski lub felietonu, w zakończeniu lądując nawet zupełnie nieefektownie, co tym bardziej może czytelnika zmusić do refleksji i wnioskowania.

I jeszcze — żeby już zbliżyć się do końca — jedna uwaga: Zygmunt Fijas przeważnie wymyka się receptom, dotychczas podsuwanym dość natrętnie przez niektórych warszawskich „uczonych w piśmie", idzie od lat własną — może nie szeroką drogą, ale przynajmniej ścieżką.

Z tego, cośmy powiedzieli, nie należy przypadkiem odnosić wrażenia, że w książce Fijasa znajdziemy tylko drobne sprawy, humor i ironię. Znajdziemy tam i „głębszy sens", choćby w tytułowej humoresce, jednej z najlepszych w książce.

Już prawie na wstępie apelowaliśmy do autora o śmielsze wykorzystywanie swego warsztatu przy atakowaniu coraz to innych treści. Należy ten apel powtórzyć jeszcze raz, tym bardziej że ma on uzasadnienie w możliwościach autora. Świadczy o tych możliwościach choćby satyra na bogaczy wiejskich pt. *Abimelech,* ustawiająca bohaterów nie tylko w sytuacji społecznej, ale i w wyraźnej, konkretnej sytuacji historyczno-politycznej.

W związku z tym apelem warto także wytknąć autorowi pewną zbyteczną i zdaniem niżej podpisanego, niedobrą skłonność do przesadnej niekiedy metaforyzacji i hiperbolizacji wypowiedzi. Skłonność ta potrafi zaciemnić niejedną sprawę, usuwając z pola widzenia adresata satyry.

Ostatnia pretensja już typu edytorskiego: wybór humoresek, felietonów i parodyj, jak na duży dorobek Zygmunta Fijasa, jest stanowczo zbyt szczupły.

*

Trzej satyrycy współcześni — Stanisław Jerzy Lec, Jan Czarny i Jan Sztaudynger — uprawiają fraszkę w ilościach poważnie określających ich twórczość.

Rzecz jasna, fraszki układa wielu poetów, ba, we fraszkopisarstwie znajdzie się dużo dobrych pozycyj pióra ludzi wcale nie mających pretensyj do literackiego zawodu. W tych trzech jednak wypadkach fraszka przestaje być marginesem działalności, osiąga rangę, o jakiej pisał kiedyś Lec w tomie *Życie jest fraszką:*

„Pytacie się mnie zawsze: Staszku,
ciągle z drzewa poznania strząsasz owoc fraszką,
dlaczego nie drążysz korzeni
głębią poematu?
Słowami z innych jesieni
westchnę Wam na to:
«Aus meinen grossen Schmerzen
mach ich die kleinen Lieder».
Jakby mi tę piosenkę
Heine z serca wydarł!"

Fraszka ta doskonale więc dotyczy i tomu Sztaudyngera. Nieraz jego „piórka" nabierają wagi równej dobrym wierszom satyrycznym, a czasem i lirycznym.

Gdy się przestaje z Lecem czy Sztau-

dyngerem (sposobów Czarnego nie znam) — to dochodzi się jeszcze raz do wniosku, że fraszki nie powstają przy biurku, w rezultacie długich spekulacyj i polowania na pomysły, ale rodzą się „na poczekaniu", w rozmowie, wynikają jakby z powietrza. Znajduję w *Piórkach* fraszki, których narodzin byłem niekiedy świadkiem. Powstały sposobem improwizacji, z dala od pokoju pracy, białej kartki papieru i obsadki z kałamarzem. Jeśli chodzi o Leca, to jeszcze w łódzkiej redakcji *„Szpilek"*, gdyśmy się wykłócali na temat rękopisów, stojący obok Stanisław Jerzy — wtrącając się do kłótni — jednocześnie wymyślał fraszki, więcej: wymyślał fraszkami!

Można sobie zadać nieraz z powodzeniem — napisanie wiersza satyrycznego, ale nie wierzę, żeby można było sobie zadać napisanie choćby paru dobrych fraszek.

Mówiąc o *Piórkach* można by — oczywiście — fraszki analizować, szukać rodowodu w bogatym od wieków polskim fraszkopisarstwie (oraz czasem w Goethem); można wykrywać pewne zasadnicze schematy, niekoniecznie przez autora uświadamiane, według jakich są budowane, posługując się m. in. dziełem prof. Bystronia o komizmie. Ale to praca dla polonistów. A przy tym mało chyba pożyteczna. We fraszce decyduje przede wszystkim dobry pomysł i precyzyjna zwięzłość (Sztaudynger w niej celuje) dająca pełną nośność, rym i rytm.

Ponad trzysta fraszek, wybranych prawdopodobnie ze znacznie większego zapasu, to bardzo wiele! Przypomina sie łatwość i płodność z naszych najlepszych tradycji: Kochanowski ogłosił fraszek ok. 300, Kochowski przekazał 800, Wacław Potocki w *Ogrodzie fraszek* ma ich ok. 1800 (liczby wg. prof. Romana Pollaka).

Tuwimowska antologia fraszek (czekamy na uzupełnione wznowienie!) dowodnie świadczy o życiu „piórek", które nieraz z powodzeniem umieją przetrwać nawet kobylaste poematy. Nie lubię bawić się w proroctwa, ale mam przekonanie, że w omawianym tomiku jest wiele „ulotnych" wierszyków, które czeka arcydługie życie!

Najmocniejszy jest Sztaudynger we fraszce obyczajowo-społecznej i środowiskowo-literackiej, najsłabszy — w politycznej.

Oczywiście, chciałoby się cytować. Ale niczego w ten sposób nie osiągniemy, gdyż za wiele tego byłoby i nie wyczerpywałoby to sprawy. Zacytujemy jedynie słuszne ostrzeżenie pod adresem czytelników tomu:

„Miły czytelniku, upraszam cię wielce,
Nie żłop fraszek haustami, pij je po kropelce..."

Fraszki zostały ułożone w działy — przejrzyste, ułatwiające orientację.

W licznych „piórkach" każe Sztaudynger pamiętać i o tym, że jest poza tym poetą lirycznym, wznosi się bowiem niekiedy i tu do prawdziwej liryki (m. in. w cyklu *Słowik i róża*).

Że jego satyra wypływa z miłości, o tym świadczy choćby cykl „fraszek krakowskich". Sztaudynger Kraków bardzo kocha, więc go i bardzo krytykuje, ostra i dosadna kpina sąsiaduje z czułym wyznaniem.

Jan Sztaudynger mieszka od dziesięciu prawie lat w Łodzi. Dla pisarzy nadal jest to „miasto trudne", opornie wkraczające do ich twórczości.

Nic więc dziwnego, że cykl fraszek łódzkich jest najszczuplejszy. Sam fakt jednak, iż autor uwzględnia pewne sprawy tego miasta, pozwala czekać również na sukcesy satyryczno-fraszkowej przyjaźni z Łodzią.

Nie udają się także Sztaudyngerowi wiersze satyryczne, których kilka znajdujemy w tomiku: są zręczne, ale niewiele ponadto. Jak dotąd więc, Sztaudynger najlepiej czuje się w skondensowanych dwu, cztero i ośmiowierszach. Nie należy o to z autorem wadzić się!

Lubi Sztaudynger „poświntuszyć", ale z jaką robi to kulturą i — na ogół — dyskrecją! Powiedziałbym, że robi to po boyowsku. I tej „specjalności" autora można tylko przyklasnąć, parafrazując przy tym Ignacego Krasickiego: „Prawdziwa cnota fraszek się nie boi!"

„Czytelnikowi należy się od czytelników wdzięczność za ten bogaty w treści tomik, wydany skromnie, ale estetycznie, z rysunkami Maji Berezowskiej i trafną, dowcipną okładką Andrzeja Radziejowskiego. Muszę się przyznać, iż Berezowska tym razem, ograniczając się wyłącznie do ostrożnej ilustracyjności, trochę rozczarowuje...

*Jan Huszcza*

# GLOSY HISTORYCZNE

Karolina Beylin: *Opowieści warszawskie.* Ilustracje i stronę tytułową wykonał Tadeusz Gronowski. PIW, 1954, s. 322.

Artur Międzyrzecki: *Wieczory muranowskie.* Wyboru ilustracji ze zbioru Muzeum Narodowego dokonał Czesław Stefański. PIW, 1954, s. 200.

Ewa Szelburg-Zarembina: *W cieniu kolumny,* PIW, 1954, s. 226.

Przed laty z okładem trzydziestu — po premierze Rozmaitości, sławnym przedstawieniu *Zemsty* z Rapackim, stremowanym Solskim, Frenklem, Kamińskim, Jaraczem, Osterwą... — proponował Boy, by „dla odmiany" spojrzeć na komedię z punktu widzenia murarza naprawiającego mur graniczny. Frywolny na owe czasy pomysł przyszedł krytykowi do głowy tego samego wieczora, który opisał dokładniej Wacław Grubiński *: „...gdy kurtyna poszła w górę, aby odsłonić nam sangwinistycznego szlachcica w porze śniadaniowej... jęliśmy przecierać oczy. Cześnik nieobecny. Ba! zaczęliśmy przecierać i uszy. Toć grają organy kościelne! Odbywa się msza święta! Zdumieni czekamy, co będzie dalej. Z domowej kaplicy wysuwają się domownicy, Podstolina z książką do nabożeństwa w rączkach... uśmiechają się jedni do drugich, ukłony, jakieś migi. Msza skończona. I ksiądz przechodzi przez komnatę, i czeladka..."

Współczesność już z reguły bierze odwet za tę swoiście rekomendowaną tradycję minionych stuleci czy nawet ostatniego półwiecza. Trzy książki wymienione w nagłówku (a nie tylko one) łączy — niezależnie od częstych zbieżności wynikających z tematyki — ta sama tendencja: ukazując fragmenty historii pamiętać przede wszystkim o masach ludowych i o momentach kulminacyjnych w dziejach postępu społecznego. Tendencja nie do zakwestionowania; jeśli przed chwilą użyłem słowa o ujemnym zabarwieniu — słowa „odwet" — to dlatego, że odwróciły się wprawdzie role (rehabilituje się sprawy w poprzednich ustrojach pilnie tajone lub pomniejszane, a zniesławia tyle gloryfikowaną szlachetczyznę), lecz zbyt często jeszcze panuje ta sama, co w okresach krytykowanych, zasada przebierania miary interpretacyjnych dowolności. Myślę, iż warto zwrócić tę uwagę właśnie w odniesieniu do książek popularno-naukowych: ich autorzy wyobrażają sobie niekiedy, że w imię słusznej idei mogą nieskończenie redukować dozę obiektywizmu. Czują odrazę do cieniowania, uwielbiają natomiast przejaskrawianie. Szczególnie podatny obciążeniom tego rodzaju jest gatunek szkicu wybrany przez Karolinę Beylin i Artura Międzyrzeckiego — kompilacja przerozmaitych tekstów cudzych: dobór wykorzystywanych materiałów jest zawsze ściśle prywatną rzeczą pisarza, ale tu większą niż gdziekolwiek rolę gra selekcja. Od niej — od tego, czyj sąd i jak się przytoczy — zależy bez mała wszystko. Toteż wśród ustawicznych generalnych konfrontacji: jaśnie wielmożni i wielmożni a „pospólstwo i liberia" (zasada kompozycyjna *Opowieści warszawskich)* — gubi się gdzieś niejedno warte lepszej pamięci, zabraknie na przykład miejsca na bezstronne słowo o Wielopolskim. Sporo kart *Wieczorów muranowskich* nosi znamię zacietrzewienia. Wtóruje i beletrystyka, Ewa Szelburg-Zarembina: „Stanęli wówczas (sc. podczas insurekcji 1794 r.) przeciw sobie: wierność ojczyźnie i sprzedajność wrogowi. Po jednej stronie lud, po drugiej możni.

Wyjątki zlicza bez trudu historia i wciąga na swoje karty." (s. 99).

Tylko więc Klio ma do nich prawo? Dlaczegóż, u licha, jakimś kaduczym ryczałtem ma się ich zrzec literatura. Warci są sztuki pięknego o nich pisania. Bodaj nawet i ci nienajbardziej nieskazitelni. — Jak długo będą jeszcze zwlekać nasze wydawnictwa z przyobiecanym od dawna wznowieniem opowieści biograficznych Berenta?!

*

Nie cofam określenia użytego w stosunku do książki Karoliny Beylin — ma ona charakter wybitnie kompilacyjny. Ale mimo to i częściowo właśnie dlatego *Opowieści warszawskie* po-

* Wacław Grubiński: „W moim konfesjonale", W-wa 1925, F. Hoesick, s. 94.

siadają wiele zalet. Gromadzą bardzo dużo niezmiernie ciekawych wiadomości, wydobytych z dziesiątków a dziesiątków druków i rękopisów — różnojęzycznej literatury przedmiotu; studia monograficzne, teksty literackie, pamiętniki, czasopisma, stare kalendarze, inne wreszcie archiwalia przewertowała autorka dla jednej czasem potrzebnej wzmianki. Karolinę Beylin interesują dwie zwłaszcza dziedziny historii stolicy: jej rozbudowa i kolejne przebudowy, począwszy od wieku XVII aż do okolic roku 1905, oraz poszczególne etapy życia obyczajowego i kulturalnego. Więc „kontrasty feudalnej Warszawy", więc dzieje antagonizmów mieszczańsko-szlacheckich, więc losy „najniższego stanu ludzi" XVIII i XIX w., więc repertuary teatralne, więc losy ogrodów... I to się autorce udaje pokazać. Gorzej za to wypadają rozdziały poświęcone historii politycznej; owa nierównomierność panowania nad tematem, najwidoczniejsza w rozdziale ostatnim, całkiem zaś chybiona — taka powierzchowna! — wydaje mi się opowieść o powstaniach.

Książka napisana jest inteligentnie. Beylin zna wytrawny smak dobrego cytatu; wie, jak pysznie okrasza byle szare zdańko jedno bodaj stare słowo, umiejętnie wtrącone; potrafi wyzyskać anegdotę. Ciekawostki nie mieszczące się w tekście głównym skrzętnie odnotowane w przypisach. Z dwóch stosowanych przez autorkę sposobów narracji — posługiwanie się stylem bezpretensjonalnym, „referującym" oraz (tu i ówdzie) lekką beletryzacją — zdecydowanie wolę pierwszy.

Kilka szczegółowych zastrzeżeń. Związek, którego się Beylin dopatruje (jeśli to żart — proszę wybaczyć, niedowcipny) „pomiędzy historią ogrodów warszawskich a tragedią Corneilla *Cyd*" (s. 104), związek ten jest niezwykle naciągnięty. Skąd się wzięła generalska nominacja Ordona (s. 208)? F. S. Dmochowski jest co prawda autorem wspomnień z lat 1806—1830, ale powątpiewam, czy — jak chce tego autorka książki (s. 79) — spisywał już te wspomnienia około roku 1815, w tym bowiem czasie wysiadywał jeszcze ławę szkolną u pijarów. Najwięcej wszakże pretensji mam do Karoliny Beylin za niesumienność w cytowaniu *Opisania historyczno-statystycznego miasta Warszawy przez Łukasza Gołębiowskiego*. Ani razu dokładnie! Na dodatek — chochlik drukarski wspomagany nieuwagą przy korekcie odmłodził książkę o całych lat sto (s. 327).

Rezultat wieczornych lektur poety oraz jego sąsiada-zecera, rezultat ich wspólnych poszukiwań i odczytywań najpierw „fragmentów literackich zawierających zapowiedź przyszłości" a później innych szacownych foliałów sprzed lat — dał wyniki bardzo nierówne. Znaleźli, co chcieli, dla czytelników jednak powstałej stąd książki lepiej, gdy Ambroży nie wtrąca się do pisania Międzyrzeckiego.

Można z tej książki podowiadywać się o dziejach Gromady Grudziąż *(Dalsze losy tysiąca walecznych* — najdłuższe a zarazem najbardziej zwarte i najlepiej udokumentowane studium); o początkach kopalnictwa, kuźnictwa, hutnictwa i przemysłu w Polsce *(Medal z Białogonu)*; o zamierzonej przez Stanisława Witkiewicza książce *Warszawa*, którą ilustrować mieli A. Gierymski, Podkowiński i Pankiewicz *(Niewydana książka)*; jest zgrabny bibliofilski przyczynek o polskich edycjach *Manifestu komunistycznego (Wydanie dwudzieste — nakład trzeci)*, jest porządny inwentarz interesującej *silvae rerum* z połowy ubiegłego stulecia, która najprawdopodobniej zasługuje, żeby ustalić jej proweniencję *(Stara antologia)*. To akurat połowa tytułów. Pozostałe szkice wydają mi się mniej godne uwagi. Dotyczą rzeczy tak czy inaczej znanych, a napisane są nienadzwyczajnie. Ubogo.

Międzyrzecki — autor *Wieczorów muranowskich*—podbija czytelnika jako szperacz, jako człowiek o bystrych skojarzeniach lekturowych *(Diariusz damy)* — nie jako literat. Myśl swoją przeprowadza najzawikłańszym z meandrów, chce powiedzieć wszystko, co wie na dany temat, końca nie ma dygresjom. Ogromnie go rozumiem: żal wypisów. Bo cytaty niekiedy pierwszorzędnej wartości (nb. często pozaartystycznej). Tymczasem Ambroży — człek prostodusznie zachłanny — jeszcze podjudza, a że odznacza się nieposkromionym wścibstwem i kontroluje pisarza, więc cóż ten nieborak ma czynić? — Ulega. Mimo wszystko — nie powinien. I mógłby zrezygnować z posługiwania się (oh, jak często!) żargonem oraz chwytami taniego dziennikarstwa.

*W cieniu kolumny* jest zbiorem przyjemnych miniatur epickich. Dominuje ton najbardziej osobistych wspomnień. Warszawa, do której się wracało zimą czterdziestego piątego, i ta w dziesięciolecie pierwszej niepodległości, i odbudowująca się obecnie, i zupełnie dawna, i znowu okupacyjna, i wreszcie najnowsza. Chronologia celowo zakłócona. „Głęboka mądrość wspomnień jest w ich gotowości: jak w latarni projekcyjnej przeźrocza — tak natychmiast nasuwa się na ten obraz — obraz inny" powiada autorka gdzieś mimochodem. Opowiadanie współczesne sąsiaduje więc z gawędą historyczną, reportaż wyzwala wyznania o pisarstwie, książka, bytność w muzeum, spacer po parku a nawet jazda tramwajem stanowią wystarczający powód reminiscencji. Na dnie każdego utworu — moralistyka.

Styl Zarembiny w jej ostatniej „nie młodzieżowej" książce nie uległ przeobrażeniom. Patetyczna proza poetycka, eksklamacja ze skłonnością do egzaltacji (dziwne, że opis własnego wzruszenia nader rzadko wywołuje zamierzone wzruszenie odbiorcy), często apostrofa, która ma zmniejszyć dystans między autorką a czytelnikiem — tak to wygląda ze swej gorszej strony. Na ogólny wynik dodatni wpływ decydujący ma precyzja realistycznego przedstawienia, zamiłowanie do kompozycji przejrzystej, w każdym szczególe wykończonej (znamienny system stopniującego wyliczenia cech opisywanego zjawiska). Trochę naudużywana inwersja.

Czyta się dobrze, odkłada książkę bez żalu.

*Andrzej Biernacki*

## OBRAZ NIEŁATWEJ WALKI

Wilhelm Szewczyk: *Czarne słońce*. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1954, str. 432.

Wilhelm Szewczyk podjął zadanie ambitne i śmiałe. Postanowił zobrazować obszernym cyklem powieściowym najnowsze dzieje Górnego Śląska. Tu się urodził, wychował, tutaj się rozwijała cała jego dotychczasowa działalność pisarska. Szewczyk, jak mało kto, zna zarówno teraźniejszość Śląska, jak i śląską przeszłość; jego *Poemat górniczy* jest szczęśliwą próbą ukazania losów kopalni świętochłowickiej z perspektywy historycznej. Mimo to, zadanie, jakie sobie nakreślił autor śląskiego cyklu powieściowego, wcale nie wydaje mi się łatwe...

Przed dwoma przeszło laty pisałem w *„Twórczości"* (nr 9 z r. 1952) o pierwszej powieści tego cyklu, o *Kleszczach;* akcja utworu rozgrywała się tuż przed wybuchem ostatniej wojny. Autor posłużył się tu metodą, którą można by nazwać dążeniem do maksymalnej koncentracji. Wielką ilość problemów i konfliktów, jakie w tym czasie przeżywał „autonomiczny" wtedy region śląski, zamknął pisarz w narracji powieściowej, obejmującej 24 godziny: od świtu 31 grudnia do 1 września 1939 roku. Tak ujęta struktura powieści była zamysłem śmiałym i prawie ryzykownym. Ale dawała w zamian ogromne korzyści: dramatyczną zwięzłość narracji, bogactwo, niezwykłość i ten akcent prawdy, który czyni dzieło realistycznym, choćby nawet autor nie dbał o pedantyczną dokładność. Koncentracja czasu powieściowego i zademonstrowanie dramatycznego losu kilku bohaterów dawały *Kleszczom* rytm równocześnie poetycki i syntetyczno-historyczny.

Drugi człon cyklu powieściowego Szewczyka — *Czarne słońce* — ukazuje losy Górnego Śląska w czasie okupacji. Losy pasjonujące, za mało znane. Sytuacja była tu, jak wiadomo, dość skomplikowana. Walka, która się toczyła przeciw okupantowi, musiała brać pod uwagę czynnik nieznany w Polsce środkowej: rolę niemieckiego mieszczaństwa, opanowanego już przed wojną przez hitleryzm. Specjalna sytuacja Śląska wyrażała się odmiennym niż gdzie indziej stosunkiem do tzw. „volks-listy". Patrioci uznali przyjęcie owej listy za konieczność wynikającą z taktyki narodowo-rewolucyjnej. Okazało się wkrótce, że owa taktyka pozwoliła uświadomionym robotnikom i

inteligentom na przemyślaną akcję sabotażowo-dywersyjną, zapobiegając przesiedleniom i wiążąc śląską klasę robotniczą z tak dobrze jej znanymi kopalniami i fabrykami. Owa akcja była głównym — a jakże potężnym — środkiem działania tamtejszego Ruchu Oporu. Ze względu na typ osiedlenia partyzantka była na Śląsku możliwa tylko w regionach „peryferyjnych": przede wszystkim w Beskidach. I nie ona przecież mogła tu wyrządzić hitleryzmowi szkody najpoważniejsze. Nie ona, ale owo właśnie prowadzone z pełną znajomością terenu „regulowanie" przez Ruch Oporu produkcji węgla czy stali w jednym z najważniejszych ośrodków gospodarki wojennej. Przy tym: pod koniec wojny akcja sabotażowo-dywersyjna musiała się już liczyć z bliskością zwycięstwa, a więc i z koniecznością ratowania urządzeń kopalnianych przed hitlerowskimi zniszczeniami ewakuacyjnymi czy przed dzikimi, często emocjonalnymi, nieprzemyślanymi dewastacjami. A w całej tej akcji polscy działacze robotniczy umieli współpracować z komunistami niemieckimi.

Ów wielki epos walki okupacyjnej i mechanizm antyhitlerowskiego oporu na Śląsku starał się Szewczyk zmieścić w ramach swej nowej powieści. Widocznie doszedł przy tym do wniosku, że środki artystyczne, stosowane w *Kleszczach*, tu mogą być tylko częściowo pomocne. Dotyczy to zwłaszcza podwójnej kondensacji: czasowej i terenowej.

W *Czarnym słońcu* spotykamy przeważnie główne postacie znane z *Kleszczy*. Zasadniczym terenem akcji jest także i tutaj kopalnia w Czerwonej Wodzie; jej losy to jeden z zasadniczych tematów fabularnych. Ale narracja przenosi się chwilami i do Katowic, i do Bytomia, i do Opola, i do Mikołowa, i do Guberni Generalnej, i nawet do Francji. Co ważniejsze, dramatyczne skupienie wydarzeń w ramach 24 godzin, które dawało *Kleszczom* zwartość i siłę skondensowanego obrazu artystycznego, ustępuje w *Czarnym słońcu* powolnemu tokowi wypadków, płynącemu wedle rytmu kalendarzowego. Być może, iż autor pragnął ukazać narastanie wydarzeń, stopniowy wzrost śląskiego Ruchu Oporu, stopniowe słabnięcie faszyzmu. Lecz zadanie artystyczne stało się tu jeszcze trudniejsze, książka rozrosła się w dwójnasób, napięcie dramatyczne musiało opaść.

Mimo to, odkładając powieść, zdajemy sobie dobrze sprawę z istoty toczonej na Śląsku walki. Zarysowują się jasno pozycje obu stron: uciskających i uciskanych, hitlerowców oraz polskich i niemieckich antyfaszystów. Szczególnie sceny pokazujące mentalność i aktywność działaczy hitlerowskich nakreślone są z imponującą plastyką. Machinacje, rozgrywki, rywalizacje i intrygi kacyków są uderzająco wyraźne; komizm ani na chwilę nie mąci prawdopodobieństwa. Właściciel restauracji, Duch, który wyrasta na politycznego przywódcę miejscowych nazistów, toczy ostrą walkę z rywalami takimi, jak przepyszny w swym pedantyzmie i „punktualnej" umiejętności zarabiania właściciel zakładu pogrzebowego, Pronobis, który wbrew Duchowi wdrapuje się na stanowisko burmistrza. Scenka, w której ten idealnie poprawny karawaniarz wraz ze swym szwagrem, Ewaldem Moconiem, obliczają wymiary trumny dla zabitego przypadkiem poprzednika, a równocześnie oglądają przyszłe mieszkanie służbowe — ma smak soczysty. Interesująca jest już zresztą sama charakterystyka: „Ludzie, którzy znękani śmiercią bliskiej im osoby, przychodzili doń zamawiać karawan, wychodzili olśnieni chrześcijańską dobrocią Pronobisa, głęboką pokorą wobec cudzego nieszczęścia, balsamiczną tkliwością jego pocieszeń. Dopiero o wiele później, w kilka tygodni po pogrzebie, orientowali się, że Pronobis porządnie zdarł z nich skórę i ogromem straty, wagą i znaczeniem zmarłej osoby — co podkreślał z emfazą — odmierzał cenę za karawan. Nie zdejmując swej szoferskiej pilotki z głowy, przysadzisty i krępy, z wąsikiem czarnym jak smoła, przyciętym kwadratowo, potrafił nawet błysnąć łzą, jeśli ofiara godna była wyższej ceny a zatem i wyższego wysiłku." W obrębie tej grupy hitlerowskiej osobne miejsce zajmują w powieści gestapowcy, pełni lekceważenia dla Duchów i Pronobisów, prowadzący swe własne akcje, straszliwi i okrutni, przemyślni i inteligentni, ale w gruncie rzeczy bezsilni wobec potężniejącej fali oporu, wobec ruchu rewolucyjnego polskich i niemieckich robotników. Główne światło skupia się oczywiście na przedstawicielach tego ruchu. Interesująco (bardziej wyrazicie niż w *Kleszczach*) kształtuje się tu-

taj los inteligenta śląskiego, dziennikarza Emila Szóstoka. Już sama sytuacja, jaka zastaje Emila na początku powieści, daje jego losowi akcent konkretności. Emil jakby się budził z gorącej i wzajemnej miłości, która zdaje się początkowo przesłaniać mu cały świat, tak dalece, że nie zajmuje się ani sprawami społecznymi, ani nawet własnym losem. Ale potem ta właśnie gorąca i niebezpieczna, zmysłowa i szczęśliwa miłość wytycza Emilowi drogę do walki; odbywa się na naszych oczach wyraźna ewolucja myśli i woli. Rozstrzygnięcie losu Szóstoka pozostawia jeszcze autor w zawieszeniu; aresztowany przypadkowo, oskarżony raczej o przestępstwo gospodarcze, Emil jedzie do obozu oświęcimskiego z pewną jednak nadzieją przetrwania; hitlerowcy nie wiedzą o wykonywanej przez niego funkcji redagowania (oraz drukowania) tajnego biuletynu. Tak więc, nawet w swej klęsce, obnaża Emil jedynie bezsilność faszystów wobec podziemia; Gestapo, mając go już w rękach, nie orientuje się w jego istotnej roli. A dzieło Emila będzie prowadzić dalej jego Matylda, tym właśnie losem Szóstoka ostatecznie pozyskana i przekonana dla Ruchu.

Inne postacie tego obozu nie mają już w książce tak całkowicie wykończonego i dokładnego rysunku. Główny przywódca nielegalnej akcji robotniczej, komunista Bartoszek, jest raczej symbolem walki. Niezupełnie nam się tłumaczy jego szorstki stosunek do żony, której nie chce wtajemniczać w szczegóły swej niebezpiecznej pracy. Wiemy, że czyni to dlatego, by jej niepotrzebnie nie narażać, a zarazem nie ufa jej orientacji. Otóż owa właśnie ostrożność staje się przyczyną katastrofy: gdy Bartoszek wyjeżdża na dłużej i nie daje znaku życia, żona jedzie go szukać i przez nieświadomość wpada od razu w ręce gestapowca Luxa. Zachowanie się Bartoszkowej w więzieniu i śledztwie jest bohaterskie — ale przyczyna owego obłędu jej męża nie jest dla nas zupełnie jasna; brak tu wyrazistszych powiązań psychologicznych. Trochę zewnętrzna jest także charakterystyka córki Bartoszka, pełnej uroku, jasnowłosej łączniczki konspiracyjnej, Trudy; często zjawia się ona na kartkach powieści, ofiarnie prowadzi swą robotę, znajduje się w sytuacjach groźnych, wymyka się nawet z rąk gestapo, wywiera wrażenie na mężczyznach, budzi miłość. A jednak wiemy o niej niewiele. Być może, iż jej zadaniem także i w powieści jest — pozostać w cieniu. Zupełnie szkicowo i mgliście zaznacza się profil jej narzeczonego, inżyniera Ilka, jak również i sprzymierzonego z polskimi górnikami niemieckiego komunisty Schulza, którego przyjaciele mimo ofiarnych wysiłków nie zdołali uratować. Uderzająco prawdziwa, z całą swą zawziętością i milkliwością, rozumem i nieomylnym instynktem, jest postać Słupika.

W jednym z ostatnich rozdziałów znajduje się piękny opis walki górników o ocalenie kopalni i jej urządzeń w chwili poprzedzającej wyzwolenie. Myślę, że tym akcentem powinna się zakończyć powieść opisująca dramatyczną historię Śląska i Ślązaków w okresie najstraszliwszym — okupacji. Niepotrzebny jest chyba epizod dalszy, ukazujący klęskę przedwojennego dyrektora po wyzwoleniu.

*Czarne słońce,* jako pierwsza zakrojona na większą skalę powieść o Śląsku w okresie okupacji, daje bogaty materiał do przemyśleń i wzruszeń. Pozwala zrozumieć, że trudna walka Ślązaków przeciw hitleryzmowi i ich w tej walce zwycięstwo było jednym z uzasadnień doniosłej roli, jaką nasze największe zagłębie przemysłowe odegrać miało w dziesięcioleciu 1945—1955.

*Wojciech Natanson*

# PROBLEMY KRYTYKI LITERACKIEJ I SPRAWY REDAKCYJNO-WYDAWNICZE W ZWIĄZKU RADZIECKIM

W dyskusji na II Zjeździe Pisarzy Radzieckich nieomal wszyscy uczestnicy mówili o krytyce literackiej — niezależnie od tego, czy polemizowali z wywodami B. Riurikowa (wygłosił on koreferat pt. *Podstawowe zagadnienia krytyki literackiej),* czy też poruszali inne zagadnienia.

W dniach Zjazdu ukazał się artykuł krytyka i badacza literatury K. Zielińskiego *O moralnej powadze krytyki („Litieraturnaja Gazieta"* z 9.XII. ub. r.). Zdaniem autora sprawa moralnego autorytetu krytyki wiąże się ściśle z zagadnieniami ogólnoliterackimi, jakkolwiek problemy krytyki są bardziej skomplikowane niż problemy każdej innej dziedziny twórczości literackiej. Właściwą krytykę literacką Zieliński uważa za nieodłączny składnik siły społeczeństwa radzieckiego — krytyki i samokrytyki.

W związku z tym „w krytyce literackiej, bardziej niż w każdym innym gatunku — pisze Zieliński — znajduje odbicie ogólny stan organizacji życia literackiego, ogólny poziom tego życia. W krytyce, w jej tonie i charakterze, w jej języku i metodzie odzwierciedla się nie tylko oblicze człowieka, ale i całokształt życia literackiego — łącznie z jego naturą i swoistymi właściwościami walki politycznej. Właśnie dlatego, gdy mówi się o podniesieniu moralnego autorytetu naszej krytyki, jest to jednoznaczne z omawianiem poziomu całego życia społeczno-literackiego. Są to naczynia połączone".

Moralne znaczenie może krytyka osiągnąć w dużym stopniu również w drodze kształtowania i pielęgnowania — kulturalnego, pełnego szacunku stosunku krytyka do człowieka, do twórcy.

Problemem stosunku krytyki literackiej do społecznej krytyki i samokrytyki zajął się w artykule *Twórczość krytyka* S. Gajsarijan (*„Litieraturnaja Gazieta"* z 25.I.br.). Zdaniem Gajsarijana — nie można krytyki literackiej uważać za odgałęzienie radzieckiej społecznej krytyki i samokrytyki z kilku względów. „Patrząc na życie z pozycji ideowości komunistycznej — argumentuje Gajsarijan — i czujnie wsłuchując się w głos czytelników, krytyka literacka w swoich sądach i ocenach stosuje jednak własne, swoiste kryteria i probierze, co sprawia, iż można ją uważać za specyficzną odmianę literatury i nauki, za twórczość artystyczno-naukową. To właśnie czyni z niej ważką i aktywną siłę społeczną. Bez tej specyfiki — nie ma krytyki literackiej".

Omówiwszy kilka słabych stron współczesnej krytyki literackiej w Związku Radzieckim Gajsarijan doszedł do wniosku, że źródłem tych niedociągnięć jest brak jasnego i pełnego zrozumienia swoistych, właściwych krytyce literackiej kryteriów i mierników. „Materializm dialektyczny i historyczny — uzasadnia powyższy pogląd autor *Twórczości krytyka* — uzbraja krytykę w metodologię, umożliwia jej naukowe rozwiązanie zagadnienia stosunku sztuki do rzeczywistości. Jednakże bynajmniej niewystarczająco opracowano u nas wiele pojęć i kategorii estetycznych. A winę za to ponosi oczywiście i krytyka, jakkolwiek musimy też stwierdzić, iż na razie działacze naszego frontu filozoficznego udzielają krytyce literackiej słabego poparcia ogólnoteoretycznego".

Gajsarijan analizuje twórczość kry-

tyka literackiego. W ogólnym przebiegu artystycznego poznania rzeczywistości krytyk ma do spełnienia funkcję nie mniej ważną od uprawianego przez pisarzy „człowiekoznawstwa". Wykorzystując własną znajomość życia — nie mniej niż u pisarza gruntowną i pełną — krytyk sam dochodzi do uogólnień, które — obiektywnie rzecz biorąc — stanowią nowe odkrycie rzeczywistości w sztuce. Synteza ta rozszerza, pogłębia, wzbogaca nasze pojęcia i o sztuce, i o rzeczywistości.

Dzięki ustaleniu i przeanalizowaniu przez krytyków nowych związków między przejawami literatury i rzeczywistości — rodzi się możność „człowiekoznawczych", nowatorskich odkryć pisarskich. Dzięki krytyce literackiej postacie literackie uwypuklają się jeszcze bardziej, znajdują swoje właściwe miejsce w sztuce i w życiu. Postacie i obrazy literackie postrzegamy jako nieodłączny składnik rzeczywistości. „Tak więc — zamyka tę myśl Gajsarijan — owo, żeby się tak wyrazić — wtórne opracowanie przejawów literatury w w stosunku do realnej rzeczywistości stanowi dziedzinę myśli krytycznej. Bez niej życie społeczne byłoby niekompletne".

Taka krytyczno-literacka analiza utworów wymaga precyzyjnego wniknięcia w artyzm, wymaga umiejętności syntetycznej interpretacji kunsztu pisarskiego. Zdaniem Gajsarijana krytycy literaccy zbyt mało zajmują się zagadnieniami teorii literatury, nie wzbogacają jej nowymi odkryciami.

Wkrótce po opublikowaniu artykułu Gajsarijana ukazał się na łamach *„Litieraturnej Gaziety"* (z 8.II.) teoretyczny artykuł krytyka G. Lenobla — *O motywacji artystycznej*. Ciekawe swe wywody Lenobl ujął w formę rozmowy krytyka z pisarzem. Wstępnym przedmiotem rozważań rozmówców jest ustalenie, jakie fakty i wydarzenia, wzięte z rzeczywistości, mogą i powinny stać się tworzywem literackim. Chodzi o to, czy wszystko, co „zdarza się w życiu", może stanowić kanwę utworu literackiego. Lenobl powołuje się na wypowiedź Gorkiego, że fakty kryją w sobie sens społeczny i że „celem utworu literackiego jest przejrzyste odtworzenie ukrytego w wydarzeniach sensu życia społecznego — w całym jego znaczeniu i pełni".

Zgadzając się z pisarzem, że w życiu nie ma faktów niedorzecznych, że wszystkie wydarzenia wiążą się i wzajemnie warunkują, krytyk zaznacza: „Jeśli jednak z ogólnego łańcucha zjawisk wyrwiecie jakieś wydarzonko i wstawicie je do utworu «nagusieńkie» — to zupełnie możliwe, iż straci ono swój pierwotny sens albo nawet nabierze znaczenia wręcz odwrotnego niż to, jakie miało w rzeczywistości. Nie jest też wykluczone, że wydarzenie to wyda się czytelnikom nieprawdopodobne, zmyślone. W takich wypadkach nie pomogą wam żadne zapewnienia, iż fakt ten zaczerpnęliście wprost z życia..."

Zdarza się to nie tylko pisarzom początkującym, niedoświadczonym. Czasami nawet wyrobiony pisarz naraża się na zarzut ulegania naturalizmowi, obiektywizmowi itp. Zdaniem Lenobla — w wypadkach ujawnienia tego rodzaju błędów nie zawsze można mówić o świadomym, tendencyjnym naturalizmie. Najczęściej przyczyna tych błędów tkwi w warsztacie pisarza, w zaniedbaniu takiego ważnego elementu kunsztu pisarskiego, jakim jest motywacja artystyczna. „Bez artystycznego uzasadnienia — pisze Lenobl — nie można pokazać prawdy życiowej; można odtworzyć tylko fakty i wydarzenia, ale nie ukryty w nich sens społeczny".

Na przykładzie *Odwilży* Erenburga, *Pór roku* Panowej, *Opowieści o dyrektorze MTS i naczelnym agronomie* Nikołajewej Lenobl udowadnia, że „malując rzeczywistość w jej skomplikowanych, częstokroć pełnych sprzeczności przejawach artysta stawia przed sobą cel — odsłonić i naświetlić tę złożoność... Dlatego pisarz powinien — oczywiście przy pomocy środków artystycznych — wyjaśnić związki między zjawiskami, pokazać prawidłowości odtwarzanych zjawisk".

Niekiedy poszczególne postacie utworu są ciekawe, dobrze ujęte, wyraziste, ale między sobą jakoś nie harmonizują, jak wyraża się Lenobl — „nie kleją się". „Utwór literacki — dodaje autor artykułu — stanowi układ postaci, dlatego związki istniejące między postaciami są nie mniej istotne i ważne niż postacie oddzielnie wzięte, „same w sobie".

Mówiąc o odtwarzaniu postaci i zjawisk odosobnionych, rzadko spotykanych, Lenobl dochodzi do następujących wniosków: „W literaturze bywa niekiedy «korzystne» skupienie uwagi na przypadkach wyjątkowych. Chodzi jednak o to, by wydarzenie odtworzyć jako przypadek pojedynczy, ściśle od-

osobniony, nie zaś jako regułę. Istota rzeczy tkwi w tym, aby te przypadki oddać tak, iżby poprzez przypadkowość przeświecała konieczność i widoczne były istotne rysy rzeczywistości. W tym celu jednak niezbędna jest dokładna, przejrzysta motywacja — realistyczna i życiowa".

Tak więc niejasna, mglista motywacja literacka powoduje bezpodstawność lub — w najlepszym razie — nie budzącą zaufania chwiejność wniosków, to zaś w logicznym następstwie przyczynia się do niejasności, mglistości tendencji ideowej, a przecież ideowość utworu jest sprawą najważniejszą, zasadniczą. Przejrzystość i precyzyjność motywacji artystycznej zależy od jasno skrystalizowanego pomysłu twórczego. Od jasno wytyczonego zamierzenia pisarza zależy również trafność doboru prawdziwie i realistycznie przestrzeganych, pojmowanych i odtwarzanych zjawisk, wydarzeń, postaci. Twierdzenie o konieczności artystycznej motywacji Lenobl ilustruje na przykładzie głównych postaci dwóch wybitnych utworów prozy radzieckiej — Wiktora Abrosimowa z *Donbasu* Gorbatowa i Andrieja Łobanowa z *Poszukiwaczy* Granina.

Z postaci tych bije prawda psychologiczna i artystyczna, ponieważ są one „wielowymiarowe, zwrócone do nas z różnych stron; nakreślono je w ruchu. Bohaterów tych widzimy i wtedy, gdy mają rację i gdy popełniają omyłki i błędy, wówczas gdy przeżywają triumf zwycięstwa i gdy zaznają goryczy klęski. W ich losach następują gwałtowne zwroty, niekiedy zadziwiająco nieoczekiwane, niespodziewane. Mimo wszystko jednak wyczuwamy, że zwroty te i przełomy są przygotowane wewnętrznie, mają swoją logikę. Oczywiście nie chodzi w tym wypadku o to, czy «tak się zdarza w życiu», ale pojmujemy, wyczuwamy, że — tak być powinno, że — inaczej być nie może".

W konkluzji artykułu Lenobl ostrzega pisarzy przed konstruowaniem uzasadnień logicznych; motywacja zawsze powinna być na wskroś artystyczna, literacka.

W lutym br. odbyła się wszechzwiązkowa narada pracowników wydawnictw i zakładów graficznych. Celem tej narady było omówienie spraw dalszego rozwoju radzieckiego ruchu wydawniczego, drukarstwa i księgarstwa. Wśród uczestników narady — redaktorów wydawnictw — było wielu pisarzy. Wypowiedzieli oni, zarówno podczas narady, jak i w prasie, wiele interesujących uwag na temat produkcji książek.

M. Szaginian zamieściła na łamach *„Sowietskiej Kultury"* (z 5.II.) artykuł pt. *Narodziny książki.* Autorka szczegółowo opisała długą i żmudną, najczęściej denerwującą, wyczerpującą pisarza drogę utworu od chwili ukończenia maszynopisu i oddania go do wydawnictwa — do zakończenia pracy redakcyjnej. Wydawnictwo przesyła maszynopis do recenzji, przy czym z reguły zasięga opinii dwóch recenzentów (przeważnie są to pisarze), czasami jednak ilość recenzentów wzrasta do dwudziestu i więcej. Wszystko to zajmuje bardzo wiele czasu i opóźnia produkcję wydawniczą. (Dyskutanci podkreślają, że praca nad maszynopisem niekiedy trwa rok i nawet dłużej.)

W *Narodzinach książki* Szaginian omawia perypetie maszynopisu; nierzadko towarzyszy im nieprzestrzeganie przez wydawców umów autorskich. „Po recenzjach — pisze Szaginian — po szczegółowych dyskusjach i omawianiu maszynopisu w sekcjach twórczych, w sekretariatach, kolegiach redakcyjnych (wszędzie dyskutanci — dziesiątki osób! — istotnie wykonują pracę krytyków jeszcze na długo przed wyjściem książki z druku), po przeczytaniu maszynopisu przez naczelnego redaktora działu — autor wreszcie otrzymuje go z powrotem. Maszynopis, który kiedyś był czyściutki i schludny, powraca do rąk autora pomięty i poplamiony, upstrzony niezliczonymi uwagami, różnokolorowymi znakami, pytajnikami, podkreśleniami, «fajeczkami»... Siedzi więc autor nad rękopisem, poprawia go, uwzględnia poprawki, uzgadnia, przerabia — tracąc przy tym zupełnie wyczucie wspaniałego, harmonijnego rytmu, w jakim rzecz przychodziła na świat, rytmu, który podpowiadał ważkie słowa, zawierał w sobie i przekazywał czytelnikowi przeżywane przez twórcę wzruszenia..."

Oczywiście Szaginian nie występuje przeciwko adiustowaniu i redagowaniu, poprawianiu czy przerabianiu maszynopisu w ogóle, przy czym pisarka powołuje się na to, iż wydawnictwa radzieckie posiadają wielu znakomitych redaktorów, których działalność jest bardzo pożyteczna i owocna, zwłaszcza dla autorów młodych. „Ale — dodaje

Szaginian — każda rozsądna działalność doprowadzona do krańcowości może przerodzić się w coś wręcz szkodliwego. Wydawnictwo i redaktorzy powinni przede wszystkim skrupulatnie przestrzegać terminów w pracy nad maszynopisem".

Sprawy recenzowania i redagowania maszynopisów omawia S. Marszak w artykule *O tych, którzy piszą na marginesach* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 17.II.) a więc — o recenzentach i redaktorach wydawnictw. Ta pisanina na marginesach to najczęściej — albo nader nieśmiałe, zwięzłe i dosyć nieczytelne uwagi, albo wykrzykniki i pytajniki. Jak pisze Marszak „jest to głos redaktora nieśmiałego, który nie ma odwagi wypowiedzieć własnych myśli głośno i stanowczo".

Na marginesach maszynopisów znaleźć jednak można śmielsze, energiczniejsze okrzyki, w rodzaju: „bzdura!" itp. „Takimi to krytycznymi uwagami — pisze Marszak — wita autora jego towarzysz broni, któremu redakcja powierzyła maszynopis. A przecież literat, nawet nieznany, zasługuje chyba ta taki sam szacunek jak każdy obywatel radziecki".

Wypisywanie uszczypliwych uwag na marginesach maszynopisu jest wyrazem niepoważnego stosunku do autora i do jego pracy twórczej, wyrazem braku życzliwości dla kolegi... „Recenzent — pisze Marszak — który podejmuje się wydania sądu o przyszłej książce, powinien wykazać serdeczne zainteresowanie jej losem, uświadomić sobie, iż w tym wypadku idzie nie tylko o przyszłość maszynopisu (chociaż i to bynajmniej nie jest drobnostką!), ale niekiedy w grę wchodzi również dalsza działalność literacka pisarza."

Jeszcze większą odpowiedzialność za losy książki i pisarza ponosi redaktor. To właśnie z myślą o nim recenzent wypowiada swój sąd o utworze. Redaktor musi mieć własny sąd: tzw. recenzja wewnętrzna powinna być dla niego jedynie sprawdzianem własnej oceny utworu. Nie jest dobrze, gdy redaktor zasięga opinii „wewnętrznych" recenzentów z asekuranctwa, byle zmniejszyć własną odpowiedzialność. Marszak uważa redaktorów za „brakarzy, którzy całymi latami, dzień w dzień, niemal niepostrzeżenie, ale w sposób istotny — wpływają na rozwój literatury, oddziaływują nań — poprzez dokonywanie doboru, poprzez afirmowanie jednych objawów, odrzucanie innych".

Jakkolwiek pracę redakcji w wydawnictwach i periodykach poddaje się kontroli społeczności pisarskiej — już to przy omawianiu planów wydawniczych, już to przy okazji innych dyskusji — niemniej jednak spod szczegółowej obserwacji i kontroli wymyka się codzienna działalność poszczególnych redaktorów. Działalność ta — zdaniem Marszaka — „niekiedy oddziaływuje na losy pisarzy, odbija się na całokształcie literatury w niemniejszym stopniu niż artykuły naszych krytyków. Nie każdą książkę dostrzegają krytycy. A ile wierszy, nowel, opowieści nie dociera do krytyków tylko dlatego, że już wydał o nich sąd i zdyskwalifikował je redaktor".

Marszak wyraża przekonanie, iż duża ilość pogrzebanych w wydawnictwach utworów mogłaby jednak być opublikowana, gdyby redaktorzy zajęli się nimi troskliwiej i w sposób bardziej fachowy.

Zasady współpracy między autorami i redaktorami omówił w kolumnie dyskusyjnej *„Litieraturnej Gazety"* z 12.II. K. Zieliński. W szczególności zainteresowała Zielińskiego sprawa ustalania kryteriów obowiązujących w pracy redakcyjnej, sprawa wytyczenia granic między prawem redaktora do stawiania żądań a prawem autora do odmowy. Brak takich reguł redakcyjnych powoduje — pisze Zieliński — że „niektórzy autorzy uważają redaktora wydawnictwa za osobę powołaną do tego, aby psuć im życie i zdrowie, redaktorzy zaś (niestety, takie wypadki zdarzają się częściej!) uważają autora za nieuniknioną zawadę, za przymusowe obciążenie podczas opracowywania maszynopisu przed oddaniem go do druku".

Zdaniem Zielińskiego przebieg redagowania zależy często od wielu okoliczności ubocznych, wśród których poważne znaczenie posiada „wytrzymałość" autora albo jego waga społeczna, a także kaprysy gustu i despotyczne nawyki niektórych redaktorów". Dojrzała więc sprawa opracowania wzorcowej instrukcji dla redaktorów książek literatury pięknej.

W dyskusji na wspomnianej naradzie powieściopisarz L. Nikulin poruszył bardzo ważną sprawę szkolenia kadr młodych, wykwalifikowanych, wszechstronnie wykształconych redaktorów. Kadry te są konieczne nie tylko dlatego, że z roku na rok wzrastają plany

wydawnicze, lecz także z tych względów, iż gwałtownie przybiera żywiołowy potok nowych utworów, które dziesiątkami tysięcy napływają do wydawnictw i redakcji czasopism i wymagają przejrzenia, oceny. Nikulin przytoczył fakt, że w roku ubiegłym istniejąca przy Zarządzie Głównym Związku Pisarzy Radzieckich w Moskwie komisja dla prac z młodymi dała wzmianki recenzyjne o jedenastu tysiącach maszynopisów. Nikulin zaproponował urządzanie częstych seminariów dla młodych redaktorów z udziałem wybitnych pisarzy, przyciągnięcie do pracy redakcyjnej pisarzy i krytyków.

*Józef Spinc*

# PAUL CLAUDEL

23 lutego zmarł w osiemdziesiątym siódmym roku życia Paul Claudel *, jeden z największych mieszczańskich pisarzy Zachodu.

Olbrzymie dzieło poetyckie Claudela budzi wszystkie uczucia prócz obojętności. Niesposób przejść mimo niego, jak się przechodzi mimo wielu zjawisk kultury mieszczańskiej, które wyrażają obcą nam już postawę wobec świata. Obcość dzieła Claudelowskiego jest prowokująca, zmusza do polemiki. Świat wyobraźni tego największego katolickiego poety, jakiego wydała Francja, pomimo scalającej go koncepcji fideistycznej składał się z elementów niepogodzonych, ścierających, a nie zazębiających się wzajemnie. Chcąc — jak sam powiada o sobie — „zgromadzić wszystkie obrazy", chcąc być „skupicielem ziemi Boga" Claudel świat realny, świat rzeczy ludzkich przemierza wszystkimi drogami we wszystkich możliwych kierunkach. Nie ma dlań zakazanej strony świata, jak nie ma zakazanych owoców. Pragnie wyrazić wszystko. Możliwe i niemożliwe. Wszystko, co się znajduje w granicach istnienia. W Claudelowskim świecie, bujnym, świeżym jak w pierwszym dniu stworzenia, rzeczy są z najprawdziwszego dotyku, barwy, ze wzroku, a kwiaty z powonienia. Claudel jakby odarł świat z całej narosłej na nim cywilizacji, jakby go stworzył na nowo piękniej i prawdziwiej od Boga. Nic dziwnego, że w tym świecie zbudowanym udoskonalonymi wyobraźnią zmysłami można się zagubić. Tym bardziej że nie ma w nim drogowskazów. Nie ma dróg wytyczonych dla człowieka. Rzeczy są same w sobie i same dla siebie. Claudelowskie dzieło to jedyny może w poezji świat realny i sprawdzalny, który nie został stworzony na mieszkanie dla człowieka. Dla kogóż więc?

Fideizm, ściślej: katolicyzm Claudela odpowiada na to pytanie. Ale odpo-

---

* Urodzony w roku 1868, Claudel poświęcił się karierze dyplomatycznej. Przez 41 lat (1894—1935) pozostawał na służbie Quai d'Orsay. Był m. in. konsulem w Szanghaju, Pradze, Pekinie, Frankfurcie i Hamburgu, ministrem pełnomocnym w Rio de Janeiro i wreszcie ambasadorem w Tokio, Waszyngtonie i Brukseli. Twórczość literacką rozpoczął w osiemnastym roku życia. Związany z symbolistami, pierwsze dramaty: *Zaśnięcie, Przedwczesna śmierć* pisze w ramach konwencji dramatu symbolicznego. Dramat *Złota głowa* (1890) zyskuje mu uznanie w wąskich, elitarnych kręgach czytelniczych. Kręgi te bardzo powoli się rozszerzają. Arcydzieła poezji i dramatu — *Pięć wielkich ód* (1910), *Kantata na trzy głosy* (1914), *Corona benignitatis Anni Dei* (1915), *Sztuka poetycka* (1907), *Zakładnik* (1911), *Zamiana* (1911), *Zwiastowanie* (1912) — z trudem torują sobie drogę przez powszechną niemal obojętność. Sława Claudela datuje się dopiero od roku 1923, kiedy podczas trzęsienia ziemi w Japonii omal nie zginął pod gruzami francuskiej ambasady (schronił się do gmachu ambasady polskiej). To zwraca uwagę na niego i na jego dzieło. Od tej pory dramaty Claudela wchodzą na wszystkie prawie teatralne sceny europejskie.

Na język polski utwory poetyckie i dramatyczne Claudela tłumaczyli m. in. Jarosław Iwaszkiewicz, Roman Kołoniecki, Miriam, Anna Świrszczyńska, Adam Ważyk. Warto zaznaczyć, że przekłady (Jarosława Iwaszkiewicza) dramatów *Zakładnik* i *Zwiastowanie* ukazały się w bibliotece *„Zdroju"* już w roku 1920, kiedy imię Claudela nie miało rozgłosu jeszcze nawet we Francji.

wiedź nie przekonuje. Bóg jest tam wszędzie obecny z imienia. Ale jest to obecność wątła, metaforyczna. Poza imieniem Boga są tylko rzeczy, wielkie, pyszne, olbrzymie, przewyższające nawet boskie możliwości. Tylko one *są*. A Bóg? Bóg jest koncepcyjną więzią Claudelowskiego świata, usprawiedliwieniem wszystkich sprzeczności, które ta poezja wyraża, ustawiczną apostrofą, która scala niepogodzone żywioły. Powiedzmy i to wreszcie: Bóg Claudela jest po prostu deklaracją. Owo słynne nawrócenie z roku 1886 zanotowane tak bardzo szczegółowo („przy drugim filarze katedry paryskiej") było aktem samoobrony wyobraźni. Tylko. Pomiędzy nawróceniem Claudela a nawróceniem Pascala czy Racine'a cóż za przepaść! Claudel zaakceptował Boga po to, by nie zrezygnować z niczego. Po prostu akredytował się przy Bogu. Uzyskiwał nietykalność swego fizycznego natchnienia i atrybuty mistyka, on, ambasador materii. Rzeczy, te rzeczy, które go oszałamiały, którymi żył, uzyskały przedłużenie nadprzyrodzone. Bo akceptując Boga Claudel nie rezygnował z niczego. Paradoks nawrócenia: to wiara w niebo właśnie uprawomocniła wszystkie więzy, które go łączą z ziemią. Biologizm i sensualizm uzyskały perspektywy metafizyczne.

Nic dziwnego, że nawrócenie przewija się przez całą niemal twórczość Claudela, jak sprawa wciąż jeszcze nie załatwiona ostatecznie. Nie załatwiona w sensie formalnym. Bo Claudel nie wadzi się z Bogiem. Nie ma u niego, jak u Mauriaca czy Bernanosa, tego niepokoju sumienia, który zmusza do ustawicznych rozrachunków, do szukania Boga wciąż na nowo. On pragnie tylko na nowo przeżywać to swoje dokonane już nawrócenie. Dlatego największe dramaty Claudela *Zwiastowanie, Atłasowy trzewiczek, Zakładnik* to tylko nowe próby powtórzenia owego olśnienia, którego doznał przy „drugim filarze". Nie z nowych zwątpień się narodziły, ale z tej jednej nabytej raz na zawsze, niewzruszonej, usprawiedliwiającej i tłumaczącej wszystko pewności.

Lecz tak jak w poezji, tak i w dramatach Claudelowskich nie Bóg, lecz świat jest „postacią" centralną. To świat właśnie jest złożony, pyszny, bogaty, to świat właśnie przemawia wszystkimi barwami, wszystkimi pokusami. Dramaty Claudela nie apoteozują nieba. One są właśnie apoteozą grzechu pierworodnego. Miłość cielesna, ta skaza duszy, zazdrość, gwałtowność ziemskich uczuć to najpiękniejsze strony Claudelowskich dramatów. Prouheza *Atłasowy trzewiczek* i Mara *Zwiastowanie* mają serce Claudela. Bóg ma ostatnie słowo, to prawda, Bóg jest tą pewnością, która zwycięży, ale Claudel nie kwapi się z dopuszczeniem go do głosu. On w imię Boga sławi urodę życia, radość ciała, szczęście fizyczne, to wszystko, co jest zaprzeczeniem ducha. I — rzecz może najistotniejsza — świat Claudela nie zna kary. Po grzechu pierworodnym nie następuje wypędzenie z raju. Nie dlatego, że Bóg jest pełen miłosierdzia, ale dlatego, że materia jest potężniejsza od ducha.

Cóż więc jest źródłem obcości Claudelowskiego świata, tej wrogości uniemożliwiającej jego aprobatę? — Jego przejmująca nieludzkość. Tak samo wyolbrzymiony, jak gdyby zautonomizowawany świat rzeczy, jak i wartości moralne, nie mają u Claudela wymiarów na skalę człowieka. Ukazane ludzkie uczucia przekraczają pojemność ludzkiego serca. Tak samo miłość, jak i zazdrość, tak samo szczęście, jak i rozpacz. Claudel nie potrzebuje człowieka. Jakby się obawiał, że nie będzie on dostatecznie silnym partnerem Boga. Jakby się obawiał, że świat zmaleje. Ukazując rzeczy ludzkie, obnażając uczucia ludzkie, odrywa je od podmiotu. Niech funkcjonują same. To jest zasadnicza skaza na jego ciele. Claudel zamierzył stworzyć wielkie uogólnienie, uogólnienie na miarę antyczną. Ale uogólnienia antyczne nie powstawały jako uogólnienia. Siłę uogólnienia dały im konkretne sprawy ludzkie. Humanizm nigdy, ani w epoce antycznej, ani kiedykolwiek indziej, nie boi się człowieka.

Ten antyhumanizm Claudelowskiej postawy ma konsekwencje tragiczne. W okresie wielkiej próby idei i charakterów, w okresie okupacji hitlerowskiej Claudel nie towarzyszy swojemu narodowi ani w bohaterstwie, ani w kaźni. Odwraca się od toczącej się walki. Jest demonstracyjnie nieobecny. Dla niego walka o ludzkie, konkretne ludzkie sprawy nie istnieje. W tych latach wojny, kiedy katolik Mauriac staje się towarzyszem walki komunisty Aragona, Claudel odwrócony plecami nie chce widzieć płynącej krwi, nie chce

słyszeć jęków mordowanych. Nie chce wiedzieć o męczeństwie. Nazwie sam co prawda swoją postawę oszustwem, ale jej nie zmieni. Na głos swojego Boga, tego katolickiego Boga, który w poezji Péguy targał niegdyś strunami ludzkiego serca, będzie głuchy. Bo jest przywiązany tylko do rzeczy, do świata swoich zmysłów.

Claudel patrzy na świat jak na kapitał, od którego procenty płaci regularnie Bogu. To ma go zwolnić od wszelkich ludzkich uczuć i zobowiązań. Egoizm *in odore sanctitatis.*

*

Poezja bez idei jest niemożliwa. Dopiero idea uskrzydla wyobraźnię. Dopiero idea decyduje o locie poezji. To rzeczy wiadome. Jakąż jednak ideą uskrzydlić wyobraźnię rzeczy? Jakąż ideą uwierzyć w świat, jeśli się nie wierzy w człowieka? Rzeczy oszałamiające, przytłaczające rzeczy skazywały Claudela na jedyną ideę usprawiedliwiającą pychę świata: na Boga. Claudel ideą Boga wypełnił szczeliny, zalał pęknięcia i rysy swojego sensualizmu. Umożliwiło to jego powiększającej wszystko wyobraźni, jego zwielokrotnionym zmysłom funkcjonowanie i obracanie trybów każdego zjawiska. Powstał olbrzymi świat, kosmos poetycki, który ze względu na skalę porównać można jedynie ze światem poezji Wiktora Hugo. Cóż za dwa światy! Jeden — wzniesiony z czystej idei dla człowieka zbuntowanego, tego potomka Prometeusza — świat hugoliański. Drugi — zbudowany z ziemskiej materii, z krwi i zachwycenia ludzkiego — pusty i niezamieszkały. „Sztuczny raj", imitacja raju ziemskiego, świątynia wzniesiona dla nieobecnego Boga.

Bo Bóg nie mieszka w tym pięknym przybytku. On się zadowala Claudelowską apostrofą, obszerną, bezustanną deklaracją. Poezja Claudela natomiast wyraża to wszystko, co jest przeciwstawieniem idei Boga i idei ducha. W dramacie *Zakładnik* jest jedno zdanie, którego niesposób potraktować jak zwyczajną butadę: „Cóż wiemy o tej woli (Boga)? Jedynym środkiem poznania jej jest Zaprzeczenie." * Claudelowska poezja jest tym Zaprzeczeniem.

Jakże tej poezji daleko do mistyki! Jest ona dalszym ciągiem Whitmanowskiego hymnu natury, śpiewem ziemi. Śpiewem bezinteresownym, ani proszalnym, ani pochwalnym. Drzewa, zwierzęta, owoce tak wspaniałe jak na kosmicznej wystawie kolonialnej, obłoki i nawet powietrze czyste, nieskażone żadnym westchnieniem — wyrażają tylko siebie, tylko swoje nieujarzmione żadną ideą trwanie. Ktoś się wyraził, że nawet niebo Claudelowskie jest fizyczne, a świat jego poezji — olbrzymią reklamą handlową kosmosu.

„Ciało jest dziełem ducha: jego narzędziem, formą i przedłużeniem w sferę materii... Dlatego ducha poznać możemy przez poznanie ciała i jego organów zmysłowych..."

Ta metafizyczna deklaracja jest niezbędnym usprawiedliwieniem sensualizmu Claudelowskiego.

Bo mało który z poetów mówił o ciele ludzkim tak przejmująco, tak realnie jak Claudel — poeta mistyczny.

Bo mało który z poetów granice świata materii obrysował tak ostro i wyraziście jak Claudel — poeta metafizyczny.

Oto kilka z tych sprzeczności, które sprawiają, że dzieło Claudela jest już w swojej strukturze polemiczne. Nieprawdopodobieństwem jest, by z jakiegokolwiek stanowiska można było je przyjąć całkowicie. Aprobując jego wartość deklaratywną, jego fideizm, nie można zaaprobować tego świata rzeczy i namiętności, stworzonych na nowo, jakby na przekór Bogu. Pomiędzy poezją Claudela a jej filozoficzną koncepcją wykopana została przepaść. Claudel usiłuje te dwie strony swojej osobowości scalić bezustanną apostrofą, która nigdy nie milknie. Ale deklaracja jest zawsze tylko deklaracją. Jego poezja głuszy wszystkie apostrofy. Wyrazista, zmysłowa wizja Claudelowskiej poezji jest donośnym hymnem życia i urody świata. Skondensowane, jakby zebrane z doświadczeń wielu wieków konflikty Claudelowskich dramatów są przejmującym krzykiem tak wyolbrzymionego, że aż nieludzkiego serca.

Ten hymn i ten krzyk docierają do nas z tego obcego nam świata.

*Zbigniew Bieńkowski*

* Przekład Jarosława Iwaszkiewicza.

# CO TO SĄ „COMICSY" CZYLI CZYM SKORUPKA ZA MŁODU NASIĄKNIE...

Ludzie, sprawujący władzę w Stanach Zjednoczonych i stojący na straży ustroju kapitalistycznego tego kraju, słusznie uważają, że obywatela należy wychowywać i pozyskiwać od lat najmłodszych.

Nie trudno wychować na zwolennika, ba, na entuzjastę ustroju amerykańskiego, syna Morgana czy Rockefellera. Nawiasem mówiąc, synowie ci coraz aktywniej włączają się do życia politycznego, uważanego w Ameryce jeszcze niedawno za domenę zawodowych i dobrze opłacanych „politykierów". Jeden z synów „starego" Rockefellera został specjalnym doradcą prezydenta Eisenhowera, podczas gdy spadkobierca miliardowej fortuny „starego" Harrimana uzyskał stanowisko gubernatora stanu Nowy Jork.

Lecz jak pozyskać dla rządów Wall Street dzieci robotników i chłopów? Jak przekonać syna bezrobotnego, że ojciec jego „z własnej winy" stracił pracę? Jak zapobiec temu, by młodzież amerykańska zaczęła myśleć i zastanawiać się nad zaletami i wadami ustroju amerykańskiego? Jak wychować młodzież, którą w razie potrzeby — potrzeby trustów i monopoli — pchnąć można na dalekie pola walki w Korei?

Zadanie to spełniają, zgodnie współgrając, wszystkie tuby propagandowe kapitału amerykańskiego — prasa i Kościoły, radio, film, telewizja itd. Szczególną rolę w tej propagandzie na rzecz kapitalizmu odgrywa szkoła. W szkole dzieci amerykańskie uczą się nie tylko patriotyzmu — nie byłoby w tym nic złego — lecz również nacjonalizmu i szowinizmu, uczą się pogardy dla innych narodów i innych niż kapitalizm ustrojów społecznych. W szkole tłoczy się dzieciom amerykańskim do głowy, że „ustrój wolnej przedsiębiorczości" otwiera przed nimi wszelkie nieopisane możliwości, że każde z nich może zostać miliarderem... Przeciętne dziecko amerykańskie wychodzi ze szkoły podstawowej — jeśli nie było skutecznego przeciwdziałania rodziny lub środowiska — jako zwolennik ustroju amerykańskiego i amerykańskiego stylu życia.

*

Zanim dziecko amerykańskie trafi do szkoły, styka się z inną postacią kultury Stanów Zjednoczonych. Mamy na myśli tzw. „comicsy". Dzieci zaczynają przeglądać obrazki comicsów już w wieku lat czterech, gdy jeszcze nie umieją czytać. W wieku szkolnym comicsy są doniosłym uzupełnieniem edukacji. Miliony dzieci amerykańskich poświęcają po kilka godzin dziennie na czytanie tych małych kolorowych książeczek, których nadład doszedł w 1954 roku do 90 milionów egzemplarzy miesięcznie. Poszczególne comicsy osiągają nakłady od 250 do 500 tysięcy egzemplarzy. Po przeczytaniu comicsu, zakupionego za 10 centów w kiosku na rogu ulicy, w barze lub w składzie aptecznym, dziecko wymienia go ze swoim kolegą albo odsprzedaje za 5 centów. Wśród młodzieży szkolnej comicsy krążą z ręki do ręki, a wiele dzieci gromadzi biblioteki comicsów.

Co to są comicsy? Otóż, wbrew rozpowszechnionemu u nas mniemaniu, comicsy nie są obrazkowymi historyjkami, drukowanymi w prasie amerykańskiej. Historyjki te, choć nieprawdopodobnie prymitywne i ubogie w treści, przeznaczone są dla dorosłego czytelnika. Comicsy natomiast we właściwym znaczeniu tego wyrazu, czyli to, co Amerykanie nazywają „comic books" (książeczki comicsowe), przeznaczone są dla dzieci. I jeszcze jedna istotna różnica zachodzi pomiędzy tymi historyjkami w prasie codziennej a comicsami dla dzieci.

Obrazki, ukazujące się w prasie, przechodzą przez rygorystyczną wewnętrzną cenzurę prasową, która stoi na straży dość specyficznie zresztą pojmowanej moralności. W każdym bądź razie nawet tzw. prasa brukowa nie odważy się drukować obrazków o treści, dajmy na to, wyraźnie pornograficznej. Natomiast comicsy dla dzieci (tak jest, dla dzieci!) żadnej cenzurze nie podlegają i odwołują się do najniższych instynktów młodocianego czytelnika.

Ich treścią jest zbrodnia, seksualizm lub połączenie tych obu elementów. W

warunkach konkurencji kapitalistycznej, gdy wydawcy comicsów kierują się wyłącznie chęcią zysku, wygrywają ci spośród nich, którzy dają większą porcję zbrodni i „seksu". Oni wygrywają. Przegrywają dzieci.

Znany postępowy pisarz amerykański, Albert Kahn, pisze na ten temat w swej przetłumaczonej na polski ciekawej książce *Zabawa w śmierć:* „Nazwa «comicsy» wprowadza w błąd. Ogromna większość tych wydawnictw, w których trudno dopatrzyć się komizmu i humoru, stanowi makabryczną mieszaninę gwałtów i morderstw, zboczeń seksualnych i sadyzmu, niesamowitych i upiornych przygód, zbrodni, brutalności i okropności mrożących krew w żyłach" (str. 91).

Już okładka comicsu, wydrukowana w jaskrawych korolach (i ohydna z punktu widzenia estetyki, przyciąga oko dziecka. Widać na niej z reguły jakąś scenę gwałtu — ktoś kogoś bije lub torturuje — albo odpowiednio roznegliżowaną kobietę. Tytuł comicsu przeważnie zredagowany jest w stylu: „Zbrodnia nie popłaca" — z tym, że słowo „zbrodnia" zajmuje najwięcej miejsca, podczas gdy słowa „nie popłaca" są ledwie widoczne.

Treść comicsu nie zawodzi oczekiwań młodocianego nabywcy. Towar odpowiada reklamie na okładce. Oto kilka przykładów. Comics składa się z 98 obrazków. Na 97 spośród nich zbrodniarz terroryzuje otoczenie, napada na rodzinę farmera, bije go, atakuje jego młodą żonę, uprowadza do lasu ich dziecko itd. itd. Na ostatnim obrazku „zwycięża sprawiedliwość", zwycięża zresztą w dość oryginalny sposób: zbrodniarz otoczony przez policję zachowuje się jak bohater i popełnia samobójstwo. Na okładce tego comicsu można przeczytać: „Ten magazyn (wiele comicsów ukazuje się seriami w postaci czasopism) poświęcony jest zapobieganiu zbrodni." Co za obłuda!

Albo inny przykład. Tym razem tylko 37 obrazków, ale odpowiednio „wyższej" jakości. Na 12 spośród nich przedstawione są sceny gwałcenia kobiet. Comics ten zaczyna się tak: „Kiedyś, późnym wieczorem, na przedmieściach wielkiego miasta księżyc spoglądał z góry na postać samotnej dziewczyny, przechodzącej obok drzemiących domów... Wszystko może się zdarzyć o tej porze." Po tak „poetyckim" wstępie rzeczywiście „wszystko" się zdarza, bo na kolejnych obrazkach widać, jak dziewczyna zostaje zaatakowana przez ubranego na czarno napastnika, jak on przewraca ją na ziemię, jak drze jej odzież itd. itd. Nie brak obrazka dziewczyny po dokonaniu na niej mordu i nie brak szczegółów wskazujących, że przedtem została zgwałcona. Przypominam, że to „bajka" dla dzieci...

Przykłady te zapożyczyłem z wydanej w 1954 roku w Nowym Jorku książki dra Frederica Werthama pt. *Seduction of the Innocent (Gorszenie niewinnych).* Autorem tej 400-stronicowej pracy naukowej jest lekarz-psychiatra, mający duży staż naukowy i występujący od 25 lat jako ekspert lekarski w sprawach sądowych. Jak stwierdzają wydawcy książki (burżuazyjna firma „Rinehart and Co., Inc."), autor poświęcił siedem lat na badanie problemu comicsów. Sam autor dokładnie przedstawia metody swych badań, w których zapoznał się z setkami comicsów, przeprowadził (sam lub przy pomocy współpracowników) rozmowy z tysiącami dzieci itd.

Jeden z wniosków dra Werthama brzmi: „Nasze badania udowodniły, że istnieje doniosła współzależność między czytaniem comicsów o zbrodniach i poważniejszymi postaciami przestępczości nieletnich" (str. 164). Dr Wertham powołuje się na to, że w ciągu ostatnich 7 lat przestępczość nieletnich wzrosła o 20 procent, i stwierdza, że „coraz to młodsze dzieci popełniają coraz to bardziej poważne i gwałtowne przestępstwa" (str. 150). Nasz autor podaje przeszło 20 konkretnych przykładów zbrodni popełnionych przez dzieci (mordy dzieci i dorosłych, ciężkie rany zadane przez dzieci, torturowanie dzieci, kradzieże, podpalenia itd.), po czym pisze: „Mógłbym przedłużać ten wykaz niemal do nieskończoności. W tych wszystkich przestępstwach młodocianych nie ma nic takiego, co by nie było opisane lub opowiedziane w książeczkach comicsowych. To są sytuacje z comicsów" (str. 155). I dalej: „Comicsy podają szczegółowo, jak popełniać zbrodnie, jak ukrywać dowody, jak unikać zatrzymania, jak ranić ludzi" (str. 158).

W ten sposób comicsy stają się szkołą zbrodni. Dodatkowym elementem tej edukacji są ogłoszenia, zamieszczane w comicsach. Reklamują one rewolwery, noże zwykłe i sprężynowe i wiele innych narzędzi mordu. Dr Wertham nazywa te ogłoszenia „programem uzbro-

jenia dzieci" (str. 211). Jeśli pamiętać będziemy, że comicsy oglądane i czytane są przez dzieci w wieku od 4 do 14—16 lat, zrozumiemy, jak istotna jest rola tych małych książeczek w przygotowaniu żołdaków, mordujących kobiety i dzieci koreańskie i gotowych do przyjaznej współpracy z generałami hitlerowskimi.

Prasa amerykańska, która tak często ogłasza dane statystyczne o przestępczości młodzieży, z reguły nie łączy tego zagadnienia z comicsami. Wyjaśnienie jest proste: zbyt silnie są więzy, łączące amerykańskich magnatów prasowych z wydawcami comicsów, by dzienniki i czasopisma amerykańskie atakować mogły — i chciały — tę truciznę dla dzieci.

Obok comicsów na tematy kryminalne ukazują się w milionowych nakładach comicsy na tematy „miłosne". Małe dzieci dostają więc do rąk książeczki pod takimi tytułami, jak *Upadła kobieta, Zakazana miłość* itd. Zastrzeżenie na okładce: „Tylko dla dorosłych" — oczywiście powiększa atrakcyjność takiej książeczki właśnie dla młodocianego czytelnika. Elementy kryminalne występują w comicsach „miłosnych", tak samo jak elementy seksualne znajdują się w comicsach kryminalnych. Dokładna analiza treści comicsów „miłosnych" wykazuje, że stosunkowo mało miejsca zajmuje w nich normalna miłość mężczyzny i kobiety.

Wydawcy comicsów uważają widocznie, że nie jest to temat odpowiedni dla małych dzieci. Nic ich natomiast nie powstrzymuje przed wprowadzaniem do comicsów sadyzmu, wątków masochizmu, a nawet elementów homoseksualizmu („supermanom" towarzyszą częstokroć młodzi, ulegli im chłopcy) lub miłości lesbijskiej... W wielu comicsach sceny erotyczne opisane są z wszelkimi szczegółami. Nie brak również obrazków pornograficznych, a wybujałe i w miarę możności obnażone piersi kobiece rysownicy comicsów uważają za najbardziej właściwe ilustracje.

„Książeczki comicsowe — stwierdza dr Wertham — podniecają dzieci pod względem seksualnym. Ten zasadniczy fakt ustaliły moje badania. W comicsach raz po raz — w obrazkach i w tekście, a także w ogłoszeniach — przyciąga się uwagę (dziecka) do cech płciowych i aktów płciowych" (str. 175). Zdaniem dra Werthama, istnieje związek między czytaniem comicsów i prostytucją nieletnich (str. 186). Comicsy przygotowują grunt dla prostytucji „zwykłej" i homoseksualnej. Oto jedno ze szczytowych osiągnięć tzw. amerykańskiego stylu życia!

*

Wspomnieliśmy już o postaci „supermana" (nadczłowieka), występującego w wielu comicsach. Superman imponuje młodocianym czytelnikom siłą, stosowaniem przemocy wobec otoczenia, przebiegłością i — bezkarnością. Już sama gloryfikacja supermana zawiera w sobie, oczywiście, elementy polityczne: dziecko zachęca się do tego, by również stało się „supermanem"; a gdyby miało wątpliwości co do tego, nad kim ma panować, wydawcy comicsów usłużnie wyjaśniają: nad innymi narodami, nad „niższymi" rasami...

Oto co pisze na ten temat dr Wertham: „To, co nazywamy «mniejszością», stanowi większość ludzkości. Stany Zjednoczone wydają obecnie miliony dolarów na przekonanie świata przez radio i innymi środkami propagandy, że nienawiść rasowa nie jest częścią składową amerykańskiego życia. W tym samym czasie eksportuje się na cały świat miliony amerykańskich comicsów, które wywołują wrażenie (autor jest ostrożny), że Stany Zjednoczone wzniecają nienawiść rasową w małych dzieciach" (str. 100).

Z dalszych wywodów dra Werthama wynika, że to „wrażenie" jest oczywistym faktem. „Gdybym miał — pisze Wertham — w największym skrócie podać relacje dzieci na temat różnych narodów w świetle comicsów, okazałoby się, że istnieją dwa rodzaje ludzi. Z jednej strony występuje wysoki, dobrze zbudowany blondyn, czasem przedstawiony jako superman (lub superman przedstawiony jako człowiek), oraz piękna młoda blondynka z wybujałą piersią. Z drugiej strony znajdują się gorsze narody: tubylcy, ludzie prymitywni i dzicy, „małpoludzie", Murzyni, Żydzi, Indianie, Włosi, Słowianie, Chińczycy i Japończycy, imigranci z różnych krajów, ludzie mający nieregularne rysy, ciemną skórę, zniekształcenia fizyczne, wygląd wschodni. W niektórych comicsach ludzie z pierwszej klasy mają często na sobie coś w

rodzaju uniformu supermana, podczas gdy osobnicy z drugiej klasy występują w cywilu. Ta domniemana niższość całych grup ludzkich pomyślana jest jako cios, skierowany przeciw narodom kolorowym i obcokrajowcom" (str. 101). „Skutkiem takiego wzniecania nienawiści rasowej jest fakt, że w umysłach wielu dzieci ludzkość jest podzielona na dwa rodzaje: normalnych ludzi, mających prawo do życia i pod-ludzi („Subman"), nadających się do wymordowania"... (str. 103).

Oto konkretny przykład comicsu, zachwalającego już nie tylko nienawiść rasową, lecz wręcz Hitlera. Bohaterką tej „bajki" dla dzieci jest „blond-bestia", która była żoną strażnika w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Na jednym z obrazków widać, jak ten strażnik bije więźnia, podczas gdy ona krzyczy: „Franz, uderz go jeszcze raz! Niech się leje jego krew! Bij go! " Na innym obrazku podpis głosi: „Bij go jeszcze! Niech będzie więcej krwi, Franz!" Następnie bohaterka wspomina z rozkoszą: „Lubię przypominać sobie cierpienia więźniów, ich tortury i ich krew"... Szczytem wszystkiego jest napis na jednym z dalszych obrazków tegoż comicsu. Napis brzmi po prostu: „Heil Hitler!".

Dr Wertham streszcza ten comics (str. 84) i dodaje, że ukazał się on w okresie, gdy grupa czternasto i piętnastoletnich chłopców zorganizowała „klub szturmowców hitlerowskich". Każdy członek tego klubu miał przed przyjęciem uderzyć Murzyna cegłą po głowie. Nauka nie poszła w las...

„Jak w kilku słowach podać zasadniczą naukę moralną comicsów kryminalnych dla dzieci?" — zapytuje dr Wertham. Jego odpowiedź jest taka: „Uważam, że nauka ta jest dobrze i ściśle streszczona w poniższym krótkim cytacie: «Nie idzie o prawo, lecz o zwycięstwo. Nie miejcie w sercu litości. Wystarczy brutalność. Rację ma silniejszy. Bądźcie jak najbardziej surowi. Prześladujcie wroga, aż go zwyciężycie». Słowa te były instrukcją, którą pewien superman dał swym generałom dnia 22 sierpnia 1939 roku w swym domu w Berchtesgaden. Instrukcja była wytyczną, jak potraktować ludność podczas zbliżającej się wojny z Polską" (str. 95/6).

Do tych sformułowań liberalnego burżuazyjnego uczonego niewiele trzeba dodać. Chyba tylko tyle, że ta sama hitlerowska instrukcja obowiązywała amerykańskich żołnierzy w Korei, przygotowanych do oczekujących ich zadań właśnie przez lekturę comicsów. Chłopak amerykański, wysłany do Korei, widział siebie w roli supermana. Dalej już wszystko było proste.

W czasie agresji Stanów Zjednoczonych w Korei ukazało się wiele comicsów, gloryfikujących soldateskę amerykańską i przedstawiających Koreańczyków i Chińczyków jako „pod-ludzi". W jednym z nich pt. *Front wojenny* widać było na okładce żołnierza amerykańskiego, zatapiającego bagnet w brzuchu Koreańczyka. Podpis brzmiał: „On albo ja — jeden z nas musiał zginąć! Pchnąłem bagnetem i poczułem, jak brzuch jego zapada się od uderzenia chłodnej stali!" Wyobraźcie sobie 7, 10 lub 13-letnie dziecko z taką lekturą w ręku...

*

Jednym z ubocznych skutków „epidemii comicsów" — bo tak chyba można nazwać to zjawisko — jest analfabetyzm młodzieży amerykańskiej. Nie trzeba być specjalistą-pedagogiem, by zrozumieć, jaki wpływ mają comicsy na naukę czytania. Dziecko amerykańskie, które w wieku 4—5 lat zaczyna oglądać comicsy, przyzwyczaja się do tego, że należy patrzeć na obrazki, a nie na tekst. Tekst jest zresztą w comicsach częstokroć wydrukowany „uproszczoną" lub wręcz błędną pisownią; bohaterowie wydają nieartykułowane dźwięki w rodzaju „Arghh", „Yeow", „Glug-ugh" itd.

Skutek jest taki, że gdy dziecko przychodzi do szkoły i zaczyna normalną naukę czytania, napotyka wielkie trudności. Woli comicsy niż elementarz. Uważa, że już umie czytać, i nie jest chętne do słuchania wskazówek nauczyciela. W starszych klasach część dzieci jest opóźniona w rozwoju i ma w dalszym ciągu trudności z czytaniem.

Niektóre comicsy pretendują poza tym do „wyręczania" dzieci, chcą im zaoszczędzić czytania „prawdziwych" książek. W postaci comicsów wydawane są arcydzieła literatury światowej. *Makbet* jako comics — reklamowany jest tak: „Ponura tragedia zazdrości, intrygi i gwałtu, przystosowana do łatwego i przyjemnego czytania. Na-

brzmiała akcją od początku do końca". Młodzieniec lub dziewczyna amerykańska, którzy poznali takiego *Makbeta*, już raczej nie sięgną po oryginał.

Badania dra Werthama wykazały bezpośredni związek między nałogiem czytania comicsów a zahamowaniami w rozwoju dzieci amerykańskich (str. 119 i nast.). M. in. dr Wertham cytuje opinię sędziego Jacoba Pankena z nowojorskiego sądu dla nieletnich: „Mam do czynienia z chłopcami i dziewczętami w wieku lat 15—16, uczęszczającymi do szkół średnich w naszym mieście, i niektóre spośród tych dzieci nie umieją przeczytać jednosylabowych wyrazów... Gdy pytam te dzieci: «Co wy czytacie?», odpowiedź brzmi: «comicsy»..."

Teza dra Werthama potwierdzona zostaje przez inne miarodajne wypowiedzi. Oto w popularnym (i nie mniej reakcyjnym) czasopiśmie amerykańskim „*Collier's*" ukazał się dnia 26 listopada 1954 roku artykuł pt. „*Dlaczego oni (nauczyciele) nie uczą mego dziecka czytać?*". Autor artykułu przyznaje, że wiele dzieci amerykańskich, i to nawet w starszych klasach, nie umie czytać. Choć „*Collier's*" nie wiąże tego zagadnienia z problemem comicsów, związek tych dwóch spraw jest oczywisty, i tylko solidarność wydawców „*Collier's*" z wydawcami comicsów uniemożliwiła postawienie kropki nad i.

W „*New York Herald Tribune*" z kolei (wydanie paryskie z dnia 19 listopada 1954 roku) wydrukowany został artykuł pt. *Spadek czytelnictwa książek w Stanach Zjednoczonych*. Początek artykułu warto zacytować: „Amerykanie są narodem czytającym nie za wiele książek. Zaledwie około 25 procent wszystkich dorosłych Amerykanów czyta jedną książkę na miesiąc. Niedawno badanie Gallupa ustaliło, że zaledwie 39 procent ludzi z wyższym wykształceniem czyta «trochę książek», podczas gdy tylko 19 procent ludzi po szkole średniej i tylko 7 procent ludzi po szkole podstawowej czyta książki..."

I w tym przypadku autor artykułu i wydawcy gazety unikają wskazania źródeł zła i nie wymieniają słowa: comics. Nie ulega jednak wątpliwości, że comicsy są jednym, i to jednym z głównych, powodów, dla których trzy czwarte Amerykanów w ogóle nie czyta książek i dla których spośród Amerykanów mających ukończoną tylko szkołę podstawową, czyli spośród większości społeczeństwa amerykańskiego, zaledwie jedna czternasta zagląda czasem do książki. A pamiętajmy, że jeśli dane z badań Gallupa są częstokroć „upiększone", to zawsze na korzyść amerykańskiego stylu życia.

Związek między klęską comicsów a analfabetyzmem części młodzieży amerykańskiej nie ulega więc wątpliwości. Czy istnieje również związek między tym tolerowaniem analfabetyzmu a polityką władców Ameryki? Wydaje się, że istnieje. Ludzie, sprawujący władzę w Stanach Zjednoczonych, wręcz nie są zainteresowani, by tzw. przeciętny Amerykanin przekroczył pewien poziom kulturalny.

W ich interesie dalsze miliony Amerykanów stają się po ukończeniu szkoły wtórnymi analfabetami. W ich interesie młodzież amerykańska zatruwana jest comicsami, zniechęcającymi do czytania poważniejszych książek i — do myślenia. W ich interesie szkoły i podręczniki amerykańskie wyglądają tak, jak wyglądają.

*

Na zakończenie wróćmy jeszcze do sprawy comicsów i do badań dra Werthama. Nawet ten burżuazyjny uczony nie mógł uniknąć pytania: kto stoi za przemysłem comicsów i kto nie dopuszcza do zahamowania jego zgubnej działalności? Odpowiedź dra Werthama na te pytania jest tylko częściowa.

Że wydawnictwa comicsów tworzą potężny przemysł, nie trudno obliczyć. Jeśli co miesiąc ukazuje się w Stanach Zjednoczonych 90 milionów comicsów i jeśli cena każdego z nich wynosi 10 centów, proste działanie arytmetyczne wykazuje, że obroty tego przemysłu wynoszą 9 milionów dolarów miesięcznie, czyli przeszło 100 milionów rocznie. A ile wynoszą zyski? Dr Wertham podaje, że wydawca comicsów osiągnąć może do 40 procent zysku z zainwestowanego kapitału i że łączne zyski przemysłu comicsów dochodzą do kilkudziesięciu milionów dolarów rocznie (str. 255).

Wystarczy to, by opłacać całą armię „ekspertów" i pismaków, wykazujących, że comicsy jakoby „nie szkodzą dzieciom" i że jakiekolwiek ustawowe ograniczenie lub cenzura comicsów byłaby... wykroczeniem przeciw wolności prasy. W taki bowiem demagogiczny

sposób przemysł comicsów broni się przed wszelkimi próbami zahamowania jego zgubnej działalności. Demoralizacja dzieci i systematyczne propagowanie wśród nich kultu siły i perwersji seksualnej okazuje się więc częścią składową amerykańskiej „wolności". Oto do czego doprowadza w amerykańskiej cytadeli kapitalizmu wypaczenie pięknego pojęcia: wolność!

Od pewnego czasu w prasie amerykańskiej ukazują się wzmianki zapewniające, że przemysł comicsów postanowił „sam siebie cenzurować" i „walczyć z pornografią". Jest to niewątpliwie danina, spłacona coraz donioślejszym głosom krytyki. Głosy takie rozlegają się w Ameryce oraz w Europie Zachodniej, zalewanej przez amerykańskie comicsy (w Anglii np. wielką kampanię przeciw comicsom przeprowadził w 1954 roku tygodnik labourzystowski *„New Statesman and Nation"*; związek zawodowy nauczycieli zażądał ustawy o cenzurze comicsów i minister spraw wewnętrznych zapowiedział wniesienie projektu takiej ustawy do Izby Gmin). Wydaje się jednak, że obłudne pomysły „autocenzury" amerykańskiego przemysłu comicsów będą miały nie większe znaczenie niż — dajmy na to — zapowiedzi militarystów niemieckich, że będą sami siebie ograniczali...

Dr Wertham opowiada obszernie o swoich trwających od lat wysiłkach, zmierzających do przeciwdziałania truciźnie comicsów. Napotkał zdecydowany opór właścicieli wydawnictw comicsów — występujących z reguły anonimowo i posługujących się wszelkimi dopuszczalnymi i nie dopuszczalnymi środkami w obronie swoich zysków. Spośród wielu perypetii dra Werthama wspomnieć warto o jego zetknięciu się z dwoma wybitnymi politykami amerykańskimi — senatorem Kefauverem z Partii Demokratycznej i byłym gubernatorem Nowego Jorku, Deweyem, z Partii Republikańskiej.

Senator Kefauver stał na czele komisji Senatu do spraw przestępczości. Komisja ta zajęła się m. in. zagadnieniem związku między przestępczością nieletnich i rozpowszechnieniem comicsów. Dr Wertham przedłożył dowody, wykazujące, że taki związek istnieje. Wynik był jednak ten, że komisja senatora Kefauvera zajęła wręcz odwrotne stanowisko, a mianowicie orzekła, że nie dopatruje się żadnej łączności między comicsami a wzrostem przestępczości młodocianych. Sprawozdanie komisji oparło się na opiniach „ekspertów". Dr Wertham stwierdza, że spośród ośmiu ekspertów, przesłuchanych przez komisję, pięciu zatrudnionych jest przez... wydawców comicsów (str. 344).

Nie mniej pouczająca była przygoda naszego uczonego z Deweyem, byłym kandydatem Partii Republikańskiej na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Lokalny parlament stanu Nowy Jork powołał komisję, której zlecił zbadać zagadnienie comicsów. Komisja ta przychyliła się do wniosków dra Werthama i uchwaliła przedłożyć projekt ustawy wymierzonej przeciw comicsom. Gdy ustawa przyjęta została przez obie izby stanowego parlamentu, Dewey jako gubernator stanu Nowy Jork skorzystał z prawa veta i uniemożliwił wejście ustawy w życie... Przeciw tej ustawie wypowiedzieli się nie tylko przedstawiciele Zrzeszenia Wydawców Comicsów, lecz również rzecznicy Rady Kościołów stanu Nowy Jork, Amerykańskiego Związku Wolności Obywatelskich i innych tego rodzaju nobliwych organizacji, broniących w tak swoisty sposób „wolności" po amerykańsku (str. 349/50).

Burżuazyjny uczony, dr Wertham, w tym miejscu stawia kropkę. A nam się wydaje, że właśnie w tym miejscu narzuca się pytanie: dlaczego politycy obu partii amerykańskiej burżuazji, dlaczego Rady Kościołów i związki „wolności" amerykańskiej występują w obronie comicsów?

Jedyna odpowiedź na to pytanie brzmi: występują dlatego, że rozpowszechnianie comicsów zgodne jest z założeniami ludzi, sprawujących władzę w Stanach Zjednoczonych. Ludzie ci zainteresowani są, by obywatele amerykańscy nie za dużo czytali i nie za dużo myśleli. Pomagają w tym comicsy. Ludzie ci zainteresowani są, by młodzież amerykańska wychowywana była w kulcie supermana, by gwałt i przemoc były w jej oczach usprawiedliwione. Comicsy doskonale spełniają to zadanie. Ludzie ci zainteresowani są w krzewieniu ideologii rasistowskiej, w zaszczepianiu młodzieży przekonania, że Amerykanie są „narodem panów", któremu podlegać powinny inne narody. Comicsy i w tym wypadku skutecznie wykonują powierzone im zadanie.

A że przy okazji młodzież amery-

kańska ulega demoralizacji i zwyrodnieniu? Miliarderzy z Wall Street mało się tym przejmują. Mając do wyboru: albo młodzież zdrową psychicznie, myślącą, która tym samym wcześniej czy później wystąpi z opozycją przeciw rządom koncernów i monopoli; albo młodzież zatrutą jadem comicsów, nie myślącą i będącą powolnym narzędziem w ręku wielkiego kapitału — władcy Ameryki wybierają tę drugą ewentualność.

*Grzegorz Jaszuński*

## OPOWIADANIA RZYMSKIE ALBERTA MORAVII

Nie znam, niestety, potrzebnych do całości obrazu pierwszych powieści Moravii, jak *Disubbidenza, Agostino*. One to już stworzyły mu tę wysoką reputację, którą do dziś utrzymał w krajach Zachodu. Dzisiaj, w pełni sił, Alberto Moravia liczony jest pomiędzy najwybitniejszych prozaików włoskich.

Wśród publiczności burżuazyjnej pierwsze utwory Moravii — jeśli wierzyć krytyce — działały swoim psychologizmem. O ile znam tradycje prozy włoskiej, szczególnie te, które ukształtowały się w dobie weryzmu, jest to psychologizm bardzo sensualny, mało zintelektualizowany.

Na szczęście mogę z całą odpowiedzialnością zreferować drugi wątek pisarskich poczynań Moravii, ten, który mu zjednał opinię antyfaszysty. Zwięzłą, intelektualnie bardzo opracowaną manifestacją antyfaszyzmu Moraviańskiego był esej zatytułowany *Portret Macchiavellego*. Moravia ogłosił go w r. 1950 w eklektycznym, łączącym na swych łamach komunistów i niekomunistów piśmie *„Cultura e realtà"*. Autor analizuje w tym utworze strukturę państwa przemocy w służbie warstw posiadających, stwarzając analogie między programem „księcia" a niedawnymi doświadczeniami Włoch. W tej analizie obok demokratycznej postawy politycznej zaznaczają się także te cechy myśli Moravii, które decydują o światopoglądowej różnicy, dzielącej go od marksistów. Moravia widzi w historii przede wszystkim prymat psychologicznych i etycznych pierwiastków. Dyktatura reakcji następuje wtedy, gdy stara elita „nie chce się poddać krytyce" ze strony nowych, kiełkujących form życia, gdy wyczerpały się zasoby etyczne społeczeństwa.

Swoisty antyfaszyzm znaleźć można w bardzo sławnej na Zachodzie powieści *La Romana*, wydanej mniej więcej współcześnie z publikacją *Portretu Macchiavellego*. Jest to dziennik rzymskiej prostytutki. Czas akcji przypada na lata najwyższej „chwały" faszyzmu. Ta forma opowieści służy autorowi do analizy rozpadu społecznego i obyczajowego, do subtelnych wdrążań się w nieszczęścia, brutalności, zahamowania, kłamstwa znoszone do narratorki przez jej klientelę.

Postacią górującą nad całą akcją, dominującą treściowo jest prefekt faszystowskiej policji, typ niemal z Dostojewskiego, typ skazany na zagładę, egzystencja bez wyjścia, świadoma przy tym swego charakteru, nosząca w sobie swoje samobójstwo, zresztą bez gestu bohaterów Dostojewskiego.

Tu protest społeczny wciąż jest pozbawiony nadziei. Zwrot ku nadziei, zwrot w stronę ludzi współczesnych z zamiarem dopomożenia, z zamysłem konstruktywnym — objawia się w następnej książce, w grubym tomie opowiadań — *Storie romane*.

Moravia nie prowadzi tu już dialogu z wielką historią, szuka natomiast sojuszników, towarzyszy doli, szuka ich (i własnych) racji trwania. Objawia w tym swoją antyburżujskość, żeby jeszcze raz wydobyć z tej prozy kierunek jej sprzeciwu, a nadto określa najbliższe swoje pokrewieństwo społeczne. Jest to pokrewieństwo z warstwami pośrednimi, z tą ich częścią, o której można by powiedzieć, że jest plebejską częścią drobnomieszczaństwa.

Warto tu wtrącić parę słów o roli takich koligacji w kulturze włoskiej, może właśnie włoskiej specjalnie.

Włochy są krajem, w którym wkład warstw pośrednich (drobnomieszczaństwo, drobnomieszczańska inteligencja), a poprzednio wkład plebsu miejskiego

w kulturę był stosunkowo duży. Myślę przy tym nie tyle o niewątpliwym ich wkładzie w rozwój spraw narodowych w okresach, kiedy warstwy te występowały w roli rewolucyjnej (np. lata 1800—1870), ale również i o tych okresach, które przynosiły ze sobą równowagę sił społecznych czy bierność drobnomieszczaństwa.

Z tego nurtu literatury wiedzie się, jak mi się zdaje, nowelistyka Moravii. O ile takie jego powieści, jak *La Romana*, w swojej bezwyjściowości i brutalności przypominają niekiedy Amerykanów, o tyle drobne utwory mają wiele rysów wspólnych z właściwą Verdze (w nowelach) postawą współczucia (nie w znaczeniu litości, ale solidarnego współodczuwania) z dolą i niedolą „prostego człowieka". Przy tym nie znaczy to, że Moravia unika tematu z życia robotników — bohaterem części kilkudziesięciu krótkich utworów zawartych w tomie jest robotnik. Moravia natomiast nie interesuje się mechanizmem walki społecznej ani mechanizmem klasowych dążeń i nadziei proletariatu. Pragnie jakby zwrócić swoim czytelnikom ich obraz migawkowy, w którym utrwaleni są przede wszystkim w momentach intymnych, w jakichś zawikłaniach swojej osobowości, w komplikacjach życia uczuciowego, ale też nierzadko w krzywdzących deformacjach wywołanych nędzą, zbyt ciężką pracą, brutalnością urządzeń społecznych. Jest to świadectwo wierne, bezinteresowne, zawarte w granicach małego realizmu. W świadectwie tym wyraża się sympatia. Ten świat cierpi, cierpi z ludzkich, godnych powodów: ktoś nie miał w życiu miłości, bo życie jego było zbyt trudne, ktoś się poróżnił z żoną — stanęła między nimi codzienna nędza, która czyniła ich niecierpliwymi, jakaś matka-nędzarka była bliska podrzucenia dziecka. W tych wszystkich sprawach brak jest szerszej perspektywy, brak jest tej nadziei, która jednoczy miliony głosów wyborczych (także fryzjerów, sprzedawców warzyw czy subiektów) na liście komunistycznej. Równocześnie jednak to, co autor w związku z ich ludzkimi cierpieniami ma do powiedzenia, są to rady przyjazne, są to sądy moralnie prawdziwe, jest w tym po prostu dużo miłości. Oto jeden zrozumiał, że nie wolno mu profanować uczuć, które mu zabrano, parodiując miłość w kupletach śpiewanych dla oschłej, zblazowanej publiczności burżujskiej. Oto mąż pogodził się z żoną, gdyż ujrzał nędzę tak straszną, iż zrozumiał, że musi i jej, i siebie bronić we wzajemnej solidarności. Oto matka nie podrzuciła swego piątego dziecka, gdyż przestraszył ją widok obojętnego właściciela pięknej limuzyny, w której złożyła niemowlę.

Istotą więc opowiadań Moravii nie jest skrzywienie sensu społecznego zjawisk, jest natomiast zacieśnienie pola widzenia, wycinkowość, ograniczenie się do spraw, które „prosty człowiek" załatwić musi w społeczeństwie kapitalistycznym sam, zdany tylko na siebie.

Jest i w tym tomie pewna ilość utworów, które odsłaniają zepsucie ostateczne lub głupotę nieuleczalną, zbliżając się w okrucieństwie do „czarnej literatury" typu amerykańskiego (Steinbeck). I tu jednak (podobnie zresztą jak np. u Steinbecka w *Myszach i ludziach*) widoczne jest dno sprawy. Marzenie młodego chłopca o nowych butach, które prowadzi go do kradzieży, jest wywołane złą gorączką, nawiedzającą ten słaby charakter w wyniku beznadziejnego ciułania pieniędzy na potrzebny zakup. Nie mówi się tu, że nie było innego wyjścia jak zrabować, nie mówi się także, że złodziej ponosi całą winę. Stwarza się natomiast sugestię zła obiektywnego, które polega na tym, że ludzie są skazani na takie pokusy bez żadnej racji, bez żadnego uzasadnienia prywacji. Wszystko w tym opowiadaniu rozgrywa się w zupełnej pustce, społeczeństwo dokoła bohatera jest zbiorem zakazów bez sensu.

Opowiadania pisane są w pierwszej osobie, stosuje się tu świadome zapewne utożsamienie autora z protagonistami-narratorami, którzy się zmieniają w każdym utworze. Jeśli istnieje na Zachodzie proza nie inteligencka, to ta do niej należy.

Moravia osiąga stopień intymności i autentyzmu podobny do osiągnięć filmu włoskiego. Podobnie jak w filmie gra tutaj tło. Ileż jest Rzymu w tych opowiadaniach! I to nie tego z turystycznych szlaków. Ale i śmietnisk podmiejskich, i fabryk na tle spalonej Campagni, cuchnącego Tybru, również parków — rozrywki biedoty, również małych trattorii, ulic brzydkich, lecz wibrujących gorączką wieczornych spacerów i flirtów.

Jak w starej, dobrej nowelistyce komentarz jest ukryty, pointa czy to

skupiona na kańcu, czy przeszywająca tekst w wielu miejscach — zamierzona, świadomie użyta, zwarta treściowo.

Taki jest Moravia przedostatni. Ostatnią bowiem jego książką jest powieść *Disprezzo*, która wyszła zupełnie świeżo. To jednak na później.

*Marcin Czerwiński*

## CIESZYŃSKI KONKURS

Razem z Aleksandrem Baumgardtenem zaproszeni zostaliśmy niedawno do „jury" konkursu literackiego zorganizowanego przez Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji oraz sekcję literacko-artystyczną tego Związku.

Na konkurs nadesłano 53 utwory najrozmaitszej treści. Znalazły się tu i zbiory wierszy, i rzeczy prozą (nowele, humoreski, „bojki", jedna powieść o ambitnych zamierzeniach), i sztuki, i utwory dla teatru lalek; były także i prace publicystyczne, historyczne, etnograficzne, językoznawcze, pamiętnikarskie. Niektóre z tych utworów zostały napisane dialektem; tu i ówdzie zabrzmiało słowo przypominające język staropolski, kiedy indziej uderzały reminiscencje ze źródłosłowów czeskich, widomy znak owego odwiecznego oddziaływania na siebie dwóch kultur narodowych, o których wspominał już Aleksander Brückner.

Przypadek sprawił, że na wstępie lektur konkursowych zapoznałem się z opowiadaniem *Niedziela w Ravensbrück*. Nie jest to bynajmniej wielkie dzieło literackie, ale ma akcent przejmującej autentyczności. Ukazuje, że nawet na samym dnie obozowego bytu toczyła się ostra, nieustępliwa, gwałtowna walka między katami a ofiarami, między gestapowcami a komórkami oporu. Autorem tego opowiadania jest Bogumił Goj, sekretarz Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji. *Niedziela* — to podobno jego pierwsza próba literacka, ale oparta na autentycznym przeżyciu.

Śląsk Cieszyński był jednym z terenów, które widziały ostrą walkę przeciw hitlerowskim najeźdźcom. W Beskidach rozwijała się partyzantka; uciekali do niej ludzie nawet z Górnego Śląska. W wielu utworach nadesłanych na konkurs pojawiają się echa owych zmagań, na przykład w *Opowiadaniach* Józefa Pasza. Zdaje się, że ich autor nie przewidywał, iż otrzyma nagrodę; w kopercie zawierającej godło konkursowe nie podał nawet swego nazwiska! Jest podobno z zawodu prawnikiem. Niewątpliwie — przeżył okupację bardzo głęboko. Jedno z jego opowiadań wywarło na nas mocne wrażenie; jest to opowieść o niemieckim SS-manie, który dowodził egzekucją 20 zakładników rozstrzelanych „dla przykładu". Sam fakt egzekucji przyjął on z niezmąconym spokojem; wstrząsający był natomiast dla owego dokładnego i obowiązkowego hitlerowca fakt — że przez omyłkę zamiast 20 rozstrzelano 21 ludzi. Ten dwudziesty pierwszy zginął zatem niewinnie! Jakie znaleźć wyjście, jak uspokoić swe sumienie, swój honor? Hitlerowiec nie znajduje rozwiązania dylematu — popełnia samobójstwo. Czy to nie zastanawiające, że tak właśnie ułożył się w umyśle człowieka, wykoszlawionego przez wychowanie, system kryteriów moralnych?

*

Posiedzenie sądu konkursowego, na którym omawialiśmy plon konkursowy, odbyło się w polskim Cieszynie. Poprzedniego dnia wieczorem jeden z członków „jury", prof. Kazimierz Gołuch z Karwiny, zaprosił Aleksandra Baumgardtena i mnie na odbywający się właśnie występ Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej. Ochotniczy ten zespół składa się z ludzi mieszkających zarówno na Śląsku czeskim, jak i polskim. Jest przykładem pięknej, wzruszającej pracy, która w barwny kształt taneczno-śpiewnego widowiska umie zamknąć zachwycająco żyzny folklor cieszyński.

Ileż dowcipu i poezji w tych „pieśniczkach", w figurach tanecznych, lek-

kich i zwinnych, posuwistych czy zawrotnych, tak pięknie zharmonizowanych z kostiumami, tak wdzięcznie wykonywanych przez chłopców i dziewczęta, czerpiących swe umiejętności artystyczne z autentycznej, niesfałszowanej twórczości ludu!

Byłem pod tym silniejszym wrażeniem, że miałem świeżo w pamięci *Zbiór 600 pieśni ludowych z powiatu czesko-cieszyńskiego,* zebrany cierpliwie z nakładem imponującej pracy przez trzech podobno zbieraczy i nadesłany na konkurs. Ale, gdy otworzono konkursowe koperty, okazało się, że „padliśmy ofiarą" zabawnej mistyfikacji. Tych „trzech zbieraczy" to jeden jedyny Jan Tacina z Oldrychowic cieszyńskich; okoliczność wzbudzająca tym większy podziw. Bo zebranie 600 uroczych „pieśniczek" z całej niemal Ziemi Cieszyńskiej byłoby trudem poważnym nawet dla trzech badaczy; cóż dopiero mówić o jednym! Podobno zbiór Taciny powinien być poddany gruntownej selekcji, gdyż nie wszystko tu jest oryginalną pieśnią ludową i pomnikiem folkloru! Wiadomo, jak cienka ścianka oddziela folklor od rzeczy przejętych z twórczości literackiej, jak dziwne się tu zdarzają asocjacje i wzajemne oddziaływania; jak się nieraz (na przykład na Podhalu) zamykał krąg wzajemnego czerpania motywów między folklorem a literaturą.

Oczywiście, równie dużo pięknego materiału znaleźć można w *Śląskich tekstach gwarowych* oraz *Podaniach i opowieściach ludu śląskiego* (które nadesłał na konkurs zasłużony badacz karwiński, Józef Ondrusz, a także w imponująco wykonanym albumie prac folklorystycznych Karola Piegzy z Jabłonkowa czy cierpliwie przygotowanych pracach J. Lecha (*Pokłosia osiem kistek* i *Do słownika geograficznego),* lub w innych zbiorach tego typu.

Rzeczy nadesłane na konkurs układały się wyraźnie w dwa „piony": ściśle literacki oraz folklorystyczny i publicystyczny. Oprócz zbiorów pieśni i podań, pion publicystyczno-etnograficzny obejmował też rzeczy o temacie historycznym. Na Śląsku Cieszyńskim pracują badacze wnikający głęboko w przeszłość tego regionu. Dużą na przykład wartość ma praca magistra Józefa Chlebowczyka, oświetlająca tradycje proletariackiego internacjonalizmu na Śląsku Cieszyńskim na przełomie XIX i XX stulecia. Autor pisze ciekawie i przekonywająco o rozwoju przemysłu, rozroście ilościowym i rozbudzeniu świadomości klasy robotniczej, o sporach narodowościowych i ich przyczynie, o wspólnej walce czeskich i polskich socjalistów.

W „pionie" literackim niejeden zbiór wierszy czy opowiadań kojarzył mi się z uroczym folklorem Ziemi Cieszyńskiej. W jednej z nadesłanych na konkurs prac historycznych można było znaleźć echa ciekawej polemiki, dotyczącej dialektu cieszyńskiego; istnienie tego dialektu bywało środkiem ochrony ludności polskiej w okresie hitleryzmu; dialekt jest natchnieniem pisarzy zarówno wtedy, gdy nim operują jako wyłącznym materiałem językowym, jak i wtedy, gdy tylko zabarwiają swe utwory pewnymi gwarowymi wyrażeniami.

Można nawet zaryzykować zdanie, że pisarze cieszyńscy jeszcze za mało i zbyt nieśmiało korzystają z możliwości, jakie im daje bogaty folklor cieszyński Dotyczy to przede wszystkim poetów. W nagrodzonym na konkursie zbiorze wierszy Henryka Jasiczka, *Zbójnickie śpiewki,* najbardziej ujmowały te, które wyraźnie nawiązują do myśli, wyobrażeń, rytmów i pojęć beżskidzkiego ludu. Jasiczek wydaje mi się talentem godnym uwagi; zadebiutował w roku 1953 tomikiem *Rozmowy z ciszą,* obecnie przygotował już trzeci z kolei zbiór. Jego werwa pisarska przynosi najlepsze wyniki w poetyckiej opowieści pt. *Karcta,* której nie brak oryginalnych odcieni humoru.

Jeśli idzie o prozaików, najbliżej folkloru znajduje się zapewne Karol Piegza, dyrektor polskiej szkoły średniej w Jabłonkowie. Wzruszające jego opowiadanie *Gajdosz z Kurajki* wzoruje się — jak słusznie zauważono — na Tetmajerze i jego *Skalnym Podhalu.* Lecz umie on samodzielnie zużytkować motywy ludowe, np. w poglądach na nieuchronność śmierci oraz wrażliwość na piękno i barwę tonu.

Najwybitniejszym zjawiskiem literackim konkursu jest powieść *Czas ludzkiej krzywdy,* która otrzymała nagrodę najwyższą. Jej autor, Paweł Kubisz, jest pisarzem dobrze nam znanym. By przypomnieć choćby prace nowsze, wspomnijmy piękny jego *Przednówek,* wydany w r. 1946 przez Oddział Wiejski Związku Literatów Polskich. W roku 1953 wyszedł w czeskim Cieszynie, nakładem S.L.A. *Rapsod o Oszeldzie.* Kubisz jest także redaktorem naczel-

nym bardzo interesującego miesięcznika *„Zwrot“*, wydawanego od 7 lat przez Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Czechosłowacji.

Poeta i publicysta (a także zbieracz tekstów ludowych) zadebiutował obecnie jako prozaik. Zadebiutował w sposób niezwykły. Głównym bohaterem powieści *Czas ludzkiej krzywdy* jest górnik, Karol Klimsza z Szumbarku, komunista, zamordowany w podziemiach kopalni „Prorok“ w Pietwaldzie w roku 1933. Pawła Kubisza od dawna pociągała heroiczna ta postać. Przed 9 laty poświęcił mu poemat *Hawriyrz Kareł Klimsza*, zamieszczony w zbiorze *Przednówek*. Ten wiersz — i jego lektura na wieczorze robotniczym — jest punktem wyjścia powieści *Czas ludzkiej krzywdy*. Jej szkielet kompozycyjny — to powolne, stopniowe odsłanianie coraz to nowej, coraz bardziej fascynującej prawdy o Karolu Klimszy, jego młodości, walce, działalności oraz okoliczności, w których zginął. Jest poetycka siła w owym stopniowym narastaniu obrazów; jest zarazem impet pisarski, namiętność i pasja, w której się odbija gorące poczucie krzywdy ludzkiej i zdolność wypowiedzenia tej krzywdy.

Oto — oczywiście niekompletne, niepełne wrażenia z tego konkursu. Obrady „jury“ trwały wiele godzin, przetrząsnęły wszelkie argumenty.

Pilnie pracowali i bardzo fachowe, literacko interesujące uwagi wypowiadali członkowie Sądu Konkursowego zamieszkali na Śląsku Cieszyńskim: profesor Józef Niemiec z Orłowej (wybrany na przewodniczącego „jury“), profesor Szczepan Grudniewicz z Cieszyna i profesor Kazimierz Gołuch z Karwiny.

Wywoziliśmy wrażenie, że kultura polska rozwija się na Śląsku Cieszyńskim w sposób bardzo interesujący. Przed trzema laty — jesienią 1951 roku — byłem w czeskim Cieszynie z gościną u polskiego zespołu teatralnego, powstałego przy czeskim teatrze. Widzieliśmy dobre przedstawienie sztuki Aleksandra Maliszewskiego *Wczoraj i przedwczoraj;* przekonaliśmy się, że Polska Scena doznaje serdecznej opieki ze strony czeskich aktorów i ich dyrektora, Józefa Zajica. Dowiedzieliśmy się teraz, że i polskie życie literackie na Śląsku Cieszyńskim ma dobre możliwości rozwoju.

*W. N.*

# ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU
## NA OPOWIADANIE O TEMATYCE WIEJSKIEJ

W dniu 7 marca br. Kolegium Redakcyjne „*Twórczości*", po zapoznaniu się ze 102 utworami nadesłanymi na konkurs na opowiadanie o tematyce wiejskiej, postanowiło:

przyznać dwie nagrody II i dwa wyróżnienia.

Dwie równorzędne II nagrody po 3.000 złotych otrzymują:

Wojciech Górny, Lublin (godło „Borys") za pracę pt. *Stonka.*

Bogusław Kogut, Poznań (godło „Hasław") za pracę pt. *Jęczmień.*

Dwa wyróżnienia po 1000 złotych przyznano:

Wojciechowi Kaiderowi, Kraków (godło „Nowe Brzegi'") za pracę pt. *Powrót do rodzinnych Brzegów.*

Antoniemu Pokorskiemu, Warszawa (godło „Włodek") za pracę pt. *Wola ojca.*

Prace nagrodzone, zgodnie z warunkami konkursu, będą opublikowane na łamach „*Twórczości*".

# *Książki nadesłane*

## LITERATURA PIĘKNA

### Klasycy literatury polskiej

Fredro Aleksander — *Pięć komedii. Pan Geldhab. Nowy Don Kiszot. Śluby panieńskie. Pan Jowialski. Zemsta.* Ilustrował J. M. Szancer. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; wydanie pierwsze; str. 432, 4 nl.

Krasicki Ignacy — *Pisma wybrane.* Tom czwarty. Opracowali: Zbigniew Goliński, Mieczysław Klimowicz, Roman Wołoszyński. Pod redakcją Tadeusza Mikulskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie pierwsze: str. 430, 2 nl.

Morsztyn Zbigniew — *Muza domowa.* Wydanie krytyczne spuścizny poetyckiej. Opracował i przedmową opatrzył Jan Dürr-Durski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; t. I str. 379, 1 nl; t. II str. 313, 1 nl.

Perzyński Włodzimierz — *Szczęście Frania.* Komedia w trzech aktach. Opracował Marian Bizan. Notkę Szczęście Frania opracował Stanisław Dąbrowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 127, 1 nl.

Prus Bolesław — *Placówka.* Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie czwarte; str. 230, 2 nl.

— *Przygoda Stasia i inne opowiadania.* Wyboru dokonała i opracowała Janina Kulczycka-Saloni. Ilustracje w tekście wykonał Eryk Lipiński. Ilustrację na obwolucie wykonał Aleksander Stefanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 297, 3 nl.

Rej Mikołaj — *Pisma wierszem.* (Wybór). Opracował Juliusz Krzyżanowski. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr 151). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. XCI, 1 nl, 427, 4 nl.

### Klasycy literatury obcej

Bedier Józef — *Dzieje Tristana i Izoldy.* Tłumaczył Tadeusz Żeleński-Boy. Projekt okładki i przerywniki Marka Rudnickiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 157, 3 nl.

Diderot — *Zakonnica.* Przekład Wacława Rogowicza. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 210, 2 nl.

Gorki Maksym — *Pisma.* Wydanie w szesnastu tomach pod redakcją Tadeusza Zabłudowskiego. Słowo wstępne Leona Kruczkowskiego. Tom. 1. *Utwory różne* 1895—1896. Tłumaczyli: —Jan Brzechwa, Władysław Brzęczkowski, Joanna Guze, Stanisław Jędrzejewicz, Seweryn Pollak, Anatol Stern. Redaktor tomu Ziemowit Fedecki Tom 2. *Opowiadania.* 1896—1899. Tłumaczyli: Maria Dąbrowska i Stanisław Stempowski, Jerzy Jędrzejewicz, Jerzy Wyszomirski. Redaktor tomu Ziemowit Fedecki Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warsazwa, 1954, wydanie pierwsze; t. 1. str. 470, 6 nl; t. 2 str. 398, 6 nl.

Lope de Vega — *Wędka Feniksany.* Komedia w trzech aktach. Przełożył Juliusz Żuławski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 195, 1 nl.

Ostrowski Aleksander — *Małżeństwo Bieługina.* Komedia w pięciu aktach. Przełożyła z rosyjskiego Joanna Guze. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 163, 1 nl.

— *Ostatnia ofiara.* Komedia w pięciu aktach. Przełożył z rosyjskiego Jerzy Jędrzejewicz. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 207, 1 nl.

Sałtykow-Szczedrin Michał — *Śmierć Pazuchina.* Komedia w czterech aktach. Przełożył z rosyjskiego Tadeusz Łopalewski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 134, 2 nl.

Staël de, Holstein Anna Luiza Herminia — *Wybór pism krytycznych.* Przełożyła i opracowała Anna Jakubiczyn-Tatarkiewicz. Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. LXXXIII, 1 nl, 179, 1 nl.

Tołstoj Lew — *Zmartwychwstanie.* Powieść. Tom I i II. Przełożył Wacław

Rogowicz. Okładkę projektował Czesław Bieniek. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; t. I str. 267, 1 nl; t. II str. 342, 2 nl.

## Proza

Bielicki Marian — *Bateria 078.* Okładkę projektował Stefan Rzepecki. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1955, wydanie trzecie; str. 258, 2 nl.

Biliński W. — *Szósta bateria.* Okładkę projektował Ryszard Sidorowski, Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 348, 2 nl.

Borodin S. — *Dymitr Doński.* Tłumaczył z rosyjskiego Jerzy Wyszomirski. Okładka, inicjały i przerywniki: Ignacy Witz. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1955, wydanie pierwsze; str. 457, 3 nl.

Boruń K. i Trepka A. — *Zagubiona przyszłość.* Okładkę projektował Janusz Stanny. Ilustrował Szymon Kobylliński. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 589, 3 nl.

Cassola Carlo — *Starzy towarzysze.* Tłumaczył Władysław Halicki. Słowo wstępne napisał Leonidas Abolnik. Okładkę i kartę tytułową projektowała Maria Szymańska. „Czytelnik", Warszawa, 1955; str. 109, 3 nl.

Curwood James Oliver — *Szara wilczyca.* Przełożył Jerzy Marlicz. Okładkę projektował Stanisław Rozwadowski. „Iskry", Warszawa, 1955, wydanie drugie; str. 181, 3 nl.

Gojawiczyńska Pola — *Dziewczęta z Nowolipek.* Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. „Czytelnik", Warszawa, 1955; str. 237, 3 nl.

Hołuj Tadeusz — *Królestwo bez ziemi.* Tom I. *Burzliwe żywioły.* Tom II. *Twierdza.* Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Przerywniki wykonał Jerzy Skarżyński. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; t. I str. 458, 2 nl; t. II str. 293, 3 nl.

Iwanow Walentin — *Na tropie.* Tłumaczył Mikołaj Dąb. Ilustracje z wydania radzieckiego G. Bałaszewa. Okładkę projektował Janusz Stanny. „Iskry", Warszawa, 1955; str. 274, 2 nl.

Jewtych Asker — *Zaszczytne stanowisko.* Z rosyjskiego tłumaczyła Alicja Stern. Opracowanie graficzne: Andrzej Radziejowski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 375, 1 nl.

Kania Vasek — *Dziecko wojny.* Przełożył z czeskiego Stefan Duba-Dębski. Okładkę projektowali Anna i Jan Hollender. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 315, 1 nl.

Katajew Walentin — *Samotny biały żagiel.* Przekład i przedmowa Melanii Kierczyńskiej. Ilustracje D. Dubińskiego z wydania radzieckiego. Okładkę projektował Janusz Grabiański. „Iskry", Warszawa, 1955; str. 351, 1 nl.

Klimaszewski Tadeusz — *Uciekłem z Legii Cudzoziemskiej.* Okładkę i kartę tytułową projektowała Liliana Baczewska. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 336, 4 nl.

Kostylew Walentin — *Iwan Groźny.* Księga I. *Wyprawa.* Księga II. *Morze.* Księga III. *W twierdzy Newskiej.* Przełożył z rosyjskiego Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Opracował graficznie Andrzej Rudziński. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; t. I str. 475, 1 nl; t. II str. 501, 1 nl; t. III str. 371, 1 nl.

Lem Stanisław — *Astronauci.* Powieść fantastyczno-naukowa. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. „Czytelnik", Warszawa, 1955; str. 383, 1 nl.

Lindsay Jack — *Przypływ.* Tłumaczył Bronisław Zieliński. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1955; str. 306, 2 nl.

Morcinek Gustaw — *Zabłąkane ptaki.* Ilustrował Stanisław Tepfer. „Iskry", Warszawa, 1955; str. 267, 5 nl.

Mularczyk Andrzej — *Karuzela.* Okładkę projektował Janusz Stanny. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 350, 2 nl.

Mularczyk A. i Janicki J. — *Towarzysze z Dąbrowy.* Ilustrował Mieczysław Majewski. Okładkę projektował Janusz Grabiański. „Iskry", Warszawa, 1955; str. 304, 2 nl.

Nexö Martin Andersen — *O własnych siłach.* (Wspomnienia. Tom. III). Tłumaczył z duńskiego Józef Mondschein. Okładkę projektował Jerzy Cherka. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 142, 2 nl.

Piermitin Jefim — *Orły górskie.* Tłumaczył Stanisław Niewiadomski. Opracowanie graficzne: Andrzej Radziejowski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 739, 1 nl.

Piwowarczyk Andrzej — *Pamiętnik przyjaciół.* Okładkę projektował Henryk Białoskórski. „Iskry", Warszawa, 1955; str. 276, 4 nl.

Promiński Marian — *Pocztą lotniczą.* Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Rysunki wykonał Jerzy Skarżyński. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 221, 3 nl.

Szaniawski Jerzy — *Profesor Tutka i inne opowiadania.* Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 217.

Rea Domenico — *Fotografia majowa.* Przełożyła Barbara Sieroszewska. Okładkę projektował Czesław Bieniek. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954, wydanie pierwsze; str. 110, 2 nl.

Zalewski Witold — *Na wirażu.* Okładkę projektował Janusz Grabiański. Ilustrował Adam Perzyk. „Iskry", Warszawa, 1955; str. 176, 4 nl.

Żylińska Jadwiga — *Muzykanci z Bremy i Opowiadania.* Okładkę i kartę tytułową projektowała Zofia Szafarz. „Czytelnik", Warszawa, 1955; str. 142, 2 nl.

0384003
Gałmowski
13 T 76

*W najbliższych numerach ukażą się:*

*Jan Parandowski*

**O ARYSTOFANESIE**

*Georg Lukacs*

**O SZOŁOCHOWIE**

*Leonard Podhorski-Okołów*

**O MICKIEWICZU**

*Stanisław Jerzy Lec*

**LIRYKI**

*Apollinaire*

**NOWE PRZEKŁADY**

*Tadeusz Breza*

**KRZYCKI**

*Kazimierz Brandys*

**NIEDŹWIEDŹ**

**Cena zł 7.–**